Wydawnictwo

na cele dobroczynne samborskie.

XXII. ROCZNIK.

Nowa serja illustrowana,

wydawana

nakładem i staraniem

G. Kohna.

(Z zastrzeżeniem praw wydawcy i współpracowników).

Ceny zwyczajne, nie kładąc tamy dobroczynności.

LWÓW.

Z drukarni i litografii Pillera i Sp.

1899.

Wydawnictwo

na cele dobroczynne samborskie.

XXII. ROCZNIK.

Nowa serja illustrowana,

wydawana

nakładem i staraniem

G. Kohna.

Ceny zwyczajne, nie kładąc tamy dobroczynności.

LWÓW.

Z drukarni i litografii Pillera i Sp.

99.

SŁOWO WSTĘPNE

do moich czytelników.

Niniejszym rocznikiem zamykam szereg „Roczników Samborskich“; wydawnictwo bowiem, przeniesione na grunt lwowski, eo ipso przestało być samborskiem wydawnictwem, a każdy przyzna mi słuszność, jeśli powiem, że cele mniejsze i mniej znaczne miejsca ustąpić powinne znaczniejszym i donioślejszym.

To już ostatni rocznik, z którego dochód przeznaczony i oddany został na cele dobroczynne samborskie. Według mego obliczenia w przeciągu 22. lat wpłynęło za pośrednictwem mego wydawnictwa na te cele 1.276 złr. i 52 ct. Szczegółowe sprawozdanie z mojej czynności umieszczam zresztą na końcu dzieła.

Sądzę, że nikt nie powie, iż wyzyskałem Sambor na korzyść moją. A jeśli to miasto umie być wdzięcznem i okazało nawet swoją wdzięczność pewnemu obywatelowi, który jednorazowo na rzecz ubogich miasta Sambora 50 złr. ofiarował — honorowem obywatelstwem, darząc drugiego za gustowne przyozdobienie tzw. „ogrodu kryminalskiego“ tym samym zaszczytem — to mogłem się bodaj spodziewać, że miasto, odwdzięczając się za moje zasługi, weźmie mię w obronę i nie dozwoli rozmaitym obszarpańcom i ulicznikom, napastować mię na ulicy i prześladować najwstrętniejszemi przezwiskami.

Stało się inaczej; nie mogłem się doczekać swobodnej chwili i niezbędnego spokoju dla pracy ani w domu, ani po za domem; z goryczą niewysłowioną opuściłem Sambor, z którego chyba najprzykrzejsze wyniosłem wrażenia i gdzie zostawiłem brata nieuleczalnie chorego pod niepowołaną opieką ludzi, działających pod pozorem służenia mu i ratowania go wbrew przeciwnie wszelkim jego intencjom Opuściłem Sambor, aby skutkiem wiecznych zgryzot, niespokojów, poniewierek i kłótni sam się nie rozchorować.

Wracam jako dojrzały człowiek na ten grunt lwowski, na ten grunt prawie ojczysty, który widział pierwsze kroki moje, pierwsze wzbudzał wspomnienia, gdzie rodzice moi pochowani, gdzie i ja pochowanym być pragnę. Tu będę żył, tu umierał!

Małe i mało znaczące cele miejsca ustąpić winne większym, znaczniejszym, świętszym; prowincjonalne i małomiejskie, stołecznym; stołeczne, ogólno-ludzkim.

W tym też celu postanowiłem, roczniki, pod moją redakcją następnie jeszcze wyjść mające, zmienić na organ literacki i naukowy połączonych stacyj ratunkowych lwowskiej i krakowskiej i dochód z wydawnictw moich przeznaczyć na rzecz tych humanitarnych instytucyj, o czem prospekty wkrótce publiczność polską uwiadomią.

Licząc z tego tytułu już teraz na gorliwe wsparcie moich zwolenników,

kreślę się

G. Kohn, redaktor i wydawca ongiś samborski, teraz lwowski.

Zamarstynów, ulica króla Jana III., l. 499., 30. Stycznia roku 1899.

I.

Niektóre ważniejsze uroczystości i obchody narodowe.

Upłynął wielki rok, rok wspomnień z przed pięćdziesięciu laty. Rok ten znany także jako rok wieszcza Adama, którego pamięć uroczyście święcono w wszystkich miastach i miasteczkach Galicji. Niemożebną byłoby dla nas rzeczą, wszystkie te objawy czci razem zebrać i zmieścić w księdze, bo musiałaby być większą, aniżeli sławne objętością swoją pismo święte.

Ograniczymy się przeto na umieszczeniu opisu kilku takich obchodów, wziętego z ówczesnych pism lokalnych, teraz już może niedostępnych czytelnikowi. W zbiorku moim znajdzie ciekawy czytelnik przemówienia prozą i wierszem i poezje, z tego powodu napisane w Krakowie, Tarnowie i Tarnopolu. Umieściłem także illustracje, jedną, bardzo piękną, przedstawiającą odsłonięcie pomnika wieszcza w Krakowie a przyrzeczoną mi przez fotografa Pierzchalskiego — ponieważ nie nadeszła na czas› z bolem serca musiałem zostawić dla następnego wydawnictwa.

Prawie równocześnie z obchodami Mickiewiczowskimi miał Rzeszów obchód Kościuszkowski, o którym poniżej będzie wzmianka. „Towarzystwo szkoły ludowej“ w Krakowie święciło tryumf nowy wystawieniem i poświęceniem pierwszej szkoły polskiej w Białej. I o tem zdarzeniu nie wolno mi było zamilczeć. Czytelnik wybaczy fra-

gmentaryczność i dorywczość opisów, do której mię zniewolił brak czasu i przeciążenie pracami gospodarskiemi około mego domu w Zamarstynowie, jak niemniej przeciążenie pracami zawodowemi, do których w pierwszym rzędzie zaliczam biografię ś. p. ojca mego.

Zamarstynów, 30. Stycznia 1899.

G. Kohn.

Uroczystości Mickiewiczowskie.

a) w Krakowie.

W Przededniu*).

„Ja ku wam dążę, ja z za grobu bram,
Raz jeszcze wracam w żyjących dziedziny,
Tu, gdzie ten pomnik wystawiony mam,
A trwalszy jeszcze w sercu mojej gminy;
Ja ku wam dążę, pieśni polskiej król,
Ja, który cierpiał i czuł za miljony,
By, z serca zbywszy ziemski znój i ból,
Rzucić w około wzrok rozpromieniony“ —
Taki z wiekowej rwie się trumny dna
Głos pod obłoki, budząc głośne echo,
I uroczystość tak świętego dnia
Odtętnia nawet pod włościańską strzechą,
I stary ongiś Jagiellonów gród
Na uroczystość gotuje się świętą,
I promieniami swemi słońca wschód
Oświetla pracę świeżo rozpoczętą.
Chorągwie barwne, zdobią dachów szczyt,
Radości promień przenika już serca:

---

*) Wiersz ten — jak już sam tytuł oznacza — napisany został przezemnie w przededniu odsłonięcia pomnika Mickiewicza. W „Djable“ reprodukowany po raz pierwszy, nie mógł się niestety ustrzedz djablików drukarskich. (Przyp. red.)

Mickiewicz wśród nas ustalił swój byt,
Zkąd go nie wyprze żaden przeniewierca!

* * *

Jakaż to tłumów nieprzejrzysta moc
Rwie się do stóp Twych, by czcić Polski wieszcza?
Dziś promień słońca przezwyciężył noc,
Dziś radość w sercach, której głos nie streszcza!
Piewca przeszłości i przewodnik nasz
Z dumą spogląda na wiernych gromadę,
U stóp się jego uczniów skupia straż,
Radością lica promienieją blade.
Dzisiaj stulecie, dziś święcimy dzień,
Co Polsce wieszcza, co jej dał proroka,
Rozwiało słońce cel więziennych cień,
I odsłonięta dziś przepaść głęboka;
Ta przepaść, którą niezgoda i złość
Szerzyły wśród nas, rozdwajając braci;
Bo do nas rzadki dziś zawitał gość,
Najpromienniejsza z promiennych postaci!

* * *

Tu w starym grodzie pamiątek i snów
O tej wielkości, znikłej w burz powodzi,
Świetlana postać wznosi się dziś znów.
I słońce nowe dla Polonii wschodzi,
Tu, na tym rynku, który słyszał głos
I czcił przysięgę dowódcy w sukmanie,
Ofiarnych uczuć zapalony stos
I nowy pomnik czci wiecznej powstanie.
Nietylko zbłądzi pod wieśniaka dach
Ton pieśni Twojej tak prostej i rzewnej;
Ojczyzny naszej ustali on gmach,
Od fali chroniąc zaborczej i gniewnej;
Bo ta potomność, co swych wieszczów czci
I w niewygasłe ich wstępuje ślady,
Ta przetrwa burze i urągań dni,
I będzie wielka, tak, jak twoje „Dziady“.

Kraków, 25. Czerwca 1898.

G. Kohn.

Hołd Wieszczowi.

Na dzień 26-go Czerwca 1898 roku w Krakowie*).

SŁAWA.

Słuchajcie... Wstańcie... Biegnijcie tu!
Rzućcie zajęcia powszednich dni,
Od znojnej pracy, z bezmyślnego snu
Niech zbudzi was mój głos, co na kraj cały
[grzmi!
Na cały kraj, jak długi i szeroki,
Od fal Bałtyckich po Tatr opoki.
Od nurtów Niemna po Wisły źródła,
Wszędzie, gdzie pamięć dawnej chwały nie
[ochłódła...
Tu do mnie, tu, co rychlej bieżcie wraz,
Was wszystkich, wszystkich wzywam was!

CHÓR LUDU.

Jesteśmy już, przybyli z wszystkich stron,
Zwołało nas twej trąby tutaj echo;
Tak rzadko u nas słychać dziś jej ton,
Że naprzód już napełnił nas pociechą.

SŁAWA.

Jesteście wszyscy już? czy są poważni męże?

---

*) Wspaniały ten wiersz Bełcikowskiego umieszczony został w numerze Mickiewiczowskim „Nowej Reformy“ z 26. Czerwca 1898; ale sądzimy, że co dobre, nie zbyt często powtarzać można i że nas szanowny autor nie wyłaje za naszą niedyskrecję. (Przyp. red.)

CZĘŚC CHÓRU.

Jesteśmy.

SŁAWA.

A młodzież dziarska jest?

CZĘŚĆ CHÓRU.

Jesteśmy też.

SŁAWA.

A dzieci i niewiasty?

CZĘŚĆ CHÓRU.

I my, i my jesteśmy.

CHÓR.

Jest naród cały: męże, młódź, kobiéty,
Jest lud we wszystkich swoich stanach zlany.
Lecz powiedz ty, co nad Olimpu szczyty
Głosisz szczęśliwym tryumfu peany,
Zkąd przyszłaś między lud biedny i smutny,
Który żywot wiedzie łzawy,
A wpośród doli okrutnej
Odwykł od głosów radości i sławy?

SŁAWA.

Miewałeś, ludu, i ty swe dnie chwały,
Które nieraz na świat cały
Trąby moje rozbrzmiewały...
Twa świetnośc dzisiaj zagasła,
I twoja wielkość w ruinie,
A więc nie światowe hasła,
Nie sława rozgłośna w czynie,
Lecz tryumfy tego ducha,
Co, mimo głazów mogiły,
Wciąż z twych piersi jasno bucha,
Dziś aureoli blaski dla ciebie roztliły.

Więc głos mój wielkie ducha święto ci obwieszcza,
Święto z twych wieszczów największego wieszcza.

CHÓR.

Przeczucie moje nie skłamie:
O wielkim mówisz Adamie...

SŁAWA.

Tak, o nim. Słońce, które dzisiaj wstało,
Jego pamięć ma nową opromienić chwałą;
Dziś ty, ludu, masz głośno i przed całym światem
Złożyć mu hołd, grób jego świeżym potrząść
[kwiatem.

CHÓR.

Z radością spełnię te zlecenia.
Wszak wiesz: Adam, to chluba mojego imienia
I duszy mojej kochanek.
Dalej, dalej, wszyscy społem
Stańmy tutaj zgodnem kołem,
Na cześć jego wznieśmy pienia!..

GŁOS KOBIETY (*przerywając*).

Patrzcie! tam patrzcie, tam, gdzie wstaje ranek!..
Biały obłok pęka, pryska,
I dwie jasne postacie, dwa świetlne zjawiska
Z poza niego się unoszą.
Jak orzeł, gdy potężne swe skrzydła rozwinie
Majestatycznym lotem w powietrznej krainie,
Z taką one powagą, w uroczystej ciszy,
Płyną ku nam, że ledwo ucho ich dosłyszy.

CHÓR.

Wielkie, jasne dwie postacie!
Kto to? Kto to? czy je znacie?
Świętość z ich oblicza bije,
Żar natchnienia w oczach pała —
Ach, nie ziemskie to są ciała!
Takie istoty tylko samo niebo kryje!
Coraz bliżej ku nam lecą —

My się im ustąpmy nieco,
Pierwsze dla nich miejsce będzie
W uczestników naszych rzędzie.

SŁAWA.

Na kolana!
Wierny ludu, na kolana!
Wielkich masz wśród siebie gości!
To ojczyzna twa kochana
A to geniusz jest twórczości.
U stóp twego poety przyszli dziś oboje,
Za siebie i za ciebie złożyć hołdy swoje.

OJCZYZNA.

Tak jest, dla niegom przyszła, on mię tu dziś woła,
Do waszego wstąpić koła.
On, jeden z mych najdroższych i największych [synów,
Który do wieńca mego tyle wplótł wawrzynów,
Którego cudne pieśni były kordyałem,
Gdym, śmiertelnemi ciosami znękana,
Upadała i duszą i ciałem.
Każda ma boleść jemu dobrze była znana;
Jako syn kochający, na którego duszę
Żarem łzy nieszczęśliwej upadają matki,
On bole swe opłakał i szczęścia ostatki.
Za całe miljony on cierpiał katusze;
Każdy cios, którym we mnie godzili morderce,
Przez jego także przeszedł serce.
On pieśń swoją mem strasznem cierpieniem napoił.
I me cierpienie czarem swej pieśni przystroił
Tak cudnie, że dla świata stało się podziwem,
Niby boskich wyroków objawieniem żywem...

A ty, o ziemio polska, ty temu poecie
Ileś winna, że ciebie tak wsławił po świecie,
Jak żaden więcej! Jego to pędzel bogaty
Ubrał ciebie w tak piękne, malownicze szaty,
Czy się osłaniasz falą złocistego zboża,

Czy się ukrywasz w lasów litewskich bezdroża,
Czy nad twemi chatami blask się wznosi słońca,
Lub z łąk twych spędza bydło burza szalejąca.
On cię kochał nad świata najpiękniejsze cudy,
Kochał do najbłiższngo ździebełka twej grudy!...
Och! za tę wielką miłość w smutku i radości,
Synu mój, ja, Ojczyzna, składam twoim cieniom
Wieniec, co kwitnąć będzie do nieśmiertelności,
Wiecznie zielony wszystkim przyszłym pokoleniom.

CHÓR.

Tak, za tę wielką miłość w smutku i radości,
Wieszczu nasz, dziś Ojczyzna składa twoim cieniom
Wieniec, co kwitnąć będzie do nieśmiertelności,
Wiecznie zielony wszystkim przyszłym pokoleniom.

GENIUSZ POEZJI.

Piękność i wzniosłość, niby dwa skrzydła anioła,
Wzniosły cię, dokąd tylko natchnienie dojść zdoła,
A czucie twoje, wielkie twe serce poety,
W wszechświatów tajemnicy szukało swej mety.
Ponad poziomy lotem orlim uniesiony,
Dotarłeś, gdzie się wznoszą ideału trony,
Pieśń twa doskonałości otrzymała znamię:
Wśród największych poetów — tyś wielki Adamie!
Więc dzisiaj z rąk Poezji, ty jej wierny sługo,
Po wieńcu od Ojczyzny, przyjm koronę drugą!

(*Do Chóru*).

Uczcijcie wieszcza ponad wieszcze
Miłością, hołdem, znakami pamięci,
Dziś i po wieki wieków jeszcze
Niech imię jego wpośród was się święci!

CHÓR.

On dla nas żył i każde serca uderzenie
Nam oddawał, czy koił smutki i cierpienie,
Czy do Boga o litość nad Ojczyzną pukał,
Czyli też Boga zemsty nad wrogami szukał!

Uczcijmy wieszcza ponad wieszcze
Miłością, hołdem, znakami pamięci,
Dziś i po wieki wieków jeszcze
Niech imię jego wpośród nas się święci!

Adam Bełcikowski.

Uroczystości Mickiewiczowskie w Krakowie*).

Program szczegółowy odbyć się mającej w Krakowie w dniu 26. i 27. Czerwca 1898 r. uroczystości narodowej odsłonięcia pomnika Adama Mickiewicza, oraz uroczystego uczczenia setnej rocznicy urodzin wielkiego wieszcza, jest następujący:

I. W niedzielę 26. b. m. o godz. 12. w południe dokona uroczystego odsłonięcia pomnika A. Mickiewicza JE. marszałek krajowy, hr. Stanisław Badeni i wypowie mowę; następnie wypowiedzą mowy: prezydent miasta Krakowa, p. Józef Friedlein, prezes Akademii Umiejętności, hr. Stanisław Tarnowski, poseł na sejm krajowy, p. Jakub Bojko imieniem ludu i akademik, p. Maciej Szukiewicz, imieniem młodzieży akademickiej.

Rozpocznie uroczystość Kantata do słów Lucjana Rydla, na chór męzki i orkiestrę dętą, utworu Tadeusza Pokorskiego, wykonana przez połączone chóry Towarzystw muzycznych i śpiewackich pod kierunkiem p. Wiktora Barabasza.

Zakończy uroczystość „Oda do młodości“, marsz uroczysty kompozycji Wł. Żeleńskiogo, pod kierunkiem kompozytora.

Krakowska „Harmonia“ odegra na znak rozpoczęcia uroczystości Polonez jubileuszowy Adama

---

*) I ten artykuł. zawierający program uroczystości krakowskich, nie każdemu teraz już może w pamięci tkwiących, reprodukujemy według numeru świątecznego „Nowej Reformy“. (Przyp. red.).

Wrońskiego, a na znak zakończenia Uwerturę z pieśni słowiańskich.

Kierunek i porządek całej tej uroczystości oddany głównemu mistrzowi ceremonii, posłowi drowi Ferdynandowi Weiglowi i mistrzom ceremonii pp.: radcy miasta Szpakowskiemu Witalisowi, naczelnikowi straży, Wincentemu Eminowiczowi, naczelnikowi Ludwikowi Zagórny Marynowskiemu i obywatelowi kupcowi, Wilhelmowi Fenzowi. Ci panowie wskażą uczestnikom miejsca dla nich przeznaczone.

II. Wieczorem tego dnia o godz. 8 będą iluminowane Sukiennice od strony ulicy Siennej, także gmach teatralny przed zajazdem.

O godz. 7½ w teatrze uroczysty wieczór.

III. W poniedziałek 27. b. m. o godz. 6 rano odegrają dwie orkiestry pobudkę, rozpoczynając kolejno przed pomnikiem Mickiewicza na Rynku głównym. „Harmonia" grać będzie przed mieszkaniem zaproszonych gości, wokoło Rynku i po ulicach: Sławkowskiej, Basztowej, Kolejowej, Dominikańskiej, Brackiej, Gołębiej, Wiślnej, Siennej; zaś wieliczańska przed pomnikiem, a następnie po ulicach: Grodzkiej, Podzamcze, przed uniwersytetem, Karmelickiej, Garbarskiej, Łobzowskiej, Podwale, Szewskiej i przez Rynek w ulicę Sienną.

IV. Nabożeństwo uroczyste o godzinie 9 rano w kościele N. P. Maryi, celebrowane przez JE. księcia biskupa krakowskiego ks. Puzynę; kazanie wypowie ks. prałat dr. Pelczar.

Gościom zamiejscowym, delegacjom, stowarzyszeniom i instytucjom wskaże miejsca mistrz ceremonii p. Jan Staszczyk.

V. Po odbytem nabożeństwie nastąpi pochód narodowy z Rynku na Wawel dla złożenia trzech wieńców srebrnych na sarkofagu Adama Mickiewicza. Uczestnicy pochodu zbierają się punktualnie z uderzeniem godziny 9 w ulicy Basztowej i w bliskości Rondla florjańskiego, poczem wyruszą pod przewodnictwem mistrzów ceremonii, w następującym porządku:

1. Straż pożarna miasta Krakowa. 2. Straże ochotnicze miast Podgórza, Wieliczki, Swiątnik, Krzeszowic i t. d. 3. Orkiestra krakowska. 4. Młodzież gimnazjalna w szeregach. 5. Młodzież szkół ludowych miejscowych i zamiejscowych. 6. Towarzystwo „Szkoły ludowej“. 7. Towarzystwo „Oświaty ludowej“. 8. Pensjonaty. 9. Stowarzyszenia rękodzielnicze chrześcijańskie. 10. Stowarzyszenia rękodzielnicze starozakonne. 11. Towarzystwo imienia Kościuszki. 12. Towarzystwo weteranów z r. 1831. 13. Towarzystwo weteranów z r. 1863. 14. Orkiestra górnicza z Wieliczki. 15. Towarzystwo „Sokół“ w szeregach. 16. Deputacje gmin wiejskich. 17. Stowarzyszenia chrześcijańsko-socjalne 18. Seminarja żeńskie i męskie. 19. Gimnazjum żeńskie. 20. Towarzystwo bratniej pomocy słuchaczów politechniki we Lwowie. 21. Szkoła rolnicza z Czernichowa. 22. a) Młodzież akademicka lwowska, b) młodzież akademicka krakowska. 23. Towarzystwo akademickie „Jagiellonia“ z wieńcem srebrnym. 24. Młodzież męzka szkoły sztuk pięknych. 25. Szkoła sztuk pięknych dla kobiet. 26. Czytelnia dla kobiet. 27. Towarzystwo pań „Szkoły ludowej“. 28. Stowarzyszenie nauczycielek. 29. Deputacja byłych uczniów Uniwersytetu Jagiellońskiego i Instytutu technicznego, którzy rozpoczęli składki na pomnik Adama Mickiewicza, z wieńcem srebrnym, przez reprezentację miasta Krakowa ofiarowanym. 30. Cechy krakowskie z chorągwiami i insygniami. 31. Zbór ewangelicki. 32. Zbór izraelicki. 33. Przełożeństwo postępowej gminy izraelickiej. 34. Stowarzyszenie kupców i młodzieży handlowej chrześcijańskiej. 35. Stowarzyszeni drukarzy i litografów „Ognisko“ w Krakowie. 36. Towarzystwo strzeleckie. 37. Towarzystwo górnicze. 38. Kongregacja kupiecka. 39. Reprezentacje instytucyj finansowych. 40. Towarzystwo tatrzańskie. 41. Towarzystwo techniczne. 42. Izba handlowo-przemysłowa. 43. Gremium aptekarzy i t. d. 44. Towarzystwo lekarskie. 45. Kandydaci adwokaccy i notarjuszów. 46. Izba adwokacka i notarjalna. 47. Deputacja nauczycieli szkół wyższych ze srebrnym wieńcem. 48. Artyści

dramatyczni. 49. Szkoła sztuk pięknych. 50. Konserwatorjum muzyczne. 51. Klub konserwatywny. 52. Koło artystyczno-literackie krakowskie. 53. Koło artystyczno-literackie lwowskie. 54. Muzeum narodowe. 55. Redakcje czasopism. 56. „Czeska Beseda“. 57. Rodacy ze Ślązka, Poznańskiego i t. d. 58. Magistrat miasta Krakowa. 59. Rada miasta Podgórza i reprezentacje miast. 60. Towarzystwo rolnicze. 61. Dyrekcja i urzędnicy Tow. wzaj. ubezp. 62. Dyrekcja i urzędnicy Kasy Oszczędności m. Krakowa. 63. Delegacje Rad powiatowych. 64. Uniwersytet lwowski i krakowski. 65. Rada miasta Lwowa. 66. Rada miasta Krakowa. 67. Deputacje czeskie i słowiańskie. 68. Przedstawiciele władz wojskowych i państwowych. 69. Wydział krajowy. 70. Marszałek krajowy z posłami sejmowymi. 71. Delegaci do Rady państwa. 72. Duchowieństwo. 73. Straż pożarna.

Powrót przed pomnik dla złożenia wieńców kwiatowych i t. d.

VI. Wieczorem dnia 27. b. m. o godz. 8 ogólna iluminacja.

VII. Wieczorem o godz. 7½ w teatrze uroczyste przedstawienie.

Ulice, przez które pochód postępować będzie, zamknięte zostaną dla ruchu powozów.

Kraków, dnia 25. Czerwca 1898 r.

Józef Friedlein, prezydent miasta i komitetu.

Odsłonięcie pomnika*).

Kraków, 26. Czerwca.

Na uroczystość odsłonięcia pomnika Mickiewicza i obchód rocznicy jego urodzin, już wczoraj rozpoczął się zjazd do Krakowa. Popołudniu przybyła pierwsza deputacja Ziemi szlązkiej: grono

---

*) Rzecz wzięta z relacyj „Czasu“ a mianowicie z nadzwyczajnego dodatku do Nr. 145 z dnia 27. Czerwca r. 1898.

włościan, górali i dziewcząt z Istebny pod Jabłonkowem w charakterystycznych strojach z kobziarzem, niosącym na ramieniu ten tak znany ludowy instrument muzyczny. Wieczorem przybyli goście czescy z wiceburmistrzem miasta Pragi Drem Srbem na czele. Między nimi znajdował się poseł Herold i poeta Vrchlicky. Przybyłych powitał pan wiceprezydent Dr. Pieniążek, a na powitalne słowa serdecznie odpowiedział Dr. Srb. Gdy goście wyszli przed dworzec, wznosiła okrzyki: „Na zdar!“ -- licznie zebrana publiczność i grono „Sokołów“, oraz młodzieży szkolnej akademickiej, orkiestra zaś wielicka przygrywała pieśni narodowe. Wśród okrzyków publiczności goście odjechali do Grand-hotelu i hotelu Saskiego, gdzie gmina zamówiła dla nich pokoje.

Dzisiaj rano wśród prześlicznej pogody rozpoczęły się uroczystości Mickiewiczowskie. Miasto całe udekorowane. W Rynku i głównych ulicach zwieszały się z okien chorągwie o barwach narodowych. Niektóre kamienice przybrane dywanami, wiele wystaw sklepowych ozdobionych popiersiem Mickiewicza. W mieście ruch bardzo ożywiony; krążą przybyli goście, członkowie delegacyj, straże ogniowe, „Sokołowie“, włościanie Ziemi krakowskiej i z dalszych stron przybyli.

Około godziny 11 rozpoczął się napływ uczestników na plac około pomnika. Plac to olbrzymi, zamknięty od strony kościoła Najśw. Maryi Panny trybunami dla gości i osób prywatnych, z drugiej strony estradą dla śpiewaków i Sukiennicami, z dwóch boków poprzecznych masztami, ozdobionymi festonami i chorągwiami. Przestrzeń ta objąć może kilkanaście tysięcy ludzi. Trybuny również dekorowane festonami z zieleni, obite draperjami o barwach narodowych i miejskich. Najpiękniej przedstawia się trybuna, urządzona przez gminę dla naczelników władz, deputacyj i gości. Przykryta płóciennym dachem, wspina się na słupach, oplecionych festonami, oraz obitych draperjami niebiesko-białemi i czerwono-białemi.

W środku tego placu stoi pomnik, nakryty płóciennemi zasłonami. Naokoło niego cztery kandelabry trójramienne, ozdobione kwiatami polnemi, a ze szczytu kandelabrów płoną wielkie pochodnie gazowe. Całość wygląda imponująco.

Plac ten zapełnił się wkrótce kilkunastu tysiącami osób. Najpierw przyszły całe zastępy młodzieży szkół średnich z profesorami i dyrektorami, oraz z członkami Rady szkolnej krajowej pp. Germanem i Zaleskim.

Dalej stoją naokoło pomnika „Czeska Beseda“ w Krakowie z prezesem p. Hoffmanem, „Sokół“ krakowski i podgórski, oraz „Sokoły“ ze Skawiny (prezes p. Kolloros), z Dąbrowy, Tarnowa, Jarosławia, Przemyśla, Chrzanowa, Stanisławowa, Łańcuta, Gorlic, Tuchowa, Rzeszowa, Pilzna, Bukowiny, Szkoła rolnicza z Czernichowa, Straż ochotnicza i miejska pożarna z Krakowa, Straż ochotnicza z Podgórza, Świątnik, cechy ze sztandarami, weterani wojsk polskich z 1863 roku ze sztandarem, deputacja górnoszlązka, złożona z kilkudziesięciu osób, oraz liczne deputacje włościańskie z ziemi krakowskiej, Kongregacja kupiecka krakowska, Towarzystwo Strzeleckie. Osobną grupę, bardzo liczną, stanowiła młodzież akademicka krakowska, oraz Katolickie Stowarzyszenie robotnicze. Przed pomnikiem stoi grupa duchowieństwa.

Osobno na trybunie, urządzonej przez gminę, zajęły miejsca następujące osoby: syn wieszcza, p. Władysław Mickiewicz, oraz p. Marja Górecka. Dalej JE. Najprzewielebniejszy książę biskup ks. Puzyna, oraz cała kapituła katedralna i infułat archiprezbyter kościoła N. Maryi Panny, ks. Krzemieński; dalej JE. Marszałek krajowy hr. St. Badeni, zastępca marszałka p. Jaxa Chamiec, oraz członkowie Wydziału krajowego pp. Dr. Wereszczyński, Sawczak i Vayhinger; deputacja czeska, mianowicie pp Srb, wiceburmistrz Pragi, oraz członkowie Rady miejskiej praskiej pp. Czernohorsky, Szeiner i Kopecky, posłowie Dr. Józef Herold i Horzica, delegat czeskiej Akademii Umiejętności, znakomity poeta Jarosław Vrchlicky, delegat muzeum

Królestwa Czeskiego p. Józef Kwapil, reprezentant Tow. beletrystycznego „May“ p. Adolf Czerny, wiceprezydent praskiej Izby handlowej p. Krzižik, reprezentant Towarzystwa naukowo-historycznego Dr. Zibrt, przedstawiciel Winohradów p. Gintl, reprezentant *Narodnich Listów* Dr. Ryba, reprezentant *Hlasa Narodu* p. Howorka, reprezentant czeskich studentów p. Wesely, reprezentanci „Sokołów“ czeskich.

Obok Czechów zajęli miejsca p. Włodzimierz Spasowicz, oraz p. Roman Brandt, profesor z Moskwy, reprezentanci słowackiego ludu Dr. Svetozar Hurban, poeta i redaktor *Narodnich Novin*, Dr. Paweł Mudroń, adwokat, i p. Paweł Toth, dyrektor Towarzystwa zaliczkowego. Ze Szląska jest ks. poseł Świeży.

Na trybunie lewej zajął miejsce JE. Apolinary Jaworski, prezes Koła polskiego, tudzież posłowie Czecz Herman, Goetz Jan, Abrahamowicz Eugeniusz, ks. Paweł Sapieha, Skrzyński Adam i Józef Popowski, ks. Lubomirski, dalej reprezentacja Towarzystwa rolniczego, złożona z pp. Karola Czecza, hr. Zdzisława Tarnowskiego, Jordana i Nieniewskiego. Posłowie i deputacja wystąpili przeważnie w strojach polskich. Wspaniale na trybunie przedstawia się deputacja lwowskiej Rady miejskiej w strojach narodowych; w skład deputacji wchodzą pp. prezydent Dr. Małachowski, oraz radni: Schayer, Bieniecki, Gubrynowicz, Marjański, Ihnatowicz, Roszkowski, Bardasch, Ciuchciński, Getritz, Mikuliński, Riedl i Rewakowicz, oraz deputacja lwowskiego Towarzystwa Strzeleckiego, złożona z pp. króla kurkowego Makowicza i marszałków Platowskiego i Lerskiego. Z obecnych wspomnimy jeszcze pp. Stanisława Koźmiana, dalej redaktora *Gazety lwowskiej*, p. Adama Krechowieckiego, redaktora *Dziennika polskiego*, p. Dra Kazimierza Ostaszewskiego-Barańskiego, Juliusza Kossaka, Władysława Żeleńskiego, Kazimierza Tetmajera, Lucjana Rydla i Józefa Kotarbińskiego.

Osobną grupę stanowi reprezentacja Akademii Umiejętności, złożona z prezesa hr. Stanisława Tar-

nowskiego, wiceprezesa prof. Dra Zolla, sekretarza jeneralnego prof. Dra Smolki, oraz grona członków, cały Senat Akademicki Uniwersytetu Jagiellońskiego w togach z rektorem ks. prof. Drem Knapińskim.

Obok dalszą grupę stanowią naczelnicy władz: p. delegat Laskowski, prezydent Sądu wyższego, p. Czyszczan, wiceprezydent Sądu wyższego, p. Żeleski, prezes Sądu krajowego, p. Brason, p. wiceprezydent Dr. Morelowski, starszy prokurator p. Szymonowicz, nadradca prokurator Dr. Wędkiewicz, radca dworu, dyrektor kolei państwowej p. Kolosvary, dyrektor policji p. Dr. Korotkiewicz, naczelnik pow. Dyrekcji skarbu, ks. Poniński, naczelnik Prokuratorji skarbu, p. radca Rozwadowski, naczelnik urzędu pocztowego, p. Dawidowski, dyrektor-referent Towarzystwa Wzajemnych ubezpieczeń, p. Dr. Gustaw Romer.

Osobną wreszcie grupę stanowią członkowie komitetu budowy pomnika, Rada miejska krakowska z p. prezydentem Friedleinem i wiceprezydentem Drem Pieniążkiem, oraz Rada powiatowa krakowska z prezesem Drem Franciszkiem Paszkowskim, komitet urządzający uroczystość, oraz Rada miasta Podgórza. Na tej trybunie zajęli też miejsca goście i dziennikarze, przybyli z Warszawy i górnego Szlązka, między pierwszymi p. Piotr Chmielowski i p. Loewenthal, p. Dąbek z *Katolika* i t. d.

Nad porządkiem czuwali mistrze ceremonii: pp. poseł Weigel, Szpakowski, Eminowicz, Marynowski, Jan Staszczyk, Wilhelm Fenz.

Po godz. 12. „Harmonia“ odegrała wieniec melodyj polskich, a następnie liczny chór śpiewaków z całego kraju pod batutą p. dyrektora Barabasza odśpiewał kantatę Pokorskiego do słów L. Rydla: „Zerwijcie zasłonę“, przyjętą hucznymi oklaskami.

Zaraz potem wszedł na trybunę w stroju polskim JE. Marszałek krajowy, hr. Stanisław Badeni i wypowiedział następującą mowę:

„Jak w życiu rodzinnem jest niejednokrotnie potrzebą serca naszego, znaleźć znak widomy dla uczuć miłości i przywiązania, jakie żywimy, tak też Polacy, jako naród, oddawna pragnęli wznieść pomnik wieszczowi, który, jak trafnie powiedziano, jest i zawsze będzie pokrzepieniem serc naszych, potrzebą rozumu, jasną pochodnią w ciemnych pogrobowych jarach, balsamem na rany i cierpienia duszy, płomieniem, wypalającym wrzody zwątpienia.

On jest słońcem, którego ożywcze promienie budziły do życia, a dodają sił. Inicjatywę zacnej i patrjotycznej młodzieży krakowskiej wystawienia pomnika Mickiewicza, przyjął z zapałem naród cały, pomnąc, że on jest ojcem całej epoki wielkiego patrjotyzmu, a charakter jego pozostał na wysokości geniuszu, tak, że między słowem jego i życiem nie było nigdy rozbratu. Miłość Ojczyzny, to najcenniejsza spuścizna, jaką przekazał najdalszym pokoleniom.

Dał nam obraz i przykład najczystszej miłości Ojczyzny, bo połączonej z zaparciem się samego siebie.

W jego miłości Ojczyzny nie brak ani zapału, ani nadziei, ani boleści, — nie brak siły i serdecznego przywiązania do tego, co swoje.

Nie miał litości dla własnego cierpienia, ale wpatrywał się całą dnszą w cierpienia Ojczyzny. Im bardziej cierpiał, tem bardziej kochał, a kochając, cierpieć musiał:

I coraz mocniej kochał swe stworzenie,
I tem powiększał coraz swe zbawienie.

W boleści jego, na miłości Ojczyzny opartej, nie było nigdy ani zwątpienia, ani rozpaczy, a społeczeństwo polskie odnalazło w nim i w jego dziełach wyraz swoich pragnień, swojej tęsknoty i swoich ideałów — i widzi w nim symbol swej niespożytej siły i trwałego życia. A tak jak on w swem sercu obejmował naród cały, wszystkie przeszłe i przyszłe pokolenia, tak też i ten pomnik jest wyrazem miłości całego narodu, a pomniki, które

naród polski Mickiewiczowi stawia i stawiać będzie tu, a da Bóg i gdzieindziej, są i pozostaną zawsze symbolem naszej jedności duchowej i narodowej, wiecznej i nierozerwalnej.

Mickiewicz był i jest pierwszym nauczycielem swego narodu w dziewiętnastym wieku, niewyczerpaną skarbnicą prawd. On uczył naród przedewszystkiem miłości Boga, Ojczyzny i ludzi, wiary w sprawiedliwość Bożą, niezbaczania z twardej drogi obowiązku.

Nie pieścić się z cierpieniami — mówił — ale pamiętać trwale i ciągle, by Ojczyznie zaszczyt przynosić.

Miłość Ojczyzny okazywać nie jak Don Kiszot, stojąc na gościńcu, wszystkich wyzywając, albo siedząc w pustyni — ale chcieć i umieć być dla drugich pożytecznym.

I może właśnie dziś, gdy wznosimy pomnik pamięci Mickiewicza, zapytać się godzi siebie samych, czy i jak spełniliśmy ten pierwszy wobec drogiego nauczyciela obowiązek. Iść drogą przez niego wytkniętą, stosować się do jego nauk i wskazówek?

A pytanie to stosuje się przedewszystkiem do nas, ten kraj zamieszkujących, bo nam daną jest możność działania i pracy.

Czy jako młodzi, wierni jesteśmy zawsze zasadom Filomatów: pracować całe życie dla dobra Ojczyzny, nauki i cnoty?

„Praca nasze bóstwo, przyjaźń nasze godło“.

Czy pamiętamy zawsze o tem, że miłość Ojczyzny jako uczucie, nie wystarcza; że trzeba nam pracy, na miłości Ojczyzny opartej?

A to wymowne karcenie niezgody w narodzie, tej dawnej a zgubnej wady naszej. „Złych chwytacie się broni, wojując nienawiścią osobistą, kłamstwem potwarzy, bo nienawiść osobista roztacza powoli duszę i wycieńcza zdolność na kształt raka trawiącego“.

Czy tkwią nam głęboko w sercu jego słowa: „Obowiązki spełniać, mieć ducha poświęcenia, ducha ofiary w sobie?“

Czcząc w Mickiewiczu poetę miłości, czy umiemy szukać na tej drodze sposobu służenia Ojczyznie, zapewnienia jej siły, życia i rozwoju?

Nie mnie na to pytanie odpowiadać — niech na nie odpowie narodu sumienie, a za odpowiedź niech stanie silne, męzkie, stanowcze postanowienie, że cześć i miłość dla Mickiewicza złączona będzie zawsze z pamięcią o prawdach, przekazanych nam przez niego w spuściznie.

A tak jak On geniuszem swym, sprowadził nietylko odrodzenie literatury polskiej, ale zdobywszy dziełom swym prawo obywatelstwa w literaturze powszechno-światowej, dał nam świadectwo żywotności i równouprawnienia w dziedzinie pracy cywilizacyjnej ludzkości, tak miłość Ojczyzny, jaką przelał w piersi narodu i obowiązki, jakie nam przekazał, wiernie spełniane, wiodą do odrodzenia narodowego. Pomnik Jego niech zdobią wieńce, uwite z kwiatów miłości i uwielbienia, ale spojone silną wolą postępowania tak, byśmy się Jego uczniami z dumą mienić mogli.

Miłość Boga, Ojczyzny i ludzi, nie w słowach tylko, ale w czynach, to hołd najwyższy, oddany pamięci Adama, a to zarazem najpewniejsza droga, byśmy z wiarą i nadzieją w sercu powtarzać za Nim mogli modlitwę:

Niech Bóg przebaczy i niech już odwoła,
Którego posłał z gniewem swym Anioła.

A teraz oddaję Reprezentacji miasta Krakowa z ufnością ten pomnik w opiekę, bo naród cały wie i z wdzięcznością uznaje, że Kraków umie otaczać czcią i miłością te drogie i liczne naszej przeszłości zabytki, które się w jego murach znajdują.

Niech spadnie zasłona, która ten pomnik zakrywa, niech on będzie pomnikiem wdzięczności narodu za przeszłość a świetlaną pochodnią na przyszłość!“

Na dany znak spadły zasłony z pomnika, a publiczność powitała pomnik hucznymi okla-

skami. Włościanie krakowscy obsypali wieniec kwiatami.

Na trybunę wszedł p. prezydent Friedlein i przemówił w sposób następujący:

„Uroczystość, którą dziś obchodzimy, jest jedną z najdroższych dla serc rodaków, święcimy bowiem tę chwilę, w której przed stu laty ujrzał światło dzienne mąż, którego geniusz rozświecał drogi nasze, który nas zagrzewał do walki w obronie zagrożonego bytu, krzepił w chwilach pogromu, napełniając serca nasze nadzieją w lepszą narodu przyszłość, a gdy zrządzeniem Opatrzności zbiegła się ta rocznica z chwilą odsłonięcia pomnika, na cześć ubóstwianego przez naród wieszcza, wzniesionego, staje się dzień dzisiejszy najpiękniejszem świętem narodowem, bo spłacony został dług wdzięczności, ciążący oddawna na sercach rodaków.

Smutnem a zarazem zaszczytnem, w kolei wieków wyrobionem przeznaczeniem, stał się Kraków skarbnicą narodowych pamiątek. Smutnem zapewne być musi wspomnienie przebrzmiałej uroczystości, która pamiątki te zostawiła po sobie; zaszczytnem atoli jest dla Krakowa, że jemu powierza naród wszystko, co miał i ma w sobie najdroższego.

Nowy przybytek do tej skarbnicy pamiątek przedstawia nam w pełnej postaci męża, który swem sercem objął cały naród, a myślą sięgał, gdzie nie dosięga mędrca ni szkło, ni oko; który potęgą swego geniuszu rozgrzał serca i umysły, bliskie zwątpienia wśród nawału nieszczęść.

Odblask tego geniuszu rozszedł się szeroko po świecie, a skoro uznali go obcy, jakże nie mieli go uznać ci, na których ożywcze tego światła promienie najbliżej padały. Kto jak on wcielił w siebie myśli i uczucia, pragnienia i popędy narodu, kto jak on zwyczaj i obyczaj jego dzielnie opowiedział, kto potędze ducha i żywotnej krzepkości narodu takie jak on wystawił świadectwo, ten zaprawdę pierwsze miał prawo do czci i wdzięczności, pierwsze prawo do tego, ażeby ta cześć i wdzięczność uwydatniła się w sposób, mogący jeszcze

w dalekiej przyszłości stawić przed oczy dowód, jak naród umiał poczcić swego wieszcza nad wieszczami.

Prawdą jest, że dzieła geniuszów są dla ich sławy trwalszym od spiżu pomnikiem, inna jednak rzecz, dawać świadectwo ich genialności, a inna świadczyć o wdzięczności, która stała się w obec nich obowiązkiem. Jak dalece naród nasz wywiązał się z tego obowiązku, niech świadczy dzieło, przed którem stoimy, a które mistrz, świadomy ogromu zadania, zużywszy całą swoją siłę twórczą i natchnienie, z chwałą dla siebie i sztuki narodowej wykonał.

Nie tajno nam, wśród jakich trudności i zawodów dzieło urzeczywistnione zostało, jak niemniej, że opóźnienie wynikło wskutek gorącego pragnienia Komitetu, ażeby ono stało się w każdym względzie godnem swego przeznaczenia.

Niechże mi więc wolno będzie, za trudy i starania i tę na każdym kroku okazywaną gorliwość służenia narodowi, złożyć Ci Ekscellencjo Marszałku nasz i członkom Komitetu najgorętsze imieniem rodaków podziękowanie.

Dziś staje to dzieło przed nami jako własność narodu, bo jego ofiarnym groszem wzniesione, w bliższym jednak stosunku staje do tego grodu, który zalicza je odtąd do skarbca pamiątek, nagromadzonych tu z biegiem stuleci.

Że w ogólnej ofiarności narodu nie brakło udziału mieszkańców naszego miasta, nie właściwem byłoby wspominać o tem; wszelako jako jego gospodarz nie bez szczególnego zadowolenia nadmienić mogę i winienem, że zamiar uczczenia Męża pomnikiem, dawno zapewne żywiony w sercu i umyśle rodaków, tu znalazł pierwszy objaw i pierwsze zabiegi o przywiedzenie go do skutku.

Zawdzięczamy to szlachetnemu popędowi młodzieży uniwersyteckiej dawnej szkoły Jagiellońskiej, która pierwsza podjęła myśl spłacenia długu należnego Męża pamięci i pierwsza z gorącem sercem, właściwem młodości, krzątać się za-

częła około zebrania środków do tego niezbędnych.

Cześć ci więc zacna młodzieży!

Kraków, nie posiadając tyle funduszu, aby mógł nim rozrządzać według popędu serca, uczynił wszystko, co w jego było mocy.

Kiedy też komitet przystąpił do wyszukania najodpowiedniejszego dla pomnika placu, rada miasta bez względu na własną potrzebę, postanowiła oddać każde miejsce, które komitet za odpowiedne na ten cel uzna.

Stało się więc, że pomnik stanął wśród tego tu rynku, w którym niegdyś wiarołomny książę pruski składał hołd Zygmuntowi; gdzie Kościuszko wykonał przysięgę na wierną służbę Ojczyznie, której rzetelność rychło zwycięztwo pod Racławicami stwierdziło, gdzie każdy niemal kamień ma coś do powiedzenia o losach Ojczyzny.

Swojsko tu zatem będzie pomnikowi Adama, jak błogo jest jego szczątkom w sąsiedztwie królów, bohaterów i najwyższych dostojników kościoła w katedrze wawelskiej.

Opieka, jaką rozciąga miasto nad tymi drogimi zabytkami przeszłości, w nich samych znajduje podnietę; dobrze bowiem rozumie ono tajemny język, jakim te grobowce królewskie, owe nieme postacie, wypełniające świątynię wawelską, przemawiają do serca polskiego i ten dźwięk Zygmuntowskiego dzwonu, który napełniając podniebie uroczystą melodją, nawołuje mieszkańców Krakowa do spełnienia tego świętego obowiązku, jaki nań nałożyły naród i godność dawnej stolicy.

Jakże więc tym samym mistycznym językiem nie miałby przemawiać do niego pomnik męża, który za życia potęgą słowa umiał wznieść je wysoko w sferę ideału!

Ile więc w mocy ludzkiej, tyle starania dołoży ta dawna stolica, ażeby pomnik, powierzony jej opiece, utrzymać w całości i poszanowaniu.

To w jej imieniu uczynione oświadczenie powtórzyć mogę głośno wobec Was dostojni Pa-

nowie uczestnicy dzisiejszego obrzędu, wobec przytomnych tu rodaków i wobec całego narodu“.

Po przemówieniu profesora Akademii hr. Stanisława Tarnowskiego, który sobie „Czas“ dla wieczornego numeru zachował, nastąpiła z rzędu czwarta przemowa.

Wstąpił na trybunę poseł Bojko i w te przemówił słowa:

„Głos Twój po całej Polsce się rozejdzie i wskrzesi tłumy do nowego życia“. — Prawie od wieku przy każdej ważniejszej uroczystości narodowej obok klas rozmaitych stają zwykle i polscy włościanie i lud z pod strzechy. I tak kiedy Konstytucja 3-go Maja wspomniała cokolwiek tylko o włościanach polskich, ten lud wdzięczny i za te okruchy wolności, jakie mu teraz Konstytucja 3-go Maja obiecywała, porzuca dom rodzinny, przewiesza przez swoje silne barki kobiałkę z chlebem, chwyta kosę do silnej prawicy, a jak swego obowiązku dopełnił, to zaświadczą pola Racławic i inne (brawa). Kiedy znowu ukochanemu wodzowi w sukmanie sypano mogiłę pod Krakowem, przy tej zbożnej pracy nie mogło także brakować i tych, których ten wódz najbardziej ukochał, nie mogło brakować ludu polskiego. Lud polski dołożył także z chęcią swoich sił do wzmocnienia tego wodza w sukmanie. I znowu później, kiedy odkryto zwłoki „króla chłopków“ w Krakowie na Zamku, a nieszczęśliwy naród stawał przy trumnie obok monarchy, chłopi także stanęli tam przy zwłokach najlepszego z królów, którego historja słusznie nazywa „królem chłopków“ i wieśniaczka obok innych złożyła wieniec na jego grobie. Wielki udział także brali włościanie przy obchodzie dwóchsetletniej rocznicy zwycięztwa, odniesionego przez króla bohaterskiego, wielkiego Sobieskiego, ale może ten stary gród jeszcze nie widział tylu takich i tak usposobionych włościan, jak kiedy niedawno naród polski składał na Wawelu zwłoki wielkiego swego śpiewaka, wielkiego Adama Mickiewicza (brawa). W roku bieżącym sto lat właśnie mija od urodzenia tego proroka

narodowego, gdy całemu narodowi musiało się przypomnieć jego życie, musiały się przypomnieć jego pisma, jego ideały, które miał w sercu. Gdy w całym naszym kraju, jak umią i mogą, czczą pamiątkę urodzenia wielkiego męża, lud polski, w miarę możności, staje obok nich, zaświadcza, że zna, rozumie i umie oceniać swojego proroka (brawa).

I inaczej być nie może! Kto raz zasłyszał jego przecudnych pieśni nieśmiertelnych, z których z taką tkliwą rzewnością przebija się nić serdecznych uczuć ludu polskiego, kto raz przeglądnął się niezrównanym obrazom, malującym z taką prawdą charakter całego narodu, ten tych ksiąg nigdy z rąk nie wypuści, bo one wiele i wielu nauczą. Nauczą, jak to już poprzedni mowca powiedział: miłości Boga i bliźniego. Wskażą mu, że o pomyślność Ojczyzny starać się powinniśmy wszyscy i pamiętać, że naród, to nietylko sami panowie, nietylko sami mieszczanie, nietylko sam lud, ale jak wszystkie dzieci tej ziemi są dziećmi jednego Boga, tak jednej matki synowie stanowią jeden naród (brawa). Każdy z tych ksiąg się dowie, że w szczęściu jednego są wszystkich cele, że zatem w jedności spoczywa siła narodu. Dowie się i tego, komu pierwszeństwo i szacunek w narodzie oddać potrzeba, bo tam w jego księgach przeczyta sobie przedewszystkiem: albowiem starsi między wami nie są ci, którzy najspokojniej na starszeństwie zasypiają i z urzędu swojego się bogacą, ale ci, którzy najwięcej troszczą się i są prześladowani i wyśmiewani (brawa).

Głos Mickiewicza rozszedł się dzisiaj bardzo szeroko, bo po całej krainie polskiej i wskrzesił bardzo wiele ludzi do nowego życia. Pieśń jego zrodziła i zrodzi jeszcze wiele dzielnych obywateli (rzęsiste brawa). Docierała choć zwolna, ale ustawicznie pod strzechy wieśniacze, a dziś nie ma już najmniejszej wątpliwości, że życzenie wieszcza spełni się co do joty. Księgi te znajdą się pod każdą strzechą i duch jedności i obywatelstwa, tryskający z każdego wiersza jego wielkich pie-

śni, rozpali serca i umysły i serca miljonów ludu polskiego.

Kiedy poznają wszyscy, żeśmy są braćmi, wtedy od Bałtyku do Karpat i po morze Czarne, od Odry do Dunaju zabrzmi pieśń Adama „Hej ramię do ramienia, wspólnemi łańcuchy opaszmy ziemskie kolisko!“ Żeby się te słowa co rychlej ciałem stały, do was starsza braci, których duch Adama ożywia, zwracam swój głos imieniem ludu polskiego. Słowami drogiego wodza wołam: Zaświećcie miłość Ojczyzny i ducha poświęcenia, i bądźcie pewni, że kiedyś wyrośnie nam rzeczpospolita wielka i potężna“ (brawa).

Ostatni, imieniem młodzieży akademickiej przemawiał p. Maciej Szukiewicz. Mowa jego brzmi:

„Mówić tu dziś kazała mi polska młodzież — ta, której usta otwarte i ta, której nie wolno jawnie podnieść głosu i ta wreszcie, co szukając wiedzy śród obcych, rozprószyła się po świecie — słowem cała polska młodzież.

Przemawiać tu dziś ma ona prawo, obowiązek i wolę. Prawo — boć ona to mierząc siły na zamiary, rzuciła pierwsza przed laty kamień węgielny pod ogół, doprowadziła dzieło szczęśliwie do skutku; obowiązek — bo komuż bardziej należy zawołać tu dzisiaj: jestem! jeśli nie tym, którym opiewana przez wieszcza młodość podaje skrzydła; a wolę, bo ani marmur, ani bronz nie zamknie jeszcze w zakrzepłej formie całej pełni myśli i uczuć, które ta młodzież ujawnić i wypowiedzieć chce. A my i myślimy nie mało i czujemy wiele i szlachetnie, a wszystek lot naszych myśli i wszystkie drgnienia naszej duszy. jak w ognisku soczewki w jednym zbiegają sie punkcie, zamknięte są w jednym, wielkim, bardzo świętym wyrazie: Ojczyzna.

Nam, trzeciemu już pokoleniu pogrobowców — nam, którym los przeznaczył żywot znojny a bezsławny, którym nie dał stanąć do ostatniej chlubnej walki, nie dał przelać krwi serdecznej za wolność chłopa, nam w chwili zwątpienia i bolu

wyraz ten: Ojczyzna, wydaje się być jakiemś wspomnieniem sennem, jakiemś echem pogubionem wśród trzcin Gopła, jakimś dalekim poszumem fal Bałtyku czy wichrów tatrzańskich. I kto wie, żali pomrok doby żelaznej pięści nie zatrułby nas mniemaniem, że ona Ojczyzna to zaprawdę tylko baśń o utraconym bezpowrotnie raju — gdyby nie pierś matek, co nas wykarmiła, gdyby nie to polskie powietrze, którem oddychamy, gdyby nie ta przesłodka polska mowa, gdyby nie ta przeszłość, co kilką postaci nieśmiertelnych przemawia do nas: byliście i będziecie narodem żywych! (Oklaski).

A przeszłość ta, mimo naszego namiętnego nieraz głosu potępienia winy ojców — była, jest i będzie dla nas świętą. Chylimy czoła przed jej bohaterami; ale nie tyle przyrósł nam do serca szereg wielkich naszych królów, uczonych lub artystów wolnej Rzeczypospolitej, co tych kilka, kilkanaście postaci z doby klęski i niewoli, bliźni nam bowiem są i jak przyjaciel w biedzie droższi! Wielkim dla nas jest Rejtan swoim rozpaczliwym protestem w Grodnie; wielkim dla nas jest Konarski, Kołłątaj i inni, domagający się narodowego wychowania młodzieży, którego brak boleśnie czując, żądamy dzisiaj i po które, prędzej lub później, sięgniemy; wielką dla nas jest ta garstka rewolucjonistów ducha na Sejmie czteroletnim, która żądała reform socjalnych, sprawiedliwości społecznej, wolności i równości, naówczas dla siermięgi tylko, bo bluzy jeszcze nie było. I chociaż głos tej garstki zagłuszył wnet szczęk zaborczego oręża, to jednak doszedł on do nas. My go uważamy za testament przeszłości, który przyszłość wypełnić powinna. ucho nasze otwarte na głos obowiązku, a z drogi w bardzo może dalekie, ale lepsze jutro nie zawróci nas okrzyk małoduszny trwogi: „Utoniecie w morzu obcem!“ My się o to nie lękamy — bo ani na chwilę nie gaśnie nam niespożyty blask dwóch nawskróś narodowych słońc: Kościuszki i Mickiewicza. Jeden na tym samym oto rynku krakowskim przysiągł mieczem ocalić honor Polski, a ocaliwszy Jej cześć, zatlił nam gwiazdę Racła-

wic i rzucił zbawcze hasło: przez lud do wolności! Drugi wziął na swe genialne barki hetmaństwo ducha i tytaniczną dłonią wyniósł dusz miljony z głębi rozpaczy i mroku na światło, na wyżyny, gdzie męztwo i nadzieja przechadzają się w blaskach nieśmiertelnego piękna, na szczyty, zkąd widna jutrzenka swobody a za nią zbawienia słońce.

On odrodził naród!

On w obszar gnuśności, zalany odmętem, tchnął ruch i życie; On zatlił Znicz miłości Ojczyzny; On uświęcił jej wczora, przewidział jutro a bolesne dziś nakrył tęczową kopułą pieśni; On przebolał ból wszystkich i przemiłował miłość wszystkich. — On Ojciec! Przeto go naród czci pomnikiem a my młodzi kochamy żywem sercem. Kochamy w nim człowieka i artystę. Kochamy Go za to, że sam wiecznie młody, wyśpiewał bole i łzy nasze, pragnienia i porywy, wzloty i upadki — za to, że jak nikt przed Nim i nikt po Nim, oblekł w pieśń młodą duszę naszą a życiem swem dał przykład, jak my żyć mamy.

On będąc jednym z założycieli stowarzyszenia Filaretów i Filomatów, przeczuł, że i po 100 latach doskonalenia systemem nauki, młodzieży nie może wystarczyć książka i prelekcja, że ona zbyt bujną ma duszę i zbyt silne skrzydła, aby się z murów szkolnych nie wydzierać na szeroki świat zjawisk i śmiałą dłonią nie zrywać kwiatu nowości. On przeczuwając, że i po 100 latach — choć zabraknie Nowosilcowów, to nie zabraknie szyderstwa, a nierzadko cytadeli — przekonał nas, że i cela nie straszna i cierpienie zaszczytne, gdy spada za to, że się chce iść w zorzę, w światło, w blask, w swobodę! On słuchając bicia swego serca, za siebie i za nas wyśpiewał miłość Gustawa, jaką tylko młoda pierś raz w życiu pała. On wiedząc, że długo jeszcze nie zabrzmi tu pieśń szczęśliwa, że dłoń wzniesiona, aby na ziemię ściągnąć błękit, w chwili rozpaczy zwinie się w pięść groźby — za siebie i za nas targających nieraz pierś własną, cisnął w zimne przestwory

wulkaniczne słowa buntu i wyzew do zapasu na serca. On namiętną dłonią Wallenroda zażegł w naszej piersi niewygasłą miłość Ojczyzny. On wreszcie wziął nas za rękę i powiódł przez te pola, szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnione, na te dwory, gdzie żyją serca gołębiej czystości, zapominające waśni i uraz; w te karczmy, pełne zgiełku i polityki. On ucho nasze napoił stokrotnymi odgłosy wieczoru wsi polskiej, rechotem żab, skowytem nagonki rozpuszczonej po kniei, w której echo rogów myśliwskich idzie od drzewa do drzewa coraz cichsze, coraz dalsze, coraz doskonalsze, aż zamrze gdzieś na niebios progu. On ukazał nam złote pszenice i srebrne żyta, grusze zadumane nad miedzą, słońce gasnące nad borem, pogody letnie i burze, dzień polski i mowę polską, a odmalował je tak, że dusza do nich wydziera się z piersi okrzykiem: „O jakżeś Ty piękna Ziemio polska — urodą Twoją i prochami, co w Tobie leżą, piękna, jak piękna! Kto Ciebie taką ujrzał, ten dla Ciebie już tylko żyć może! My młodzi taką Cię widzimy, patrząc na Cię Jego oczyma; taką Cię słyszymy, z pieśni Jego chłonąc cudną harmonję mowy ojczystej i taką chcemy Cię widzieć wolną.“ (Oklaski).

Nam trzeciemu dopiero pokoleniu pokutników nie dano chyba uweselić oczu wolnością Twoją, ale choć owo jutro bardzo może odległe, nam młodym iść ku niemu, nam młodym na zdobycie grodu, nam młodym ruszać z posad bryłę świata, a chociaż sprzeczne nieraz nasze kierunki, różne drogi, różna broń, choć żywioły chęci jeszcze są w wojnie, my czując, że miłość ogniem zionie, wierzymy, wiemy, że:

> Wyjdzie z zamętu świat ducha,
> Młodość go pocznie na swojem łonie
> A przyjaźń wieczne skojarzy spójnie.

Za to nieomylne jasnowidzenie postawiliśmy wieszczowi pomnik“. (Oklaski).

Po wypowiedzeniu powyższej mowy orkiestra odegrała wspaniały marsz Wł. Żeleńskiego, umyślnie na uroczystość skomponowany, pt.: „Oda do młodości“ pod kierunkiem kompozytora i na tem zakończył się piękny akt odsłonięcia pomnika.

b) w Tarnowie.

Nie mamy bliższych i wiarygodnych opisów, w jaki sposób odbyła się uroczystość Mickiewiczowska w Tarnowie: natomiast uszu naszych dochodziły wieści gazeciarskie, któreby w razie — co nie daj Boże! — stwierdzenia, bardzo wstrętne i przykre światło rzuciły na patrjotyzm Tarnowian.

W tych sprawozdaniach gazeciarskich rozpisywano się szeroko o duchu koteryjnym, panującym w Tarnowie, o sposobie urządzenia, czy raczej ograniczenia uroczystości wielkiej i narodowej, praktykowanym tamże. Szczególnie pod tym względem czerniono grono profesorskie i przedstawiano tych panów jako prawdziwych gasicieli ducha.

Główne zarzuty skierowane były przeciwko osobie profesora Franciszka Habury, u którego takie postępowanie uchodzićby musiało za tem większą nietaktowność, ileże p. Habura nie pochodzi z kół najwyższej arystokracji, ale jest synem włościanina polskiego I z tego też powodu nie bardzo chce się nam wierzyć w autentyczność tych pogłosek, a trzymając się ściśle zasady: „audiatur et altera pars“ — umieszczamy poniżej jako ostatnie echa uroczystości Mickiewiczowskich w Tarnowie, dwa wiersze p. Habury, z których jeden, napisany w roku 1-90 i wydany nakładem Rady miasta Tarnowa, drugi zaś, nowszej daty, napisany został w stuletnią rocznicę urodzin wieszcza.

1) Na przywiezienie zwłok Adama Mickiewicza na Wawel.

Od Tatr po Bałtyk, od Odry do Dźwiny
Rozbrzmiewa dzisiaj uroczysta pieśń,
I szumi Wisła, szumią Tatr choiny,
Polski zgnębiona podnosi się pierś!
I huczą głośno dziś Wawelskie dzwony
I głos ich leci w Niepołomski bór,
A wtorują im piersią miljony...
Kontusz, siermięga, — jeden zgodny chór!
Krzyk to wesela? czy krzyk to żałoby?
To pean, w którym prym ma dzielna młódź!
Na krzyk ten królów otwarły się groby,
Więc „Sursum corda“ — zbudź się duchu,
[zbudź!
Bo oto wraca ten, co milijonem
Był dla narodu pośród czarnych dni,
Który go karmił swoich myśli plonem
A dziś mu gwiazdą zmartwychwstania lśni.
Bo oto wraca wieszcz do nas, choć w trumnie,
Choć ciałem tylko. by pośród nas być,
By Polska biedna mogła spojrzeć dumnie
W świat, że swych wieszczów umie prochy
[czcić!
By świat nam nie lżył, nie klęły nam wieki
Że nie ma miejsca w Ojczyznie na grób
Dla tych, co słyną jak ten świat daleki
Wielkością ducha pośród ciężkich prób!
By ten, co żyje duchem śród narodu,
Swój grób u swoich, co go wielbią, miał,
By widział drogę lud do „sławy grodu“
I jak on duchem — tak lud wiarą stał!
By się u trumny jego pokolenia
Uczyły miłą swą Ojczyznę czcić
I pośród pokus, niewiary, zwątpienia,
Miały zkąd ciągle zdrój ożywczy pić!...
Więc pośród królów, na Wawelu szczycie,
Spocznie ten duchów, ten idei król,
By naród nigdy nie zwątpił o bycie
Swoim, choć zwątpień pierś mu ściska ból.

Jeszcze czekają naród ciężkie próby,
On nas strzegł będzie, jako Anioł Stróż,
Jego duch naród ochroni od zguby,
Jak sternik nawę pośród morskich burz!

Tarnów, 4. Lipca 1890.

F. Habura.

2) Ku czci Adama Mickiewicza.

(W stuletnią rocznicę jego urodzin).

Choć w nicość, jako liście, lecą
Przez wieki ludzie, jednakże obrońce
Kraju i wszystkie duchowe olbrzymy
Blaskiem męczeństwa u potomków świecą
Żywi, choć ciałem obróceni w dymy —
Ogniści, jako pośród planet słońce.

Gdzieś w Termopilach jest głaz, a na głazie
Kilka wyrazów, a w każdym wyrazie
Niby sto wieków życia bohatera,
Co w ludzie greckim nigdy nie umiera.
I patrz... Z pod tego grobowca kamienia
Z Leonidasa wstał mściciel ramienia.
Takim mścicielem z ojców naszych kości
Wstał wielki Adam w dniach wielkiej żałości.
Na trumnie swojej Ojczyzny wziął życie,
Więc z ducha sączy zdrój życia obficie.
Gdy narodowi wciąż ubywa siły,
Gdy serce pęka z bolu i żałości....
On jako prorok, wychodzi z mogiły
I ciska, jak grom, życie w zmarłe kości:
Zkądże mu ta moc? On wziął z Boga
Laskę żywota Mojżesza cudowną,
I kwiaty piękna z Amaltei roga,
I Orfeusza moc pieśni czarowną.
On cierpiał w życiu swem za milijony,
Więc milijonów moc ma w swoim duchu.
On posiadł w starym grodzie świata trony
Cezarów, co świat wiedli na łańcuchu;

On blisko nieba — z kapitolu szczytów
Jak augur, śledzi potomków Kwirytów
I swej Ojczyzny i całej ludzkości
Losy złożonej u Boga przyszłości.
On sztuce polskiej Olimpije stworzył
I swą wielkością plastykę potrwożył;
Bo gdzież Fidyasz, co w marmury wryje
Ten wulkan uczuć, co mu z piersi bije?!
W serca pragnienie piękna zaszczepiła
Ludziom moc boża, jak Farysom słońca;
On przeszłość zaklął w posąg, by świeciła
Słońcami wielkich przykładów bez końca.
Mężom Rymwidy, Kiejstuty, Konrady,
Niewiastom Zosie, Grażyny, Aldony,
Młodzieńcom świecą Tadeuszów ślady
I Filaretów zastęp uwielbiony.
Ta przeszłość w czary poezji ujęta,
Błyszczy nad nami, jak lampa miesiąca,
I jak Stróż-Anioł towarzyszy święta
I mieczem wojów grunwaldzkich potrąca:
I kiedy rozpacz serca nam ścisnęła,
Szepce do duszy: „Jeszcze nie zginęła!“
O! komu w piersi serce lackie bije,
I w czyich żyłach krew sarmacka płynie,
Ten z pism Adama zdroje wiary pije:
Że choć zgnębiona Ojczyzna — nie zginie,
Póki jej właśni nie zgubią synowie
W sumieniu, w sercu, w czynach, w myślach,
[w mowie!

Naród — twór dłoni bożej — wiekotrwały:
Ni go Attyla, ni Tamerlan zmoże,
Choćby go rozdarł i na trzy kawały,
W każdym kawale tkwi nasienie boże.
Pokażmy Bogu zacne, czyste dusze,
Poczujmy ducha swych pradziadów w sobie,
A wnet pojawią się Elizeusze,
Co z kości armie stworzą w jednej dobie!
...Ale gdy naród sam siebie zabija,
Gdy się dotyka ziemskich pokus brudu,
To go opuszcza i Bóg i Maryja,
Choćby królową była tego ludu

Pierwiastek boży ginie z jego ducha,
I Pan już modłów jego nie wysłucha,
Lecz go jak plewę po świecie rozrzuci
Na wzgardę ludom, albo go obróci
Na postrach wiekom w Niobejską skałę,
Bo i kamienie głoszą bożą chwałę!

Naród, któremu takie pieją pieśni,
Jeżeli upadł, to znów powstać musi,
Choćby już martwy leżał w trumny cieśni —
Przemoc go wrogów nie zniemczy, nie zrusi.

Więc chłońmy w siebie te ognie proroków,
Co, jak wulkany, z ich ducha buchają,
Więc pijmy rosę ożywczą z obłoków,
Które nad nami wieszczowie zwieszają.
Więc „Sursum corda“, gdy nas przemoc [wroga
Gniecie do światła, do piękna... do Boga!

Taką, Adamie, dajemyż wypłatę
Za Twoje pieśni, tak Twe Imię czcimy,
Tak Twych urodzin święto obchodzimy;
Za dary ducha przyjm z duchów obiatę!
Tyś żył w narodzie, naród żyje w Tobie.
Więc Twą mogiłę blask chwały odziewa;
Bo Anioł życia usiadł na Twym grobie
I narodowi pieśń nadziei śpiewa!

Franciszek Habura

c) w Tarnopolu*).

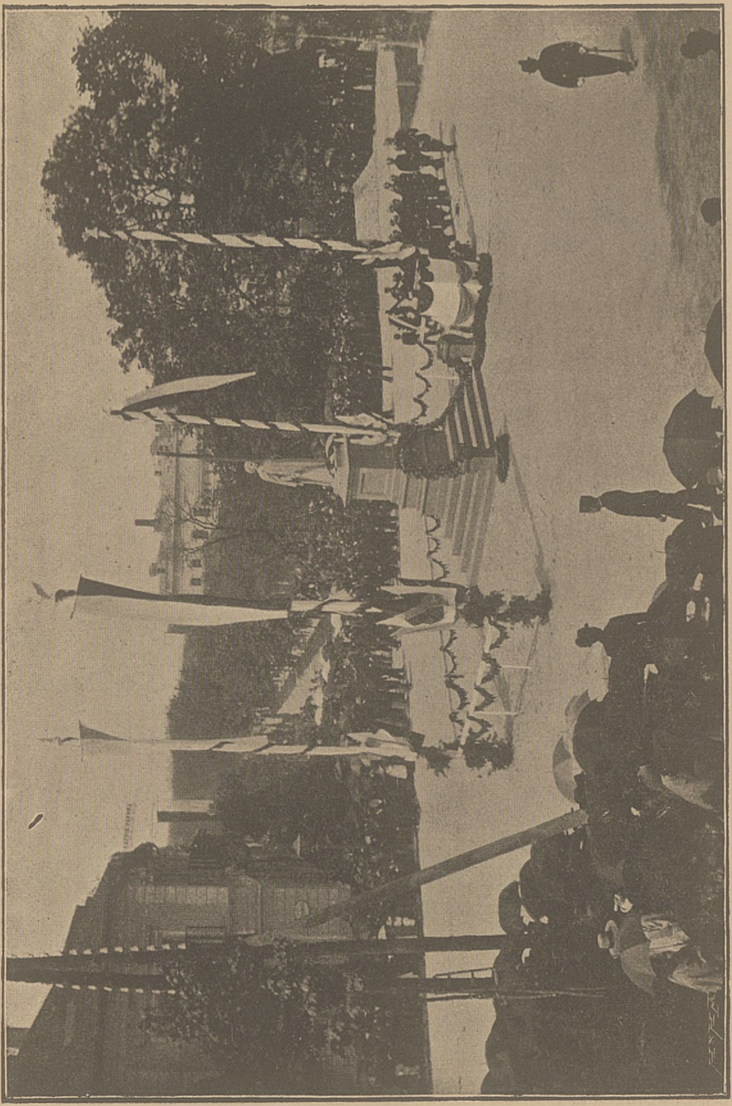
Podobnie jak w całym kraju obchodzono w Tarnopolu uroczystość setnej rocznicy urodzin największego narodowego wieszcza, Adama Mickiewicza, bardzo poważnie i z okazałością, na jaką stosunki miejscowe pozwoliły. Rada gminna, nie usuwająca się nigdy od trudów i ciężarów, jeżeli ich sprawa narodowa, lub dobro ogółu wymaga, wzięła inicjatywę za pośrednictwem swego prezesa. dra Wł. Łuczakowskiego, który sprosił ze wszystkich stanów i warstw społeczeństwa komitet obchodowy, a wybrany przewodniczącym komitetu ściślejszego, zajmował się wykonaniem uchwalonego programu bardzo gorliwie. Zakupiono 400 egzemplarzy „Pana Tadeusza", tyleż egzemplarzy „Pism" i również 400 egzemplarzy portretów Adama Mickiewicza, sporządzonych w zakładzie litograficznym Miziewicza w Kołomyi. Dzieła te i portrety postanowiono w części rozdać pomiędzy stowarzyszenia rękodzielnicze, w części w czasie uroczystości, a resztę rozesłać na ręce ks. proboszczów gmin rzymsko-katolickich, aby przyczynić się do spełnienia życzenia poety: „by te księgi zbłądziły i pod strzechy wiejskie".

W niedzielę dnia 22. Maja salwy moździerzowe obwieściły rano mieszkańcom, że już zaświtał dzień narodowego święta. Z budynku magistratu powiewała flaga, a balkon magistratu i balkony domów prywatnych, stojących w pobliżu pomnika Adama Mickiewicza przyozdobiono pięknie kobiercami i kilimkami. Pięknie udekorowano gmach Sokoła i ogród publiczny. Sam pomnik otoczono słupami, na których zawieszono flagi o barwach narodowych a obok ustawiono mownicę i estradę

---

*) Niniejszy artykuł, czy raczej cały szereg artykułów wziętych z „Głosu podolskiego" a przyozdobionych umiejętnie fotografiami p. Jakuba Parnasa w Tarnopolu, umieszczamy tem chętniej, aby wykazać, że i stolica Podola żywy udział brała w uroczystościach narodowych, ku czci Mickiewicza urządzonych.

(Przyp. red.)



dla członków Towarzystwa Przyjaciół muzyki. Samego pomnika nie zdobiono kwiatami, utrudniały to bowiem rozmiary jego, panujące upały, któreby egzotycznym kwiatom mogły zaszkodzić, a wreszcie ta okoliczność, że prawie obok samego pomnika zielenią się cudownie w ogródku ciągnącym się wzdłuż ulicy te piękne polskie drzewa, które Wieszcz tak cudownie opisał i ponad rośliny krajów ciepłych wynosił.

Przed godziną 10. uszykował się pochód w ulicy Agenora, w którym wzięło udział około tysiąc osób. Na czele pochodu stanęła kapela, złożona z uczniów gimnazjalnych, za nią młodzież umundurowana tutejszych szkół średnich. Starsza młodzież utworzyła szpaler. W ten sposób powstał długi szereg czworoboków, złożonych z młodzieży, których środek wypełnili reprezentanci władz rządowych i autonomicznych: Rada powiatowa, Rada miejska, a dalej stowarzyszenia i cechy z odznakami i chorągwiami. Przed młodzieżą i niektóremi stowarzyszeniami niesiono piękne wieńce laurowe z szarfami, które następnie złożono na stopniach pomnika.

O godzinie 10. wyruszył pochód przy odgłosie muzyki ulicą Mickiewicza i Trzeciego Maja do kościoła, gdzie ks. kan. Cyryl Janer w asystencji ks. Wład. Sokołowskiego i ks. T. J. Czencza odśpiewał summę, a Towarzystwo Przyjaciół muzyki wykonało na chórze mszę układu Signiego.

Podczas nabożeństwa wygłosił ks. dr. M. Kuryś piękne kazanie na temat: „Laudamus vires gloriosos in generatione sua...“ (Wychwalajmy męże chwalebne w rodzaju swoim...) Ecl. Trudno streścić w krótkich słowach naukę, pełną wzniosłych myśli a wypowiedzianą w ciągu więcej niż pół godziny, myśł jednak przewodnia była następująca: Jak wiara i wolność były osnową całych dziejów naszych, siłą naszej przeszłej wielkości — tak Bóg i Ojczyzna były natchnieniem poety, były pieśnią naszego Wieszcza. Życie narodu otuliło się w pieśń, wieszcz je przechował, aby uszło całe dla przyszłych pokoleń. Z tem poselstwem przyszedł On



Z uroczystości Mickiewiczowskich w Tarnopolu:

Pochód uczniów gimnazjalnych (według fotografii Jakuba Parnasa z Tarnopola).

do nas od Boga, a najlepszy i jedynie godny sposób obchodzenia pamięci ludzi wysłanych od Boga do narodu — to odebrać od nich poselstwo, a odebrane wypełnić.

O godzinie 12. ruszył pochód z kościoła ulicą Kościelną i Śto-Jańską do pomnika Mickiewicza i uszykował się w ten sposób, że młodzież utworzyła duży czworobok, którego środek wypełnili inni uczestnicy pochodu. Po odegraniu przez kapelę młodzieży utworu, złożonego z pieśni narodowych, oddały stowarzyszenia hołd Wieszczowi pochyleniem sztandarów, złożono wieńce u stóp pomnika, poczem Towarzystwo Przyjaciół muzyki odśpiewało kantatę M. Signia. Następnie wystąpił na mownicę p. Emil Michałowski i przemówił w następujące słowa:

„Z pokolenia w pokolenie
Czcijmy, wielbmy mistrzów cienie,
Których wieszczby, twory, dzieła
Świadczą: „Polska nie zginęła!“

Powszechnym jest to zwyczajem, iż pamiątkę ważnych zdarzeń, obchodzi pojedyńczy człowiek. obchodzi rodzina, obchodzi cały naród. Budującym zaś objawem jest ta cześć, którą rodacy znakomitym współrodakom oddają. Czcić bowiem mężów wielkich, w narodzie zasłużonych, nietylko jest naszym obowiązkiem, ale także własnego naszego serca potrzebą. Obowiązkiem to jest naszym, gdyż mężowie ci i dla nas działali — i my korzystamy z ich dobrodziejstw, a więc należy im się od nas wdzięczność. Z drugiej zaś strony zwracać się ku tym mężom wielkim, uznawać się ich potomkami, krwią ich krwi i kością ich kości — to jest dla nas prawdziwą chwałą i rozkoszą. Czy to byli królowie, czy zwykli obywatele kraju, czy zasłużyli się Ojczyźnie z orężem w ręku, broniąc jej wolności, czy niestrudzoną pracą pokojową kładli podwaliny pod przyszłą potęgę narodu; czy wreszcie piórem i natchnionem słowem zapalali naród do wzniosłych czynów, w każdym razie cześć



im się od nas należy, ich pamięć wiecznie pośród nas żyć powinna.

Takim mężem wielkim, którego imię opromienia blask niespożytej zasługi, jest Adam Mickiewicz.

To też gdy w roku bieżącym sto lat dobiega od urodzin tego wielkiego męża, przeto w roku tym wszędzie, gdzie tylko serca polskie biją, obchodzą uroczyście tę wielką dla narodu naszego pamiątkę.

Toż i my idąc za przykładem innych a zarazem i poczuciem własnego serca, obchodzimy dzisiaj tę uroczystość w cześć wielkiego poety, ozdoby i chluby naszego narodu.

A że przedewszystkiem wdzięczność winniśmy Stwórcy, który nam tego męża zesłał i Tej Pannie Świętej, co Jasnej broni Częstochowy i Ostrej świeci Bramie, przeto uroczystość tę rozpoczęliśmy w świątyni nabożeństwem dziękczynnem i tam już kaznodzieja wymownemi słowy wskazał znaczenie tej uroczystości i wpływ męża tego na naród cały.

Wprost ze świątyni zaś zgromadziliśmy się u stóp pomnika wieszcza, u stóp tego syna natchnienia, aby mu złożyć hołd winny.

„Ale dla syna natchnienia, stu gwiazd nam [potrzeba,
Promiennych brylantami, co wiszą u nieba,
Stu tęczy czarownych, gdy z chmur się wy-[łonią,
Stu róży, co rajem i rozkoszą wonią:
A wieniec z tych gwiazdek i tęczy i róży
Dłoń braci w tym roku na skronie mu włoży...

By słowem Cię uczcić słowików miljony
Niech dzwonią, niech pieją najczulszymi tony
I sto harf cherubów niech z cicha pobrzmiewa,
Niech hymen godowy szumią lasy, drzewa..."

I rzeczywiście nie łatwo przedstawić wiernie rodzaj uczucia, jakiem dla wieszcza naszego jesteśmy wszyscy przejęci.



Na wzajemny stosunek społeczeństwa do narodowego wieszcza, składa się zarówno geniusz poety, jak uczucia i dola narodu. Geniusz Mickiewicza, jego wielki umysł, jego duch wieszczy, spotkały się z wyjątkowem położeniem nieszczęśliwego narodu i wydały ten wyjątkowy stosunek. Po utracie bowiem naszej niepodległości, gdy zabrakło nam dawnych królów i hetmanów, gdy znak królewski z Orłem i Pogonią padł na dziejowem pobojowisku, a oręż w nierównej walce nie wystarczał do jego obrony, dla okrytego wstydem i żałobą ludu Opatrzność zesłała nowego wodza. Wodzem tym był nieśmiertelnej pamięci Adam Mickiewicz.

On to podniósł padający sztandar pokonanego narodu, uniósł go z zamętu przegranych walk i pogromu i rozwinął w błękitach na takich wyżynach, na jakich go już dosięgnąć nie mogły żadne nieprzyjazne moce.

Przeniósł ten sztandar z ziemi łez, na której ciężyła noga zwycięzcy, w nieśmiertelną krainę ducha, gdzie górować musi nad fizyczną przemocą. Pod swoją buławą zgromadził wódz ów wszystkich wiernych synów narodu, zjednoczył waśniących się braci, powołał do życia uśpione dotąd siły.

To też jemu zawdzięcza Polska, że ją na wszystkie ciosy uzbroił, zahartował na wszelkie męczarnie i dał jej w pieśni nieśmiertelne życie, zanim ją sąd ostateczny dziejów w nowe ubierze ciało.

Inne narody mają swoich wielkich poetów, mistrzów słowa i myślicieli, którzy myślą ogarniali całe epoki i wyprzedzali je nawet polotem geniuszu, zdobywali sobie ogólne ludzkie znaczenie, nie posiadają jednak żadnego, któryby się tak zespolił miłością i rdzeniem narodowego żywota i objął całą jego przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, wszystkie jego smutki i niedole, wszystkie pragnienia i nadzieje, jak Adam Mickiewicz. Źródłem bowiem jego natchnienia i twórczości była przedewszystkiem najczystsza, najgłębsza miłość, która, jak sam powiada w natchnionej swej Improwizacji:

„Nie na jednym spoczęła człowieku
Jak owad na kwieciu róży,
Nie na jednej rodzinie, nie na jednym wieku...
Ja kocham cały naród!“

Ta wielka, serdeczna i promieniejąca na świat cały miłość, jaką ukochał swój nieszczęśliwy naród, miłość ogarniająca wszystkie wieki i pokolenia, nadała geniuszowi jego w szeregu twórczych duchów świata odrębne a wyraziste piętno.

Lecz ten wielki zapał, którym naród cały przyjął jego pieśni i uznał za swoje, pochodził także i ztąd, że wieszcz nasz szukał natchnienia i poetycznych źródeł tam, gdzie one prawdziwie biją: w poezji ludu, w której on składa

„Broń swego rycerza,
Swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty“

w duszy własnej i w duszy i w dziejach narodu. On zaglądnął do skarbów poezji ludowej i stworzył prześliczne ballady, zaglądnął do starych, pyłem wieków przyprószonych kronik i dał nam Grażynę i Konrada Wallenroda, zaglądnął w głębie swego serca, bolejącego z powodu zawiedzionej miłości i napisał IV. część „Dziadów“; spojrzał w duszę cierpiącego narodu i wydobył z niej III. część „Dziadów“...

A gdy nowe cmentarze
Z listopadowej wzrosły epopei,
On „Tadeusza“ złożył braciom w darze
Jak nowy posiew wiary i nadziei;
Na kartach „Dziadów“ wzniósł aż pod tron Boga
Wieczysty protest — przekleństwo na wroga!
A za swą miłość, za życia trud krwawy
Jednej by tylko chciał od Boga łaski,
Nie pragnął naszych dostatków i sławy,
Wzgardzał wielkości znikomymi blaski,
On pragnął dożyć tylko tej pociechy,
By książki Jego zbłądziły pod strzechy.

Życzenie to, niespełnione za życia, zaprawdę spełnia się dzisiaj, te księgi rozeszły się daleko, a wniknęły tak głęboko w serca narodu, że stały się pieśnią gminną, co stoi na straży narodowych pamiątek kościoła i co wedle Jego własnych słów, jest arką przymierza między dawnymi a nowszymi laty.

„I tak długo Polski piekieł nie złamią potęgi,
Póki jej świecić będą wieszcza tego księgi“.

Gdyż pod wpływem jego pieśni cała Polska uczuła się silną, młodą i odrodzoną i w ślad za Mickiewiczem zaczęła wierzyć, kochać i ufać. Pieśń mistrza przeszła w krew i życie narodu, stała się ciałem, czynem ofiarnym, dogmatem wiary, podporą w dniach klęski i proroctwem lepszej przyszłości. Wychowywały się na niej całe pokolenia, nią żyły, w jej imię walczyły i ginęły.

Z pieśni Adama nauczyliśmy się kochać przeszłość pomimo jej win i błędów, tem żywem uczuciem dziecka, które nie może być surowym sędzią swego rodziciela, z niej nauczyliśmy się stawiać czoło przeciwnościom i zarabiać na przyszłość, nie tracąc nigdy do szczętu otuchy i nadziei. Wszyscy karmiliśmy się tem natchnionem słowem tak, jak karmić się niem będą w przyszłości następne pokolenia.

Jakkolwiek zmieniać się mogą warunki bytu, prądy pojęć i wyobrażeń, myśl zasadnicza wieszcza stać będzie niewzruszenie ponad przelotnymi hasłami chwili. Nie jest ona bowiem własnością jednej epoki, jednej generacji, jednego stronnictwa, jednej warstwy lub części narodu, lecz jest własnością całej cierpiącej, dobijającej się życia Polski. Pod jej wezwaniem wszystkie serca zjednoczą się w bratniej zgodzie.

Ten, co kochał i cierpiał za miljony, ma do rozporządzenia miljony serc zjednoczonych.

To też w Ciebie wieszczu nasz spływają błogosławieństwa tych miljonów, których cierpienia wziąłeś do serca, a wszystkie Twe tęsknoty i nadzieje Twoje, złożone w nieśmiertelnej pieśni, po-

zostają narodowi pociechą, wróżbą i jutrzenką przyszłości.

Pamięć Twoja nigdy wpośród nas nie zaginie, cześć niech jej będzie na tej ziemi, dopóki stanie polskiego imienia!

Wieszczu drogi i wielki! słyń, słyń imię [Twoje,
A pieśń Twa niech rozbrzmiewa od morza [do morza
Jak hejnał, co zwiastuje, że nadejdzie zorza,
Jako grom na skarlałe i wyrodne duchy!
Cieniu mistrza! Ty czuwaj nad tą Polską [biedną
Niech pod jarzmem niedoli karku nie ugina,
Hej ramię do ramienia - niech w ognisko [jedno
Zespaja nas wciąż piosnka — śpiewaka [Litwina!"

* *
*

Niestety już podczas śpiewania kantaty zakryły gęste chmury widnokrąg, grzmoty huczały naprzemian z wystrzałami moździerzy i grube krople ciepłego majowego deszczu poczęły padać. Gdy p. Michałowski wstępował na mownicę, puścił się już rzęsisty deszcz, który niebawem zamienił się w rzęsistą ulewę. Wszyscy jednak dotrwali na miejscach do ukończenia mowy, poczem się rozprószono. Z tego powodu nie można już było odśpiewać drugiej kantaty i powrócić do magistratu w porządku pochodowym.

W ogrodzie miejskim.

Popołudniu wypogodziło się niebo, a chociaż powietrze było duszne i przepełnione parą wodną, mógł się odbyć dalszy ciąg uroczystości według programu.

O godzinie 4. zebrała się szersza publiczność w pięknym ogrodzie miejskim. Ze strojami Sokołów, którzy tutaj utrzymywali porządek, mięszały się długie kapoty mieszczańskie i świtki włościańskie, jakoteż zwykły strój, noszony przez rękodzielników i przez inteligencję. Wielu uczestników miało odznaki tow. Przyjaźni. Również licznie stawiła się płeć żeńska. Ponieważ pawilon nie byłby objął zgromadzonych, przeto publiczność ustawiła się na obszernem miejscu przed pawilonem, przemawiano zaś ze schodów. Program składał się z przemówienia członka tow. Przyjaźni o znaczeniu uroczystości — z wygłoszenia utworów Adama Mickiewicza przez Piotra Zefuka i popularnego wykładu prof. Teodora Witwickiego o Adamie Mickiewiczu, jako poecie narodowym. Oto treść jego przemowy:

„Pieśń i poezja tak w życiu każdego człowieka — jak w życiu całego narodu wielką odgrywa rolę. Małe dziecko do snu kołysze pieśń matczyna i pieśnią weselną witają parę małżonków, którą przed chwilą stuła u ołtarza związała na całe życie, pieśń wreszcie smutna, pogrzebowa towarzyszy zmarłemu w drogę do wieczności. Z wesołym krakowiakiem na ustach puszcza się młody zuch w zawody taneczne z ulubioną, z bojową pieśnią idzie żołnierz w wir walki przeciw kulom i bagnetom, tęskną dumką skarzy się biedne serce drugim na swoją niedolę...

Tak i całe narody. Inną jest ich pieśń, kiedy byt swój rozpoczynają, kiedy jak dzieci wstępują do życia, inną, kiedy naród rozrośnie się, sił nabierze, zolbrzymieje, inną wreszcie, gdy przyjdą nań burze i klęski... Zawsze w pieśni umieści się myśl i uczucie człowieka, myśl i uczucie narodu; w pieśni składa naród „swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty“.

To też szczególniejsze znaczenie dla narodu mają poeci, twórcy pieśni narodowych. Biada narodowi, który nie potrafi ich uczcić. Bo w pieśni narodu streszcza się całe jego życie, im głośniej ona dzwoni, tem widać potężniejszy naród, jeżeli

nie siłą, to duchem i umysłem. Wiele narodów starożytnych przeminęło i śladu z nich dzisiaj nie zostało a pieśni ich zostały i zawsze są piękne, zawsze świeże, zawsze sławią imiona swych twórców; żyją one wśród nas, choć nie ma dziś tych, wśród których powstały, którzy pierwsi je wyśpiewali.

W życiu naszego narodu silnie również uwydatnia się wpływ poezji i potęga pieśni. Weźmy n. p. lud nasz, ile to pieśni on nie tworzy i do czego ich nie stosujc? To wesołe, to smutne, to żartobliwe, to poważne, ludzi i rzeczy, świat Boży, zwierzęta i rośliny, wszystko tam lud odmalowuje, odtwarza, ożywia i przedstawia. Tak było i dawniej niewątpliwie u kolebki naszego narodu: dźwięczała tam nuta niejednej piosnki, jakby wychowując sobie dziecię — naród. A kiedy Polska była potężną i wielką, kiedy granice jej oparły się o dwa morza, a królowie jej liczyli się między najpotężniejszych monarchów Europy i wówczas rozbrzmiewała szeroko pieśń narodowa, a cały szereg poetów, których imiona nigdy nie zaginą, rozsławiał swymi utworami imię polskie szeroko po świecie. Ale przyszły burze i klęski na naród. Słabnęło to potężne państwo i chyliło się dniem każdym do upadku, który przygotowali wrogowie, a ku któremu Ojczyznę popychali niestety! jej właśni synowie, może nie wyrodni, ale tylko zaślepieni...

W ostatnich czasach istnienia niepodległej Polski ucicha pieśń polska. Ciężkie to były czasy, zewnętrzny wróg nadstawiał chciwe ręce po ziemie polskie, a wewnątrz toczyła nas niezgoda, obojętność dla sprawy narodowej lub dbanie o własny tylko interes, nieraz nawet ze szkodą Ojczyzny. Nie mogła wówczas poezja opiewać wielkich czynów bohaterów narodowych, nie mogła nowych listków dorzucać do wieńca sławy dla swego narodu, a opisywać to, co się w kraju działo, to było zanadto bolesne. I w dodatku jeszcze weszło u nas wówczas w modę a mówią, że Polacy wszystko chcą i potrafią naśladować, aby układać pieśni na sposób zagraniczny, a często zajmować się losami

bohaterów greckich i rzymskich, których losy nic zgoła nas nie obchodziły, ani w żadnym związku z naszem ówczesnem położeniem nie zostawały.

Ale powiedziano, że upaść może naród wielki, zginąć tylko nikczemny! a my byliśmy może źli, lekkomyślni, może nie umieliśmy dbać więcej o dobro Ojczyzny, aniżeli o swoje własne, ale nie byliśmy nikczemni, upadliśmy, ale nie zginęli. Z upadku wstaje się, wstawał też powoli i naród, budził się z odrętwienia i zaczynał szukać sposobów ratunku w tej toni nieszczęść, w którą popadł. Nie była to rzecz łatwa. Rozdarci byliśmy na trzy części, pod trzema zaborami rozerwani a w każdym uważano nas za jawnych buntowników, dla których nie ma łagodności ni sprawiedliwości, tylko ukazy i miecz dla nieposłusznych. Całe dzieje męczeństwa przeszedł wówczas nasz naród, dzieje tak straszne, jakich nigdzie indziej nie zapisała historja na swoich kartach.

Ale taka już nasza natura, że i w najgorszem położeniu mamy jeszcze zawsze nadzieję czegoś lepszego, nadzieję słonka, co po burzy ma nam znowu zabłysnąć na niebie. Wówczas kiedy nad głową naszą huczały burze i tysiące biło w nas piorunów, kiedy zdawało się, że cały naród pozbawiony bytu politycznego przestanie istnieć po prostu, naraz zjawia się cały zastęp poetów, których natchniona pieśń dziwne cuda stwarza w duszy narodu: oświeca ponurą przyszłość, wskazuje nowe ścieżki do odrodzenia wiodące, zachęca do pracy dla Ojczyzny, zapala do poświęceń, pociesza zwątpiałych, podnosi i oczyszcza upadłych. Pieśń polka ma niepoślednie zasługi w dziele naszego odrodzenia się po rozbiorach.

Na czele tych poetów z bożej łaski stoi Adam Mickiewicz“.

Prelegent podawszy następnie krótki życiorys Mickiewicza i treść najważniejszych dzieł, zakończył temi słowami:

„Zasługi Mickiewicza są ogromne! On rozbudził pieśń polską i wskazał jej źródła, z których treść swą czerpać powinna. Lud i Ojczyzna! To,

co dobre i co szlachetne, oto pierwiastki, na których oprzeć się powinna, aby popłynęła z piersi poety jak niebiańska melodja ku sercom słuchaczy, aby dla ludzi była pocieszeniem, ukojeniem, rozrywką, nauką, aby ich weseliła, pocieszała, zapalała do wielkich czynów i do trudów pracy codziennej, ale zawsze z myślą o Ojczyźnie. Całe jego życie było poświęceniem siebie za drugich: mówił, że cierpi i kocha za miljony, za miljony swoich rodaków. Cierpiał z wielu powodów. Ojczyzna była w rozdarciu, jej synowie w rozterkach i niezgodzie, lud obarczony pracą a przy tem ciemny i nieoświecony. Zdawało się, jakby jakieś ciemne chmury nasunęły się wówczas na nasz widnokrąg i miały zaryczeć wnet burzą na ostateczną naszą zagładę. Cierpiał Mickiewicz za miljony, bo choć wszyscy widzieli to samo, choć każdy wiedział, zkąd i jakie nam grożą niebezpieczeństwa, nie było zgody między nami i każdy na swój tylko sposób chciał ratować Ojczyznę. A „wspólna moc tylko mogła nas ocalić“, wspólnemi tylko siłami mogliśmy rozerwać krępujące nas łańcuchy.

Więc choć sława, zaszczyty i znaczenie spadały na Mickiewicza, zasępiało się serce jego coraz bardziej, „nie mógł nigdzie zaznać szczęścia, bo go nie było w Ojczyźnie“.

Ale wiedział, gdzie zbawienie, gdzie siła, która nowy gmach wolności zbuduje i wskazywał je drugim. Tą siłą lud wykształcony a patrjotyczny. To też z rzewną jakąś nadzieją i obawą, że to może Bóg wie kiedy nastąpi, napisał:

„O! gdybym kiedy dożył tej pociechy,
By moje książki zbłądziły pod strzechy!
O! by też wzięły wieśniaczki do ręki
Te księgi proste jako ich piosenki!“

Nie dożył! Umarł, zanim ludowi naszemu szeroko otworzyły się wrota do oświaty. Ale tacy jak Mickiewicz, choć życie zakończą, żyją wiecznie w pamięci i sercach wszystkich, więc pamięć jego dożyła dni, w których spełniło się najgorętsze życzenie jego. Dziś nie ma domu pol-

skiego, w którymby nie znano jego imienia a i pod wieśniaczą strzechą pieśń jego rozgrzewa serca prostaczków. Miłość Ojczyzny stworzyła te dzieła w duszy poety a dziś one stwarzają miłość Ojczyzny w sercach ludzkich i zapalają nas dla tej naszej wielkiej a nieszczęśliwej matki.

Więc śpij spokojnie, wieszczu nasz! Spij na Wawelu obok królów i niech Ci się marzy ich sława i chwała dni minionych, Tu wśród nas żyje pamięć Twoja i sława twoja, wiemy, że razem iść nam trzeba wszystkim do jednego celu, „choć droga stroma i śliska, choć gwałt i słabość bronią wchodu“ i pójdziemy tą drogą, bo za nią „jutrzenka swobody — zbawienia słońce!“...

W soli Sokoła.

O godzinie 8. wieczorem zapełniła się sala Sokoła doborową publicznością, która dla uczczenia Wieszcza wystąpiła w strojach balowych. Stosownie do programu odśpiewało Towarzystwo Przyjaciół muzyki pod batutą p. Hauswalda kantatę M. Signia, nastąpiło przemówienie prof. Wincentego Kubika (które z braku miejsca odkładamy do następnego numeru).

Następnie wygłosiła p. Kazimiera Sośnicka ustęp z trzeciej części „Dziadów“: Wywiezienie młodzieży — a gdy oklaskom nie było końca, nadprogramowo: „Do matki Polki:“ — Potem wystąpiło na scenę ponownie Towarzystwo Przyjaciół muzyki i odśpiewało kilka ustępów z Adama Mickiewicza „Dziadów“, ułożonych do śpiewu przez Moniuszkę, mianowicie chóry i solo, wykonane przez p. Kruszelnickę. Wieczór zakończyła piękna deklamacja p. Karola Mokrzyckiego Adama Mickiewicza „Ody do młodości“.

Gdy ostatni punkt programu, mianowicie obraz z żywych osób, nie mógł przyjść do skutku z powodów przez komitet urządzający nieprzewidzianych, spotkała publiczność, opuszczająca salę

Sokoła, niespodzianka. Mianowicie młodzież szkół średnich pod kierunkiem bardzo przy urządzeniu czynnego p. Warzeszkiewicza, urządziła pochód z pochodniami i lampionami, który przy odgłosie muzyki przeciągnął z dziedzińca magistratu przez ulicę Strzelecką, Mickiewicza, okrążył pomnik Mickiewicza, następnie zaś przeciągnął przez plac Sobieskiego, i ulicami Kościelną i Sto-Jańską powrócił na dziedziniec magistratu. O godzinie 10. wieczorem zapanowała zwykła cisza, a porządek wszędzie panował wzorowy.

W Synagodze.

W synagodze przy ulicy Perla odbyło się uroczyste nabożeństwo o godzinie dziewiątej wobec licznie zgromadzonej publiczności. Po odśpiewaniu wstępnego psalmu przez chór tej świątyni pod przewodnictwem kantora p. Goldbluma wygłosił p. Dr. Dankowicz, rabin i kierownik szkoły izraelickiej, mowę, w której wykazawszy cytatami 2. Talmuda, że religja żydowska nakazuje oddawanie czci głębokiej zasłużonym mężom wszelkiej narodowości i wyznania, skreślił znaczenie, charakter i etyczne przekonania Mickiewicza. Podnosił dalej wielkie zasługi Mickiewicza na niwie literatury polskiej i dowodził na podstawie jego dzieł, że Mickiewicz był nietylko wielkim poetą, ale że dał swemu narodowi przykład najwyższych cnót obywatelskich. Następnie nadmienił mowca o stosunku Mickiewicza do żydów wogóle a Armanda Levy'ego, towarzysza podróży nad Bosfor, w szczególności i o przedstawieniu przez wieszcza ideału polskiego żyda w osobie Jankiela z „Pana Tadeusza“, którego współwyznawcom za wzór miłości kraju rodzinnego i narodu polskiego przedstawił; wspomniał, że Polska przyjęła żydów w czasie najsroższego prześladowania ich na zachodzie, że postępowała z nimi zawsze łagodnie

i szlachetnie osłaniała ich mienie, życie, cześć i wiarę.

Na zakończenie odśpiewał chór przy otwartej Arce przymierza psalm 21., poczem Dr. Dankowicz odmówił błogosławieństwo nad obecnymi w synagodze.

Wieczorek uczniów gimnazjalnych.

Staraniem uczniów gimnazjalnych, szczególniej klasy siódmej, odbył się wieczorek dla uczczenia setnej rocznicy urodzin Adama Mickiewicza we wtorek 24. Maja b. r. w sali Sokoła. Po bardzo pięknem do młodzieży zastosowanem przemówieniu p. prof. Winc. Kubika, nastąpiły produkcje młodzieży; mianowicie odczyt w setną rocznicę urodzin wieszcza wypowiedziany przez ucznia kl. VII. Ż., deklamacje, śpiew choralny pod kierunkiem ucznia kl. VII. N., produkcja orkiestry smyczkowej pod batutą ucznia kl. VI. B., scena z „Pana Tadeusza“, mianowicie agitacja ks. Robaka w karczmie, którą przedstawiono w kostjumach, zakończenie wygłoszone przez ucznia kl. VII K. i obraz z żywych osób, przedstawiający apoteozę. Mickiewicza przez wszystkie stany. — Sala i statua Mickiewicza były pięknie i gustownie ozdobione zielenią i kwiatami. Jakkolwiek cały program został pięknie wykonany i świadczy, że młodzież nasza, oddając się naukom, nie zaniedbuje także sztuk pięknych, jak niemniej, że między młodzieżą polską a ruską panuje zupełna zgoda, co jest zapowiedzią lepszej przyszłości, to jednak z produkcyj uczniów najwięcej podobał się odczyt p. Z. tak z powodu treści jak i wygłoszenia, jakoteż produkcje chóru.

Z obchodu jubileuszowego Adama Mickiewicza

w Tarnopolu*).

Przemówienie prof. W. Kubika w sali Sokoła.

Rozkołysały się dziś serca ludzkie w ziemi naszej jak dzwony i dzwonią pieśń radosną; i gdyby można było lotem ptaka przelecieć w jednej chwili całą Polskę, dziwny, a zarazem wspaniały widok przedstawiłby się naszym oczom: wszędzie ludzie odświętnie odziani, wszędzie tłumy zebrane wokoło pewnego pomnika, w kościołach słychać śpiew uroczystych nabożeństw, a w sercach wszystkich jedno uczucie, jedna myśl, jedno imię: Mickiewicz.

To naród święci setną rocznicę urodzin największego swego poety.

Poezja — to pieśń.

Ach! komuż dziś pieśni w głowie! dziś każdy, chyląc ku ziemi pomarszczone czoło, bije się z troskami codziennemi, i nie widzi przed sobą końca tych zapasów, które choć drobne, a przecież tak wyczerpują, że życie coraz cięższem i cięższem się wydaje... Ach! komuż dziś pieśni w głowie!

---

*) Ciąg dalszy poprzedniego w nrze 187. „Głosu Podolskiego sprawozdania; uroczystość w Tarnopolu niepospolicie solennie musiała być obchodzoną, ponieważ sprawozdawca aż 4 z kolei numery jej poświęca.

A jednak obchodzimy dziś rocznicę urodzin poety, pieśniarza! Musi więc tkwić w tem jakaś jeszcze inna przyczyna, która nas skłania do tego hołdu dla Mickiewicza; musi coś być w jego pieśniach, co nam je czyni szczególnie drogiemi i pięknemi, kiedy cały naród, z taką radością, tak uroczyście dziś święci pamięć dnia, w którym On się urodził.

Miała Polska wielu poetów przed Mickiewiczem i po Mickiewiczu, lecz żaden nie jest tak drogi naszemu sercu jak On, żadnego z nich taką miłością naród nie otacza, jak Jego, żadnego poety imienia nie wymawiamy z taką czcią i uwielbieniem, jak imię Mickiewicza. O! bo wyjątkowy to był poeta, poeta z bożej łaski, zesłany narodowi w czasach najcięższych, w czasach upadku i poniżenia, w czasach klęsk i nieszczęść, by naród krzepił swemi pieśniami, prostował jego drogi, koił jego rany i cierpienia, rozpraszał zwątpienie i budził nadzieję lepszej przyszłości.

Urodził się w cztery lata po upadku naszej Ojczyzny, a więc młodość swoją spędził wśród ludzi, którzy pamiętali jeszcze Polskę wielką i niepodległą i w czasach, kiedy pamięć krzywdy, wyrządzonej narodowi, była tak świeża, tak bolesna... Jeszcze pamięć tej największej krzywdy zakrwawiła serca wszystkich, a nowe klęski spadły na ziemię nieszczęśliwą: ucisk i prześladowanie.

I On cierpiał wówczas więzienie i wygnanie, lecz nie o sobie myślał — myślał tylko o nieszczęśliwej Ojczyźnie.

Wreszcie naród porwał się do broni. Rok trwały bohaterskie zapasy i skończyły się klęską, poczem nastąpił jeszcze większy ucisk i jeszcze większa rozpacz nieszczęśliwego narodu.

Co się wówczas działo w sercu Adama, wiemy aż nadto dobrze: wszystko wyśpiewał w swych pieśniach. Miał on serce czułe na wszystkie krzywdy i niesprawiedliwości, a musiał patrzeć, jak wróg pastwił się nad całą jego ukochaną Ojczyzną, a nawet nad dziećmi szkolnemi i wywoził je w Sybir...

Cierpiał straszliwie i sam najlepiej ten ból oznaczył, gdy mówi o sobie:

„Nazywam się miljon, bo za miljony
„Kocham i cierpię katusze,
„Patrzę na Ojczyznę biedną,
„Jak syn na ojca, wplecionego w koło“.

Wszystko to wyśpiewał w swoich pieśniach: a że pisał tak, jak czuł i to, co czuł, dlatego z pieśni jego wydobyły się jęki, rozdzierające serce, a z pod pióra jego wypłynęły słowa, które zawsze czyta się z prawdziwem wzruszeniem, taka boleść, taka rozpacz, taka prawda tryska z każdego wiersza, że odczuwamy i podzielamy z nim wszystkie jego cierpienia. Nikt przed nim, ani po nim do tej głębi uczuć, do tej głębi serca nie sięgnął.

Tak stał się Mickiewicz tłumaczem cierpień narodu.

Jeszcze łzy narodu nie oschły, jeszcze się świeże rany nie zagoiły, a już nastroił Mickiewicz swą lutnię na inny ton. Kiedy cała Polska leżała w odrętwieniu po świeżo zaszłych wypadkach, a cały naród był pogrążony w rozpaczy, Mickiewicz jeden zrozumiał, że nie czas się oddawać zwątpieniu, on jeden nie zwątpił i nie stracił nadziei. On zrozumiał, jakiego lekarstwa potrzeba narodowi nieszczęśliwemu, pogrążonemu w rozpaczy; wiedział, że rozpacz może więcej zaszkodzić, niż wszystkie klęski zadane od nieprzyjaciół. I wówczas uderzył w ton inny: w ton nadziei lepszej przyszłości. On wśród powszechnego zwątpienia, wśród powszechnej niedoli odezwał się ze słowami pociechy; on jeden w tych ciężkich, w tych strasznych czasach, krzepił nieszczęśliwy naród i zachęcał do wytrwania.

Pieśń jego stała się balsamem, gojącym rany narodu; pieśń jego pokrzepiła naród, dodała mu sił do wytrwania wszystkich nieszczęść, które już spadły i jeszcze spaść miały i odrodziła cały naród.

Tak stały się dzieła Mickiewicza nieustającą krynicą pociechy w niedoli i nieszczęściu i już na zawsze takiemi zostaną.

Tak pojmował Mickiewicz zadanie poezji i tak zadanie to spełniał.

Inni poeci w pieśniach swoich przelatują z północy na południe, ze wschodu na zachód. Mickiewicz zaś wszystkie swe myśli zwraca w strony ojczyste, nie widzi nic po za ziemią rodzinną. Przywiązanie Adama do jego stron rodzinnych i miłość ziemi ojczystej, przytłumiały w nim wrażenia najpiękniejszych krajów. Na widok stepów Akermańskich słuchał głosu z Litwy: na ziemi wśród najpiękniejszych widoków i krajobrazów wspominał z tęsknotą swoją ziemię rodzinną; zawsze i wszędzie szukał Ojczyzny.

Ta swojskość, to rodzinne ciepło, ten ojczysty narodowy charakter, wyróżniają dzieła Mickiewicza od dzieł innych poetów i sprawiają, że one tak są drogie naszemu sercu.

Wszystkie jego utwory związane są z naszą ziemią, z naszą historją, z naszem życiem. Ziemia ojczysta była tem ogniskiem, w którem skupiały się wszystkie jego myśli i natchnienia.

Kochającem swem sercem objął cały kraj, całą Polskę i wszystkich jej mieszkańców: przeszłość narodu, teraźniejszość i przyszłość. Pamięć jego kochającego serca obejmowała nawet najdrobniejsze zdarzenia z przeszłości naszego kraju, kazała mu pamiętać o wszystkiem, i o ziemi, i o ludziach, a nie pozwalała mu zapomnieć o nikim i o niczem. On wszystko przygarnia i tuli do swego łona, ze wszystkiego potrafił wykrzesać poetyczną iskierkę, wszystko potrafił przelać w najpiękniejsze i najcudniejsze formy poezji. Dlatego w dziełach jego wszystko polskie, wszystko nasze, i kraj i ludzie i przyroda, od robaczka i trawki na ziemi do obłoków i gwiazd na niebie. On nauczył nas poznawać naszą ziemię, rozumieć i kochać. On odkrył i pokazał nam wszystkie jej piękności, on w dziełach swoich roztoczył przed nami wszystko, co znalazł w niej pięknego i dobrego — dlatego pieśni jego budzą miłość ziemi rodzinnej i wszystkiego, co się na niej znajduje. Tu się człowiek napije, nadysze Ojczyzny.

Wszystko to opowiedział nie chłodno i obojętnie, lecz z istotnem wzruszeniem i miłością. W każdem słowie czuć drżenie gorącą miłością bijącego serca, czuć zapał, wiarę, przekonanie. Wszystko to porywa nasze serca. Gdy uderza w struny żałosne, wówczas razem z nim się smucimy i płaczemy; lecz gdy nastroi swą lutnię na ton weselny, wtedy staje się nam lekko na sercu, oddychamy radością, zapominamy o wszystkich udręczeniach, biedach i troskach powszedniego życia. Wskutek tego dzieła jego są źródłem niezamąconego szczęścia, nieustającej pociechy i takiemi już na zawsze pozostaną.

Cóż dopiero dzieje się w naszem sercu, gdy zacznie śpiewać o wielkiej naszej przeszłości, gdy przed oczy nam postawi onych wielkich bohaterów narodowych: Rejtana, Kościuszkę, księcia Józefa, Dąbrowskiego, Kniaziewicza, ich nadzieje, ich pragnienia i usiłowania!

Wówczas serce żywiej uderza, budzi się w sercach otucha, nadzieja i wiara w lepszą przyszłość.

Tyle tu ciepła, że ono wystarczy do ogrzania serc całego narodu i wszystkich jego pokoleń po wszystkie wieki.

Mickiewicz zjednał sobie miłość całego narodu i wszystkich stanów. Stało się to nietylko dlatego, że jest poetą narodowym, że odmalował z taką miłością całą naszą ziemię ojczystą, że wyraził nasze cierpienia, nadzieje i radości, lecz także przeto, że dzieła jego są przystępne dla wszystkich. Są to utwory genialne, znakomite, prawdziwe arcydzieła, pełne wzniosłych i głębokich myśli, a jednak wszystko wyraził poeta tak jasno, tak po prostu i zrozumiale, że każdy je pojmie i zrozumie; że czytać je może stary i młody, człowiek wykształcony i prostaczek, a do każdego serca dzieła te jednakowo przemówią. Każdy pozna i zrozumie przedziwną piękność i wysoką wartość tych dzieł, każdy znajdzie tu osłodę i pociechę.

Dlatego dzieła Mickiewicza stały się dziś własnością całego narodu. Nawet pragnienie Mickiewicza, by księgi jego zbłądziły pod strzechy

wieśniacze, zaczyna się urzeczywistniać: już i tam zabłądziły jego pieśni, wszędzie przynoszą ze sobą prawdziwe szczęście i prawdziwe błogosławieństwo.

Z tych powodów od pierwszej chwili swego wystąpienia wywierał Mickiewicz na całe społeczeństwo wpływ niesłychany. Przemawiał z prawdziwą jasnością i prostotą, rozumieli go więc wszyscy i odczuwali głęboko każdą jego myśl, każde niemal uderzenie jego serca. Społeczeństwo pilnie wsłuchiwało się w dźwięki jego lutni i nietylko wcześnie zaczęło go otaczać miłością, lecz posłuszne, jakby na rozkaz wodza, szło tam, gdzie on prowadził. Ten przedziwny dar przemawiania do serc sprawił, że Mickiewicz pieśnią swoją zapalał, porywał i prowadził za sobą cały naród. Każdy jego utwór, dostając się do umysłów i serc całego narodu, obudzał u wszystkich te same myśli, te same pragnienia, ten sam zapał, tę samą wiarę w zwycięztwo świętej sprawy, skupiał myśli całego narodu w jedno ognisko — a te myśli niejednokrotnie stwarzały czyn. W ten sposób dzieła Mickiewicza stały się źródłem, z którego wypłynęło niejedno zdarzenie historyczne, niejeden poryw, niejedno usiłowanie, może niekiedy w skutkach swoich smutne i bolesne, ale piękne i szlachetne, bo wywoływało je gorące pragnienie polepszenia jego nieszczęsnej doli *).

Dlatego za życia Mickiewicza oczy całego narodu były na niego zwrócone: on był duchowym wodzem narodu, jego przewodnikiem, nauczycielem, on prowadził, wskazywał drogi.

A dziś, gdy niema go już między nami, czy jest inaczej, czy przestał już być hetmanem naszych myśli i pragnień, czy nie jest już naszym przewodnikiem i nauczycielem?

O nie! dziś wpływ jego nietylko się nie zmniejszył, lecz z dniem każdym wzmaga się i rośnie coraz bardziej i im bardziej oświata się rozszerza, tem więcej serc zdobywa sobie Mickiewicz, tem

*) Gaz. Nar. 1890. Nr. 152. A. M. wobec świata i Polski.

bardziej rośnie jego wpływ i znaczenie. I tak już będzie zawsze: miłość i wdzięczność dla Mickiewicza nigdy nie wygaśnie w naszych sercach, nigdy też nie rozłączymy się z jego pieśniami, bo one przeszły nam już w krew i duszę, niemi żyjemy i oddychamy.

Mickiewicz wiecznie będzie nam świecić jako najpiękniejszy, wiecznie jaśniejący wzór cnót wszelakich, wiecznie będzie jaśniał jako wzór człowieka, wzór przyjaciela, wzór męża, ojca, obywatela.

Dzieła Mickiewicza na zawsze pozostaną dla narodu niewyczerpaną skarbnicą piękna, prawdy, mądrości, nigdy nie wysychającem źródłem wszystkiego, co dobre i szlachetne. Z niemi się naród nigdy nie rozłączy, bo są dla niego prawdziwym skarbem, prawdziwą manną niebieską. Niema tu ani jednej kropli goryczy, ani jednej zgorzkniałej myśli, zatruwającej serca i dusze; wszystko tchnie miłością dobra, prawdy, sprawiedliwości, na każdej karcie świecą najpiękniejsze przykłady cnoty, poświęcenia i miłości Ojczyzny.

Dzieła jego zachęcają i zagrzewają do pracy, budzą wiarę we własne siły, prowadzą do dobrego, rozpalają w sercach miłość Ojczyzny, wątpiących krzepią i podnoszą na duchu, osłabłym sił dodają, mocnych potężnymi czynią. „Ten święty ogień jego poezji nietylko rozjaśnia nam umysł, zagrzewa serce, ożywia wyobraźnię, utwierdza poczucie narodowe, ale zwraca myśli nasze ku najwyższym ideałom ludzkości, ku dobru, pięknu, prawdzie i ku odwiecznemu ich źródłu — Bogu“ *).

Dlatego cały naród z bijącem sercem, ze łzą radości w oku obchodzi dziś uroczyście wielkie święto narodowe i dziękuje Bogu, że nam w najcięższych czasach zesłał takiego przewodnika.

W uroczystości tej biorą udział wszyscy, od najwyższych do najniższych, bogaci i ubodzy, cały naród, wszystkie stany, bo do wszystkich należy Mickiewicz, do całego narodu. Dlatego i my przy-

---

*) Tretiak: M. jako nauczyciel. Szkoła 1890.

łączamy się dziś do hołdu, jaki naród składa Mickiewiczowi i przynosimy mu nasze serca w ofierze. Czynimy to z największą ochotą i radością, bo i my jesteśmy cząstką narodu, tak ukochanego przez Mickiewicza, i my Mickiewicza kochamy, czcimy, podziwiamy i my czujemy gorącą wdzięczność dla niego za to wszystko, co uczynił dla naszego narodu.

Uroczystością tą oddajemy hołd nietylko Mickiewiczowi, ale także tym ideałom, które mu przyświecały przez całe życie. Niech ta uroczysta chwila gorącą naszą miłość ku Mickiewiczowi jeszcze bardziej rozpali, uwielbienie szerzy, lecz niech także zapali w naszych sercach miłość dla tych wzniosłych ideałów.

Niech płonie to ognisko, ten znicz narodowy, który on rozniecił, niech coraz jaśniejszym płomieniem świeci i grzeje, niech coraz więcej serc ogniem swym ogrzewa, a kiedyś zabłyśnie nam tak gorąco przez ukochanego wieszcza wyglądana i oczekiwana jutrzenka swobody.

Uroczystość odsłonięcia pomnika Tadeusza Kościuszki w Rzeszowie.

(Z illustracją wkładkową, wykonaną według fotografii Edwarda Janusza z Rzeszowa).

Do uroczystości narodowych należy także odsłonięcie pomnika wodza z pod Racławic na rynku rzeszowskim; jest to — o ile nam wiadomo — pierwszy pomnik przez większe miasto w Galicji poświęcony pamięci wielkiego wodza. Rzeszów pod tym względem wyprzedził Lwów i Kraków i zasłużył sobie na wzmiankę szerszą, aniżeli kronikarska.

Podajemy opis tej wielkiej uroczystości narodowej, która się odbyła 26. Czerwca 1898, wiernie według tekstu pisma lokalnego, zatytułowanego: „Głosem Rzeszowskim“.

Nie mogliśmy niestety otrzymać kompletu numerów, odnoszących się do uroczystości; ale i to, co zawdzięczamy uprzejmości komitetu obchodowego, wystarczy może dla czytelnika, aby sobie odźwierciedlił tę jasną chwilę, jakich niedużo doczekać dano naszym ziomkom.

Odezwa Komitetu pomnikowego.

Cześć Kościuszce! Nie zginie nigdy naród, umiejący czcić bohatery i proroki swoje!

Tę niezłomną dziejową prawdę stwierdza dziś naród polski, stojąc pomimo przemocą wbitych słupów granicznych, pomimo wiekowej orgii prześladowań naszej wiary i ojczystego języka, silniejszym dziś duchowo i liczebnie, niż w chwili utraty politycznego bytu.

Tę siłę ducha, tę moc wytrwania w cierpieniach i niezłomność w dążeniu do świętych celów wyzwolenia naszej Ojczyzny, budzi i utrzymuje w nas światło, płynące ku nam od mężów opatrznościowych, od bohaterów i wieszczów naszych.

Mężem opatrznościowym, bohaterem i prorokiem naszym był Tadeusz Kościuszko, na którego wspomnienie samo każde polskie serce żywiej uderza, bo pamięć jego czynów, bo miłość, cześć i wdzięczność dla niego tkwi w nas jako nieodłączna cząstka naszego duchowego ja, naszego narodowego charakteru.

Tej miłości, czci i wdzięczności dla Bohatera z pod Racławic daje dziś wyraz gród nasz, któremu przypadł w udziale zaszczyt postawienia Kościuszce pierwszego na polskiej ziemi pomnika.

Ta miłość, wdzięczność, cześć i uwielbienie, jakie wszyscy bez różnicy stanów dla Kościuszki więcej lub mniej świadomie czujemy, mają głębokie dziejowe uzasadnienie.

Miała Polska wodzów od Kościuszki znakomitszych, szczęśliwszych, bardziej zwycięzkich, miała polityków bieglejszych — ale nie miała żadnego, któryby tak jak on streszczał w sobie narodowy ideał, któryby wskutek tego tak daleko

sięgnął w przyszłość wynikami swego żywota i w tem znaczeniu stał się nieśmiertelnym.

On wchłonął w swego ducha to wszystko, co prawdziwie proroczą myślą, jako groźną dla szlacheckiej Rzeczypospolitej przestrogę, głosili przed nim Modrzewski, Skarga, nieszczęśliwy król Jan Kazimierz, Konarski, Leszczyński — on stał się nieodrodnem dzieckiem i wykonawcą wiekopomnej Konstytucji 3-go Maja — on ogarnął miłością swoją nietylko tę Polskę, która jest, ale i tę, która będzie, nietylko naród szlachecki, ale i brać siermiężną i warsztatową, genialną świadomością widząc w niej siłę ku utrzymaniu upadającej a wskrzeszeniu upadłej Ojczyzny.

Odczuł lud polski tę wielką miłość swego Naczelnika w sukmanie i zgarnął się pod jego sztandary ochoczo, równą mu odpłacając miłością, bo miał do niego zupełne zaufanie, bo widział w nim rękojmię lepszej dla Ojczyzny i ludu pracującego przyszłości.

I w tem tkwi dziejowa wielkość Kościuszki i dziejowa ważność dnia Racławickiego, że za jego sprawą bezmyślny dotychczas i nieświadomy chłop poczuł się synem Polski, stał się... Bartoszem Głowackim.

Kościuszko uratował honor Polski, sponiewierany przez Stanisława Augusta, przez „jurgieltników“, przez Targowiczan, przez tych, co Ojczyznę przepili, przegrali w karty, przefrymarczyli za uśmiechy „dostojnych“ nierządnic. Uratował on z tego zamętu zepsucia nieskalaną myśl polską, ocalił ideę Konstytucji 3-go Maja i sam ją dalej rozwijając, przekazał następnym pokoleniom jako testament i sztandar.

Tylko my sami zdradzeniem tej myśli, opuszczeniem tego sztandaru, moglibyśmy zmarnować wielką Kościuszkowską spuściznę.

Niechże ta dzisiejsza uroczystość poświęcenia pomnika będzie aktem ślubowania wielkiemu Naczelnikowi w sukmanie: że śladem jego wielkiej myśli pójdziemy dalej wszyscy bez różnicy stanu i zawodu, że jak on cały naród ukochamy, że lu-

dowi siermiężnemu i robotniczemu prawdziwymi będziemy braćmi, że wszelka nasza praca i ofiara będzie dla wspólnej naszej Matki-Ojczyzny, której Racławickie kosy tak dzielnie bronić umiały, a dotrzymując wiernie tego ślubowania, będziemy mogli z otuchą wytrzymywać wszelkie niszczycielskie wrogów zapędy i oczekiwać, silni jednością, chwili, kiedy zegar dziejowy godzinę wolności wydzwoni.

Obywatele! Dnia 26. bm. nastąpi odsłonięcie pomnika Tadeusza Kościuszki. Z pomiędzy grodów Polski miasto nasze pierwsze uczci zasługi i pamięć bohatera z pod Racławic, obrońcy wolności dwóch światów, ostatnią gwiazdę upadającej Rzeczypospolitej i pierwszą jutrznię odrodzonej Ojczyzny.

Jak dobry wódz nawy ostatni schodzi z pokładu, a zwyciężony przemocą wrogiego żywiołu, ocala załogę i nowe wśród odmętu ukazuje drogi, nowe przystanie i zorze, tak i Kościuszko, padając na wyłomie, wieszczemi usty rzucił nam hasło zbawienia: przez wolny i oświecony lud do swobody!

Upłynął odtąd cały jeden wiek ciężki i krwawy dla nas. Zrywał się naród i w nierównej walce padał; ogień ducha i krew serdeczna nie zdołały przepalić i przeżreć łańcucha niewoli. Ale im bardziej zwątpienie piersi nam gniotło, tem jaśniej płonęła nam gwiazda Kościuszki, tem szczerzej, z tem większą otuchą wołaliśmy: przez lud do wolności! Przez zdemokratyzowanie całego narodu do nowej, wolnej Polski.

Głos ten i hasło to przerosło i przerasta ciągle powoli w czyn. I chociaż dziś nie wiemy, kiedy na znak ukończonej budowy zatkniemy orła na szczycie gmachu, czujemy jednak wszyscy, że podwaliny rzucone i głębokie są i na szerokiej oparte podstawie, więc trwałe i silne.

Praca nieskończona. Budujmy dalej wytrwale; na dzień trudu i znoju zwołujmy się okrzykiem: Bóg i Ojczyzna! — a na dzień odpoczynku hasłem niech nam będzie: cześć dla bohaterów przeszłości!

Taki uroczysty dzień wytchnienia będziemy w niedzielę wspólnie obchodzili. Poświęćmy go

pamięci Tego, co honor Ojczyzny mieczem ocalił, cierpiał za naród, bo go kochał, za naród krew przelewał i zbudził go na nowe jutro.

Uczcimy Go godnie, stawiając Jego posąg; uczcimy Go zgodnie bez różnicy stanów i zawodów; a uczcimy Go poważnie, gdy zachowamy sforność i wzorowy porządek.

Program uroczystości przy odsłonięciu pomnika Tadeusza Kościuszki w Rzeszowie dnia 26. Czerwca 1898.

O godz. 5 rano strzały moździerzowe.

O godz. 6 rano pobudka Kościuszkowska z wieży farnej.

O godz. 7, 8 i 9 rano hejnały z wieży farnej.

O godz. 9 rano zebranie w salach i na boisku „Sokoła“.

O godz. 10 przed południem pochód ze salinarną orkiestrą bocheńską do kościoła farnego.

Od godz. $10^1/_2$ do 12 w południe uroczyste nabożeństwo w kościele farnym, podczas którego będzie wypowiedziane okolicznościowe kazanie, a chór odśpiewa mszę Karpińskiego (solo sopranowe i barytonowe, oraz duet).

O godz. 12 w południe pochód na Rynek. U stóp pomnika przemówi reprezentant komitetu i odsłoniwszy pomnik, powierzy go opiece miasta Rzeszowa, poczem ks. proboszcz dopełni aktu poświęcenia pomnika, a po odśpiewaniu kantaty przez chór męzki, burmistrz obejmie pomnik imieniem miasta. Nakoniec przemówią reprezentanci towarzystw i korporacyj, biorących udział w uroczystości, poczem odbędzie się pochód powrotny ku placowi „Sokoła“ celem rozejścia się.

O godz. 4 po południu festyn w parku miejskim ze współudziałem orkiestry salinarnej z Bochni, lub w razie niepogody koncert tejże orkiestry w gmachu „Sokoła“.

O godz. 9 wieczorem uczta składkowa w sali „Sokoła“.

Dla pań będzie zarezerwowane miejsce w pobliżu pomnika. Uprasza się usilnie, ażeby wszyscy biorący udział w uroczystości zaopatrzyli się w odznaki pamiątkowe. Właściciele realności i mieszkańcy raczą domy i okna odpowiednio ozdobić.

Ażeby pochód nie doznał przeszkód, musi być droga zupełnie wolną, widzowie przeto zechcą mieścić się na chodnikach. Wskazówki straży honorowej, odznaczonej białemi kokardkami, należy bezwarunkowo uwzględniać.

Wstęp do parku 20 ct., na koncert w sali „Sokoła" 40 ct., na galerję podczas bankietu 50 ct. od osoby. — Strój uroczysty!

KANTATA

na odsłonięcie pomnika Kościuszki w Rzeszowie.

(Słowa M. Szukiewicza, muzyka J. Czubskiego).

Uderzcie w dzwon! niech z bratnich łon
W niebiosa płynie śpiew:
Cześć Temu, cześć! co jarzmo zgnieść
Biegł w ogniu dział jak lew.
O bohaterski, płomienny duchu!
Kędy lud jaki gniotła obroża,
Kędy lud jaki jęczał w łańcuchu,
Szedłeś przez lądy, szedłeś przez morza,
A wszędzie dłoń Twa dzielna i święta
Rwała okowy, kruszyła pęta.
Ze zgliszcz dźwigając praojców dworzec,
Szedłeś nas zbawić od łez i krwawic —
W walce z przemocą padł Twój proporzec,
Aleś nam zatlił gwiazdę Racławic!
I oto brat nam urósł w sukmanie
I odtąd wierzym, że Polska wstanie!
Wstanie silna, nieomylna
I wieczna,
Siłą cudów tarcza ludów
Serdeczna;



Odsłonięcie pomnika Kościuszki w Rzeszowie

(według fotografii Edwarda Janusza z Rzeszowa).

Wstanie wielka Rodzicielka
Równości,
Chłop i panek ujrzą ranek
Wolności!
Żeś imię Polski rozsławił na globie —
Cześć Tobie!
Żeś krwią swą świata zlał półkule obie
Cześć Tobie!
Żeś był kotwicą nawy w rozbić dobie —
Cześć Tobie!
Żeś nowe życie zaszczepił na grobie —
Chwała, cześć Tobie!

PRZEMÓWIENIE

Dra Stanisława Jabłońskiego, burmistrza miasta Rzeszowa, przy odsłonięciu pomnika Kościuszki w Rzeszowie.

I zdawało się, że nad Ojczyzną naszą zapadało wieko trumny. Bohaterowie Baru z bolem zwątpienia zapełniali drogi Sybiru, lub z sercem rozdartem w progach domowych goili rany, w obronie Ojczyzny poniesione. Głos tryumfu narodu naszego, głos Konstytucji 3-go Maja, zakłóciło echo Targowicy, ten w dziejach naszych „akord fałszywy, ten zgrzyt żelaza po szkle“.

I już sępy drapieżne, co żywe ciało Ojczyzny naszej rozdzierały, złowróżbnym krakały głosem: „to naród umarły, to ziemia stracona, to państwo, co z godnością nawet ginąć nie potrafi“. W Ojczyznie naszej zapanował smutek rozpaczy.

„I cicho, smutno było w tej krainie,
I cicho, smutno było, jak gdy szczęście minie“.

Wtem szerokiemi falami rozchodzi się wieść: Nowe zadrgało życie, zjawił się mąż, który na rynku Krakowa poprzysiągł do ostatniego tchu służyć Ojczyźnie, że wojsko jego nie z samych towarzyszy pancernych i zaciężnych ciurów się składa, ale rdzeniem jego armii to kosynierzy a ofi-

cerami nie sami kasztalanice i podkomorzyce a chłopi i mieszczanie.

A wnet pola Racławic okazały, że Ojczyzna nasza żyje i żyć będzie. Że wkładana przemocą do mogiły, była silniejszą, aniżeli wtedy, gdy samoistną jeszcze była. Przed Kościuszką Ojczyzna składała się z tysięcy, bo narodem była tylko szlachta, Kościuszko do broni powołał lud, wpoił w niego poczucie, że jest synem Ojczyzny, a krwawy chrzest na polach bitew Kościuszki wpisał lud w poczet synów, ciemiężoną Matkę broniących.

W tem główna zasługa Kościuszki, w bohaterze naszym nie największego czcimy wodza, tych w dziejach naszych mamy wielu, czcimy największego obywatela, czcimy prawdziwego ojca Ojczyzny, bo On naród nasz z tysiąców szlachty, duszą swoją rozrodził na miljony obywateli, a miljony ludu naszego to synowie ducha Jego. Ztąd ta niewypowiedziana miłość i cześć, jakiej doznawał Kościuszko od swych żołnierzy, jaką my wszyscy Go otaczamy i w najdalsze otaczać będziemy pokolenia. Oczami duszy przy miejscu wiecznego spoczynku bohatera naszego zobaczyliśmy:

„Jego grobowiec przy bladych lawinach,
Musi być smutnym szmer nad nim w drze-
[winach,
Smutne tam duchy błądzą w księżyc świetny,
Wołając: „Ojcze“, choć on był bezdzietny“.

(Słowacki: „Wacław“).

Ludu nasz, ludu polski, smutne te duchy, to duchy twych naddziadów, smutne wołają: Ojcze, życie nasze, czy nie nadarmo stracone, krew nasza, czy nie marnie przelana? Ojczyzna nasza wciąż jęczy w kajdanach, a synowie synów naszych, czy wszystko robią do jej dźwignięcia? Cóż my im odpowiem? My rozdarci na trzy części przemocą wroga. Gdy ledwie w jednej wolno nam czuć i myśleć, a to nie z naszej zasługi, tylko z łaski wielkodusznego Monarchy, gdy w drugiej wydzierają nam największą świętość naszą, bo religię, gdy

w trzeciej karzą dziatki nasze za używanie języka, z łona matek wyssanego, my niepomni, że:

„Rok za rokiem marnie leci,
My w niewoli, my w niewoli“,

tu gdzie nam myśleć i pracować wolno, dzielimy się na partje i zwalczamy się wzajemnie. Nam nie wolno pozwalać sobie śladem narodów wolnych na zbytek tworzenia partyj między sobą, my tylko jedną tworzyć powinni, nam jedną tylko wolno być partją, partją synów, kruszących więzy nieszczęśliwej Matki. Wszyscy kochamy Ojczyznę, wszyscy bolejemy nad jej stratą, ale boleć wolno nam tylko bolem, który łączy.

„Zamiast nas połączyć,
Boleść obojgu rozdarłszy nam łono,
Zaczęła jady jakieś w sercu sączyć.
I teraz chyba sam Bóg je oczyści,
Smutek podobny był do nienawiści
I stanął czarny, wielki między nami.
Więc rozłączeni byliśmy i sami“.

(Słowacki: „Ojciec zadżumionych“).

A rozłączonymi i samymi być nam nie wolno. Rozłączeni i sami nie wskrzesimy Ojczyzny, do tego trzeba serc nas wszystkich, ramion wszystkich, rozumów wszystkich.

Wdzięczni jesteśmy Komitetowi za wystawienie pomnika Tadeusza Kościuszki. Wdzięczni za cześć, wyrządzoną Ojcu Ojczyzny naszej, wdzięczni za myśli, jakie Jego pomnik w nas budzić winien. A myślą tą, że wskrzesić możemy Ojczyznę tylko wspólną pracą, wspólną ufnością, wspólną miłością, wspólnem spełnianiem obowiązku. A wtedy z podniesionem czołem i radosnem sercem będziemy w prawie zawołać:

„Jeszcze Polska nie zginęła,
Póki my żyjemy!“

Odbieram z podziękowaniem i wdzięcznością w imieniu miasta pomnik Tadeusza Kościuszki.

Odsłonięcie pomnika Józefa Korzeniowskiego w Brodach.

Rok ubiegły, słynny uczczeniem wielkiem wieszcza narodowego Adama w całej Polsce, jak szeroka i długa, zasłynął i tem, że także i innym głośnym mężom stawiono pomniki.

Prawie równocześnie z pomnikiem Mickiewicza w grodzie podwawelskim, powstał pomnik, poświęcony Kościuszce w Rzeszowie. Brody pragnęły już dawno uczcić pamięć jednego z największych powieściopisarzy polskich, Józefa Korzeniowskiego, urodzonego tamże, a prawie 20 lat wstecz sprawa uczczenia jego pamięci tak była popularną w Brodach, że mogłem bez ubliżenia prawdzie o niej pisać w moich „Wrażeniach z wycieczki po kraju" *):

„28. Lipca w chwili wyjazdu mego z Brodów dowiaduję się właśnie od radnego miasta, Dra Tołczesa, że jedną z głównych ulic miasta, ulicę Farną, jednogłośnie przechrzczono na ulicę Korzeniowskiego. Uznanie zasług wielkiego męża świadczy korzystnie o inteligencji brodzkich obywateli i pozostaje tylko do życzenia, aby wszędzie nazwy placów publicznych i ulic, nie mające często najmniejszego znaczenia, jak n. p. ulica lwia, smocza, niecała, ślepa i tem podobne poprzemieniono stosownie do ducha czasu i do wielkich mężów, którzy działaniem swojem nową dla nas utworzyli erę".

Na uczczeniu pamięci Korzeniowskiego ulicą ową nie ograniczyła się jednak wdzięczność brodzkich jego ziomków, rozumiejących, że taki mąż w ro-

---

*) Rzeczone wrażenia, powstałe podczas pierwszych moich wycieczek po kraju w r. 1879, ogłosiłem drukiem w roku następnym.

dzinnem swojem mieście nietylko ulicą, ale i pomnikiem uczczony być powinien.

Zawiązał się tedy komitet, na którego czele jako prezes stał Oktaw Sala, marszałek rady powiatowej brodzkiej, podczas gdy księgarz Feliks West, jeden z najczynniejszych i najgorliwszych obywateli brodzkich, miejsce sekretarza zajmował.

Działano w tej sprawie bez huku i stuku, ale zdziałano wiele; nie była ona zresztą tak rozgłośną, jak sprawa pomnika Mickiewiczowskiego w Krakowie albo pomnika Fredry w stolicy naszej; zeszła nawet poniekąd, choć niesłusznie, na sprawę lokalną. ponieważ mąż tej miary co Korzeniowski, nietylko do jednych Brodów należy.

Nie zawadzi zatem dziś, gdy ten pomnik już wzniesiony został, podać chociaż post festum — do wiadomości szerszych kół relację komitetu pomnikowego.

Z relacji tej wynika, że już 9. Września r. 1895 zawiązało się w Brodach poufne kółko czcicieli zasług wielkiego powieściopisarza i złożyło w księgarni Feliksa Westa na rzecz pomnika 100 koron. To był pierwszy zawiązek funduszu pomnikowego, który w przeciągu niespełna trzech lat urósł do wysokości 2507 koron i 22 groszy. Największego kontyngensu do tej kwoty dostarczyły same Brody wraz z powiatem, chociaż między składkującymi nie brakowało także innych miast i reprezentacyj gminnych i powiatowych, a i prywatna ofiarność nieraz zawezwaną została w celach pomnika. Braki kasowe uzupełniły od czasu do czasu także rozmaite przedstawienia i koncerty, dawane na ten cel, a hr. Olga Dunin Borkowska ofiarowała na fundament pod pomnik kamień na 2 sągi.

Mając już prawie wszystko na pogotowiu, przystąpił komitet do wykonania swojej idei i rozesłał w przededniu odsłonięcia pomnika zaproszenia tym wszystkim, o których mniemał że się sprawą tą zajmować będą, podczas gdy pisma krajowe podały dzień i sposób uczczenia pamięci Korzeniowskiego.

Zaproszenie komitetu, bardzo ozdobnie w drukarni Feliksa Westa wydane, brzmi w następujący sposób:

P. T.

W Listopadzie 1895 r. zawiązał się komitet z pośród obywateli naszego miasta, który za cel sobie wytknął wznieść pomnik Józefowi Korzeniowskiemu w rodzinnem jego mieście, myśl tę nasunęła nam zbliżająca się setna rocznica urodzin znakomitego poety, którego miasto Brody z chlubą może nazwać swem dzieckiem. Trudności techniczne stanęły jedynie na przeszkodzie, że odsłonięcie pomnika nie mogło nastąpić dnia 19. Marca 1897. Choć w opóźnionym terminie, doszła jednak sprawa pomnika do swego końca.

Oto dnia 11. Września b. r. odbędzie się odsłonięcie pomnika Józefa Korzeniowskiego w Brodach, w wigilię zaś tej uroczystości urządzony będzie wieczór ku czci Józefa Korzeniowskiego. Ponieważ uroczystość ta ma być wyrazem hołdu, jaki składa swemu znakomitemu ziomkowi miasto Brody i okolica, przeto komitet odwołując się do patrjotyzmu obywateli zarówno miasta, jak i powiatu brodzkiego, tuszy sobie, że Szanowne obywatelstwo nasze zechce wziąć liczny udział w tych uroczystościach, na które ma zaszczyt niniejszem zaprosić wszystkich, którym jest drogie imię i pamięć znakomitego poety.

W Brodach, 5. Września 1898.

Za komitet:

Feliks West, sekretarz

Oktaw Sala, prezes

PROGRAM.

Uroczystość Odsłonięcia Pomnika

Józefa Korzeniowskiego

w Brodach w dniach 10. i 11. Września 1898.

W sobotę dnia 20. b. m. o godz. w pół do 8-mej wieczór,

jako w wigilię odsłonięcia pomnika

odbędzie się

przy współudziale Towarzystwa muzycznego i prof. Michała Druckera,

Wieczór uroczysty

w dużej sali teatralnej.

1. Słowo wstępne.
2. Tittl, Uwertura słowiańska, odegra orkiestra Towarzystwa muzycznego.
3. Doktor Medycyny, komedyjka w 1 akcie Józefa Korzeniowskiego, odegrają amatorowie.

OSOBY:

Chorążyna.
Karol, jej syn.
Podsędek.
Pułkownik.
Anna, jego córka.
Marszałek.
Marszałkowa.
Hipolyt, ich syn.
Stefan, służący.

4. *a*) Drucker M., Marzenie — Pieśń bez słów | solo skrzypcowe
b) Drucker M., Czarny cygan — fantazja | odegra kompozytor.

5. Tymolski J., Polonez — odegra orkiestra Towarzystwa muzycznego.

6. Nasza Prawda,

scena z życia Polski z r. 1863. Jeden z ostatnich utworów Józefa Korzeniowskiego — nieogłoszony dotychczas drukiem — odgrywają amatorowie.

OSOBY:

Pierwszy Stary.
Drugi Stary.
Trzeci Stary.
Pierwszy Młody.
Drugi Młody.
Trzeci Młody.
Czwarty Młody.
Powstańcy, lud.

W niedzielę 11 Września

o godz. 11. rano w rzym. kat. kościele parafialnym solenne nabożeństwo z kazaniem, z kościoła procesjonalnie uda się publiczność na plac Sobieskiego, gdzie nastąpi odsłonięcie pomnika.

Kantatę odśpiewa Kółko śpiewackie.

Mowa Marszałka powiatu a Prezesa komitetu, oddającego pomnik miastu.

Mowa burmistrza przyjmującego ten pomnik.

Hymn odśpiewa Kółko śpiewackie.

Mowa jednego z członków rodziny Józefa Korzeniowskiego.

Poświęcenie pierwszej szkoły polskiej w Białej.

Dawno dobijała się Polonia, rozprószona na kresach zachodnich, o prawa swoje, zaprzeczone jej przez nienawistnych jej Niemców. Kto się o doli naszych rodaków w Białej dokładniej chce poinformować, ten nie obejdzie się zapewne bez mojej pracy: „Dzień polski w Białej“, w której na podstawie własnych badań i doświadczeń starałem się wykazać rozwój żywiołu polskiego tamże wśród nieustannych walk z nieprzychylnymi mu Niemcami.

Jedno z najświetniejszych zwycięztw idei polskiej jest właśnie ta pierwsza „Szkoła polska w Białej“, której potrzebę odczuli już dawno wszyscy prawdziwi patrjoci, choć wykonanie tej myśli w głównym udziale przypadło „Towarzystwu szkoły ludowej“ w Krakowie.

Wielki nasz poeta i mąż stanu Adam Asnyk jest jednym z głównych inicjatorów tej myśli, której zrealizowania niestety się nie doczekał; ale nie padło ziarno na nieurodzajną glebę. Myśl wybudowania szkoły polskiej na kresach zachodnich znalazła entuzjastycznych zwolenników wśród Polonii bialskiej. Zawiązał się komitet miejscowy, na którego czele stanął znany moim czytelnikom z „Dnia polskiego w Białej“ polski patrjota Dr. Bogdanik z Biały, i dążono do celu choć z powolnym namysłem, ale stale i wytrwale.

Wybudowanie takiego pomnika myśli polskiej wśród nieprzychylnych jej nastręczyło nielada trudności; wzniesienie gmachu było z wielkimi kosztami połączone, aby zaś imponować bialskim mieszkańcom, we wszystkiem przyzwyczajonym do wielkiego przepychu, budowla musiała być okazałą, aby rywalizację z podobnemi zakładami naukowemi niemieckiemi w Białej wytrzymać mogła. I Niemcy sami zrobili najrozmaitsze trudności; szykanami usiłowano przewlec i utrudnić budowę,

której zakazać nie leżało w obrębie możebności, a gdy już prawie wszystko było pod dachem, to bodaj błotem obrzucono gmach, na którego usunięcie z powierzchni ziemi daremnie by się kuszono.

Duch patrjotyczny Polonii bialskiej naigrawał sobie jednak z tych nędznych i idjotycznych wyzywań a gdy się zbliżył czas otwarcia pierwszej szkoły polskiej w Białej, naznaczony na dzień 1. Września 1898 roku, wtedy pojawił się nakładem H. Truskolaskiego a drukiem Andrzeja Mädlera w Białej

„Wiersz z teki Litwina, poświęcony ukochanej młodzieży na pamiątkę otwarcia szkoły w Białej w dniu 1. Września 1898 roku“.

Rzeczony wiersz, z którego rozprzedaży autor dochód przeznaczył na budowę schroniska dla młodzieży szkolnej w Białej, zanadto jest charakterystyczny, abyśmy go tu milczeniem pomijać mieli. Jako wyraz polskich uczuć ogłoszony, na tej podstawie reprodukowany też został przez pisma polskie.

Sądzimy więc, że się przysłużymy naszym czytelnikom, jeśli go w naszym opisie poświęcenia pierwszej szkoły polskiej w Białej także umieścimy.

Wiersz „Litwina“ brzmi:

Sursum corda!

Rodzinny dźwięk ulata w niebios stropy...
I chylą się wierzchołki swojskich gór,
A zwiastun ptak wzlatuje nad okopy...
Na kresach naszych stron, rozbrzmiewa chór.
    Dla polskiej mowy steru wyrosła tu strażnica,
    Wokoło sieje blask i tryumfalny chłód...
    Źródło nauki — królewska to skarbnica...
    Zbudzone dziecię — to Polski nowy płód!
Rodzi się mowy prąd — niemowlę jeszcze śpi...
Lecz przyjdzie dziejów czas — uleci orła cień...

Zaklęty w mur przepięknej bialskiej szkoły,
Rozjaśni noc — rozchmurzy dzień i wyśle swe
[sokoły!
Lecz dziś, gdy serce drży.. oświaty nieśmy
[broń.
Gdy duchy nam zwiastują radość szczerze,
My stójmy wraz i dłonią w dłoń...
A Zygmunt w pieśń... uderzy!
Zaleci głos w Cieszyna mury stare...
I Wisły wnet zagrają fale szare...
Zanucą hymn weselnych... wolnych dni,
Bo Szlązk o Polsce śni!
Pójdź biedna dziatwo ma! gdzie wschodzi
[Ojców siew...
Pójdź tu! Pielęgnuj lacką krew...
Kościuszko Cię i Asnyk błogosławi...
Bóg Polskę zbawi!

„Towarzystwo Szkoły ludowej“ w Krakowie nie zadowoliło się jednak tem, że otwarcie pierwszej ludowej szkoły polskiej na kresach zachodnich Galicji odbyło się prawidłowo w dzień 1. Września 1898; bo była to niejako uroczystość intra muros, uroczystość lokalna. Aby jej większe nadać znaczenie, trzeba ją było przemienić na uroczystość narodową, i w tym też celu naznaczyła „Szkoła ludowa“ w Krakowie, niezależnie od dnia otwarcia dzień poświęcenia szkoły polskiej w Białej na 15. Października 1898.

Był to dzień sobotni, dzień patronki Szlązka, S-tej Jadwigi, i w Polsce nie małą czcią otoczonej. O tym dniu uwiadomiono gazetami wszystkich tych, którzy się interesowali i dotąd interesują sprawami Polski na kresach, aby przybyli jak najliczniej i bytnością swoją i udziałem w tej pięknej uroczystości narodowej udowodnili, że Polska żyje.

Program, nadesłany uczestnikom uroczystości, a który i ja otrzymałem, brzmi:

„Mamy zaszczyt zaprosić WP. . . . na uroczystość poświęcenia Szkoły polskiej w Białej, od-

być się mającą w dniu 15. Października b. r. według załączonego programu.

Z uszanowaniem
Zarząd główny Tow. Szkoły Ludowej.
Kraków, dnia 8. Października 1898 r.“

Program, który poniżej streszczamy, podaje pojedyńcze szczegóły i porządek odbyć się mającej uroczystości.

Zawierają się one w następnych punktach:

1. Nabożeństwo o godz. 10. rano (kazanie ks. Chromeckiego).
2. Zebranie w dziedzińcu szkolnym zaraz po nabożeństwie i przemówienie tamże.
3. Poświęcenie gmachu i zwiedzenie sal szkolnych.
4. Zebranie w wielkiej sali szkolnej:
   a) przemówienie;
   b) śpiew dziatwy;
   c) rozdanie upominków dziatwie.
5. Odsłonięcie tablic pamiątkowych w bramie głównej.
6. Obiad wspólny o godz. 3. popołudniu.
7. Wieczorek ku czci Tadeusza Kościuszki o godz. 7. w lokalu „Czytelni Polskiej“.

Program jak widać dosyć urozmaicony; to też Dr. Bogdanik jako prezes komitetu miejscowego i jako dobry Polak miał dosyć do czynienia, aby odpowiadać wszystkim wymaganiom. Uczynił nawet ofiarę ponadto: bo wyrzekł się na kilka dni przed rozpoczęciem uroczystości swojej bardzo bogatej praktyki lekarskiej, w której się wyręczyć pozwolił koledze, aby niepodzielnie być czynnym dla dobra publicznego.

Zrana o zapowiedzianym czasie rozpoczęło się nabożeństwo. Był to widok zaiste wzruszający: nauczyciele polscy na czele niezliczonej dziatwy polskiej, sztucznie niemczonej i oderwanej od łączności z ogółem polskim, tu po raz pierwszy zgromadzili się na tej placówce pozornie opuszczonej, ale nie straconej ze wszystkiem dla narodu, w tem mieście, gdzie do niedawna polskie słowo

ukryć się musiało w łonie rodziny, aby na ulicy nie wywoływać prowokacyj Niemców; w tym kościele, w którym niedawno jeszcze polskie słowo, polskie kazanie było rzeczą tak niezwykłą i tak niemiłą dla spanoszonych fabrykantów niemieckich, iż skargami zasypywali władze duchowne za to mniemane bezprawie. To też trzeba było aż duchownego z Krakowa poszukać, aby się w tak uroczysty dzień naraził na przemówienie w języku ojczystym do zgromadzonych w kościele tłumów publiczności; ksiądz bowiem polski, w Białej zamieszkały i stabilizowany, mimo wszelkiego patrjotyzmu polskiego, którego zaprzeczyć mu nie myślimy, z łatwo zrozumiałych powodów nie miałby odwagi, w ten właśnie dzień przemówić po polsku do polskiej publiczności, bo naraziłby się bezwarunkowo na szykany i na zemstę Niemców a szczególnie niemieckiej rady gminnej jako patronki miasta.

Antagonizm ten między władzami rządowemi i autonomicznemi miejskiemi wystąpił jeszcze jaskrawiej przy samej uroczystości poświęcenia szkoły; z władz rządowych nie brakowało ani jednego reprezentanta, z władz krajowych tak samo; z władz miejskich nie było ani jednego, a przecież zaproszono i burmistrza Rudolfa Lukasa do wzięcia udziału w uroczystości, a on się wymówił słowami: „Nie mogę, nie mogę — bo coby mówiono na to?“

Coby mówiono? mówionoby, że raz przecież Niemiec bialski przestał się wyłącznie kierować zasadami szowinizmu niemieckiego i oddał należyty hołd sprawiedliwości. Do mieszkańców miasta, na równi z innymi opodatkowanymi, nie należeli bowiem i nie należą sami Niemcy, ale także i Polacy, mający równe prawa z innymi, a jeśli na równi z innymi pośrednio lub bezpośrednio wiedzą swoją czy pieniędzmi przyczynili się do rozwoju Biały, to mają prawo żądać, aby magistrat bialski ich za obcych intruzów i za wrogów nie uważał. Czy nowopowstały pałac — bo gmachem w zwykłem tego słowa znaczeniu bu-

dowy tej nazwać się nie godzi — czyż pałac, w którym się obecna rada gminna bialska mieści, wyłącznie powstał ze składek niemieckich? czyż tylko Niemcy wyłącznie swoim groszem przyczynili się do utrzymywania i rozwoju zakładów naukowych i fabryk w mieście? Sądzę, że to pytanie dawno przestało być kwestją nierozstrzygniętą.

„Bezstronność swoją“ zamanifestował natomiast magistrat bialski na inny a to bardzo rażący sposób: nieutrzymaniem porządku, o ile takowe od funkcjonarjuszów miejskich, od miejskiej policji zależało, podczas samej uroczystości. Było to w dzień sobotni: ten dzień od dawien dawna jest dniem targowym w Białej; fury kręciły się wszędzie i mogły nawet popłoch szerzyć i wypadki nieszczęsne powodować między dziatwą i gośćmi, wracającymi z kościoła. Dla utrzymywania porządku nie było tu ani jednego policjanta. Ale gdyby tak Niemcy urządzili sobie jakąś uroczystość niemiecką w Białej, a uroczystość wypadłaby przypadkowo na dzień targowy, jakżeby uważano na to, aby ulice, któremi niemiecki pochód miał kroczyć, oczyszczone i zabezpieczone zostały od ruchu kołowego i wozowego!

Z kościoła wprost udali się miejscowi i zamiejscowi uczestnicy uroczystości narodowej do nowego gmachu szkolnego. Jest to wspaniały budynek, czyniący zaszczyt swoim inicjatorom. Mimo pogody niepewnej i nieprzyjemnej — natłok był niesłychany. Jedni gromadzili się na dziedzińcu dwupiątrowego gmachu, drudzy wdrapali się na piętro, gdzie gości upragnionych uprzejmie witał gospodarz nowego gmachu szkolnego, dyrektor Rotter, brat posła krakowskiego. Wkrótce jednak wszyscy zeszli na dziedziniec; akt inauguracyjny bowiem tam miał się rozpocząć.

Pierwszy imieniem „Towarzystwa szkoły ludowej“ przemówił Dr. Ernest Bandrowski, po nim Dr. Bogdanik jako prezes miejscowego komitetu budowy. Charakterystyczny ze względu na stosunki miejscowe jest ustęp z mowy tegoż, w którym mowca szczególny nacisk kładzie

na szczegół, że nowa szkoła polska nie została założona w celach zaczepnych i dla Niemców wrogich, ale w celach obrony, w celach wydoskonalenia i kształcenia się w języku ojczystym, który każdemu Polakowi nadewszystko drogim być powinien. Obok języka polskiego i język niemiecki nie zostanie jednak zaniedbany, tylko że dzieci polskie prawidłowiej uczyć go się będą, aby kiedyś zdołały przemówić nie językiem prostych urlopników, ale językiem wykształconym Goethego i Szyllera. (Jest to bardzo przejrzysta alluzja do gwary ludowej tzw. „Wasserpolaków“ czyli Bialszczan, kaleczących niemiłosiernie tak niemiecki, jak i polski język.)

Po Drze Bogdaniku przemówił dyrektor Rotter, dziękując za zaufanie, w nim pokładzione. Aczkolwiek dumny z tego tytułu, wie jednak, jak ciężką i wielką odpowiedzialność w obec przyszłych pokoleń bierze na siebie; postara się jednak o to, aby godnie mógł odpowiadać zadaniu swemu, licząc pod tym względem już teraz na wsparcie ziomków swoich.

Dalszy akt uroczystości odbywał się na pierwszem piętrze gmachu szkolnego, dokąd z dziedzińca szkoły za przewodnikami swymi a członkami komitetu przenieśli się i goście.

Wygłoszono dalszy szereg mów, których porządek jako mistrz ceremonii ustanowił Dr. Bogdanik. Po odśpiewaniu kantaty okolicznościowej Swieżyńskiego, dzieci szkolne, a mianowicie najpierw chłopczyk a potem dziewczynka w kilku skromnych a serdecznych słowach dziękowały inicjatorom i inicjatorkom szkoły polskiej w Białej za zabiegi, uczynione około urzeczywistnienia tego wielkiego dzieła.

Pani Marja Siedlecka jako przewodnicząca krakowskiego „Koła pań“ złożyła sprawozdanie ze zwycięzkiej czynności swojej, nagrodzone rzęsistemi oklaskami; wygłoszono także wiersz nieznanej polskiej autorki na cześć szkoły polskiej w Białej, również przychylnie przyjęty, a imie-

niem robotników polskich przemówił włościanin poseł Kubik.

Mowa jednak posła tego nie odznaczała się potoczystością; zająkiwał się nieraz i przypominał nam niewprawnych aktorów, którym brak suflera, albo którzy suflera fałszywie zrozumieli.

Po Kubiku na znak dany przez Dr. Bogdanika, wystąpiłem na trybunę i wygłosiłem z pamięci mój wiersz „Idziemy naprzód!", napisany na uroczystość poświęcenia szkoły polskiej w Białej:

„*Idziemy naprzód*, naprzód, mój narodzie,
Pod twojem godłem o chlebie i wodzie
Idziemy naprzód, choćby nam wypadło
Zginąć, marnując młode nasze lata —
Idziemy naprzód, a z nami oświata..
Oświata, naród — to dobrane stadło...
Idziemy naprzód!... taranem na boje —
To duch ojczysty, to jest słowo Twoje,
Ojczyzno nasza, pod której przewodem
My się uczyli pasować się z głodem,
Poświęceń jarzmo nawet na się brali,
Ale *idziemy naprzód*, coraz dalej!
Idziemy naprzód... z ziarenka drobnego
Powstanie drzewo wspaniałe, olbrzymie,
Bo szkoła polska ma patrona swego:
To wódz, którego znane w dziejach imię.
Idziemy naprzód! tak nam pomóż Boże!
Ani nas straszą pogróżki i lżenia,
Ani wzywania, ni zbójeckie noże,
Idziemy naprzód, z nami głos sumienia!
Idziemy naprzód; z źródeł niepokaźnych
Bije nauka strugą niewygasłą,
Wedle wskazówek dla ludu wyraźnych,
Bo wiara w kraj nasz — to jest nasze hasło!
I pojął lud też święte hasło owe,
Bo dzieci polskie napływają chmurą
Do szkoły polskiej po nauki zdrowe,
Idziemy naprzód, naprzód, naprzód, górą!!"

Było to już ostatnie przemówienie, obijające się echem o mury szkolne; poczem powoli goście obcy i swoi opróżniali gmach szkolny. Dzieciom w podarunku dostały się rozmaite upominki: star-

si kupili sobie na wieczną pamiątkę dwie fotografie, z których dochód przeznaczono na dalszą budowę gmachu szkolnego, jeszcze nie ukończonego ze wszystkiem, a z których jedna przedstawia nowy gmach szkolny na zewnątrz w obecnej swojej postaci: druga dziatwę szkolną pod nadzorem ciała nauczycielskiego.

Popołudniu o godzinie 3. udaliśmy się in gremio do hotelu pod „Czarnym orłem“, gdzie już ucztę składkową przygotowano dla przeszło 150 osób, pomiędzy którymi niejednego witałem i pozdrawiałem ze znajomych.

Toasty posypały się jak z rogu obfitości. Wygłosili toasty Dr. Bandrowski, Dr. Danielak, poseł Ochrymowicz, burmistrz i delegat miasta Drohobycza, który z naciskiem podniósł ten szczegół, że jako Rusin przybył na polską uroczystość, prawi bowiem Rusini nie żywią niechęci ku Polsce i jej ideałom; przemówili Dr. Bogdanik, panowie Habura, Wójcik, Turski, ks. Józef Londzin z Cieszyna i liczni inni.

Toast ks. Londzina godny jest wzmianki; zaznaczył bowiem stanowisko, jakie mowca zajmuje wobec nowej szkoły polskiej, na kresach zachodnich powstałej. Stanowisko to jest stanowiskiem Polaka i innem też być nie może. Cieszy mowcę niewymownie fakt, że nowy zakład naukowy polski powstał; nie upatruje on w nim szkodliwego konkurenta dla starszego zakładu naukowego w Cieszynie, ale sprzymierzeńca; Niemcy bowiem, nieprzychylni polskiej sprawie, zostaną naraz w dwa ognie wzięci, tu przez Białę, tam przez Cieszyn, i będą musieli kapitulować.

Ja sam nie wygłosiłem żadnego toastu; ale wymieniłem słowo to żartobliwe, to poważne z tym i owym. Poznałem i pozdrowiłem na tej uczcie włościańskiego posła Wójcika, który na mnie daleko korzystniejsze wrażenie wywierał, aniżeli jego kolega Kubik; zagadnąłem ks. Londzina; Drowi Bogdanikowi przypomniałem, że go znam od dawna, a znam go z imienia, nim go jeszcze osobiście poznałem, a kiedy zdumiony zapytał,

jakże by to być mogło, to oświadczyłem mu, iż przypominam sobie jego imię jeszcze z roku 1875, kiedy był uczniem wszechnicy krakowskiej i jako uczeń tejże wszechnicy podpisał razem z innymi kolegami adres, zawierający wyrazy czci dla wieszcza Seweryna Goszczyńskiego a umieszczony w „Sobótce“, księdze pamiątkowej, poświęconej poecie. — O ile i ilu zmieniło się od tego czasu! ile ideałów poszło na poniewierkę — dla chleba! Tem większa należy się cześć tym, którzy dotąd stoją na stanowisku przed laty zajętem i nie stracili świeżości umysłu, i nie uronili nic a nic ze spuścizny świętej Ojców swoich! Jakże mi miło, że w poczet tych zacnych mężów i prawych synów Polski także Dr. Bogdanika mogę zaliczyć!

Uczta składkowa już to z powodu licznych toastów, wygłoszonych przy tej sposobności, już to i z tego powodu, że każdy rad był, jak najdłużej rozmawiać z gośćmi przybyłymi z daleka a których nie tak rychło zobaczy, przeciągała się długo, bardzo długo — trwała prawie pięć godzin.

Pełni najpodnioślejszych wrażeń udali się uczestnicy uroczystości o godzinie 8 wieczorem do miejscowej „Czytelni polskiej“, gdzie uroczysty wieczorek ku czci Tadeusza Kościuszki, urozmaicony deklamacjami, grą i śpiewem amatorów i amatorek bialskich zakończył szereg uroczystości na cześć nowego polskiego zakładu naukowego.

Zamarstynów, 9. Lutego 1899.

G. Kohn.

II.

Artykuły literackie mieszanej treści.

OBERTYN.

Obrazek historyczny.

I.

Ponuro szumią nad Pokuciem lasy,
Nieszczęsna ziemia cała w krwi skąpana,
Ledwie się wrogie skończyły zapasy
Z wołoską dziczą ślepego Bohdana;
Choć był Hospodar, nowa spada burza,
Zarzewie wojny z nim w grobie nie zgasło,
Od Bukowiny po Karpat podgórza,
Z wiatru pogwizdem wojenne brzmi hasło.
Już nad Śniatynem i nad Tyśmienicą
W pomroku nocy krwawe łuny świécą.
Sterczą zgorzałe wzgórza Kołomyi,
A biedni jeszcze z powrozem na szyi,
Żałośnie patrzą na ojczyste łany;
Idą bezludne uprawiać Multany.
Czy od szarańczy tak się niebo ściemiło?
Czy wietrzna trąba wali dęby w lesie?
Nie, to wołoski Hospodar Petryło,
Śmierć i pożogę w krwawy ślad swój niesie:
Za Hospodarem tłumy konnej dziczy,
Jak sięgnąć okiem zalęgły w krąg pole,
Postać ich straszna, snać duch wojowniczy.
Na ich chorągwiach sterczą łby bawole.
Stęknęła ziemia pod ciężkiemi działy,
Sępów i kruków czarne ciągną stada,
Krew zdala wietrzą, a wzdłuż Polski całej,
Głucho się rozległ okrzyk: biada! biada!

II.

Słyszy ten okrzyk król Zygmunt na tronie,
Słyszy go Hetman i Senat struchlały,
Lud ku niebiosom drżąc wyciąga dłonie,
Hymny pokutne w przybytkach zabrzmiały,
Kto żyw, do Boga zanosi błaganie:
Od ognia, wojny zachowaj nas Panie!

A był hetmanem koronnym w te lata
Mąż dzielny siłą sumienia i woli,
Wielkiemi czyny słynny on u świata.
Młodzianem jeszcze pomknął w lot sokoli,
Na krwawe harce w dalekie przestworza,
Za cudze rzeki, za góry i morza.
Na karkach Maurów zaprawiał on wcześnie
Ramię do boju w ojczyznie Cydowej,
Gdzie dum rycerskich kołysany słowy,
Marzył o bojach na jawie i we śnie;
A marząc działał i krwi toczył strugi,
Aż mieczem wielkiej dobił się zasługi,
I cześć rycerska oplotła wokoło
W wieniec dębowy ulubieńca czoło.

Dziś Jan z Tarnowa Cydem między swemi,
Pogromcy Maurów on sławą domierza,
Jak ów Kampeador na Iberów ziemi
Przyrósł do siodła, hełmu i pancerza,
Jak Cyd on tarczą ojczyzny i wiary,
On biczem Bożym, jak Cyd na pohańce,
Mieczem z Podola wypłasza Tatary,
Łup im wydziera, z pęt rozkuwa brańce,
A naród patrząc na trudy olbrzymie,
Wielkiego wodza błogosławi imię.

Nie trwóż się Polsko, choć wołoskie dzicze
Palą twe włości, pustoszą twe grody,
Jak tuman piasku tłumy najezdnicze
Pierzchną z Pokucia na Dunaju wody.
Już oto Hetman zgarnia bitne szyki,
Grzmią z trąb odgłosem wojenne okrzyki.
Błysł na chorągwi Piastów orzeł biały,

Przy orle pogoń, rączej Litwy znamię:
Pod temi godły w lot hetmańskie ramię
Powiedzie hufce do zwycięztw i chwały!

III.

Krwawo dziś zorza wschodzi nad Haliczem,
Krwawo rumieni pola Obertynu;
Wszak oto w mroku czasów tajemniczym
Błysnął dzień krwawy, dzień walki i czynu.
Bóg tylko jeden. który losy świata
Wszechwładną ręką sam kładzie na szali,
Wie, komu padnie dziś cześć lub zatrata,
Kogo podniesie, kogo w proch powali.

Naprzeciw siebie stoją dwa tabory:
W jednym się wije niezliczona tłuszcza,
Istna szarańcza: snać ją Bóg dopuszcza
W zły czas na polskie pola i ugory,
By wiernych ludów serca, tknięte skazą,
Ukrzepić w trudach, jak w ogniu żelazo.
Głośna grzmi wrzawa wśród wołoskiej dziczy,
W czwórnasób większą rozzuchwalon siłą,
Wcześnie najezdnik lackie łupy liczy.
Wściekłość swej tłuszczy Hospodar Petryło
Syci palącym trunkiem i obrzydle
Człeka przedzierżga w bezrozumne bydle!
Rwie się do boju ta ćma najezdnicza,
W uściech jej klątwa i bezwstyd na czole.
Sroższe Wołochów pijanych oblicza,
Niźli na drzewcach one łby bawole.
Złowrogo niemi ranny wiatr szeleści,
Okrutne stada ciągną czarną chmurą —
O rychłych bojach pokrakując wieści,
Rumianą zorzę przyćmiły ponuro.

W polskim obozie inaczej — inaczej
Wódz się z rycerstwem sposobi do trudu.
Wie on, jak mało przewaga sił znaczy,
Gdy Pan okaże moc Polski i cudu.
Klękło rycerstwo z ukorzoną głową

Ku wschodniej stronie, zkąd świeci brzask
zorzy;
A tam wzniesiono kaplicę bojową:
W ołtarzu obraz Rodzicielki Bożej
Jaśniej przyświeca niż jutrzenka ranna;
W chór głosy biją ku niebu: Hosanna!
Poważny kapłan śladem Zbawiciela
Wśród ludu spełnia bezkrwawą ofiarę:
Ukrzepion łaską, sam pomiędzy wiarę
Krew niewinnego Baranka rozdziela;
A kiedy ziemskie już siły nie starczą,
Ona im będzie zbawieniem i tarczą.

Cudnież to patrzeć na ten szereg długi
Klęczących mężów — twardych, jak te zbroje,
Któremi bary okowali swoje;
Błyszczą na słońcu stalowe kołczugi,
Lecz jasny płonie żar w mężkiej źrenicy,
Gdy się przed Panem w cichej korzą skrusze,
I wyzwoloną z prochu ziemi duszę
Ślą ku niebiosom, ku Bogarodzicy,
Ufni, że naród królowa z tej toni
Wyrwie i skrzydłem opieki zasłoni.

Czystym pokuty orzeźwiona zdrojem,
Pierś wodza pełnym oddycha spokojem;
W proch czołem upadł u stopni ołtarza,
Oba w znak krzyża rozpostarł ramiona:
— „Panie! wyszepce, Twa moc niewzruszona
Karci przestępnych, zwycięztwem obdarza
Ludy, co kornie idą w ślad Twej woli;
Te, co szafując hojnie krwią i potem,
Nie za czczą chwałą, nie za marnem złotem
Gonią szalenie, lecz jak kłos na roli,
Karmiony słońcem i niebieską rosą,
Tobie na chwałę plon obfity niosą.
Panie zastępów! wszak mnie grzeszna pycha
Na braci moich nie zaślepia winy;
Wiem, że niezgoda w łonie tej krainy
Jak gad się lęże i pierś nam usycha,
Zatruta jadem — lecz wśród tej posuchy
Jak one trawy dżdżu spragnione wiosną,

Gdy skiniesz — z prochu otrząsną się duchy
I znów im skrzydła do lotu odrosną.
I ona ziemia bolem odrodzona
Pokorą skruszy gromy Twego gniewu,
Szatana pychy miłością pokona
I będzie ziemią Bożego posiewu!“

I umilkł Hetman, ale głos proroczy
Snać w głębi ducha szepce słowa wieszcze,
Bo pierś natchnioną na wskróś zbiegły dre-
szcze,
Po śniadem licu potok łez się toczy,
A serce zmiękło na wosk pod kołczugą.

I długo Hetman korzy się, o długo!
Kapłan dopełnił ofiary przeczystej,
Wstała starszyzna, wstali towarzysze,
Milczą i tylko w ciszy uroczystej,
Lasem proporców z lekka wiatr kołysze,
Niekiedy skrzydły poruszy sępiemi,
Co sterczą pysznie na barkach husarzy,
Lecz nikt z rycerstwa ozwać się nie waży,
Bo Hetman krzyżem wciąż leży na ziemi
I duchem w niebo podniesion na poły,
Cichą modlitwą rozmawia z anioły.

IV.

Grom-że to huknął? czy ziemia zadrżała?
Czy trąba wietrzna wstrząsa bliskim borem?
Nie, to wołoskie zaryknęły działa,
Grad kul ognistych błysnął nad taborem.
Zerwał się Hetman, niby orzeł z gniazda,
Dopadł bieguna, pomknął w skok co żywo,
Zadrżała ziemia, wiatr pomiata grzywą.
Podniósł buławę, zerwała się jazda...
Pomkną husarze, na taboru czoło,
Oblicze wodza tli blaskiem otuchy;
Tu zdaje straże — tam śle na posłuchy,
Szeregi piesze rozstawia wokoło;
Dzielność się sprzęga za wodza skinieniem

Pawęż z pawężą i ramię z ramieniem,
I w mgnieniu oka zda się obóz cały
Opasan murem granitowej skały.
Wołochy walą wciąż z dział i moździerzy,
Ale nad Polską cud Boży widomy,
Pijane oko do celu źle mierzy,
W tym żywym murze nie częste wyłomy.
Kule nasz tabor zdaleka przenoszą,
Drugie wprzód gasną, nim sięgną po wały;
A działa lackie rażą ćmę wołoszą,
Już ją w potoku wrzącej krwi skąpały,
Ilekroć z paszczy nowy płomień błyska,
Nowy rząd trupów wśród pobojowiska.
Hetman dał hasło, grzmi pobudka znana.
— „Za mną! — zawoła — kto w Chrystusa wierzy!“
Niby rój pszczelny pod skrzydła macierzy,
Tulą się hufce pod skrzydła hetmana,
Jak las husarze z proporcami płyną,
Żarzą się w słońcu zbroje i przyłbice,
Pod gradem strzałów wódz pędzi z drużyną.
Echo powtarza pieśń Bogarodzicy.
W bystrym się locie chorągwie rozwiały,
Obok pogoni błyska orzeł biały.

Czy to dwie chmury sprzecznym wiatrem parte,
Starły się wściekle i gromem tak ryczą?
O nie! bo lackie rycerstwo zażarte,
Stacza śmiertelny bój z wołoską dziczą.
Umilkły działa; rycerz na rycerza,
Koń na pierś konia piorunem uderza.
Stuk, zamęt, wrzawa, skry ogniste świecą,
Kiedy szablica spotka się z szablicą;
Walą się trupy, gdzie zasiągnąć wzrokiem.
Ziemia czerwonym ociekła potokiem.
Hetman naciera zaufan w moc Bożą,
Z klątwą na ustach naciera Petryło.
Nagle Wołochy zachwieją się, strwożą,
Wyższą niż ludzką pokonane siłą.
Szum sępich skrzydeł ich rumaki płoszy,
Złamane szyki pierzchają bezładnie.

Pogoń wnet pędzi na karku Wołoszy,
Hetman z rycerstwem taboru dopadnie,
Zdziera chorągwie z bawolemi głowy,
Dumnym bojarom narzuca okowy,
Wyciska hydrze z gardła plon bogaty;
Polskie to działa i polskie oręże,
Z rąk je puścili zdradziecko przed laty —
Na Bukowinie zaskoczeni męże!

— „Panie! — rzekł Hetman — Twoim to dziś cudem
Ohydna plama ze czci naszej starta.
Tyś tarcz rozpostarł nad Twym wiernym ludem,
A mnieś zniewagę dał pomścić Olbrachta,
Dziś już, o Panie, Twą, nie naszą siłą
Wołosza Polski nie będzie mogiłą!“ *)

V.

Jasno dziś słońce na mury Krakowa
Z czystych błękitów sieje blask uroczy,
Wesoło Wisła, rzek polskich królowa,
U stóp Wawelu białe fale toczy.
Goreją serca jak zaklęte czarem
Wielkim płomieniem szczęścia i miłości;
Aż rozbudzone tym życia nawałem
Drgnęły w grobowcach bohaterów kości.

Z krakowskich wieżyc chórem biją dzwony,
Błogosławioną wieść dla Polski głoszą,
Już Jan z Tarnowa, wódz nieustraszony,
Z garstką rycerstwa starł na proch Wołoszą,
Dziś oto zwieńczon w świeży liść wawrzynu
Zwycięzko Hetman wraca z Obertynu.

---

*) Wołosza Polski mogiłą — te słowa przeszły niegdyś w przysłowie, szeregiem klęsk, jakie spadły na Polskę od Wołochów.

Z bijącem sercem, z płonącą źrenicą,
Lud jak mrowisko wylęga za bramy,
W promieniach słońca barwne szaty świécą,
Niewiasty strojne w złotolite lamy,
Dostojny senat błyszczy karmazynem,
Rycerstwo stalą hełmu i pancerza. —
W czerwonych czapkach wiodą rej nad gmi-
nem
Krzesząc w podkówki kmiecie od Szkalmierza,
Na czele tłumu zbrojni krzyża znakiem
Idą zakony poważnym orszakiem,
Rzędem cechowi ciągną towarzysze,
Wiatr proporcami szelestem kołysze,
Dalej gwarliwie niby z ula pszczoły
Przebiega w pląsach rój żaków wesoły.
Złotemi berły tor znaczą bedele,
Potem przyodzian w togę purpurową
Mistrz, co wszechnicy jagiellońskiej głową,
Na dzielnej młodzi postępuje czele.
O! z tych pacholąt jasnowłosych grona,
Co dziś narodu kwiatem i nadzieją,
Przesławni męże niebawem dojrzeją!
Oni, w dalekie przekażą plemiona
Wieku Zygmuntów aureolę złotą,
I wieńce chwały ojczyznie uplotą,
Ich Polska nazwie chlubą swego czasu,
Bo wśród tej młodzi jest Jan z Czarnolasu!

Orszak za bramy pociągnął daleko,
Tam, gdzie przed wieki lud wszystek w ża-
łobie,
Własnemi dłońmi usypał nad rzeką,
Olbrzymi kopiec na Krakusa grobie,
By wiecznie świadczył pokoleniom wielu
O wiekopomnej bohatera chwale,
Co gromił smoka w jaskini Wawelu
I gród zbudował na Wawelu skale!

Ledwo okrążył lud stopy mogiły,
Pył się na drodze grubym wzbił tumanem,
Kopyta końskie głucho zatętniły.

Owoż rycerstwo powraca z Hetmanem.
Wszystkie tu serca myśl jedna potrąca
I jeden okrzyk wybiegł z serc tysiąca:
Z ust mieszczan, wojska, senatu i gminu,
Okrzyk, co w Tatrach orły z gniazd wypłoszy:
„Niech żyje dzielny pogromca Wołoszy —
Niech żyje wielki wódz z pod Obertynu!“

Kiedy okrzyki chórem w niebo płyną,
W żelaznym hełmie, w żelaznej zbroicy
Nadciąga Hetman z rycerską drużyną,
Na czele hufca niosą kiryśnicy
Zdobyte w boju wołoskie sztandary.
Na drzewcach sterczą straszne łby bawole.
Pod wodzem lekko stąpa rumak kary,
Grzywiastą szyją zatacza półkole.
Rząd na nim zdobny w dyftyki i złoto.
Jedzie starszyzna przy Hetmana boku,
Ciągną wołoskie bojary piechotą.
Wstyd na ich czole, sroga dzikość wzroku,
Szyderstwo w ustach, w sercu złość zawzięta,
Idąc, w żelazne pobrzękują pęta.
Pięćdziesiąt armat wiodą szeregowce,
Wzięte na wrogu, lecz polskie ich godła,
Co je Wołosza zdradziecko wywiodła
Na Bukowiny ukryte manowce.
Dalej rycerstwa ciągnie szereg długi;
Jedni żelazną okuci zbroicą,
Drudzy w szyszaki strojni i kołczugi,
Szable na słońcu skrzą się błyskawicą,
Wiatr szumi skrzydły sępiemi husarzy,
Lasem proporców szeleści radośnie,
Krasa na licach płomieniem się żarzy,
Krew kipi warem, duch olbrzymio rośnie,
A zgodny okrzyk wdzięcznego narodu
Zanosi Wisła od grodu do grodu!

U stóp Wawelu stawa orszak cały,
Wódz zsiadł z bieguna,, zdjął hełm, z korną głową —

Wszedł do przybytku; sklepienia zadrżały.
Rozgrzmi Te Deum, — dziękczynienia
słowo,
Z chorągwią w ręku wolno Hetman zmierza
Do stóp grobowca — Bożego pasterza,
Odgania palmą burze od korony.
Tam wśród krzyżackich proporców i znaków,
Wymownych świadectw chlubnej kraju doli,
Któremi wieki sposażyły Kraków,
Błysnął na drzewcu straszny róg bawoli!

I upadł Hetman na ziemię obliczem.
Oba w znak krzyża rozpostarł ramiona.
— „Panie! — zawoła — przed Tobą jam ni-
czem!
Twoja to jedna moc niezwyciężona,
Losy narodów piastuje na szali,
Ze szczytu chwały w proch strącić je może,
Gdyś dał zwycięztwo, spraw, byśmy wzrastali
Nie w marną pychę, lecz w łaskę Twą Boże!"

Zmilkły organy i dziękczynne pienia.
Cichej modlitwy ukrzepiony słowem —
Hetman opuszcza katedry sklepienia,
Staje z drużyną w podworcu zamkowym.
Tam z berłem w ręku w purpurowej szacie,
W koronie Piastów na skroni zoranej
Czekał sędziwy król na majestacie,
W koło strojnemi otoczon dworzany.
Z tronu się Zygmunt porywa co siły;
Młodzieńczym ogniem wzrok królewski płonie:
— „Witaj Hetmanie, witaj wodzu miły!"
Niby duch ducha tuli go na łonie,
„W imię narodu składam cześć i dzięki —
Twoje dziś ramię ojczyznę zbawiło!
— „Królu, — rzekł Hetman — Bóg działał
swą siłą,
Jam był narzędziem tylko Pańskiej ręki!"

I obaj w jasne spojrzeli niebiosy,
A lud w dziedziniec napływa jak woda,

Chylą się głowy, niby w polu kłosy,
W obliczach świeci radość i swoboda.
Z dzwonów podźwiękiem głosy w niebo
płyną!
„Błogosławieństwo nad tobą, kraino,
Gdzie miłość święta łączy wszystkie stany,
Gdzie takie króle i takie hetmany!

Seweryna Duchińska.

ŻAL MI...*)

Żal mi tych muszek złotego roju,
Co smutne przed zimą giną,
Żal mi fal srebrnych czystego zdroju,
Co marzną kędyś doliną...
Żal mi różyczek wonnych w ogródku,
Latem tak cudnie spłonionych,
A dziś ach, czemuż kwitły tak krótko?
Dziś szronem zimnym omszonych...
Żal mi zieleni, kwiecia polnego
I złotych snopów pszenicy...
Dziś ziemia zamiast tego wszystkiego
Przybrała szatę śnieżycy.
I już nie dzwoni nad nią skowronek,
To lube Maryi ptaszę,
Co, skoro tylko zaświtał dzionek,
W niebieskie biło poddasze!
Umilkły wszystkie przecudne śpiewy
Ptasząt w zielonej dąbrowie,
Zimny wiatr wstrząsa szaremi drzewy,
A liście lecą jak mrowie.
Lecą i błądzą w śnieżnej krainie...
Żal mi listeczka każdego,
Co od gałązek zdala gdzieś ginie,
Zdala od pnia rodzinnego.

---

*) Uproszony i upoważniony do tego przez autorkę umieszczam prześliczny ten wiersz w łamach mego wydawnictwa. Figurował on poprzednio w „Djable". (Przyp. red.)

I żal mi sierót, co w świat rzucone
Zdala od rodzinnej chatki,
Nie wiedzieć w którą zbłąkane stronę,
Giną jak pod zimę kwiatki.
  Lecz gdy sybirskie wspomnę zamieci
  I braci swoich tułaczy,
  Biedne Ojczyzny stroskanej dzieci —
  Zal mój się równa rozpaczy!

W Listopadzie 1897.

Olimpa.

Przeszły te czasy?

Przeszły te czasy? czy tak? czy tak?
Czy nam w istocie uczuć już brak?
Czasy bohaterstw przeszłyż jak w śnie?
O nie! o nie!
  Przeszłyż te czasy, gdy z wyższych sfer
  Głos się odzywał boski do zer?
  Głos, co je natchnął? co życiem tchnie?
  O nie! o nie!
Wiecznież przemienią wszechświata kształt
Przemoc, intryga, brutalstwo, gwałt?
Głos się z podziemi sybirskich rwie:
O nie! o nie!
  Długoż o lepszym bycie nam śnić?
  Długoż rachmistrzom z serc czułych drwić?
  I na to myśl się odzywać śmie...
  O nie! o nie!
Zepsucie niechaj zarazi świat,
Garstka odważna z wszystkich drwi strat,
Garstka szaleńców woła jak w śnie:
O nie! o nie!

G. Kohn.

ODCZYT

wygłoszony dnia 17. Grudnia 1898 podczas uroczystości Mickiewiczowskiej w Klubie c. k. urzędników poczty i telegrafu we Lwowie

przez

J. B. Chołodeckiego.

„Więc pieśni moje sieję jako ziarna
„Pod grudę wieku, pod czasu mozoły,
„A jeśli serca nadzieja nie marna,
„To ktoś plon siejby zwiezie do stodoły...“
(*W. Pol.*)

Po raz pierwszy święcimy dzisiaj w murach towarzystwa naszego pamięć nieśmiertelnego Adama Mickiewicza, po raz pierwszy zbieramy się gromadnie, aby oddać hołd geniuszowi, który podbił wszechwładnie serca całej Polski, stał się wyobrazicielem twórczości naszego narodu, żywym zajaśniał blaskiem na wielkim obszarze ziem Wszechsłowiańszczyzny i stanął w pierwszym szeregu wieszczów, uznanych przez wszystkie cywilizowane narody.

* * *

Zanadto dobrze znane nam są, powinne nam być znane, w ogólnym przynajmniej zarysie, ważniejsze wypadki z życia Mickiewicza, iżbyśmy potrzebowali je na tem przypominać miejscu, z dru-

giej strony nie pozwalają nam znów ciasne ramy, zakreślone programem dziejowej uroczystości, przedstawić owego mnóstwa interesujących, żywo nas obchodzących szczegółów, jakich nie brak na kartach jego doczesnych losów. Wobec tego zniewoleni jesteśmy ograniczyć się na uchyleniu rąbka tylko kotary, na przedstawieniu dwóch chwil z życia Adama. Obraliśmy zaś jako temat dzisiejszego odczytu podróż wieszcza po Niemczech, następnie zaś ostatnią wycieczkę z Stambułu do obozu sułtańskich kozaków pod Burgas.

* * *

W porannej godzinie 15. Maja 1829 udał się Mickiewicz w towarzystwie Aleksandra Chodźki na angielski parowiec „Jerzy IV.“, aby wyruszyć w świat daleki, w nieznane strony, pomiędzy obcych, obojętnych dlań ludzi. Żeglugę przez Bałtyk aż do Travemünde odbyło się pomyślnie – utyskiwał tylko poeta na drożyznę, na wygórowaną opłatę, pobraną za przejazd na okręcie. Wysiadłszy na ląd, wyruszył bezzwłocznie do Lubeki, a po zwiedzeniu tamże starożytnego ratusza Hanzy, w którym znajdowały się akta, dotyczące handlowych stosunków miasta tegoż z Krakowem, do Hamburga. Po kilkudniowym pobycie w tym kupieckim grodzie, skierował swe kroki do Berlina, gdzie stanął 6. Czerwca. Na razie nie przedstawiała mu się powabnie stolica pruskiego państwa, wśród dni słotnych, chłodnych i błotnych, przy braku szerszego kółka znajomych. Około 12. Czerwca zgłosił się do Zeltera, sędziwego architekty i muzyka, przyjaciela Goethego, twórcy melodyj do jego pieśni i znalazł serdeczne tamże przyjęcie, dzięki rekomendacji Szymanowskiej, która poinformowała Zeltera, iż w osobie gościa wielkiego pozna poetę. Mickiewicz poprosił Zeltera o bilet polecający do Jowisza poetów—a muzyk pisząc w tej mierze do Goethego i zawiadamiając go o przyszłych odwiedzinach Adama, dodał, iż poeta polski włada dosyć dobrze językiem niemieckim. Zwolna poprawił

się humor wrażliwego Adama, który doczekał się pogody i zetknął bliżej z towarzystwem polskiem, z młodzieżą ciągnącą do Berlina, przeważnie z Poznańskiego dla słynnych wykładów Hegla o „bezwzględnej filozofii“, której wziętość znajdowała się naonczas u zenitu. Dowiedziawszy się o pobycie Mickiewicza w Berlinie, pospieszyli studenci Polacy złożyć mu hołd młodzieńczy, wydali dla niego ucztę w restauracji „pod Lipami“ i zaprosili do odwiedzenia wykładów uwielbianego Hegla. Po dwudniowej prelekcji nie zachwycił się wcale Mickiewicz wykładem, subtelnym rozbiorem poszczególnych pojęć, wypowiedzianym z wielkim trudem, ujętym w oderwane wyrażenia, a zdanie jego, objawione otwarcie, wywołało żwawą dysputę i replikę ze strony młodzieży. Widząc w końcu niechęć poety do filozofowania, zaprzestała młodzież dalszych debat na ten temat, a Stefan Garczyński zapoznał Mickiewicza z innym swoim profesorem Gausem, wykładającym wówczas dzieje rewolucji francuzkiej i jej następstw. Największa sala nie mogła pomieścić słuchaczów.

Gaus zaprzyjaźnił się rychło z Mickiewiczem, dał dla niego ucztę, zaprosił na nią wielu Polaków, a na jednej z swych prelekcyj podniósł z zapałem, iż jednego zna tylko wieszcza (Mickiewicza), który zdołałby godnie przedstawić wzniosłą chwilę walki wszystkich ludów Europy z mężem Tytanem... z Napoleonem.

W połowie Czerwca zjechali się do Berlina Poznańczycy na jarmark wełniany, a poeta przedłużył swój pobyt w mieście, gdzie znalazł miłych i zacnych rodaków i cudzoziemców. Codzień odbywały się wspólne obiady i prywatne zebrania, na których obudzał Adam podziw swemi improwizacjami. Cudowna jakaś siła rozpromieniała jego oblicze, a osoba wieszcza w nadziemską zdawała się być przemieniona istotę. Czarujący dźwięk jego głosu, niepojęta potęga słów jego, do najwyższego doprowadzała słuchaczy entuzjazmu, a wszyscy widzieli w nim wieszcza-proroka. Szczególniej uległ urokowi Adama Stefan Garczyński.

Ugoszczony i uwielbiony przesiedział Mickiewicz w Berlinie cały prawie miesiąc, poczem odjechał w stronę Drezna. W stolicy Sasów wiele bawiło wonczas Polaków, gromadzących się w znacznej części w domu Ewy i Salomei Dobrzyckich, w którym obok gospodyni przewodniczył sędziwy jenerał Kniaziewicz. Tutaj poznał Mickiewicz także dwie panny Łabędzkie, odwiedził Aleksandra Bronikowskiego, polskiego powieściopisarza w języku niemieckim, odwiedził twórcę szkoły romantycznej w Niemczech Ludwika Tiecka, zaznajomił się z biografem Kościuszki Falkensteinem i innymi niemieckimi literatami. W połowie Lipca wybrał się z Kalikstem Mrozewiczem do Szwajcarji Saskiej i do Czech. W Pradze zetknął się z nader popularnym literatem Wacławem Hanką, który namawiał Adama, by za przedmiot przyszłego swego utworu obrał bohatera wojen husyckich Żyżkę. Dnia 24. Lipca udali się turyści do Karolowych warów (Karlsbadu). Rok 1829, przeddzień krwawych zapasów listopadowych, liczny ściągnął zastęp Polaków w mury Karlsbadu. Pomimo znacznej stosunkowo odległości tej zachodniej rubieży Słowiańszczyzny od wnętrza dzielnic Polski, pomimo trudów i niewygód długiej podróży. podali sobie tam dłoń towarzyską przedstawiciele rozlicznych ziem i grodów Jagiellonów berła, magnaci, szlachta i marsowe postacie weteranów, których w ich życiu burzliwem Napoleona ongi wiodły do zwycięztw sztandary. Zawitał tam Jan Paweł Woronicz, arcybiskup warszawski, senator i prymas Królestwa polskiego, zawitał Konstanty książę Czartoryski, a nazwiska Wielkopolskich, Cetnerów, Grabowskich, Łabędzkich, Ożarowskich, Malczewskich, Jezierskich, Potworowskich, Potockich, Mycielskich, Bogusławskich, Brodowiczów i w. i. zapełniły wykazy kuracjuszów.

W owych wykazach spotykamy na stronicy 62. pod datą 24. Lipca zapisek „Chronik“ Nr. 1666: v. Morozowicz, Gutsbesitzer aus Lublin, und Nr. 1667 v. Mickiewicz, russ. kais. Beamter aus St. Pe-

tersburg w. zum „Weissen Pfeil“ auf der neuen Wiese.

Rojno i gwarno przedstawiały się już wonczas Karolowe Wary, które przeszło 4000 gościły w swych murach przybyszów, to też nie brakło Adamowi na licznem towarzystwie i znajomościach. Nie tychże atoli pożądał umysł jego. Przechadzki wśród romantycznych skał i gór, okalających miasto, to najmilsza rozrywka wieszcza, któremu uprzyjemniały dalsze dnia godziny pogawędki w rodzinnem kole znajomych mu z Drezna Łabędzkich. Gorączkowo wyczekiwał też przyjazdu Odyńca, który miał odtąd dzielić z nim losy długiej podróży. W dniu 10. Sierpnia ziściły się w tej mierze życzenia Adama, toż pragnął bezzwłocznie wyjechać z Karlsbadu i tylko na usilne prośby Łabędzkich zgodził się na dwudniową zwłokę. Im poświęcił też ostatnie chwile pobytu w zdrojach, odmówiwszy zaproszeniu na biesiadę, jaką pragnęli go uczcić rodacy. W Karlsbadzie złożył Mickiewiczowi wizytę w celu poznania wielkiego a wielbionego poety 15-letni August Cieszkowski, późniejszy głośny filozof i ekonomista.

Po obiedzie u Łabędzkich i wycieczce wieczornej do „Posthofu“ wyruszył Adam nazajutrz rano o godzinie 3 razem z Odyńcem przez Marienbad, Cheb, Franzensbad, Ilof, Jenę do Weimaru, najświetniejszego z końcem minionego i początkiem bieżącego wieku ogniska życia umysłowego i twórczości poetyckiej Niemiec. W r. 1829 były już wprawdzie inne tego rodzaju ogniska wiedzy i poezji, ale jako miejsce pobytu Goethego ściągał Weimar ustawicznie licznych przybyszów, kuracjuszów i cudzoziemców. Adam zdążył z Odyńcem do Weimaru 17. Sierpnia i stanął w hotelu „pod Słoniem“. Zaopatrzony w listy polecające Szymanowskiej udał się do synowej Goethego Otylii, kobiety lat około 40, estetycznie wykształconej wskutek towarzystwa najświatlejszych umysłów, i był prawdziwie zachwycony serdecznem jej przyjęciem. Otylia uwiadomiła mieszkającego za miastem we własnym domu ojca o przybyciu turystów,

a tych ostatnich zaprosiła na wieczorną herbatę. Podczas gdy Mickiewicz w salonie Otylii ożywioną wiódł rozmowę z towarzystwem, zwłaszcza z kobietami, przyszedł list od Goethego z odpowiedzią, iż oczekuje poetów nazajutrz w południowej porze. Dnia 19. Sierpnia zawiózł elegancki powozik Otylii gości do willi Goethego. Był to dom niewielki, piątrowy; salon, w którym goście na przybycie Goethego czekali, obszerny, skromnie po wiejsku umeblowany, z podłogą w deski malowaną na czerwono.

Otworzyły się drzwi i okazała się wspaniała, majestatyczna postać mistrza, który usiadłszy, powitał gości ukłonem i podaniem ręki. Po wymianie kilku słów grzeczności w języku francuzkim, wyraził Goethe żal, że bardzo mało mu znaną jest literatura polska, i że nie włada żadnym słowiańskim językiem; podniósł jednak z drugiej strony, iż czytał niektóre wyjątki z Wallenroda w tłumaczeniu Karoliny Jänisch, które mu nadesłała Szymanowska. Mickiewicz na żądanie Goethego opowiedział mu treściwie przebieg dziejów literatury polskiej, łącząc je z wypadkami historycznemi. Goethe słuchał uważnie i z zajęciem, poczem wywiązała się rozmowa o pieśniach ludowych, o projektach dalszej podróży Adama, o Berlinie, o Gausie, w końcu o znanych Goethemu Polakach, zwłaszcza zaś o Szymanowskiej, o Janie Potockim i o księżnie Lubomirskiej, którym Goethe wszelkie oddawał pochwały. Przy pożegnaniu zauważył Goethe, iż będzie jutro mieć przyjemność widzenia się z gośćmi u synowej na obiedzie. Podczas uczty siedział Adam między mistrzem a gospodynią domu, a wrażenia, jakie wywołał u zebranych, tak spotęgował, iż odtąd codziennymi byli z Odyńcem gośćmi u Augustów Goethych—chadzali razem na Vogelwiese, zwiedzali okolice miasta, uczęszczali do teatru, a wieczory przepędzali przy dźwiękach wyborowej muzyki. Mickiewicz chciał wyjechać z Weimaru, na prośbę Otylii atoli pozostał do 28. Sierpnia jako dnia 80. rocznicy urodzin Goethego. Już 24. Sierpnia zaczął się Weimar zaludniać przybyszami,

między którymi był sławny rzeźbiarz Dawid, pragnący wykonać popiersie Goethego, tudzież młody literat Wiktor Pavie, zapalony wielbiciel Wiktora Hugo, któremu nie obcem było nazwisko Mickiewicza. Wieczór spędzili wszyscy razem u Otylii, rozprawiając przeważnie o rzeźbie i architekturze. Na wieczorze balowym w przeddzień wielkiej uroczystości zadziwił Adam wszystkich zdolnością odgadywania tajemnic. Działo się to w obecności wielu dam, kilku nowoprzybyłych Niemców i Anglików, gdy po odejściu Goethego, około godziny 10 wieczorem oświadczył Adam gotowość odgadnięcia, do której z pań który z najulubieńszych należy pierścionków. W nieobecności poety złożono kilkanaście pierścionków na talerzu; on powstał zwolna z poważną miną, wziął talerz i odszedł na bok, przeglądając pierścionki, obrócony ku oknu. Rozmowa prawie całkiem ucichła i nastąpiła chwila ogólnego oczekiwania. Nagle odwrócił się Adam i szybkim krokiem postąpił ku paniom; postać jego zupełnie była zmienioną, tak jak przy improwizacjach, twarz marmurowo blada, czoło zroszone kroplami potu, wzrok skupiony w sobie. Oddał damom pierścionki i — nie pomylił się ani razu. Co do nich mówił, nie słyszano, gdyż mówił głosem przytłumionym, to jednak pewna, iż w słowach jego mieściła się prawda. Niektóre panie były do łez wzruszone słowami czarodzieja — a ogół wyraził swój podziw, nastrajając odtąd rozmowę na ton poważniejszy.

Nazajutrz rano robił Dawid medaljon Adama, poczem udało się grono do pomieszkania Goethego w celu złożenia mu powinszowań. Mistrz odszczególniał Dawida, Mickiewicza i Odyńca. Nastąpił szereg uczt, biesiad i rozrywek, poczem zjawił się w pomieszkaniu Adama malarz Schneller z biletem od Goethego, proszącym Adama o udzielenie kilku godzin czasu celem naszkicowania portretu. Dnia 31. Sierpnia na ostatnim wieczorze u młodych Goethych prosił Odyniec mistrza Goethego o własnoręczny podpis jego imienia i o dwa zużyte pióra, na co Goethe uśmiechnął się i skinął głową.

przy pożegnaniu zaś ucałował obu naszych gości w czoło, co było dowodem osobliwszych względów. Mickiewicz i Odyniec ucałowali odchodzącego w ramię, a w 10 minut później odebrali po kartce złotobrzeżnej, zapisanej wierszami i po piórze gęsiem, odartem z pierza. W trzech strofach na kartce Mickiewicza wysławiał Goethe dobroczynny wpływ przyjaźni, a kończył zdaniem, że życzliwość współczesnych jest prawdziwem szczęściem.

Przed ćwierć wiekiem oglądaliśmy u znajomych naszych odarte z pierza gęsie pióro – owinięte czerwonym sznurkiem jedwabnym i złożone w aksamitny futerał. Miało to być pióro Mickiewicza, które zbiegiem okoliczności przeszło w ręce komornika Adolfa Wodnickiego, następnie zaś w ręce Teofila Rechberger-Rechkrona. Właścicielom brakło atoli dowodów i dokumentów na poparcie swych na tradycji ugruntowanych twierdzeń, to też nie przywiązywali kompetentni do nich żadnej wagi, ani wartości do samego pióra.

Wyruszywszy po dwutygodniowym pobycie z Weimaru udał się Adam do Frankfurtu, Moguncji, Bonnu, Koblencji, Darmstadtu, Heidelbergu, Karlsruhe i Strassburgu i przebrał się przez Fryburg do Szafuzy, gdzie stanął 16. Września 1829, by następnie przez długie lata w romańskich zamieszkać dzielnicach.

* * *

Jakże odmienną od owego — że się tak wyrazimy — tryumfalnego pochodu Mickiewicza przez Niemce, była tegoż podróż do Stambułu, przedsiębrana ćwierćwieku później, pod wrażeniem strasznego ciosu, śmierci żony i sieroctwa dzieci, które musiał zostawić w Paryżu pod obcą opieką!

A tam na wschód powoływały go poczucia obowiązku wobec Ojczyzny — tam na wschodzie wrzała walka pierwszorzędnych potęg świata i poczęła świtać gwiazdka nadziei dla sprawy polskiej. Rząd turecki pozwolił w Listopadzie 1854 Michałowi Czajkowskiemu organizować pułki kozaków sułtańskich, a rząd angielski zawarł w r. 1855 kon-

wencję z Władysławem Zamojskim o formację piętnastotysięcznej dywizji polskiej na żołdzie angielskim.

Dziwna to zaprawdę postać dziejowa ten Michał Czajkowski, szermierz pióra i oręża, sturczony Polak, smętny piewca Ukrainy, naczelnik kozaków, ostatni spadkobierca koszowych panów Zaporoża! Całe życie Sadyka-paszy, każdy krok jego, to wielka zagadka psychiczna, stojąca między znakiem zapytania, a wykrzyknikiem przerażenia i zgrozy, sięgającym od krańca do krańca dawnych dzielnic Polski. Wysoko stał Czajkowski w opinii narodu, wysoko w opinii cudzoziemców. Czczono go i otaczano aureolą, widziano w nim bohatera, prawdziwego syna tej ziemi, której imię nosił; sam jednak zdarł tę mglistą zasłonę, która zakrywała właściwą jego wartość i dozwolił całemu społeczeństwu zajrzeć do wnętrza swej duszy, poznać tajniki, które przedtem tylko stojącym bliżej niego były znane. Uderzył czołem przed tymi, których śmiertelnym mienił się być wrogiem, porzucił tych, którzy mu wierzyli, którzy mu ufali, i u progu śmierci stojąc, jednym zamachem przekreślił tak pięknie przedstawioną w dziejach polskiego narodu kartę jego czynów. Stracony dla kozaków, stracony dla Polski, daremnie szukał spokoju dla swego sumienia, daremnie pragnął sam przed sobą usprawiedliwić postępek swego jestestwa...

W czasie, gdy Czajkowski na czele swej drużyny kozackiej znajdował się w obozie pod Burgas, wybrał się Mickiewicz z Konstantynopola do tego miasta, aby przypatrzeć się naocznie legjonom. Śliczna była to chwila, jedna z najpiękniejszych w życiu pułku kozaków otomańskich, gdy na wybrzeżu Czarnego morza grzmiało piętnaście sotni mołojców pieśnią mistrza Adama, piętnaście sotni serc żywem biło tętnem, dążąc myślą wraz z wieszczem na Ruś, do Polski i Litwy! Adam zachwycony był porządkiem w obozie i dobrym stanem żołnierzy, polubił to życie rycerskie, jadł prostą strawę żołnierską, a w towarzystwie Matea

Raszo, jednego z najsławniejszych hajduków rumelijskich, który się do kozaków zapisał, robił wycieczki w okolicę dla rozpoznania jej i dla rozrywki. Mając na oku sprawy publiczne, godził waśń między Czajkowskim, a Władysławem Zamojskim. W połowie Października pożegnał Adam owych zacnych druhów kozackiego bajraku, owe czujne straże Deli-Ormanu, Bukaresztu, Hinzu i Dobrudży, co to jak praojcowie ich imienia „zawędzili się stepowym wiatrem, zamokli deszczem, a śniegiem wrośli w kulbaki“.

Wracając do Konstantynopola nie spodziewał się, nie przeczuwał wieszcz, iż dni jestestwa jego są już policzone, iż za parę tygodni zimny grobowiec przyjmie zwłoki jego. Po krótkiej chorobie uległ epidemii cholerycznej, a ostatnie myśli, ostatnie słowa konającego poświęcone były dzieciom i... Ojczyznie: „Powiedz dzieciom moim“ — szeptał bezsilny do Służalskiego — „aby się nawzajem kochały“ — „Kuczyński, pułk kozaków otomańskich!...“

Skonał wieszcz, a po śmierci jego odczuto i zrozumiano całą wielkość straty. jaką poniósł naród, a zdania, poglądy, zapatrywania, dzieła, twory, słowem cała dusza Adama niby bujny plon ziarn złotych pozostała się i żyje jako spuścizna wśród społeczeństwa. Im dłuższa przestrzeń czasu rozdziela nas od chwili śmierci Mickiewicza, tem bardziej zaciera się wrażenie drobnych jego przywar i słabostek ludzkich, tem potężniej uwydatnia się natomiast, tem żywszym jaśnieje blaskiem duchowa jego strona. I zwolna, zwolna przechodzi imię wieszcza-geniusza, przechodzą jego księgi pomiędzy lud, pod słomiane strzechy...

* * *

Podczas gdy jedni zbierają skrzętnie szczegóły z życia Adama, rozpowszechniają dzieła jego, a czując ogrom i znaczenie podjętej pracy, łączą się w towarzystwa, biorą sobie drudzy za zadanie, przez urządzanie obchodów i uroczystości, przez wznoszenie pomników rozpowszechniać kult pa-

mięci wieszcza. Wiadomem ogólnie wzniesienie pięknego pomnika w Krakowie. Za przykładem tym poszły w ostatnich czasach miasta Tarnopol*) i Stanisławów, Lwów jako stolica kraju, po godnem uczczeniu pamięci wieszcza w stuletnią rocznicę jego urodzin, zbiera obecnie składki na pomnik, a nie ulega wątpliwości, iż każdy z nas pospieszy ochotnie dorzucić cegiełkę do szczytnej budowy. Pięknego przykładu dostarczali nam w tej mierze odwiedzający Karolowe Wary rodacy, którzy w ciągu lat czterech zebrali fundusz na skromny pomnik. Pierwszą myśl kultu pamięci Adama w Karlsbadzie podjęto w r. 1870, gdy szczery druh Mickiewicza, Odyniec, bawiąc w zdrojach, wskazał obecnym współziomkom czasowe mieszkanie przyjaciela. Wówczas to grono rodaków z Aleksandrem Przezdzieckim na czele założyło po odprawionem nabożeństwie dnia 24. Lipca 1870 w kamienicy „Pfeil“ księgę pamiątkową. W dziewięć lat po założeniu księgi, a w półwiekową rocznicę pobytu Adama w Karlsbadzie, umieszczono na ścianie zewnętrznej domu „Pfeil“ medaljon z rysami Mickiewicza, dzieło artysty Brodzkiego, poniżej okien zaś skromny napis na wmurowanej tablicy: „Tu mieszkał pod Nrem 4 Adam Mickiewicz r. 1829“. Tuż w pobliżu medaljonu wisząca elektryczna lampa pełnym olśniewa blaskiem poważne rysy wieszcza, a rozlana na okół szerokim kręgiem jasności, zda się być symbolem owego światła, jakie zawdzięcza polskie społeczeństwo geniuszowi proroka.

Gdyśmy w latach 1894 i 1895 odwiedzali skromny dom, noszący godło „Pfeil“, a będący w posiadaniu tej samej rodziny Pötzlów, zauważyliśmy, że rodzina ta z pewną troskliwością utrzymuje drogie nam po Adamie pamiątki. Do dziś dnia zachowała ona meble, używane przez Mickiewicza, a część tych mebli spełnia zadanie swoje w usługach kuracjuszów. Pokój Nr. 4 połączony z niewielką nyżą

---

*) Myli się szanowny autor pod tym względem, ponieważ nietylko Tarnopol, ale i niektóre inne miasta prowincjonalne w kwestji pomnikowej Kraków wyprzedziły. (Przyp. Red.)

zdobi jedyny obraz — portret wieszcza z podobizną jego podpisu. Starczy on jeden za wszelkie inne mieszkania ozdoby. Okna pokoju i zielone żaluzje wyzierają ciekawie na przeciwległy wierzchołek tradycyjnej piramidy skalnej „Hirschensprung“, na glorietę Mayera, na krzyż, wieńczący szczyt skał tych łańcucha, migocący w wieczór swem jasnem światełkiem, niby gwiazdką na tle nieboskłonu, na biust olbrzymi cara Piotra Wielkiego, na szumiące bory szpilkowe, na strumień Tepli, na te same wody, przy których szmerze czerpał Adam swe boskie natchnienie.

W celu wzniesienia pomnika zawiązał się był 10. Sierpnia 1893 komitet rodaków z posłem do rady państwa Włodzimierzem Gniewoszem na czele, a ziomkowie krzepiący swe siły u zdrojów Karola pośpieszyli ochotnie z datkami, tak, iż już w obecnym roku stanął na jednem z pierwszorzędnych miejsc projektowany monument.

Wspomniana przez nas, istniejąca w Karlsbadzie księga pamiątkowa zapełniona rozmaitemi podpisami, uwagami, zdaniami, wierszami, słowami uwielbienia dla zgasłego przedwcześnie wieszcza, stanowi sama przez się skarbczyk pereł myśli i uczuć kwiatu społeczeństwa naszego. Z licznego szeregu zapełnionych kart księgi przytaczamy dla ilustracji zdanie zimno rozważającego autora:

„Zacząwszy od Konrada, poszedł na Soplicę:
„Jest to dla nas nauką, jaką nam iść drogą.
„Bowiem gwałt i namiętność marnieją na nice,
„A tylko wielkie cnoty odrodzić nas mogą.“

Dalej znajdujemy w księdze trafną, z życia ludzkiego wziętą odpowiedź:

„Przywilejem dni letnich piorun z błyskawicą,
„Złote sypie nam plony jesień z licem bladem,
„Każdy czas ma swe prawa. Nie będzie Soplicą,
„Kto nie był zagorzałym w młodości Konradem.“

Na zakończenie przystoi nam zwrócić się do naszej młodzi, do posiewu przyszłych obywateli kraju, którym przypada w udziale zadanie krzewienia dalszego kultu nieśmiertelnego Adama.

Dla tej to młodzi spotykamy w księdze karlsbadzkiej pod rokiem 1878 płomienną odezwę rówieśnika, mieszkańca tego samego pokoju, w którym ongi przebywał Mickiewicz:

„Cieniu wielkiego mistrza, pobłogosław temu,
Co całuje dziś próg ten, który Ty deptałeś,
Pobłogosław z nim razem narodowi swemu
I młodzieży Cię czczącej, którą tak kochałeś...

„Spojrz z nieba na młodzieńca, który z rozrzewnieniem
Na drzwi święte, któremi chodziłeś, spoziera.
Niech nad nim i nad całem młodem pokoleniem
Twój geniusz opiekuńcze skrzydła rozpościera.

„Mistrzu! jam jest niegodzien, by przez miesiąc cały
Ten sam dach mnie osłaniał, który krył i Ciebie,
Gdy los jednak chciał tego, dozwól, by wzleciały
Modły moje za Ciebie do Pana na niebie.

„Spiewaku ukochany! duszo tej młodzieży,
W której żyłach krew polska dotąd krąży jeszcze,
Choć rozdziela nas przestrzeń, której nikt nie zmierzy,
W sercach naszych wciąż żyje Twoje słowo wieszcze.

„I dopóki żyć będzie, myśmy wciąż Polacy,
Gdy zamrze, to godzina już nasza wybije...
Hej! ramię do ramienia, kochani rodacy!
Jedność, miłość i praca, a naród odżyje!

Cieniu Mistrza! Ty czuwaj nad młodzieżą biedną,
Niech pod jarzmem niedoli karku nie ugina,
Hej! ramię do ramienia, niech w ognisko jedno
Zespala nas wciąż piosnka śpiewaka-Litwina!“

W drukarni Pillera.

W drukarni jak za dawnych lat,
Tak siedzę dziś przy stole;
Widziała ona inny świat,
Pamięta inne dole.
Hej, gdzie te dni, promienne w sny,
W wolności urojenia?
Ich ślad już zgasł, dziś inny czas
I inne dziś marzenia.
Czterdziestyósmy był to rok,
Wolności jasna chwila,
Ku wyzwoleniu pierwszy krok,
Wiośniany sen motyla.
Przy stole tym, w zapale cnym
Skrzypiało inne pióro,
I głos brzmiał tu wśród głosów stu:
„Hej górą Polska, górą!
W drukarni jak za dawnych lat,
Tak siedzę dziś przy stole,
Widziała ona inny świat,
Pamięta inne dole.
Dziś z marzeń snów mię odgłos słów
Obudza dla mnie wstrętnych:
To „giełda, skrypt“ i kilka szczypt
Frazesów obojętnych.

Lwów, 7. Lutego 1899.

G. Kohn.

SPOWIEDŹ.

Nowela.

Nawet liczyć mi się nie chce, ile lat nie byłem we Lwowie. Prawdopodobnie szesnaście lat temu, a może ośmnaście, jak opuściłem ławę szkolną, a razem z nią i miasto. Dłuższy czas przebywałem w prastarym grodzie Krakusa, a potem z patentem lekarza w kieszeni — tłukłem się po różnych galicyjskich miasteczkach jak Marek po piekle. Ostatecznie przekonawszy się, że na prowincji, stosunkowo jak dla mnie, za mało choruje dzieci, zebrałem manatki i przeniosłem się do Lwowa. Ordynując od godziny jak najwcześniejszej do godziny jak najpóźniejszej, byle zarobić na ten kawał chleba naszego powszedniego i byle przy mojej przypuszczalnej sytości — do zdrowia powracali moi drobni pacjenci.

No, no, Lwów się zupełnie przekształcił, wygląda bardziej po europejsku, aniżeli dawniej, kiedy to jeszcze chodziło się tu do gimnazjum. Właśnie przechodziłem przez plac Bernardyński. Chętnie byłbym zaglądnął do wnętrza starego gmachu, popatrzał na jego odwieczne mury i korytarze, na klasy, na szkolne ławki i tablice — wszystko to niezawodnie tak samo wygląda jak przed laty — tylko w innych warunkach życia organicznego: inni tu profesorowie i inni studenci! Teraz, po latach, przypomniałem sobie, że miałem w tych historycznych murach przyjaciela. Szkolny przyja-

ciel! — Stefan Bodyński, czy Budyński — daję słowo, już dobrze nie pamiętam. Do tej przyjaźni przyszedłem przypadkowo. Zdaje mi się, że chodziliśmy razem do szkoły, od trzeciej klasy począwszy. Stefan nie wyróżniał się niczem od moich przeciętnych kolegów, był to zresztą wielki mruk, tępa głowa i chodził w kubraku wiecznie wyszarzanym. Ja zaś należałem do elegantów w mojej klasie, a to o tyle, że przynajmniej na połowę klasy mogłem patrzeć z góry. i nie lepszy pod tym względem byłem od wielu moich kolegów!

Było to w siódmej klasie — tak, przypominam sobie, w siódmej — gdy stojąc na uboczu, usłyszałem, jak Stefan w rozmowie z jednym z kolegów, nazwał mnie swoim przyjacielem. — Co? ja jego przyjacielem?

— Słuchaj no ty, Budyński...

— Bodyński — poprawił mi Stefan.

— Niech ci będzie Bodyński. Zkąd ty przychodzisz do tego, zwać się moim przyjacielem? Cóż to, w nieczkę z tobą grałem? na książki handlowałem z tobą? a może powierzyłem ci moje tajemnice — co?

— Nie, — odrzekł tamten spokojnie, ale ty Karolu przypadłeś mi najwięcej do serca z całej klasy, a ponieważ w tej klasie nie mam ani jednego przyjaciela, więc po cichu nazwałem ciebie moim kochanym przyjacielem.

I ten mruk, ta brzydka bestja — bo był szatańsko brzydki — mówiąc to do mnie, patrzał na mnie tak jakoś ciepło, że mimowoli powiedziałem mu wtenczas: „Niech ci będzie przyjaciel, daj pyska!“ Rzucił mi się na szyję, jak zraniony tygrys i ucałował mnie gruntownie, co, niechaj mu będzie odpuszczone w niebie, bo miał zimny koniec nosa, za którego dotknięciem febra mną zatrzęsła. Odtąd byliśmy serdecznymi przyjaciółmi.

Nie pojmuję, jaka to tam była ta przyjaźń nasza, bo co do Stefana, to nigdy nie pożyczył odemnie szóstki i ołówka nie wziął, przeciwnie, raz się bowiem zdarzyło, że potrzebowałem kilka reńskich. Zkąd wziąć pieniądze? Poczekaj! — my-

ślę sobie — przekonam się teraz, jaki ty przyjaciel. Walę do Stefana.

— Dawaj trzy blaty!

— Trzy blaty! — przyjaciel złapał się za czuprynę. — Zkąd ja ci wezmę tyle blatów?! Miałem je pierwszego za lekcje, ale dziś nie mam ani centa.

— To niechże cię wszyscy djabli porwą z twoją przyjaźnią! — ryknąłem i wybiegając od niego, trzasnąłem drzwiami.

Na drugi dzień w klasie, mój Stefan zbliża się do mnie i pakuje mi jakieś miękie papierki do ręki.

— Masz — powiada.

Patrzę — trzy blaty jak uciął.

— A ty to gdzie ukradłeś?

— E... daj pokój, dla ciebie znalazło się jakoś.

— Znalazło się jakoś — powiadam i mimowolnie spojrzałem na wklęsłość jego brzucha, na której byłem przyzwyczajony widzieć błyszczący, gruby, srebrny łańcuch od zegarka — a była to podobno pamiątka po ojcu.

— A ty ośle jeden, a łańcuch gdzie?

— Gdzie? — powtórzył machinalnie za mną i spojrzał bezmyślnie w okolicę żołądka. — Nie mam łańcuszka, zostawiłem go w domu.

Przypominam sobie, jakby to dziś było, że za tę odpowiedź dałem mu przyzwoitego kuksa.

— Kłamiesz gałganie! Tyś łańcuch zastawił — krzyknąłem na niego. A on mi na to:

— To i co?

Nie był to skończony idjota?

Poczciwy, szlachetny, kochany, mój przyjacielu, gdzie ty teraz przebywasz? Kiedyśmy się rozstali, on pisywał do mnie regularnie raz na miesiąc, a ja mu odpisywałem regularnie raz na rok, aż na ostatni list nie odpisałem mu wcale. Może już umarł, może jeszcze żyje...

W takich to myślach pogrążony, przeszedłem Hetmańskie wały i skręciwszy na plac Strzelecki, szedłem dalej ku domowi.

— Przepraszam pana — zatrzymał mnie nagle jakiś wcale pokaźnie wyglądający łaskawca.

— Ognia do papierosa życzysz pan sobie? żałuję mocno, ale w tej chwili nie palę — rzekłem do niego i chciałem iść dalej, ale on nie myślał wcale mnie puszczać.

— I ja nie palę w tej chwili, kochany Karolu...

— Więc mnie pan znasz?

On mi na to, że mnie zna bardzo dobrze. Patrzę na drągala, widzę, że ma czarny zarost, gruby nos, zdrową cerę, twarz wyrazistą, oczy poczciwe, wcale sympatyczna całość, ale w łeb strzel, jeżeli wiem, kto i co za jeden...

— Nie poznajesz więc? — powiada — przecież byłeś moim serdecznym przyjacielem.

Warjat! niby to człowiek ma obowiązek pamiętać o wszystkich przyjaciołach, których pogubił w drodze żywota! Ale właśnie po tym jego wyrzucie poznałem człowieka.

— To Stefan!

— A tak, Stefan.

Uścisnęliśmy się serdecznie.

— Człowiecze! przemieniłeś się nie do poznania. Ty, taki wątły i taki... — chciałem mu powiedzieć i taki zawsze obdarty, ale w sam czas ugryzłem się w język — i taki chudy — dodałem — a dziś... czekaj, niech ci się przypatrzę.

Wsadziłem na nos cwikier i zacząłem lustrować go protekcjonalnie.

— Wiesz co, wyglądasz — czekaj — jak ty właściwie wyglądasz?

Uśmiechnął się dobrodusznie i patrzał na mnie tym dawnym, koleżanskim wzrokiem.

Ty wyglądasz—ba! masz w sobie coś dygnitarskiego, przecież dygnitarzem nie jesteś?

— Przeciwnie, przed miesiącem zostałem mia nowany zwyczajnym profesorem wszechnicy.

— Ty profesorem wszechnicy?! — chwyciłem za krysę mego nowego cylindra i czyniąc ukłon stateczno-przyśpieszony, rzekłem tonem znižonym przepraszam cię kochany profesorze, ale ja, jak

byłem, tak jestem gołym specjalistą w chorobach dziecinnych, przeto winszuję ci, daj pyska.

Ucałowałem pana profesora, bo wolałem go ucałować, aniżeli powiedzieć mu, że mnie to mocno dziwi, iż on jest profesorem, a ja... Mniejsza zresztą o to, czem jestem.

— No, teraz wiem — mówiłem dalej, idąc z profesorem pod ramię — teraz wiem, dlaczego ty tak interesująco wyglądasz, no i powiem ci szczerze, że inaczej patrzysz na świat, aniżeli dawniej.

— Jakto inaczej?

— Powiedziałbym, że z profesorska, jakoś tak wprost, a nie z podełba, przepraszam cię, kochany profesorze.

— Nic nie szkodzi — odrzekł. Ale mylisz się, kochany Karolu, jeżeli sądzisz, że to dzięki mojej socjalnej pozycji wyglądam na człowieka szczęśliwego — bo tak przecież myślałeś?

— Tak...

— Bezprzecznie i stanowisko moje przyczynia się do mego zadowolenia i do szczęścia doczesnego, oczywiście do względnego tak w jednym jak i w drugim kierunku, do takiego, jakie mogą nam dawać wieczne komplikacje życia. Lecz przedewszystkiem wchodzi tu w grę inny czynnik, z którego źródła moje szczęście płynie.

— A to jaki? — zapytałem niedbale.

— Dowiesz się później; chodź do mnie.

— I owszem.

Czemu nie miałem pójść do niego? Zresztą już z góry wiedziałem, co to za czynnik, który go uszczęśliwia. Z natury jestem strasznie domyślny, może nawet za domyślny, co mnie jako lekarzowi nieraz wychodziło na szkodę, albowiem gdzie się domyślałem dyfterji, w następstwie pokazała się szkarlatyna. W tym wypadku jednak, w którym nie o chorobę chodziło, zgadłem. Szczęściem Stefana była żona... Żona! Mam wcale niezłe pojęcie o tego rodzaju odmianie szczęścia, którego na szczęście sam unikałem i jak dotąd, jestem z tego zadowolniony. Raz tylko o mało, że się nie dostałem w łapki takiego światowego szczęścia. Wyba-

wił mnie atoli od tej katastrofy mój rywal. Oświadczył się o godzinę wcześniej, a że miał większy worek, więc dostał żonę, chociaż ja byłem przystojniejszy i panna we mnie się kochała. Wyzwałem rywala; na nasze szczęście obaj źle strzelaliśmy i on został zdrów przy żonie, a ja zdrów bez żony.

Kochany Stefan zaprowadził mnie do swego pomieszkania, urządzonego wcale elegancko i z komfortem, i tam przedstawił mnie swemu szczęściu.

— Mój przyjaciel, mój serdeczny, kochany przyjaciel — i powiedział to z taką serdecznością, że aż szczęścia łzy zakręciły mu się w oczach.

— Więc to pan — rzekła pani Helena, wyciągając do mnie wcale nie pulchne ręce — więc to pan jesteś tym serdecznym przyjacielem mego Stefana?

— Chciałem jej wszystko wyjaśnić, chciałem się przyznać, że to ja, tak, ja, a właściwie tak dobrze jak ja, mógł być jego przyjacielem zupełnie kto inny, ale Stefan odezwał się:

— Tak, to on, moja Helenko, kiedy byłem obdarty, ofiarował mi swoje ubranie, lekcyj dla mnie wyszukiwał, kiedy byłem chory, on jeden przychodził mnie odwiedzać, bo inni bali się zaraźliwej choroby — tyfusu.

Masz babo redutę! a tom wpadł! Niech w tej chwili utną mi łeb, jeżeli zachowałem w mózgu coś z tych głupstw, które on na moje konto wylicza.

— Pani — odzywam się do tego wymokłego szczęścia Stefana — pani, ja nic o tem wszystkiem nie wiem. Być może, że wyświadczyłem Stefanowi jaką drobnostkę, ale on... — i zwracając się do niego, powiadam: a łańcuszek, Stefanie, pamiętasz o łańcuszku? daję słowo, że przez miłość dla ciebie nie byłbym nigdy zastawił choćby i starego buta!

Nic nie pomogło, musiałem wysłuchać od pani profesorowej całej litanii, wygłoszonej na cześć mego serca. I byłbym słuchał cierpliwie, gdyby nie

jej brzydota. Słuchać, jak mówi ładna kobieta i nie słyszeć tego, co mówi, ale patrzeć w jej twarz, w piękne jej rysy, podziwiać regularność linij, świeżość płci, sznurek drobnych pereł, wcale nie chowanych starannie za drobnych ust karminem — to rozkosz! Na tem się rozumiem, chociaż bazgraczem malarzem nie jestem. Ale patrzeć na kobietę brzydką, a do tego w stanie wyjątkowym — nic innego nie wypada wśród takich okoliczności, aniżeli głosu jej uważnie słuchać, patrząc równocześnie przez okno na jeden z dymników naprzeciw stojącej kamienicy. Słuchałem więc i odpowiedziałem, a broniłem się w mojej replice, jak mogłem. I na tem też skończyło się, że posiedziawszy dłużej, aniżeli etykieta pozwala, i do tego nie w surducie, ale w marynarce, za pozwoleniem państwa Stefanowstwa mogłem się wreszcie wynieść, ale pod warunkiem... cóż, gdy warunków nienawidzę! Zazwyczaj, jeżeli rodzice moich małych pacjentów stawiają mi jakie warunki, zrzekam się konsultacji i honorarjów. A tu postawiono mi warunek zjedzenia nazajutrz wspólnego obiadu. Dobrze! zjem z wami i trzy obiady, tylko bez wszelkich zastrzeżeń! Rzeczywiście zjadłem z nimi nie ten jeden obiad, lecz zacząłem bywać u Stefanów coraz częściej i coraz częściej zostawałem to na obiedzie, to na herbacie.

Jak mi miłe zdrowie moich małych pacjentów, to ta pani Stefanowa jest brzydka, bo brzydka... Nie! ona nie jest brzydka, bo ma coś w oczach tak nieskończenie poczciwego, że naprzykład wczoraj, patrząc na nią, pomyślałem sobie: jaka ona miła!

Kobieta-anioł, to termin przestarzały. Michelet tak nadużył tego anielstwa kobiet, że w owym czasie, kiedy przeczytałem jego książkę „Miłość“, dostałem zawrotu głowy i zdawało mi się, że istotnie wszystkie kobiety są aniołami. Ale to już dawno temu, bardzo dawno! Obecnie wiem, że Michelet się mylił, że ja się także myliłem i że Szopenhauer ma o tyle rację, o ile pani Stefanowa stanowi wyjątek. Bo to doprawdy uosobiony anioł

— ta kobieta. Nie mogę sobie tego pomieścić w głowie, jak taki profesor mógł przyjść do takiego anioła-kobiety. Anielstwo — to coś tak wręcz przeciwnego z istotą i charakterem profesury, tak to się jedno z drugiem absolutnie nie zgadza, jak pojęcie kolorów czarnego z białym. A przecież Stefan ożenił się z nią—a ożeniwszy się, nic dziwnego, że ten profesor ubóstwia ją i nic dziwnego, że uważa ją za swoje szczęście!

Ale tu kiedyś dowiaduję się, że do szczęścia pani Heleny czegoś tam nie dostaje. Ciekawym, co to takiego?

— Bo widzi pan — rzekła w kilka dni potem do mnie — mój mąż nigdy nie chodzi do spowiedzi.

Nie chodzi do spowiedzi! Dobraś sobie!

— I widzi pan — mówiła tak dalej — ja mam to przekonanie, że przy braku religijności, przy braku wiary, zawsze nam czegoś w duszy niedostaje i czujemy się nieszczęśliwi. Jeżeli na razie tak nie jest, to ten głos, ta potrzeba wiary odezwie się kiedyś, a biada natenczas niedowiarkowi. Ja tego panu nie umiem lepiej określić, ale brak wiary u mego męża — przeraża mnie. On niby wierzy w Boga, ale nie wierzy w przykazania Boże, nie wierzy w skuteczność sakramentu pokuty i jak tu jedno z drugiem godzić? Co do mnie, to ja to tak rozumiem, że albo we wszystko się wierzy, albo w nic.

Przyznam się, że całe to zwierzenie się przedemną pani Heleny jak najgorzej na mnie oddziaływało. Bigotka — pomyślałem sobie. Nie cierpię tego rodzaju kobiet, bo nie wierzę w szczerość ich intencyj. Są to poprostu komedjantki, którym uroiło się w głowie, że są powołane do wielkiej misji nawracania grzesznych mężów, tak jakby ci mężowie potrzebowali koniecznie chodzić do spowiedzi, aby się dostać do nieba!

Zrażony począłem rzadziej bywać w domu państwa Stefanowstwa. On dopytywał się, co mi się stało, bo spostrzegł, że jestem dla nich obojętniejszy.

— Nic mi się nie stało — odpowiedziałem mu raz — trudno, abym dzień w dzień chodził do was na obiady.

— Jak chcesz — odparł Stefan — ale dziś przyjdź do nas na herbatę. Przyjechała do nas siostra żony i z tej okazji będzie u nas kilka osób.

Siostra przyjechała — rozumiem! chcesz mnie zahaczyć o siostrę! Dziękuję!... Wyrzekam się tego drugiego szczęścia, które w przystępie nabożnej melancholii męczyłoby mnie dowodzeniem, że djabli czyhają na moją poczciwą duszyczkę. Przecież przezwyciężyła ciekawość, a wszakże jako lekarz specjalista muszę być ciekawy. Wieczorem poszedłem do nich na herbatę. Niczego — oczywiście panna Zofia, a nie herbata. Cokolwiek za chuda, ale ma jedną wielką cnotę: mówi mało, a skoro wypadnie jej odezwać się, mówi do rzeczy. Widocznie uczyła się wielkiego i małego abecadła, to i owo czytała, przecież nie rozprawia o filozofii Kanta i Platona, a mówiąc o posłuszeństwie kobiety na ziemi, powiedziała wyraźnie, że wedle jej skromnych pojęć, kobieta ma najwznioślejsze zadanie do spełnienia w domu, czynności zaś pozadomowe należą do atrybucji mężkiej. A co? Bardzo piękna teorja i panna wcale nie brzydka.

Pod koniec tej proszonej herbaty, na której zresztą nudziłem się śmiertelnie — pani Helenie zrobiło się niedobrze. Stefan, żegnając się ze mną w przedpokoju, ucałował mnie serdecznie i szepnął mi na ucho: „Już?“

Co mnie do tego, czy już, czy nie już?!

— Cieszy mnie to, — powiedziałem. — Bywaj mi zdrów — chciałem raz jeszcze ścisnąć go za rękę i wynieść się, gdzie pieprz rośnie, ale on zatrzymał mnie:

— Myślałem, że to później będzie — powiada (co mnie do tego?) — siostra przyjechała, a tu... Nie uwierzysz Karolu, co się ze mną dzieje. Czuję tyle radości, a równocześnie tyle obawy — mój drogi...

Warjat! co on chce odemnie? Mówi mi o siostrze? czy moja wina, że przyjechała? czy ja jej

przyjeżdżać kazałem? Co teraz? — Przecież nie mogę jej powiedzieć: „Wie pani co, panno Zofjo, siostra pani tego... owego..., nie wypada więc, aby pani tu była, chodźmy teraz o dziewiątej w nocy do kościoła, weźmiemy ślub, a potem jazda do domu".

— Mój kochany Stefanie — odzywam się szorstko — co do panny Zofii, macie państwo dość obszerne pomieszkanie, a co do tej drugiej przypadłości — daj wam Boże, aby wszystko szczęśliwie się skończyło. Zostaniesz ojcem, od rana do nocy będziesz miał krzyk dziecka w uszach—to twoje szczęście uzupełni. No, bywaj zdrów — daj pyska.

Uciekłem.

Dnia następnego już z rana otrzymuję od Stefana kartę tej mniej więcej treści:

„Matka bardzo słaba i dziecko niezdrowe — przybywaj do dziecka".

Piękna mi specjalność, opukiwać nowonarodzonego, a w istocie nawet opukać go nie można. Po co on mnie wzywa? co ja mu poradzę? Jeżeli dziecko bardzo wątłe — to umrze, a jeżeli nie umrze, to widocznie miało dość warunków życia — i basta.

Iść przecie wypadało, więc poszedłem.

Znalazłem dziecinę o kilkanaście centymetrów dłuższą, aniżeli w normalnych warunkach —bestja chłopak chudy był, a krzyczał — no, ale niebezpieczeństwa nie było. Pocieszyłem ojca. A biedna matka, coś w rodzaju litości odczułem przecież dla tej biednej kobiety. Źle z nią było. Kolega mój, także specjalista, kiwał nad nią głową jak pagoda chińska—ostatecznie poprosiłem go, aby zaprzestał kiwania i powiedział otwarcie, jak znajduje stan chorej.

— Groźny — powiada.

— Ale obawy katastrofy nie ma? — zapytałem po cichu.

— No... może i nie ma...

Może nie ma, a może i jest?! to mi dopiero specjalista! niech djabli porwą tę naszą specjal-

ność! Dobrze, że sobie poszedł, bo byłbym mu pogruchotał jego specjalne kości!

Stanąłem pod piecem. Piec był zupełnie zimny, nic dziwnego, bo to było lato, mimo to byłbym się chętnie zagrzał.

Stefan usiadł tuż u nóg pani Heleny. Patrzał w jej marmurowo-białą twarz i widziałem, jak ręka, którą pocierał czoło, trzęsła się jakby w febrze. Chora miała oczy zamknięte, sądziłem, że może zasnęła. Już zacząłem myśleć o odwrocie, oczami szukałem za kapeluszem, kiedy pani Helena zwolna podniosła ociężałe powieki. Wzrok jej spoczął na Stefanie. Widziałem, że się uśmiechnęła do niego nieskończenie łagodnym uśmiechem, on się pochylił i pocałował jej alabastrową rękę. Przeczułem, że coś nastąpi — ale co? Chętnie wyniósłbym się za dziesiątą górę, byle nie być przy tem wszystkiem.

Pani Helena poruszyła wargami, po chwili usłyszałem jej głos przytłumiony, zmęczony, prawie śmiertelny:

— Stefanie, mój drogi, kochany Stefanie, mnie by było teraz lepiej, gdybyś ty poszedł... — ale dokąd i poco? — nie mogłem dosłyszeć.

Stefan wstał.

Zbliżyłem się do niego.

— Ja cię chętnie wyręczę — powiadam — i pojadę choćby balonem, ale po co?

On spojrzał na mnie i zauważyłem, że się uśmiechnął mimowoli.

— Ty — rzekł jeszcze ciszej — do spowiedzi, pójdziesz?

Spodziewam się, że nie pójdę! — pomyślałem sobie, bo chociażbym i poszedł, nic by z tego nie przyszło pani Helenie, ale gdybym wiedział, że moja spowiedź... Et, niedorzeczne myśli przyszły mi do głowy.

Do pokoju weszła panna Zofia. Przywitałem się z nią i powiedziałem jej kilka pocieszających frazesów. To ładna dziewczyna, do pani Heleny podobna. Niezawodnie i jej

mąż bedzie musiał w pewnych wypadkach chodzić do spowiedzi.

W nocy źle spałem, bo myślałem o tem, co Stefan pocznie? Pójdzie do spowiedzi, czy nie pójdzie? Zapewne, że pójdzie. Który mężczyzna nie uczyniłby tego na jego miejscu? Swoją drogą, że Stefan nie był w niczem do innych podobny, no ale specjalnie w tym wypadku — tak przynajmniej sądzę... Przy sądzie nad tem, co powinien Stefan zrobić, zasnąłem i spałem, śniąc niespokojnie o pani Helenie, o Stefanie i o pannie Zofii.

Śniło mi się nawet, że byłem w kościele, przed konfesjonałem i że z jednej strony konfesjonału klęczała panna Zofia a z drugiej strony klęczał ktoś, co dziwnie głupio był do mnie podobny. Lecz, że to ja być nie mogłem i nie byłem, ręczę honorem. Ja i konfesjonał! Obudził mnie odgłos elektrycznego dzwonka. Do pokoju wszedł Stefan. Spojrzałem na zegarek; nie było jeszcze siódmej. Przerwał mi sen, a ja tak źle spałem tej nocy! Nic dziwnego też, że go najprzód przyjąłem z miną senno-kwaśną a następnie zapytałem się nie bez strachu, co się stało, czy nie gorzej?

— Nie, nie gorzej, przeciwnie – jest lepiej, mój drogi — uspokoił mnie Stefan.

Więc po co u licha mnie budził?

— Bogu dzięki, że lepiej — rzekłem i markotnie spojrzałem na poduszkę.

— Przepraszam cię, że cię obudziłem — odezwał się Stefan, widząc sentymentalne moje spojrzenie, skierowane ku poduszce — ale uważasz przyszedłem do ciebie — z prośbą, abyś mi powiedział — jak myślisz — czy ja bez przekonania mogę iść do spowiedzi? Pomyśl —, biorąc rzecz prosto, nie wdając się w żadne rozumowania — czy to się zgadza z poczuciem zwykłej uczciwości, dokonywać aktu, do którego nie ma się przekonania, a tem samem popełniać akt fałszu i obłudy. I jak tu pogodzić te wszystkie sprzeczności, które w tym wypadku konsekwentnie następują?

Milczałem — on dalej mówił:

-- Uczynić ustępstwo? — rozumiem, miłe by mi nawet ono było, gdybym miał równocześnie tę wiarę dziecka, że ono jest istotne a tem samem może wywrzeć wpływ zbawienny. Ale tak jak jest — w tym stanie mych myśli i mego uczucia -- czuję się odurzonym i wierz mi, że nie wiem, czy nie lepiej okłamać ją, że byłem w spowiedzi — aniżeli spowiadać się -- tak się spowiadać! Ach, ten brak wiary, którą nam odbiera lekkomyślna młodość — nad wszelki wyraz straszny mi jest w tej chwili. Bo jeszcze modlić .się — ja się modlę i wierzę tak, jak ty wierzysz, jak my wszyscy wierzymy, ale spowiadać się — radbym z duszy, z serca, chciałbym to uczynić, tylko to czuję, że spowiadając się, byłbym przy tym stanie mej myśli i duszy podobny do tego złodzieja, który przy konfesjonale, ukradłszy spowiednikowi złoty łańcuszek, wyznaniem zbrodni chce sobie wytargować spokój duszy. Ty się uśmiechasz Karolu — a przecież to taki sam sofizmat, jak mój — przyznajesz?

— Nic nie przyznaję — odrzekłem po krótkim namyśle - bo i co mam ci przyznać? Są warunki, w których trudno dawać rady.

— Powiedz mi przynajmniej, co byś ty zrobił na mojem miejscu?

— To — odpowiedziałem -- czego ty się wahasz.

— Tak?

Zamyślił się — namyślał i nie wiem, co tam za myśl błysnęła w jego głowie, dość że po chwili zerwał się na równe nogi, uścisnął moją dłoń i spiesznie wyszedł.

Spać się położyłem — ale o zaśnięciu i mowy być nie mogło. Jak tu spać, kiedy się ma temat do rozmyślań i to tego rodzaju temat, który twardszy od najtwardszego orzecha. Całe życie gryzie się ten orzech, ale rozgryźć go nie można. Przecież, wstając z łóżka pomyślałem sobie, czy nie najlepiej robią ci, którzy nie gryzą wcale i tym sposobem nie łamią sobie zębów?

Zapewne — najlepiej jest, zamknąć oczy i iść prosto przed siebie, wierzyć poprostu!

Tego samego dnia, wieczorem wybrałem się do Stefanów, aby zasięgnąć wieści o jej zdrowiu. A przecież — dzieją się cuda na świecie! Zastałem panią Helenę zupełnie inną, rozpromienioną, zdrowszą, a nawet silniejszą. Na przywitanie wyciągnęła do mnie rękę, czego wczoraj uczynić nie mogła.

— Panie Karolu — rzekła już silniejszym głosem — jestem bardzo a bardzo szczęśliwa. On był w spowiedzi i uwierzył!

Spojrzałem na Stefana. Rzeczywiście wyglądał na człowieka, który uwierzył w skuteczność spowiedzi.

Takie cuda nie pozostają bez skutku. W kilka tygodni po spowiedzi Stefana — ku wielkiej radości pani Heleny a ku jeszcze większej panny Zofii — ja stary osioł — wyspowiadałem się, no i ożeniłem się z panną Zofią! Rzecz to pewna, że przynajmniej raz w rok, będę chodził z żoną do spowiedzi.

Franciszek Zwilkoński.

Nadzieja wiosny.

Już wiosna! wiosna! już wdzięki wiosny
Z pod śniegu wstają,
Więc promień słońca witam radosny,
Bo wszystkie lody roztają.
Może i moja niedobra pani,
Ciepłem wzruszona,
Roztaje w sercu, którem mię rani
I pozna, na co stworzona.
Że nie żartować z bliźniego człeka,
Lecz na kochanie,
Ach jak się cieszę, że śnieg z gór ścieka
I miła wiosna nastanie.
Nie długo pani pójdziemy w góry
Tam pod jawory,
Zieleń i kwiaty z lic spłoszą chmury,
Gdy zanucą ptasząt chóry.
Gdy nam słowiczek mile zaśpiewa
I zdrój zaszumi,
Ach tę harmonję, co tak rozbrzmiewa
I twoje serce zrozumie.
I będziesz śpiewać głośno, daleko,
A przy śpiewaniu
Gdy wspomnisz chwile, co jak zdrój [cieką,
To zamarzysz o kochaniu.
Więc sercem witam cię słońce złote
Wiosny nadzieję,
Porzucam smutki, śmiać się ochotę
Mam — z tobą się słońce śmieje.

Władysław Krzyworóy.

Semiramis.

(z niemieckiego Aleksego Aara).

Eufratu szuwar się chwieje,
A z mogił zgnilizna wieje,
Umarłych duchy nad groby
Mkną w pląs szalony żałoby.
Światłem zaś lśni się promieni
Pałac, w nim goście proszeni.
A duchy z zgrozą i trwogą
Patrzą i szepcą złowrogo:
„Znów święto i znów wybrany,
„Którego zwodzą szatany,
„I nim się świt zarumieni,
„Towarzysz wspólny tu cieni!
„Teraz go pieszczą jej ręce,
„A potem — po cóż żyć więcej ?
„Do śmierci otwarte bramy!
„Semiramidę wszak znamy“.
I nową trwożą sie zbrodnią —
Wtem niewolnicy z pochodnią
Przez bramę otwartą mknęli,
A na ich barkach trup w bieli.

Sambor, 26. Lutego 1884.

G. Kohn.

Dwie chwile.

Kwitnie gaik, wietrzyk wieje,
Słonko błyszczy w górze,
Oczko mu się złote śmieje
W modrym nieb lazurze.
Szemrzy strumyk, lśnią się fale
W sinej rzeczki toni,
W gór wyżyny, w zielne hale
Skowroneczek goni.
A tam w gaju chłopiec żwawy
Sciska sercu drogą . . .
. . . .
Słonko zgasło, księżyc łzawy
Spojrzał nań złowrogo...

*

Smętna brzoza czoło chyli,
Patrzy w dal ponura.
Wichr w jej liściach jęczy, kwili,
Niebo skryła chmura.
Na mogile krzyżyk świeży
Sterczy nad kurhany,
Na mogile drogiej leży
Chłopiec łzą zalany...

Lwów, 20. Października 1897.

Emil Menkes.

Jak się zaręczyłem

Nowelka.

Między moimi kolegami biurowymi był niejaki Józef Stern. Jak nazwisko wskazuje, był on pochodzenia żydowskiego; ale też same tylko nazwisko o tem świadczyło, mówił bowiem czysto po polsku i nie utykał na tem nieszczęsnem „r“, z którem naród żydowski w ciągłej jest niezgodzie. Koledzy lubili go wszyscy dla anegdot i opowiadań, które wytrząsał jakby z rękawa, na zawołanie.

Praca nasza biurowa pozwalała nam od czasu do czasu na próżnowanie. Wtedy się czytało dzienniki lub omawiało sprawy bieżące. Zwykle jednak słodkie *dolce farniente* wypadało o zmroku, a ponieważ w tej porze się chętnie słucha opowiadań, lub samemu opowiada, więc ułożyliśmy między sobą, by każdorazowo ktoś z nas z kolei drugich bawił opowiadaniem. Dziś przyszła kolej na Sterna. Ten nie dał się długo prosić, potraktował nas papierosami i zaczął swoje opowiadanie:

— Miałem wtedy lat dwadzieścia kilka, — tak mówił Stern — pensja, którą pobierałem, była dość znaczną i pozwalała mi prowadzić prawdziwie kawalerskie życie. O żeniaczce nie myślałem wcale, chociaż rodzice mnie do niej ustawicznie namawiali, przedstawiając w różowych barwach sło-

dycze pożycia małżeńskiego. Byłbym się może dał namówić do zaciągnięcia się w węzły hymenu, ale nie miałem pośród moich współwierczyń znajomości, a żenić się z panną „nastręczoną“ przez swata lub swatkę, nie chciałem.

O! ci swaci i te swatki! Czy macie o nich choć jakie takie wyobrażenie? Przedstawcie sobie żyda w brudnym chałacie, zgarbionego, o brudnych pejsach; lub starą, zgarbioną żydówkę, której zwykle brak jednego ze zmysłów. Swaci tacy mają w swoim rejestrze spis wszystkich „kawalerów“ i panien do zamężcia. Znają dokładnie stan majątkowy, wysokość pensji kandydata i posag, jakoteż zalety i wady kandydatki do stanu małżeńskiego. Mężczyzna lub panna, która się z nimi wdaje, musi się zdać na ich łaskę lub niełaskę. Jeżeli im się jakaś panna nie podoba, to będzie się musiała zgodzić na takiego mężczyznę, którego oni dla niej wybiorą. Są to poprostu handlarze miłości.

Starający się o pannę młody człowiek, posyła takiego swata do rodziców panny i każe mu tam „zręcznie“ napomknąć o swoich ku niej afektach. Jeżeli rodzicom panny ta „partja“ się podoba, to zapraszają do siebie starającego się. Po paru wizytach, jeżeli młodzi wzajemne upodobanie ku sobie czują, to odbywają się zaręczyny, rozumie się po załatwieniu kwestji finansowej, tak samo ma sie rzecz wtedy, gdy rodzicom panny lub jej samej wpadnie w oko jakiś facet. Wtedy przyrzeka się swatowi grube porękawiczne, aby tylko namówił „jego“ do złożenia wizyty. Wtedy na pierwszy plan wysuniętą jest panna, która się ma gościowi przypodobać. W pierwszym wypadku prawie zawsze przychodzi do zaręczyn, bo starający się o pannę zna ją od dłuższego czasu; w drugim zaś razie kończy się zwykle na paru wizytach.

Wobec tego nie wyda wam się dziwnem, że nienawidziłem swatów i swatki. Mimoto nie mogłem się formalnie opędzić od nich. Nie było prawie dnia, w którymbym przyszedłszy z bióra wie-

czór, nie zastał w sieni czekającego na mnie swata. Nic, nawet jawnie okazana niecierpliwość, nie zrażała tych ludzi. Przynosili z sobą w kieszeni setki zaproszeń, listów różnych i fotografie, które mi pokazywano.

— Tu, mówił swat — jest panny R., ona ma oszym tysząców. — Oglądałem fotografię bezmyślnie, żałując w duchu tej, której podobizna się walała w zatłuszczonej kieszeni swata. Potem następywały dalsze fotografie.

— Ta ma znowu pietnaszcie tyszęcy, i jest bardzo wykształcony. Ona mówi po niemiecki i po francuski, gra na fortepian. A jak gra!... Słuchałem tych chwalb długo, ale wreszcie wszystko to mi się przejadło. Wyprosiłem natrętnego gościa za drzwi, dziękując mu raz na zawsze za wizyty. — Postanowiłem sobie, tego rodzaju gości zupełnie nie przyjmować. Wróciwszy wieczór do domu, zamykałem się na klucz, odpowiadając na pukania milczeniem. Wreszcie znudziły im się te stania pod drzwiami, i z czasem ich wizyty ustały zupełnie.

Od tego to czasu minęło parę tygodni.

Razu pewnego wróciłem właśnie z teatru do domu. Ledwo złożyłem zarzutkę, gdy ktoś do drzwi zapukał. Zdziwiła mnie ta późna wizyta.

— Proszę wejść.

Drzwi skrzypnęły i przez szparę wsunęła się najpierw jarmurka a potem głowa i tułów znanego mi swata. Kiedy indziej byłbym za drzwi wyprosił, ale wtedy byłem wesoło usposobiony, a na twarzy swata igrał uśmiech, który mnie zaciekawił.

Gość postawił w kącie parasol i usiadł na krześle.

— Co tam słychać nowego? — zagadnąłem go.

— Nu, co ma być słychać — odpowiadał — bida i tyle.

— No, to nic nowego, ale co pana do mnie sprowadza? czy może pan mi znowu chce swatać jakąś partję?

— Ej, ej, — mruknął — co pan taki gorący. Ja pana coś powim, to się pan pewnie będzie śmiał.

Rozciekawiony, co mi może takiego powiedzieć, co mnie ucieszy, kazałem mu dalej mówić.

— Wi pan co?... pan pojedzie ze mną, się zaręczyć z jedną panną...

— Znowu to samo! — krzyknąłem, przerywając mu.

On nie dał mi mówić, lecz sam kończył:

— Co panu to szkodzi, pan się zaręczy z jedną starą i brzydką panną, co nawet ni ma nic posag...

Złość moja doszła do zenitu. Chciałem już chwycić mego interlokutora za kołnierz, ale on stał spokojnie, i dziwnie się uśmiechając, tak mówił:

— Co to panu szkodzi? pan sobi zażartujy z te stary dumny panny, a mnie pan da zarobić pary set ryńskich, to będzie na posag dla mojej Ruchli...

Teraz dopiero rozjaśniło mi się w głowie. Propozycja była niezła. Zażartuję sobie — myślałem — z jakiejś tam idealno-sentymentalnej głupiej starej panny, a biedny żyd zarobi kilka set złotych dla swoich dzieci. Nic bowiem łatwiejszego, aniżeli w przeciągu 24 godzin się zaręczyć i rozręczyć.

Jednakowoż nie odrazu na ten krok się zgodziłem. W myślach obliczałem za i przeciw. — Z jednej strony nie ładnie żartować z kogoś, z drugiej znów strony żyd zarobi pieniądze, co mu ułatwi wydanie za mąż córki. Tam czyn nie honorowy — ale tu filantropia... Trzpiotowatość wzięła górę nad rozsądkiem. Zgodziłem się.

* *
*

Nazajutrz nad ranem wyjechaliśmy do N., małego miasteczka, o milę odległego od X. Po godzinnej jeździe furmanką chłopską stanę-

liśmy wreszcie u celu podróży. Było to brudne miasteczko o kilkudziesięciu domkach niskich i zapadłych. Wesoło usposobiony zajechałem do jedynego w miasteczku hotelu „pod śpiewającym kanarkiem“. Ulokowałem się w nim a swat poszedł do „nich“, zapowiedzieć moją wizytę i zarazem przynieść od rodziców panny zaproszenie. Po godzinie wrócił on do zajazdu, przyniósłszy mi zaproszenie, które napisane na eleganckim kartonie i pięknie po polsku, trochę mnie zdziwiło. Swat zapytany, kto „u nich“ tak ładnie pisze, odpowiedział z uśmiechem, że nie wie.

Zaproszenie opiewało na 12. w południe. Ponieważ już niedaleko było do tego czasu, więc wybraliśmy się w drogę. Była ona nie bardzo znośną, jak długo byliśmy w miasteczku, ale później gdyśmy wyszli w pole, okolica przyjemne robiła wrażenie. Dziwny jakiś nastrój panował w naturze. Słońce świeciło, rzucając promienie miłe i łechcące. Skwaru nie było. Zdawało mi się, że każden z osobna promień słońca mi szepce: nie-ho-no-ro-wo... Zacząłem żałować mego zamierzonego żartu, ale cofnąć się było zapóźno. Za daleko już zaszedłem. Swat ciągle mi przypominał, bym „im“ nie dał poznać, że z nich żartuję i abym się odrazu wziął do rzeczy, by do wieczora „interes był ubity“.

Stanęliśmy u celu naszej podróży. Był to okazały, schludnie wyglądający dom, raczej do dworu podobny. Nad bramą wisiała tabliczka z napisem: „Zygmunt M... dostawca kolejowy“. Zdziwiony popatrzyłem na swata. Mówił mi, że M... jest jakimś drobnym przemysłowcem, a tu widać, że jest kupcem, nawet dostawcą do kolei. Nie było czasu na dalsze pytanie, bo gospodarz już wyszedł na powitanie. Był to przystojny, elegancko ubrany mężczyzna w wieku około lat pięćdziesięciu. Z grzecznym ukłonem otworzył mi drzwi do „salonu“, gdy tymczasem swat poszedł do innego pokoju. — Tu nie małe mnie ogarnęło zdziwienie. Spodziewałem się zastać brudny jakiś pokój, gdy tymczasem był to w całem tego

słowa znaczeniu salon. Na ścianach wisiały piękne krajobrazy a w kącie stał fortepian, a na nim rozrzucone w nieładzie gazety i nuty. Rozglądałem się po pokoju, a wzrokowi memu towarzyszył wzrok pana M., na którego twarzy igrał uśmiech dziwnie ironiczny i drwiący. Nie wiedziałem, co z sobą robić.

Z jednej strony uśmiech gospodarza, a z drugiej niezwykłość sytuacji, przyczyniały się wielce do mego rozdrażnienia. Cofać się już nie można było. Zrozumiałem teraz, że swat w porozumieniu z panem M. sobie ze mnie zadrwili Nie mogłem się temu ostatniemu popatrzyć w oczy, a w myśli zapalałem się gniewem na ten niesmaczny żart swata, za który zemścić się postanowiłem.

Tymczasem zawiązała się rozmowa, wśród której weszła pani M., żona gospodarza. Wiekiem dorównywała ona mężowi, i również miała inteligenty wygląd. Zapomniałem już prawie o celu mego przybycia, gdy drzwi się otworzyły, a w nich stanęła piękna postać.

I na jej twarzy igrał uśmiech, który jej dziwnie był do twarzy. A była też ona piękną w całem tego słowa znaczeniu. Kibić wysmukła, główka na pięknej szyi osadzona, cudownie błękitne oczy w hebanowej oprawie i długie zwoje kruczych włosów, które jej na ramiona spadały, uzupełniały całość piękną.

Była to jedna z tych postaci, które raz zobaczywszy, pokochać musisz, a które szerzą naokół zdumienie i ciepło. Patrzyła się na mnie drwiąco. Tak, drwiła sobie ze mnie. Ach! gdybym miał pod ręką tego swata, rozerwałbym go w kawałki!...

Panna Rózia — tak się nazywał ten anioł — jakby zrozumiawszy moje myśli, popatrzyła się na mnie wzrokiem, który wyrażał przebaczenie. Zostałem jej przedstawiony, przyczem mnie obdarzyła słodkim uśmiechem.

W tej chwili zapomniałem zupełnie o warunkach, w jakich tu przybyłem, a przed okiem mojej duszy stały tylko piękne jej oczy. Rozmowa ożywiła się. Ja każde słowo przez nią wypowie-

dziane chwytałem, każde jej spojrzenie wnikało do głębi mego serca. Nie spostrzegłem się wcale, że pierwszą wizytę przedłużyłem zanadto, ale państwo M. nie zważali na etykietę i zaprosili mnie do objadu.

Po nim wrócono do salonu. Na prośbę moją panna Rózia zagrała na fortepianie kilka sonat smętnych i przemawiających do głębi duszy... Nie wiem, w jaki sposób się znalazłem u jej kolan, prosząc o przebaczenie za zamiar, z którym tu przybyłem.

Wśród tak słodkiego *tête à tête* drzwi skrzypnęły, odchyliły się, a w progu stanęła postać skulona. Był to mój swat. Spuściłem na dół oczy, wstydząc się Rózi. Ten swat był jednym oskarzającym mnie świadkiem. On ciągle stał w progu a wreszcie ze śmiechem zapytał:

— Nu, panie Stern, pojedziemy nazad do domu?...

Zamiast odpowiedzi wstałem i znacząco uścisnąłem swata za jego przebiegłość i chytry pomysł.

Ani nazajutrz, ani za cały tydzień do domu nie wracałem...

Lwów, 29. Maja 1893 r.

Wiktor Udeis.

Rachujmy się jak bracia.

Swiat do góry nogami
Wywrócony oddawna,
Wszystko idzie na opak,
Rzecz nie bardzo zabawna,
Więc przysłowia tak samo;
Niech kto chce, ze mnie szydzi:
„Rachujmy się jak bracia,
A kochajmy jak żydzi!"
        Koleżeństwo, braterstwo —
        Jak te hasła nas nęcą!
        Może blaskiem tryumfu
        Nas do walki zachęcą?
        Cóż, gdy zysku w tem nie ma,
        Wszakże sąsiad sam widzi:
        „Rachujmy się jak bracia,
        A kochajmy jak żydzi!"
Był ci człowiek, którego
Dawniej każdy wychwalał...
Runął... nikt go nie dźwignął,
Nikt a nikt nie ocalał.
Ten, co na nim zarobił,
Przyznać doń się dziś wstydzi:
„Rachujmy się jak bracia,
A kochajmy jak żydzi!"
        Ocaliłeś biedaka, —
        Głupi, głupi ty chłopie!
        Ocalony już dołki

Pod wybawcą swym kopie.
Jeszcze tobie urąga,
Jeszcze ciebie zohydzi...
„Rachujmy się jak bracia,
A kochajmy jak żydzi!“
Cóż dziwnego więc na tem.
Że ta zgraja tak krzyczy,
Wycofuje swe wkładki,
Spekuluje i liczy?
Wielki mi to interes!
Niechaj pan się nie brzydzi!
„Rachujmy się jak bracia,
A kochajmy jak żydzi!“

Lwów, 4. Lutego 1899.

G. Kohn.

DLA NOWELI.

Szkic nowelistyczny.

Napisała

Marja B. Przestaszewska.

Kraków, 3. Grudnia.

Droga Nelo!

Cóż to, czy drzwi Twego mieszkania ustawicznie zamknięte? Czy nie ma Cię w domu? Byłam u Ciebie ze sześć razy. Możeś już stale zamieszkała w gmachu uniwersytetu, otrzymawszy posadę rektora? Czy jesteś niewidzialną dla Twoich przyjaciół? Wiesz? przekonałam się, że nienawidzę uniwersytetu, bo mi Ciebie zabiera i życzę mu, żeby się jak najprędzej rozleciał. Wyłajawszy Cię porządnie, przystępuję już wprost do rzeczy.

Otóż kilka dni temu pan K..., winszując mi talentu „z Bożej łaski“ — bo pewnie z czyjej innej nie miałabym go — radził porzucić poezję (którą nawet wróble zajmywać się nie chcą) i wejść na tor powieściowy, a przynajmniej nowelistyczny. Doskonała rada, pomyślałam i zabrałam się do pisania, ale szło mi jak z kamienia i zniechęcona chciałam się wyrzec noweli, powieści i sławy na zawsze.

W tej chwili jednak przypomniałam sobie, że posiadam nieocenioną przyjaciółkę, która niezawodnie wskaże właściwą drogę memu talentowi.

Oczekuję niecierpliwie odpowiedzi

Mika.

Kraków, 5. Grudnia.

Droga Miko!

Dziękuję za zaufanie, ale nie jestem tak mądrą, żebym potrafiła rozbudzić w Tobie uśpione zdolności.

Nie pojmuję, dlaczego nie zastałaś mnie. Jestem codzień ze dwie godziny w domu, chociaż nie mogę Ci powiedzieć, o której porze.

Proszę, nie życz tak źle uniwersytetowi, bo sprawiasz mi tem prawdziwą przykrość.

Do noweli radzę Ci wziąć się w sposób godny końca stulecia. Wybierz z kółka Twych znajomych kogoś, rozumie się tego, kto ci się najwięcej podoba i próbuj prowadzić z nim korespondencję bezimienną, może Cię to natchnie do stworzenia noweli.

Całuję Cię

Nela.

Kraków, 17. Grudnia.

Nudzę się szalenie i to do tego stopnia, że radabym się utopić, albo zakochać. Niestety!... wiedząc z opowiadania chociaż nie z doświadczenia, że woda w obecnym sezonie zimna, a na miłości poparzyć się można, wybieram rzekomo oryginalny sposób i proponuję Panu korespondencję bezimienną. Sądzę, że Pan zechce rzucić kilka słów na papier, choćby dla obmowy bliźnich (obojga płci).

Myśląc, że otrzymam przychylną odpowiedź, podaję adres:

M. R.

Poste restante.

Kraków, 18. Grudnia.

Proszę Pani, czy to ma sens?

Ani Pani nie jesteś pensjonarką, ani ja studentem. A dalej chce Pani kochaniem się zabijać drogocenny czas? Czy przez wymianę listów zako-

chać się można? Nie wierzę. Zresztą, jeżeli Pani zakochana we mnie z samego tylko widzenia, bo i to się zdarza, to ja absolutnie nie mogę się zapalić do jakiejś fikcyjnej blondynki czy brunetki, o której tyle wiem, że do mnie pisuje. Więc jeżeli nasze listy mają być wstępem do znajomości -- zgoda. Jeżeli zaś miałyby tylko służyć do obmowy bliźnich, choćby obojga płci, nasza korespondencja musiałaby się niezadługo przerwać.

Nienawidzę pisania listów, wolę już całować w buzię.

W zamian więc korespondencji: kiedy, gdzie i jak się zobaczymy? Proszę się nie obrażać lekkim tonem ostatniego zdania.

To tylko pustota, która nie poszła przecież za daleko.

Bo proszę Pani, nie wiem, czy piszę do blondynki, czy brunetki, czy moje listy będą czytały oczy czarne, czy niebieskie. Czy Pani woli Jockaya, czy Walter Scotta? Tylko proszę nie adresować tak jak przedtem, bo zdaleka można poznać, że to liścik od kobiety.

Paweł.

Kraków, 21. Grudnia.

Mój Panie egoisto! otrzymałam list i ubawiłam się doskonale. Co za wyrachowanie – czy Pan pewny, że „kocham... kocham już i tonę w rajskim śnie?“ Myślę, że Pana chyba nigdy nie pieszczono, jeżeli całus złożony na pierwszej lepszej białej, czy różowej buzi gotów pana zupełnie oczarować. Być może, że i między nami doszłoby do tej niezbędnej według Pana czułości, na której kochanie, bo nie miłość ma się opierać, lecz na razie muszę Panu tej przyjemności odmówić. Co do zobaczenia się, myślałam o tem także i jeżeli Pan zechce pofatygować się jutro do kościoła św. Anny o godzinie szóstej wieczorem lub na wystawę sztuk pięknych w niedzielę, to być może, że się zobaczymy.

A teraz muszę Panu powiedzieć, że bawi mnie ten różowy liścik. Czy Pan nie wyszedł jeszcze z przesądu całowania i posyłania różowych listów?

Radziłabym, skoro się poznamy, zacząć od komplimentów i ściskania rączek.

Na pocieszenie dodaję, że list Pana czytały śliczne czarne oczy, takie, jakie się Panu podobają — pożądany kontrast do pańskich szarych — a ja nad wszystko w świecie przenoszę szare oczy. Proszę tylko zgadnąć, czy mam jasne, czy czarne włosy. Zresztą ponieważ przestałam już być pensjonarką, napisać Panu mogę, że jestem ładną, tak ładną w swoim rodzaju, że nawet ktoś wybredny nie mógłby mi nic zarzucić. Nie wiem, czemu Pan tak gwałtownie przeskakuje od Jockaya do Walter Scotta, lepiej byłoby jechać przez Niemcy i Francję. A... Przypomniałam sobie Francję. Jak Pan znajduje artykuł „O komedji Rostanda“ Marji Konopnickiej?

Zapewne najlepiej podoba się Panu ten ustęp:

„. . . . Cóż jest pocałunek?
Maleńki ust zadatek — na serca rachunek.
Punkt różowy po słowie „kocham“ postawiony...
Sekret luby, nie uszkom, lecz ustom zwie-
[rzony...“ — i t. d.

Więc gdyby pocałunek był czemś tak idealnem, jak go przedstawia Cyrano, chciałabym być Roksaną, Pan byłbyś wicehrabią, wszystko ułożyłoby się pomyślnie — tylko niewiem, ktoby był Bergerakiem?

Proszę więc stawić się na moje zaproszenie

M. R.

Kraków, 23. Grudnia.

No, no... więc to mają być te śliczne, czarne oczy, to ma być ta piękność, mogąca zadowolić nawet najwybredniejszego? Bo ja się na to zgo-

dzić nie mogę. Musisz Pani przyjąć te impertynencje, bo mnie Pani zmistyfikowałaś. Chociaż co prawda, między osobami, na które padało podejrzenie o autorstwo anonimu, byłaś i Pani. Na dalsze pisywanie listów nie zgadzam się. Natomiast skorzystam z najbliższej sposobności zbliżenia się do Pani i postaram się o kontynuowanie stosunku w celach, jakie Pani w pierwszym liście nakreśliła.

Nie odpowiadam przeto na liczne zaczepki, chociaż by mi to trudności nie sprawiło (taki flirt listowny nie ma sensu), ale czekam na odpowiedź, kiedy, gdzie i jak mam się stawić.

Adieu!

Kraków, 26. Grudnia.

Brawo!... Czy Pan wie, jak brzmi dosłowna interpretacja pańskiego listu? Oto tak: „Ponieważ jestem z zasady złośnikiem, a spotkało mnie chwilowe niepowodzenie, muszę autorce listów anonimowych porządnie dokuczyć“, no i koniec... i już!..

Czy Pan już uwierzył, że można się zapalić do fikcyjnej blondyny czy brunetki? Rozmarzyłam Pana trochę, tak, czy nie? Jeżeli tak, to niech się Panu zdaje, że mój cel osiągnięty. Wolę więc pozostawić Pana w błędzie, bo nie zna mnie Pan i nie widział, a nie tłumaczę się co do mnie samej, bo... nie chcę i... nie mogę. Pański uprzejmy list — to pewnie przygrywka do dalszych grzeczności — dlatego rezygnuję z pańskich listów, znajomości i flirtu!

M. R.

Kraków, 28. Grudnia.

Droga Nelo!

Ponieważ jestem bardzo zajęta nadchodzącym karnawałem, nie będziesz się gniewać, że nie mogąc przyjść z powodu rozmaitych sprawunków, które na mnie czekają — donoszę Ci, że nie omieszkałam korzystać z Twej rady.

Wiesz? wybrałam Twego kuzyna Pawła, który pomimo swej nieznośnej zarozumiałości jest

prawdziwie inteligentnym człowiekiem i cóż mię spotkało? Twój kuzyn, który woli całować, niż odpowiadać na listy i to anonimowe, po dwu listach przerwał korespondencję.

Więc moja nowela przepadła z kretesem, ale nie martwię się tem bardzo, bo wolę tańczyć niż pisać i to jeszcze prozą.

Całuję Cię

Mika.

P. s.

Może w przyszłą sobotę będziesz także na zabawie w kasynie, pomówimy o tej śmiesznej historyi.

M.

Rojno i gwarno było w kasynie. Jedwabne suknie, koronki, gazy, tiule, czarne fraki, mięszanina perfum i woń kwiatów — wszystko to lśniło się, mięszało i odurzało zarazem.

Walc się rozpoczął i Mika wsparta na ramieniu dansera, wesoła, uśmiechnięta, zdawała się tylko żyć dla tańca.

Ładna jej różowa twarzyczka i piwne oczy dobrze odbijały od błękitnej sukni — tańczyła ślicznie.

Nikt zapewne nie byłby pomyślał, że niedawno temu, ta sama figlarna główka męczyła się nad napisaniem noweli. Ani śladu niepowodzenia, śmiała się, żartowała. Nie uważała nawet, że w tej chwili para ukośnych, szarych oczu patrzyła na nią z niechęcią. Właścicielem tych oczu był Paweł. Dumny, wyprostowany, ten „nieznośnie zarozumiały człowiek“, jak się Mika wyraziła, nie mając w tej mierze zupełnej słuszności — stał i podpierał swemi dłońmi filary. Urażony w miłości własnej, ponieważ Mika się ośmielała, żądna wrażeń narazić go na nieudałą schadzkę, na napisanie całych dwu listów i potroszę skonfundowany ich treścią postanawiał się zemścić. Rano nie przeczuwał, że tu będzie, ale przed obiadem wstąpił do Neli,

która jak zwykle nie była w domu. Służąca prosiła go, żeby zaczekał. W pokoju Neli panował iście studencki nieład. Cała podłoga zasiana była świstkami papieru. Słowniki, encyklopedje, podręczniki, książki do czytania rozrzucone po krzesłach i stołach wraz z niezliczoną mocą drobiazgów kobiecych, tworzyły prawdziwie filozoficzny chaos. Na małej kanapce, na której usiadł, zasunięta w róg aksamitna poduszka przyciskała całą paczkę pomiętych listów. Paweł wziął je do ręki i zaczął przeglądać. Nagle drgnął... Pismo jednego listu uderzyło go — zdawało mu się znanem. Było to pismo Miki, list ostatni do Neli. Ale kim jest ta Mika? Zaczął szperać w pamięci i... przypomniał sobie, że widział ją kiedyś u Neli, ale to już tak dawno!... Nie rozmawiał z nią nawet i tylko czasem kłaniał się jej z łaski. Co za dziki pomysł — to nie do darowania. Nie mógł się doczekać kuzynki i pośpieszył do kasyna, zapisać się na listę wieczorną. Stojąc pod filarem, rozmyślał nad przebiegiem tej dziwnej sprawy, nie chciał uwierzyć, że tylko nowela była właściwym powodem tego wszystkiego — zadrwiono sobie z niego, ponawiał więc w duchu przysięgę zemsty. W tej chwili twarz jego nabrała jakiegoś brzydkiego wyrazu, a usta wykrzywił grymas. Mika tańczyła właśnie koło niego i choć udała, że nie widzi, spostrzegła go i pomyślała: Oho! ten nie darmo się tak krzywi! Pewnie pragnie się zemścić, tylko ciekawam, kto mu powiedział, że to ja? Kraków taki duży... Najpewniej Nela, ta roztrzepanica. Ale wywinę się z tego mój panie! — i pomknęła dalej.

Za chwilę Paweł stał przed nią i prosił o karnet, plan zemsty był gotowy. Twarz jego przybrała znowu słodki, ujmujący uśmiech, ale Mika była już uprzedzoną i jakby nic nie zaszło, z czarującą minką zaczęła z nim rozmowę.

*
* *

Słońce wesoło zaglądało w okna Miki i złociło meble, dywany i kwiaty.

Mika wystrojona, rozbawiona wczorajszym wieczorem, przeglądała się w lustrze, czekając tylko na uderzenie dzwonka, mającego oznajmić gościa.

Śmiała się sama do siebie.

No, myślała, Pawłowi się zdaje, że mnie oczarował, ale wiem już, że chce mnie rozkochać po to tylko, żeby się zemścić... Więc nie dam się!...

Uderzenie dzwonka przerwało jej myśli. Paweł zjawił się we drzwiach. Mika witała go z taką serdecznością, że na chwilę zapomniał o zemście.

I odtąd spędzali całe wieczory na prawdziwie miłej pogadance. Paweł z każdą chwilą starał się więcej przypodobać Mice, a ona zdawała się zapominać o noweli, o pierwszem wrażeniu, o całym świecie.

*
* *

Zima zbliżała się ku końcowi. Od ciepłych podmuchów wiatru śnieg topniał i znikał jak zaczarowany. Zabawy się skończyły, a postne rauty nudne były i więcej na nich ziewano, niż się bawiono. Wszyscy oczekiwali wiosny, która gdzieś za rogatkami ugrzęzła i ani myślała się spieszyć. Od czasu do czasu posyłała ta urocza królowa swoich gońców w postaci fiołków i pierwiosnków, które ukazywały się przypięte do żakiecików pań, lub kilku dni jasnych i ciepłych.

W jednym z dni takich Mika otrzymała od Pawła bukiet fiołków i cały pokój był przepełniony ich wonią. Mika lubiła fiołki, a te sprawiły jej szczególną przyjemność. Pieściła się niemi, przykładała je do ust, choć zapach kwiatów ją odurzał.

O trzeciej Paweł miał przyjść, jak zapowiadał bilecik, wsunięty między kwiaty. Dopiero druga. Mika z bukietem w ręku zaczęła marzyć na jawie...

Kwiaty przysłane miały zapewne swój cel i bodaj czy Paweł nie myślał dziś właśnie wystąpić z formalnemi oświadczynami. Oddawna przecież dawał jej do zrozumienia, że jest nią zajęty, ale ona zbywała go żartami. Z początku kokietowała go trochę, bo się bała. Czuła doskonale, że

Paweł wie, kto pisał te nieszczęsne listy, choć jej o tem nie wspominał. W chwilach rozwagi mówiła sobie, że niema się czego bać. Kto jej dowiedzie, że to ona pisała listy, w których zresztą charakter pisma zmieniła... Żałowała, że dała mu powód do zajmywania się jej osobą. Za to ma przecież satysfakcję, że się w niej naprawdę zakochał... Mimo tego Mika nie była zadowoloną. Nie kocha go, choć go dosyć lubi i znowu nie chciałaby go narażać na formalne oświadczyny To nie musi być przyjemnie, dostać kosza. Dobrze, że Mika nie jest mężczyzną, nie potrzebuje się narażać — chwała Bogu!...

Zegar wydzwonił pół do trzeciej. Mika otrząsnęła się z myśli. Zaczęła szukać listowego papieru. Najlepiej będzie skończyć już to wszystko. Napisze mu, że... no, że... żeby nie przychodził... bo... bo właściwie czemu nie ma przyjść?... Nie może przecież napisać teraz, że chodziło jej tylko o nowelę — to trochę zapóźno. Więc cóż napisać? Mika myślała... Woń fiołków odurzała ją coraz więcej... Rzuciła pióro... nic nie będzie pisać. Ee... co jej tam... niech przyjdzie! Przynajmniej ma z kim rozmawiać, a tak, to znowu będzie się nudziła... Albo nie!... niech stanowczo nie przychodzi woli się już pozbawić towarzystwa, niż być w ciągłej obawie i jakiemś dziwnem rozdrażnieniu...

Zegar dzwonił już trzy kwadranse. Niema czasu na posłanie listu. Powie służącej, że nie przyjmuje nikogo... Wstała z krzesła — kwiaty, trzymane dotąd w ręce, upadły na ziemię, nie spojrzała nawet na nie i zbliżyła się do dzwonka... W tej chwili ktoś dotknął jej ręki.

— Tak więc nawet kwiaty, pochodzące odemnie, wzgardzone? — przemówił Paweł, który wszedł bez szelestu i obserwował ją od kilku sekund. Chciała krzyknąć, ale nie mogła... Wysoka postać schyliła się nad nią łagodnie — szare oczy patrzyły tak smutnie, przejmująco, wskazując na fiołki, leżące na ziemi, że zaskoczona nagle i zdenerwowana już przedtem, nie mogła przemówić. Paweł tymczasem nie puszczał jej ręki. „Więc

tylko dla noweli byłem przyjmowany? O! jak to przykro! Chciałem się odwdzięczyć równym figlem za listy, ale zaniechałem tego, gdym Panią poznał bliżej... Ach! Pani nie masz względów dla biednych kwiatów... Widzę, że pozostaje mi tylko — pożegnać Panią". Łuścił jej rękę, ukłonił się nisko i skierował się ku wyjściu...

Mika ze schyloną głową i zbladłą twarzyczką — milczała jak zaklęta. On zatrzymał się na progu. Żal mu było odchodzić. Tyle wieczorów prześmiali, przeżartowali, przemarzyli. A teraz on przekonuje się, że ta miła, wrażliwa istota nie posiada serca!... Żałował swoich dobrych przekonań o niej... Mika milczała... Wolałby, żeby się gniewała albo złościła, łatwiej byłoby ją rozbroić, ale tak — milczy i milczy — a przecież mówiła nieraz aż za dużo.

Widać, że trafił na zły humor, więc trzeba iść.

Odsunął portjerę i już miał wychodzić... Nagle uczuł, że dłoń Miki wsuwa się pod jego ramię i drżący głos szepce cichutko: „Zostań!"

Życzenia
na Nowy Rok.

Już zawitał hoży, młody,
Jakby gwiazda Nowy Rok,
A więc spiesząc na te gody,
Zaczniem z Bogiem pierwszy krok.

Oby przyniósł dzisiaj w darze
Szczęścia, błogich, długich lat,
O czem tylko dusza marzy,
Co uwielbia cały świat.

Ja dziś wątek mojej pieśni
Czerpię, pełen tęsknych mar,
I jak dzikie piewcy leśni
Niosę z lutnią dziwny czar.

Życzę tym, co mojej doli
Opiekuńczy kładą byt,
Niech co pragną z własnej woli,
To rok nowy szczęścia syt

Skarbów swoich moc przyniesie,
Zdrowia, życia jasnych dni,
Bo do tego serce rwie się,
O tem dusza wiecznie śni.

A dla siebie? ja nie żądam
Żadnej sławy w życiu mem,

Jedno tylko niech oglądam:
Cichą ustroń lubych ziem.

A więc z Bogiem roku młody
Zaczynamy pierwszy krok,
Niech ominą nas zawody,
A zabłyśnie „szczęścia rok!“

D. 1. Stycznia 1892.

Ludwika Kałłaurówna.

Działanie na odległość

(z Goethego.)

Królowa siedzi w bawialnej sali,
Gdzie świec się pali tak wiele,
Mówi do pazia: Waść się oddali
I złotem stół ten zaściele,
Złoto w sypialni leży tam w kiesie,
Niech waść te kiesę przyniesie,
A chłopiec biegnąc, co tylko może,
Stanął na miejscu nieboże.

Obok królowej połyka chciwie
Sorbet najpiękniejsza dama,
Ząbki działały jej nieleniwie,
Filiżanka prysła... sama.
O wstyd, o hańba, sorbet się przelał
I splamił suknię, mody ideał,
Pani więc biegnie w pazia kierunku,
Aby w nieszczęściu szukać ratunku.

A chłopiec właśnie był już z powrotem,
Kiedy tam piękność dążyła.
Czy się kochali, głucho tu o tem,
Lecz między nimi nić była...
Ach, co za szczęście, ach, co za raje,
Nieszczęście szczęściem się staje!
Przymknęli k' sobie tak jak warjaci,
Bo to czas płaci, czas traci.

Aż przecież w końcu już się rozeszli,
Ona do swoich pokojów,

A pazia bogi także zanieśli
Do swej królowej podwojów.
Królowa widzi, szata splamiona,
Zkąd plama wzięła się ona?
Lecz ta królowa o wczesnej wiośnie,
Słyszała, jak trawa rośnie.

Więc ochmistrzynię wołać rozkaże;
Sprzeczka się była raz starła,
Gdyż jejmość sama, jeśli nie marzę,
Działalność ducha zaparła.
Wówczas mówiłaż, że ślad zostawia,
Czem człek się właśnie zabawia.
A nawet gwiazdy nie baczą na się,
Choć w jednym wirują czasie.

Lecz oto patrzcie, właśnie przed chwilą
Spirytusowy trunek rozlano,
A wkrótce potem — oczy nie mylą!
Szaty paziowi tak powalano.
Kup sobie nowe, mój paziu mały,
Bo gdy mi one ten dowód dały,
Zapłacę chętnie, lecz zgadniesz może,
Żeś się dziś zbłaźnił nieboże!

Przemyśl, 30. października 1898.

Wład. Krzyworóg

U Kaszubów.

Stary Borutowski siedział przy stole nad rozwartą księgą i czytał na głos:

. . . „W dziesiątym wieku nad Kaszubami objął panowanie wielki król Bolesław, Chrobrym nazwany, który to zdobył był Pomorze i lennem państwem uczynił. Ale mieli Kaszubi własnych książat i wodzów, a ci chcieli się wyłamać z pod zwierzchnictwa następców Bolesławowych. To też kiedy panowanie w Polsce objął Mieczysław II, Kaszubi haraczu lennego płacić już nie chcieli. Trwało to do czasu, póki na tronie polskim zasiadł Władysław Herman. Król ten, jako że był słaby na nogi i sam na wojnę iść nie mógł, wysłał na Pomorze wodza swojego Sieciecha, który przybył tu z wielkiem wojskiem i zmusił Kaszubów, aby hołd złożyli jego królowi. W niedługim atoli czasie Kaszubi wybrali sobie własnego księcia, a na imię mu było Sambor. Książe ten, mieszkał w Gdańsku, gdzie wybudował sobie warowny zamek i ztamtąd napadał na nieprzyjaciół. Sambor panował na Pomorzu tak długo, dopóki nie pojawił się dzielny król Bolesław Krzywousty, syn Władysława Hermana. Ten na nowo zawojował Pomorze i wysłał księży, którzy rozszerzali „na Kaszubach“ światło wiary chrześcijańskiej. Panujące po Samborze książęta kaszubscy, byli wszyscy lennikami królów polskich“.

Borutowski przestał czytać i spojrzał na córkę, siedzącą przy otwartem oknie.

— Słyszałaś, Basiu? — zapytał, długie spojrzenie na jej twarzy zatrzymując.

A ona kiwnęła głową potakująco, poprawiła się na siedzeniu i szepnęła:

— Czytajcie dalej, tatusiu.

Borutowski znowu głowę nad księgą zwiesił i czytał dalej:

„Najgroźniejszymi nieprzyjaciółmi Kaszubów byli sąsiedni pogańscy Prusacy, którzy to za panowania nad Kaszubami Bolesława Chrobrego, zamordowali byli św. Wojciecha, przybywającego do nich ze słowem Bożem, żeby ich na wiarę chrześcijańską nawrócić.

„Aby się obronić przed Prusakami, którzy nietylko na Kaszuby, ale i na inne prowincye do korony polskiej należące, napadali, tedy książe Mazowiecki, brat Leszka Białego, sprowadził Krzyżaków do Polski, iżby pogańskich Prusaków na wiarę chrześcijańską nawrócili.

„Krzyżacy byli niemieckim zakonem mniszym; powstali oni z rycerzy krzyżowych, którzy szli do Palestyny uwolnić grób Chrystusa z pod Turka.

„Czyn ten Konrada Mazowieckiego wiele złego na Polskę sprowadził. Krzyżacy stali się nieprzyjaciółmi Polski i, porósłszy w pierze, niemczyć zaczęli Pomorze, sprowadzając do klasztorów niemieckie zakony, które niemiecką naukę szerzyli w około“...

W ogródku pies skomleć zaczął; Borutowski przestał czytać i nasłuchiwać począł.

— Czy nie przelazł kto do ogródka, Basiu? — zapytał córki.

Basia podniosła się z miejsca i obiema rękami o ramy okna się opierając, na ogródek wyjrzała.

— Wierny skomli, ale tak, jakby swojego czuł w pobliżu — rzekła. — Widzę też jakiś cień, odbity na murawie w ogródku.

— Nic zresztą nie słyszysz? — spytał Borutowski.

— Nic tatulu.

— To pewnie do księżyca Wierny skomli, a cień rzuca na murawę miesiączek świecący. Śliczny wieczór mamy, a co Basiu?

— Śliczny, tatulu! Bzy wnet zakwitną; będzie pachniało w ogródku.

— Możebyś i teraz okno otworzyła — przemówił Borutowski. — Duszno w izbie, a co Basiu?

— A nie przeziębi się tatuś, to otworzę.

— Otwórz Basiu, otwórz; nocka ciepła i wonna.

Basia otworzyła okno.

— Tatusiu — mówiła, haczyki zakładając — coś się rusza w ogródku.

Równocześnie cofnęła się w głąb izby przestraszona, posłyszała bowiem czyjś głos w ogrodzie, wołający ją po imieniu.

— Czy się tylko tobie nie zdaje? Może się ty i Krzyżaków lękasz, o których tobie czytałem? — spytał Borutowski z uśmiechem.

— Nie tatulu. Tylko mi jakoś dziwnie serce puka Może zawołać Wiernego?

— Zawołaj.

Basia wychyliła się za okno.

— Wierny, pójdź tu! — zawołała na psa.

Pies przybiegł do Basi, obie przednie łapy na deszczułkę u okna podniósł, głowę w bok zwrócił, język wywalił, obliznął się, potem zaskomlił kilka razy.

— Ty chyba swojego czujesz, Wierny — zawołał Borutowski; podniósł się, zamknął księgę i zbliżył się do okna. — Puśćże Basiu; niech i ja wyglądnę oknem.

Odsunął córkę, o ramy okien oparł się dłońmi i głowę wystawił do ogródka.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — odezwał się pod oknem głos nieśmiały i drżący.

Starzec zadrżał; odszedł od okna blady i drżący; wargami poruszył kilka razy i dopiero po chwili wyszeptać zdołał:

— To Janek powrócił; idź Basiu; otwórz mu drzwi; kiej chrześcijańskiego pozdrowienia jeszcze nie zapomniał, to wpuść go do izby.

— Janek! — zawołała dziewczyna z dziwną mięszaniną strachu i radości. — Brat mój żyje! Wrócił!...

— Otwórz mu Basiu! — upominał starzec, widząc, jak córka się waha. — Niech on dłużej przed progiem nie stoi tak jak ten syn marnotrawny.

Starzec dowlókł się z trudnością do stołka, usiadł, splótł dłonie i zwrócił oczy na drzwi: wargi jego poruszały się ciągle; pewnie szeptał modlitwę.

Basia wybiegła, aby drzwi otworzyć i powróciła za chwilę do izby; za nią wszedł nieśmiało młody mężczyzna w okurzonem z drogi odzieniu, trzymając w garści tłumok, laskę i czapkę.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — rzekł przybyły, nieśmiało u drzwi przystając.

— Na wieki wieków amen! — odparli równocześnie ojciec i siostra.

— Zbliż się Janku! — przemówił starzec.

— Na kolana upadnij — szepnęła mu siostra.

Janek cisnął tłumaczek i czapkę na podłogę i przypadł do kolan ojca.

— Żałujesz? — wyrzekł prawie szeptem starzec.

Janek uderzył się w piersi.

— Wstań — mówił starzec — zjesz wieczerzę, przez noc wypoczniesz; jutro pójdziemy do kościoła; przystąpisz do spowiedzi i przyjmiesz komunię świętą.

Janek wstał i ucałował ręce ojca w milczeniu; potem począł się oglądać za Basią.

— Przywitaj siostrę — rozkazał ojciec.

Janek przystąpił do Basi i serdecznie w oba policzki ją pocałował.

— Wskaż mu Basiu, miejsce przy ognisku naszem i w chacie naszej, — mówił znów stary Borutowski — jeść mu podaj i wskaż nocleg.

Basia wskazała bratu miejsce przy kominie; tam też usiadł, utkwił wzrok w podłogę i zaciął usta boleśnie drgające w milczeniu uporczywem.

— Matki już nie ma, wiesz? — spytał go ojciec.

— Wiem — odparł cicho Janek i przeżegnał się znakiem krzyża świętego.

— Jutro pójdziesz na mogiłę jej — rzekł starzec.

— Pójdę.

— Nie kładziemy się spać wcześniej, aniżeli o dziesiątej — mówił starzec dalej; — ale kiej-ś spiący to idź do alkowy i połóż się. Spać musisz, bo jutro wczas za dnia wstaniesz.

— Zrobię wedle rozkazu — odparł Janek.

— Nie rozkazuję ja tobie — przerwał starzec; — masz wolę swoją; użyj jej na dobre; to wszystko, o co Pana Jezusa i Matki Jego Przenajświętszej prosić będę.

Basia postawiła w tej chwili przed bratem wieczerzę i rzekła, siadając obok na ławie:

— Jedz, wszakże głodny być musisz?

— Pić mi się chce — odparł Janek; i pochwycił za garnek mleka, przytknął go do ust, pierwej go nie popuścił, aż wypróżnił do dna.

— Jeść nie będziesz? — spytała go Basia.

— Nie będę.

— Opowiesz mi, gdzieś był?

— Opowiem.

— Może teraz spać pójdziesz?

— Pójdę; Gliedrów nie czuję.

— Niby co? — spytała Basia.

— Nie wiesz co? — Nogi, ręce, wszystko mi niby ołów cięży ku ziemi.

Stary Borutowski patrzał na nich; gdy Basia wybiegła do alkowy, aby sporządzić bratu posłanie, wtedy poruszał kilka razy ustami, jakby przemówić pragnął, a wahał się i czekał na coś. Gniewało go i bolało milczenie syna, który teraz po sześciu latach wracał do domu zbiedzony widać, a może i zmarnowany trochę służbą wojskową, a później na Szlązku w kopalniach. Pa-

trzał w twarz Janka ze smutnem zdziwieniem, śledząc w niej zmiany, jakie wyżłobiły tam nędza i opuszczenie. Starca zdjął żal i westchnął.

Tymczasem wróciła Basia do izby i doniosła, że posłanie Janka już przygotowane. Janek powstał z ławy, podszedł do ojca, schylił mu się do kolan i przylgnął ustami do nóg ojcowskich.

— Pacierz zmów — upomniał go starzec.

— Zmówię, wedle rozkazu — odparł Janek.

— Znowu mówisz „wedle rozkazu". Przecież nie służysz już przy wojsku; jesteś w domu swoim — mówił stary Borutowski.

— Dziękuję ojcu.

Janek pocałował ojca w ramię i wysunął się cichaczem do alkowy, ukląkł wtedy z córką i oboje zaczęli odmawiać modlitwę do Przemienienia Pańskiego.

Księżyc zajrzał w tej chwili do izby, lekki wietrzyk przygnał przez otwarte okno zapachy z jabłoni i grusz. świeżo zakwitłych w ogrodzie, a wśród tej ciszy wieczornej, do modlących się dobiegło wyraźnie z sąsiedniej zagrody głośne ujadanie psa i złowrogi, głuchy szczęk łańcucha, do którego był przywiązany.

* * *

Przy niedzieli jako dniu świętym, przybyli do Borutowskiego przyjaciele z nowinami i w chęci pogadania o tem i owem, co im na sercu ciężyło kamieniem, lub ich rozradować mogło, a ducha podniosło i pokrzepiło.

Wzdłuż ściany, pod oknami, biegła duża ława dębowa; na niej zasiedli goście i, jaką który gazetę ze sobą przyniósł, taką na stole obok rozłożył i czekał kolei, aż przemówić mu dozwolono.

Miało się już pod wieczór; słońce ku zachodowi się chyląc, rzuciło jeszcze na odchodnem snop światła do świetlicy i opromieniło na przeciwległej oknom ścianie obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, przed którą płonęła lampka. Twarz Matki Bożej jakby się ożywiła i z miłością spoj-

rzała na tę gromadkę ludzi, twarzami do niej zwróconej. Były to oblicza już niemłode; ciężkie, mozolne życie poorało je w zmarszczki; lata przygarbiły im plecy i tylko dusza trzymała się krzepko w ich ciele, zahartowanem na wszelkie trudy. Wszyscy mieli na sobie długie, do kolan sięgające kapoty, podwiązane szalikiem, kołnierze u koszuli i wąsy wygolone.

Wyjątek stanowili tylko Janek i młodzieniec koło niego siedzący, już modniej, z niemiecka ubrany, z zapuszczonym, długim wąsem i dużemi niebieskiemi oczami.

— I dzisiaj, jak zawsze — przemówił jeden ze starszych Kaszubów — obierzemy prezesem szanownego sąsiada, pana Borutowskiego. Niech on łaskawie oznaczy, komu teraz głos oddaje.

Umilkł, a oczy wszystkich zwróciły się na Borutowskiego.

— Łaskawy przyjaciel nasz, pan Wojciech Bardus — zaczynał Borutowski, wskazując na siedzącego obok Kaszubę — przybył do nas dzisiaj z synem swoim Zapewne zechce coś o nim powiedzieć. Niech mówi. Oddajemy mu głos; czy zgoda?

— Zgoda! — potwierdzili zgromadzeni.

Wtedy Wojciech Bardus podniósł się z miejsca; rękę prawą oparł na stole; obejrzał się po zgromadzonych, a potem przemówił:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Dziękuję wam bracia mili, jako żeście mnie przypuścili do głosu. Nie wiele ja tam mówić mam; oddaliśmy naszemu zacnemu przyjacielowi Borutowskiemu powinszowania nasze, że Bóg mu zwrócić raczył syna, który jako ów biblijny syn marnotrawny, wszedł w progi ojcowskie, wszedł i został naszym. Niech mu Bóg da pociechę, a synowi upamiętanie czwartego przykazania, które powiada: „Czcij ojca i matkę swoją, abyś długo żył i dobrze ci się powodziło“. Moi bracia mili! Nie każdy pamięta na to czwarte przykazanie. Powiecie, że temu dzieci winne, a tak nie jest, moi bracia mili! Dał nam B ó g dzieci, abyśmy je wychowali. A jak

my je wychowujemy? Czy wedle słów apostoła Pawła, który upomina rodziców: „wychowujcie synów waszych w karności i w nauce Pańskiej“. Otóż moi mili bracia, syn wychowany w karności i nauce Pańskiej, choć do wojska idzie, na obczyznę los go zagna, wrogom w ręce oddając, on po latach walki z szatanem, wspomina czwarte przykazanie, uszanuje siwy włos ojca, porzuci złych kamratów, przywlecze się do zagrody swojej i nowe rozpocznie życie. Bo w życiu ono jest, jak o tem pisze św. Ewangelia: „Co będzie siał człowiek, to też będzie żął. Albowiem kto sieje na swem ciele, z ciała też żąć będzie skażenie; a kto sieje na duchu, z ducha żąć będzie żywot wieczny“. Odpowiedzialnymi też jesteśmy za uczynki dzieci naszych i oto sami przykładem dobrym dla nich być winniśmy i na świat je puszczając, przed Bogiem czyste sumienie miejmy, jako temu dziecku krzywda w wychowaniu się nie stała. A kiedy potem anioł i szatan walkę o duszę dziecka tego rozpoczną, my w spokoju i ufności modlić się winniśmy, wierząc w to, że anioł zwycięży. Macie tego dobry przykład, bracia mili, na powróconym tu do nas Janku Borutowskim. Nie tajnem nam było, jaka to tam była walka szatanów z aniołem. Ale anioł zwyciężył. Dobre ziarno, w domu zasiane, przecie w górę kłosem wystrzeliło i zdusiło podłe chwasty.

Mówiący umilkł na chwilę i odetchnął; każdy patrzał w jego twarz, wyczekując dalszej mowy. A Bardus, odchrząknąwszy, mówił dalej:

— I mnie, bracia mili, Pan Bóg syna dał, iżbym go wychował. Pamiętałem o słowach mądrego Syracha i apostoła Pawła. Wychowałem go w karności i nauce Pańskiej. Ale jakom człowiek śmiertelny jest, a chciałbym, nim oczy zamknę, widzieć mojego syna ustatkowanego, przy rozsądnej i światłej niewieście, którą — by na żonę wziął — tak i umyśliłem sobie dziewosłębić synowi i uważnem okiem po naszych dziewojach się oglądnąć, a potem wybór uczynić. Nie brak nam, co prawda, skromnych i pracowitych, a światłych

dziewcząt, ale baczne oko moje wśród nich jedną dostrzegło, która pociechą i osłodą staremu ojcu jest, gospodarstwa jego, jak skrzętna gospodyni pilnuje, za chłopcami nie biega, lecz w statecznej zabawie przy książce uciechy szukając, na światłą białogłowę wyrosła. Jeślim zaś, moi mili bracia, nie dość zrozumiale rzecz wytłómaczył, powiem i nazwisko tej panienki. Jest to Basia, córka naszego zacnego przyjaciela Borutowskiego. A teraz jako przyjaciel ciebie przyjacielu Józefie proszę o rękę twojej córki Basi dla mojego syna Marjana, który mi teraz z wojska powrócił, a jako w sprawiedliwości i czystem sumieniu mówiąc, rzetelnym jest chłopakiem, na obczyźnie wiary dochował, pacierz nie zapomniał, a przykazania boskie w sercu i pamięci ma".

To mówiąc, Bardus z ławy powstał, syna za rękę wziął i przed Borutowskim z Marjanem stając, nisko mu się pokłonił.

Gdy to widział Borutowski, powstał i drżące ręce na ewangelii sparłszy, do ramienia Bardusa ustami przylgnął, potem jednę dłoń nad głową Marjana uniósł, cicho go błogosławiąc.

— Bóg zapłać przyjacielu — przemówił do Bardusa drżącym głosem — żeście o mojej sierocie pamiętali w takim zaszczycie. Tylko, że to o sierotę chodzi, to zwróćcie się do mojej Basi; niech ona powie, czy na to przystaje, bo mi sierocie musu nakładać nie wolno.

Bardus znowu głowę przed Borutowskim skłonił na znak szacunku dla jego przekonań i w dowód, że się z tem, co on mówi, w zupełności zgadza, poczem z Marjanem do zawstydzonej Basi przystąpił, głęboko i nisko się przed nią ukłonił i oświadczyny powtórzył.

Basia zawstydziła się okrutnie i dopiero zapytana kilka razy, czy przyjmuje oświadczyny Marjana, odparła:

— Wola ojca, moją wolą.

Poczem młodzi przed ojcami uklękli, o błogosławieństwo prosząc.

A kiedy tak wszyscy rozradowani dziewosłębami, gwarzyli o tem i owem, nikt w świetlicy nie zauważył, jak po pod okna zakradał się jakiś człowiek, twarz do szyby przytknął, lisie oczy na izbę zwrócił, a potem znowu się ukrył. Równocześnie Wierny zaszczekał przeraźliwie i w bramę ktoś zastukał dwukrotnie.

Po zgromadzonych przeszedł zimny dreszcz; Borutowski podniósł głowę i rzekł, zwracając się do Basi: — Idź Basiu zobaczyć, co się stało.

A kiedy Basia, drżąc ze strachu, z miejsca się nie ruszała, wtedy przystąpił Marjan do niej i wyszli we dwoje do sieni; zaledwie jednak odsunęli zasuwkę u bramy i otworzyli drzwi, posłyszeli zebrani w izbie krzyk Basi i wołanie Marjana:

— Żandarmi, żandarmi przyszli!

Zbledli wszyscy i powstali z miejsc; tylko Borutowski nie ruszył się ze stołka, a gdy w około pytać go zaczęli, co czynić wypada, odparł:

— Milczeć i czekać.

Nie czekali długo; do izby weszło bowiem dwóch policjantów; za nimi ukazały się blade twarze Marjana i Basi.

Pierwszy z policjantów, widocznie starszy rangą, przystąpił do stołu, i wodząc oczyma po zebranych, zapytał po niemiecku:

— Gdzie gospodarz tego lokalu, pan Józef Borutowski z Poznania?

— Ja nim jestem – odparł spokojnie Borutowski.

— Pan się nazywasz Józef Borutowski — ciągnął policjant dalej swoje śledztwo, patrząc przytem na zapisane linie notatniku — Józef Borutowski, so, so! Pan jesteś politycznie podejrzany; pan prowadzisz wielką agitację polską, a teraz w swoim lokalu przyjmujesz pan członków stowarzyszenia (Vereinsmitglieder). Czy zebranie dzisiejsze było w rejencji zameldowane? Proszę mi pokazać pozwolenie rejencji.

— To nie jest zebranie polityczne — zabrał głos stary Bardus. — W dziewosłęby tu dziś z synem przybyliśmy.....

— Do pana nie mówię! — przerwał mu policjant. — Odpowiadać ma gospodarz tego lokalu. Czy masz pan pozwolenie rejencji na dzisiejsze zebranie? — spytał powtórnie Borutowskiego.

— Nie mam żadnego kwitu; — odparł Borutowski — gości u siebie w domu podejmuję, a na to nie potrzeba pozwolenia rejencji.

— Powiedz to pan głupszemu, niż ja jestem! — zawołał policjant. — Znamy pana dobrze jako politycznie skompromitowanego. Mamy pewnych świadków, że zbierają się u pana w lokalu członkowie jakiegoś tajnego stowarzyszenia. Zastaliśmy tu tych członków w ich pełnej funkcji; na stole widzę książki i gazety. Zabrać to! — zawołał na towarzysza, a drugi policjant, mimo protestu zebranych, zabrał ewangelią, jak również gazety i schował do torby swojej. — A teraz — mówił dalej pierwszy policjant, wodząc po zebranych badawczym wzrokiem — nakazuję, aby każdy z panów powiedział mi swoje prawdziwe nazwisko.

I ujął notatnik w lewą rękę, stojąc przed Bardusem. Wszyscy po kolei za przykładem Bardusa wyznali, jak się nazywają i wyczekiwali ze drżeniem, co dalej będzie.

Po zamknięciu protokołu, pierwszy policjant przystąpił do Borutowskiego. — Panie Borutowski rzekł po niemiecku — aresztuję pana w imieniu prawa.

Basia krzyknęła przeraźliwie; Janek z nieludzkim prawie rykiem chciał się rzucić na policjanta; ale Bardus pochwycił go przemocą w ramiona swoje, w których szamotał się i mruczał, jak lew spętany. Zebrani spojrzeli z trwogą na Borutowskiego w przypuszczeniu, że starzec zemdleje. Ale on stał nieruchomo i tylko ręce trzęsły mu się; popatrzył na Basię i Janka, zrobił krok naprzód i zwracając się do Wojciecha Bardusa, rzekł drżącym, ale wyraźnym głosem:

— Pójdę, kiedy mnie wołają. Wy zostańcie bez trwogi i rozejdźcie się w spokoju do domów swoich. Błądzi często sprawiedliwość ziemska, ale nie lękajcie się, bo nad wami czuwa Bóg, a prawda, jak oliwa zawsze na wierzch wyjdzie. Za-

denuncjował nas kolonista Berg z sąsiedniej zagrody; śledztwo atoli wykaże, jako że do towarzystwa politycznego nie należymy. Ja pójdę, a wy Bardusie pamiętajcie o moich sierotach.

— Będę pamiętał, tak mi Boże dopomóż — oświadczył Bardus uroczyście.

— Bóg zapłać przyjacielu — rzekł Borutowski — i wam bracia dziękuję.

I pocałował każdego w ramię i słowem Bożem pożegnał ich; kiedy przystąpił do Janka, dodał, rękę na ramieniu syna kładąc:

— Bądź zdrów Janku! O Bogu pamiętaj, siostry strzeż i tej ziemi z garści nie puszczaj, ale roś ją potem swoim.

Pocałował go w głowę i głosu syna nie słuchając, zwrócił się do Basi.

— Nie płacz dziecko — rzekł łagodnie i przytulił ją do piersi — Bóg o sierocie pamiętać będzie. Nie zginiesz. Módl się i pracuj: opiekuna ci zostawiam; słuchaj go, jak mnie słuchałaś.

Basia upadła ojcu do nóg i kolana jego obejmując, zawołała z płaczem:

— Tatulu, nie zostawiajcież mnie sieroty samej!..

— Nie grzesz córko! — odparł Borutowski głosem uroczystym. Nie samą cię zostawiam; masz opiekuna, brata i narzeczonego, a i Bóg w niebie czuwa nad sierotami. Wstań. Kabat i torbę gotuj do drogi, bo muszę iść. A teraz, kiej-m z wami się pożegnał, pozwólcie, że się pomodlę.

Rozstąpili się wszyscy; Borutowski przed obrazem Matki Boskiej ukląknął i siwą głowę nisko ku ziemi chyląc, modlił się cicho, prawie bez słów, bo nawet szeptu słyszeć nie było.

A kiedy wychodzić miał z chaty, za progiem jeszcze przystanął, schylił się i pacałował ziemię.

Czuł, że już pod dach swój nie wróci.

A. Kallus.

Do siostry.

Wesoła, jak w rzeczce pluskająca rybka,
Jak ptasze swobodna, rozkoszna i chybka,
Zleciałaś szczebiocąc siostrzyczko w poddasze,
By troski rozprószyć, rozwiać smutki nasze.
I dobrze nam było przy boku filutki,
Wesołość wzrastała, pierzchały w dal smutki
A szczerość, otwartość, swoboda pospołu,
Z gawędką siadały u jednego stołu.
A serca...?... ach! o tych opowiem Ci krótko:
Wykradłaś je całkiem, płocha bałamutko,
I wzięłaś je z sobą; — a nam pozostała
Pierś smutkiem zajęta i dusza zbolała..

. . . .

Siostrzyczko! przylatuj, jak wesołe ptasze,
Czem rychlej, ponownie pod nasze poddasze:
Lecz niechaj „łobuzek“ potem nie umyka
Tak spiesznie z poddasza swego brata.

Ćwika.

Dawniej — Dzisiaj.

Dawniej kruszyli kopie rycerze
W imię bogdanek, te zaś w ofierze,
Niosły zwycięzcy wawrzynu wianek,
Którym skroń zdobił dzielny kochanek...

Dziś inny zwyczaj — blady młodzieniec,
Zobojętniały na chwały wieniec,
O pieniądz pyta u — feministki:
„Lepsza moneta — niż lauru listki“...

Ćwik.

Kuplet

do operetki „Duch gór“ (muzyka Conradiego, słowa Orłowskiego), odegranej w marcu 1898 w Kasynie miejskiem we Lwowie.

Zapełnić pragnąc w sercu brak, —
— pojąłbym młodą żonę,
Lecz boję się, aby mnie los
— nie ubrał w przeuczonę. —
W kąt rząd i dzieci, dom i mąż,
W kąt ład, skład i obiady,
Natomiast kluby, sesje wciąż,
Odczyty i wykłady.
Toż jabym wysłał w dobry czas,
Te feministki wszystkie wraz,
Do Afryki — do Kamerun —
— gdzie dziś się Prusak szasta.
Tam nowy Berlin stanie wnet —
— gdzie dziko pieprz wyrasta...

Walenty Ćwik.

Teściowa.

(Bajka).

— „Bierz osła!“ — świekra nawołuje syna —
— Jedź po doktora, bo chora dziecina“.
Stach utrzymawszy pilny rozkaz taki,
Szybko na osła nakłada kulbaki,
Z wędzidłem również nie długo się biedzi,
Wziął kij do ręki, już na ośle siedzi. —
Lecz osioł kija widać się nie boi,
Bo iść, czy nie iść, rozmyśla i — stoi,
A na bolesne argumenta Stacha
Gwałtownie wierzga i ogonem macha...
Wtem — zoczył świekrę; zadrżał pełen trwogi,
Podniósł ogon do góry, dalej z Stachem w nogi!..

Z. P. Karwowski.

Wspomnienia z ławy studenckiej

Wierszem nakreślił

M. O.

Pierwsza serja.

Majówka. Przygotowanie.

„Czy święto dziś, że wszystka młodzież
W świąteczną się ubiera odzież?
Czy dziś nadeszła straszna pora
Oględzin pana Inspektora,
Że z taką miną tajemniczą
Guziki u ubrania liczą?
Czy mają witać Dygnitarza,
Czy Namiestnika lub Cesarza,
Że wystrojeni i opięci
Wystąpić myślą dziś studenci?
Czy?... Ale nie! — Nie do kościoła
Tak dziś się cała stroi szkoła,
By tu w pokornej, cichej skrusze
Polecić Bogu młode dusze,
Poprosić go o wszystkie cnoty,
A przytem — o zegarek złoty,
By Duch Najświętszy ich oświecił
I miłość prawdy w sercu wzniecił,
Dał pamięć bystrą, wolę silną,
Pojętny rozum, głowę pilną,
By wreszcie wszystkie szkolne troski
Gorąco zlecić Matce Boskiej,
I ofiarując trzy pacierze,
Poprosić ją w najgłębszej wierze,
By nauczyciel dziś nie pytał,
Lecz sam tradował albo czytał,
Bo jak mnie zechce capnąć z greki,
Przepadłem już na wieków wieki!
Nie do kościoła dzisiaj młodzież
W świąteczną się ubiera odzież,
Bo dziś nie święto: odgłos dzwonu
Nie wzywa dziś przed stopnie Tronu
Pobożnej trzodki wiernych owiec.

Uboga wdowa, nędzny wdowiec,
Ułomni starce i sieroty
I matki, — obraz wszelkiej cnoty -
Co tłumnie spieszą do kościoła,
Jak tylko wielki dzwon zawoła,
Ci wszyscy w niesprzątniętej chacie,
W powszedniej dziś pracują szacie,
A młódź się stroi, czyści, myje,
Obciera ręce, twarze, szyje,
Zagarnia włosy, tnie paznokcie,
Rozdarte w sukniach zszywa łokcie,
Przeczyszcza suknie, kamizelki,
Krawatki ściąga, pręży szelki;
Koszule czyste i chusteczki
Dobywa z kufra lub torbeczki.
I jeszcze tylko dwie minuty
Niech wyglancuje sobie buty,
A wnet zakończy ubieranie;
Nie tak jak nasze modne panie,
Co przy strojeniu pięknych główek
Z pięć zatrudniają pokojówek,
A choć się wszystkie strasznie spieszą,
Co trzy godziny włosy czeszą,
Bo student sług nie potrzebuje
I wcale braku ich nie czuje,
Bo student nic nie puszcza w najem,
Sam sobie panem, sam lokajem,
Sam ekonomem, sam pisarzem,
A nawet krawcem i kucharzem,
Więc sam się zbiera. czyści buty,
Wydaje obiad — zrazu suty,
Bo cóż to przecie komu szkodzi,
Że w końcu trochę się przegłodzi,
Gdy tak wymiecie swe spiżarnie,
Iż nic a nic nie pójdzie marnie?
Zdobyta w osobistej biedzie
Nauka nigdy w las nie idzie,
A jak dokładnie później liczy,
Gdy głód cokolwiek go przećwiczy!
Niekiedy sam naprawia spodnie,
A choć nie gładko, choć nie modnie,
Ha! kiedy go na krawca nie stać,

To musi i na tem poprzestać,
A szydzić z niego się nie godzi.
Choć student bez sług się obchodzi,
Nie zbiera się i pół godziny,
A i to nigdy bez przyczyny,
Niejeden jeszcze w łóżku leży,
Gdy zegar na pobliskiej wieży
Na ósmą bije trzy kwadranse,
I wstać czy nie? — oblicza szanse:
Za „tak!“ — przemawia rozum, głowa,
Nauka, lekcja nie gotowa;
Do „nie!“ nakłania zaś leniuszek,
I ciśnie głowę do poduszek,
I na swą stronę chyli szalkę,
I — już zwycięzko kończy walkę...
Za „wstać“! nareszcie mus rozstrzyga,
A choć się jeszcze leniuch wzdryga,
Już student nań się nie ogląda,
Odrzuca kołdrę, wody żąda,
Zaciąga spodnie, wzuwa bucik,
Już kamizelkę, już surducik,
I umyć się piorunem skoczy
Bodajby tylko ręce, oczy,
I czapkę włożył już na głowę,
Pod pachę wsunął ksiąg połowę.
Dopiero w drodze jé śniadanie
I pędzi — ile sił mu stanie;
Lecz — punkt o ósmej jest już w klasie —
Co prawda poznał po niewczasie,
Że jeszcze nie uczesał głowy,
Że nie wziął książek i połowy,
Że butów też nie wypucował,
Bo już naganę w kieszeń schował. —
Lecz dziś nie czeka ich nagana,
Bo dzisiaj wszyscy wstali z rana
I włosy wyczesali ładnie,
I wystroili się paradnie.
Czy pan Inspektor dziś się zjawił
I taką pilność w uczniach sprawił?
Ej! — Gdyby o nim student wiedział,
Z pewnością by nad książką siedział,
Bo pan Inspektor taki groźny,

Że wiatr po szpiku ciągnie mroźny,
Gdy kogo zmierzy strasznym wzrokiem,
Lub idąc chyłkiem albo bokiem,
Nastrzępi wąsy, brwi, powieki,
I „tłumacz mi ten ustęp z greki!“
Zawoła przejmującym głosem,
Lub jeśli psim prawdziwie nosem
Wytropi taki kraj na mapie,
Że choćby nie chciał, przecież złapie!
Ot, raz Inspektor w złą godzinę
Pokazać kazał kraj — Krainę!
A student omal nie osłupiał!
Bo albo pan Inspektor zgłupiał
I nie wie, że od „kraj“ — „Kraina“
Pochodzi, tak jak od pies — psina,
Lub wypił kilka szklanic piwa...
A wtem przychodzi myśl szczęśliwa.
Odchrząknął, potarł swą czuprynę
I pokazuje — Ukrainę.
„Krainę wskaż!“ Inspektor woła
I bystro wodzi wzrok dokoła,
„Nie Ukrainę, głuchy żaku!“
A w klasie jakby posiał maku,
Bo ledwie szepło jakieś licho,
A już Inspektor groźnem „Cicho!“
Jak gdyby gromem w pierś uderzył
I występnego błyskiem zmierzył.
Każdemu z strachu twarz pobladła.
I czarna troska na nos wsiadła,
Bo czyż to nie wyraźne drwiny,
Że szukać każe mu Krainy
Na mapie, gdy jej pełno wszędzie!
Oj, co to będzie, co to będzie?..
— „Źle!“ myśli zrazu zagadnięty,
„Już wszystek humor pcha się w pięty!
Utkwiłem w mapę wzrok jak w tęczę,
Napróżno jednak głowę męczę..
Przeszedłem wszystkie już przypadki,
Lecz nie rozwiążę tej zagadki..
I któż mi dzisiaj dopomoże?
Nikt, chyba Ty, wszechmocny Boże!
Straciłem wszelką już otuchę,

Bo w klasie słychać nawet muchę,
Tak wszystkim oddech krtań zatkała.
„Ach, jakaż ze mnie ośla pała!“
Pomyślał w duchu już wesoło
I dłonią klasnął tępe czoło:
„Tu austryacka jest Kraina!“
A w klasie już weselsza mina:
Minęły burze, błyskawice,
Jaśniejsze klasa ma już lice
I żywsze pokazuje oko,
Gdy — ha! — odetchła pierś głęboko.
To jedno „ha!“ jej pierś ulżyło,
I czarną troskę z nosa zmyło,
To jedno „ha!“ — by kraśnym wieńcem
Ozdabia zbladłą twarz rumieńcem,
I cóż to się właściwie znaczy?
Ha! — Pan Bóg to tam wiedzieć raczy.
Bo o papieskim delegacie
W przepysznej kardynalskiej szacie
Z pewnością „Unja“ by doniosła,
A gdyby cesarskiego posła
W Przemyślu dziś powitać miano,
Żołnierze wstali by dziś rano,
A oni jeszcze śpią w kasarni
Lub dopijają noc w piwiarni.
Podobnoś przeto ich nie czeka
Parada, musztra, pot i spieka,
A pan Starosta i Komisarz,
Konsyliarz, Sędzia, Adjunkt, pisarz,
I wszyscy zgoła urzędnicy,
Pan Burmistrz, Rajcy, Politycy,
W galowe szaty się nie stroją.
Nie trzęsą rożenkową zbroją,
Pierogów też — uczciwszy uszy,
Czy stosowanych kapeluszy
Nie biorą z koguciemi pióry:
W ukryciu leżą ich mundury,
Na kołkach wiszą cieńkie szpady.
A więc — nie będzie dziś parady,
Dziś wszyscy zwykłą biorą odzież:
Jedynie tylko szkolna młodzież
W świąteczne dziś się stroi szaty
I w wieńce splata wonne kwiaty,

Lub wydobywa trąby, flety,
I śpiewa huczne tryolety
Wesołym, świeżym, dźwięcznym głosem,
Lub nucąc marsze po pod nosem,
Zabiera kwiaty i kokardy
I z czołem, pełnem butnej wzgardy
Już, już gotowa do wychodu.
Z jakiegoż przecie to powodu
Tak uwijają się studenci?
— Coś niedobrego tu się święci:
Wszak święta nie ma w kalendarzu
I ani słychu o Cesarzu,
Przemyska jednak szkolna młodzież
Ubrała się w świąteczną odzież:
Wszak nie nastała dzisiaj pora
Wizyty pana Inspektora,
Choć z taką miną tajemniczą
Guziki u ubrania liczą;
Wszak nie przyjedzie dziś nikt z gości
Cesarskiej lub Wysokiej Mości,
By hucznie go powitać miano.
Dlaczegoż wstała młódź tak rano?
Dlaczegoż wije wonne wianki?
I czemu jak do pohulanki
Studenci dzisiaj się ubrali?
Dlaczegoż, skoro tylko wstali,
Z obawą patrzą się w obłoki?
Wszak jak sklepienia krąg szeroki
Nie dojrzeć na nim żadnej chmurki!
Dlaczegoż skocznie jak wiewiórki
To tu, to tam biegają w pędzie?
Co też to będzie? Co to będzie?

Pochód.

„Do dłoni dłoń! Hej naprzód w las!
Tam boska toń, tam oddech boży
Promieńmi słońca cuda tworzy.
Do dłoni dłoń! Hej naprzód w las!
Dziewicza woń otoczy nas,
Błoń odświeżoną nam rozłoży.
Do dłoni dłoń! Hej naprzód w las!
Tam boska toń, tam oddech boży!

Przecudny Maj zawitał nam,
Przyroda rajskie wdziała szaty,
Wonnemi kraj zakwitnął kwiaty,
Przecudny Maj zawitał nam!
Z zielonych raj wygląda ram,
Słowiczy gaj szle ton bogaty,
Przecudny Maj zawitał nam,
Przyroda rajskie wdziała szaty!
Gdy błysną pasma nocnych gwiazd,
Co świat przed jasnem słońcem chronią,
Żywiczną las wytryśnie wonią,
Gdy błysną pasma nocnych gwiazd.
Noc zwabi nas do strojnych gniazd,
By igrać wraz zalotów bronią,
Gdy błysną pasma nocnych gwiazd,
Co świat przed jasnem słońcem chronią.
Rozkoszy stój! miłości czar,
Tworzenia zdrój przenika nerwy,
Przyrody strój wabi bez przerwy!
Rozkoszy stój! miłości czar
I życia zdrój rozpala żar,
Dodając płodom bujnym werwy.
Rozkoszy stój! miłości czar,
Tworzenia zdrój przenika nerwy!
Do dłoni dłoń! Hej naprzód w las!
Tam rajska woń otoczy nas!““
Tak śpiewa dziś przemyska młodzież,
Ubrana w lśniącą, świeżą odzież,
Po czterech idąc w marsz miarowo
I zachowując się wzorowo.
Na czele wszystkich sam chorąży
Z chorągwią szkolną naprzód dąży.
Postawa silna, chłop wysoki,
Na wszystkie wystrojony boki —
Tak bystry w koło wzrok rozwodzi,
Że gawiedź przed nim z drogi schodzi
I korne okazuje względy.
A za chorążym w cztery rzędy,
Po czterech z bębnem i trąbami,
Z fagotem, fletem, klarnetami,
Kapela marsza tnie od ucha,
Że aż nerwami rozkosz bucha. —

Muzycy nie są wynajęci,
Lecz sama młódź, sami studenci.
A mimo to niech się wojskowa
W podziemiach banda przed nią schowa.
Za bandą klasa tuż za klasą,
Wiosenną ustrojona krasą,
Podąża w takcie cała szkoła.
U wszystkich dzisiaj myśl wesoła,
Z każdego wargi zdrowie tryska,
Z każdego oka radość błyska,
Z każdego serca tchnie swoboda,
Na każdem czole dziś pogoda,
Na każdem licu jest rumieniec,
A wszyscy jeden tworzą wieniec,
Uwity z różnobarwnych kwieci
Bez kolców, bez szatańskich sieci,
Bez kłów, pazurów, żądeł, jadu.
Bez trującego wnętrza czadu.
Harmonja dzisiaj im przyświéca,
Harmonja grzeje wszystkie lica,
Harmonja jasne koło kréśli,
I harmonijnie splata myśli,
Polaka stawia przy Rusinie,
Jakiego właśnie los nawinie,
Rusina dłoń z Polaka dłonią
Dziś j e d e n takt z muzyką dzwonią,
Nikomu szemrać dziś się nie śni;
Czy polskie, czy też ruskie pieśni
Dziś wszyscy jedną piersią nucą
I o pierwszeństwo się nie kłócą. —
Tak przeszli w marszu krok za krokiem
Od swojej szkoły popod bokiem
Klasztoru niegdyś Jezuitów,
Zamienionego nie bez zgrzytów
W magazyn ubrań wojskowości
Z nakazu Józefińskiej Mości,
I dalej obok Franciszkanów
Kościoła, w którym Pana panów
Studenci polscy zwykle chwalą
I przed Nim z trosk się swoich żalą,
I rynkiem w dół, popod strażnicą,
Gdzie bagnetami straże świécą,

Po przed Starostwo ku mostowi:
W około towarzysze nowi
Zwabieni skoczną marszu nutą
I uczniów grą i uczniów butą
I bandą prawie niezrównaną,
Rozkoszną, dotąd niewidzianą,
Na wyścig sypią się szarańczą,
Biegają, gwiżdżą, skaczą, tańczą.
Służące, mamki, niańki, dzieci,
Ku bandzie wszystko pędzi, leci,
Kupczyki, czeladź, chłopcy, żydki,
Wszystko opuszcza towar brzydki,
Co w stęchłem obmierzł mu już bagnie,
Bo dziś piękniejszych rzeczy pragnie,
I postanawia z słodkiej czary
Muzyki rajskiej ssać bez miary,
I nie znać różnic płci i stanu! —
Przemyski moście pstrego Sanu,
Łączący miasto i Zasanie!
Ty widzisz tłumów tych igranie,
A milczysz, ledwie swemi boki
Wskazując poziom wód głęboki.
Pokażą wreszcie twe kobyły,
Że twarde lodu łamią bryły.
Lecz nic a nic nie zdradza w świecie,
Co się na twoim dzieje grzbiecie.
A przecież właśnie ci studenci,
Co wystrojeni, uśmiechnięci.
Dziś marszem w takt twój grzbiet przechodzą,
Na tobie nudne chwile słodzą.
Niejeden wprawdzie cicho siedzi,
I tylko wtedy cię odwiedzi,
Gdy pędzą Sanem grube lody,
Gdy walczysz z igrzyskami wody
Wezbranych fal spienionej rzeki,
Niosących szybko w świat daleki
Co raz to dalej, hen do morza
Dobytek ludzki, sterty zboża,
Istoty żywe, martwe trupy
I brogi siana i chałupy
A nawet kamieniste mury,
A widząc taką moc natury,

Jak marnie ludzkie dzieła giną,
Człek małą czuje się drobiną,
Stworzeniem słabem, mdłą jednostką,
W natury ręku igrzysk kostką...
Niejeden wszakże twardszej duszy:
Więc próżno głowy swej nie suszy
Nad potęgami sił natury,
Lecz woli ludzkie widzieć córy,
Podziwiać kibić, płeć, urodę,
Pulchniutkie włosy, strój i modę,
I widzieć uśmiechnięte usta,
I badać, która bardziej pusta,
Do miłosnego skłonna strzału,
I szuka tutaj ideału,
I szuka, bada, medytuje,
Aż znajdzie — oblewaną tróję! —
O ileż smutnych trój rokrocznie
Na twoim grzbiecie się rozpocznie!
Wszak prosto miejski łączysz rynek
Z klasztorem Sióstr Benedyktynek,
A ten panieńską szkołę mieści
I wychowuje ród niewieści!
A więc po tobie ich anioły
Do swej panieńskiej dążą szkoły,
A więc na tobie ideały
Ku sobie wypuszczają strzały;
A których skutkiem oczywista,
Niechybna trója, trója czysta. —
I takie to, nieczuły moście,
Studentom w oczy rzucasz oście?
Tak czuwasz, by przedwczesny zapał
Świeżego puszka cer nie zdrapał?
Ej! — Czy nie szkoda, moście stary,
Dla ich aniołków tej ofiary?
Czy z nich niejedna w ślad za matką,
Nie posypuje mączką gładką
I tak swej nie odświeża cery?
Czy każdej uśmiech prosty, szczery?
Czy każda tak niewinna, święta,
Że jej unikać trza studenta?
„Hej Broniu! Jakiegoż to osła
Miłosny liścik tyś przyniosła?

I jakiż to gorący zapał
Na lep twych wdzięków dziś się złapał?“
„Co? gdzie, jak?“ Bronia pyta boska,
Do góry zadzierając noska
Nad gminnym tłumem koleżanek.
„A tu! Poczekaj! Ha, kochanek
Przyszpilił go szpilkami dwiema.
Na masz! Podpisu nigdzie nie ma.
A więc anonim oczajdusza
Do boskiej Broni rwać się skusza“. —
„Przeczytaj głośno, co tam pisze!“ —
„Pst! Proszę o niezmierną ciszę: —
„Do Ciebie złoty ideale!
Me serce lgnie i rwie się stale,
Ku Tobie dusza moja cała
Gorącym ogniem zapałała.
Czy spać się kładę, zbudzę wcześnie,
Na jawie w dzień, czy nocą we śnie,
Twój obraz widzę przed oczyma,
Twój obraz mnie się zawsze trzyma,
Twój obraz jakby na kobiercu
Spoczywa wiecznie w mojem sercu,
Pod skrzydłem tylko boskiej Broni
Uroczo tentno serca dzwoni:
Przed tobą klękam więc aniele!
I błagam, błagam choć nieśmiele,
Ach przyjm mnie, przyjm mnie pod Twe skrzydła,
Bez Ciebie bowiem jaźń mi zbrzydła.
Gdy Ty pragnienie me odczujesz,
Nademną biednym się zlitujesz,
To spuścić racz z swych białych rączek
O ósmej wieczór róży pączek
I słówek parę z okna swego
Dla sługi niewolnika Twego“. —
„„A oczajduszo!““ Bronia rzecze.
„„Poezja ze łba ci wyciecze,
Gdy memi cię pokropię skrzydły!
Ot, student jakiś, żak przebrzydły:
To na tom się posmarowała,
Że aż mi skóra pęka cała,
By do mnie rwał się lada szuja?
Poczekaj! Skropię tego zbója,
I odżałuję kilka centów

Na zimną kąpiel dla studentów".
— „I cóż mu zrobisz?" — W jego myśli
Słów parę rączka moja skréśli,
Lecz prozą, jędrnie, zrozumiale
— Do książki, głupców ideale,
A nie do panien rwać się żaku! —
I spuści z pięknym pączkiem laku
Z drugiego piętra na dziedziniec,
Gdzie ptaszka schwyci jakiś klniec
I tak przetrzyma po przed kłodą,
Aż zleję go porządnie wodą!
Zobaczyć zresztą możesz dziatwo,
Mieszkamy w rynku, trafić łatwo!"" —
I cóż cię, żaku mój, ochroni
Przed takiem laniem boskiej Broni?
Ha! — Może strumień zimnej cieczy
Przed tróją jeszcze zabezpieczy?
Wspomnieniem zimnej tej kąpieli
Fantazję twoją rozanieli
I zimno, twardo liczyć każe
W niepoetycznym życia jarze?
I może właśnie takie lanie
Zarodkiem sławy ci się stanie,
Gdy zwróci myśli od czczych marzeń
Do głębszych świata zjawisk, zdarzeń,
Do wysnuwania prawdy wątka?
Lecz dziś panieńskie niewinniątka
Na dobre może jeszcze chrapią,
Lub kuciem lekcji głowę trapią.
Zawcześnie jeszcze iść do szkoły,
Ich oczu umknie marsz wesoły,
Ich uszu miną dźwięczne tony,
Ich nerwów ujdzie rytm pieszczony. —
Dziś tylko święte zakonnice
Wybladłe okazują lice,
Zbudzone nagle dziwną pieśnią,
Niepewne, czy żyją, czy nie śnią,
Czy ludzkie tony, czy nadziemskie,
Anielskie, boskie, betlejemskie
Rozkosznie nerwy przenikają.
Bezwiednie rozmarzone wstają,

Bezwiednie odsłaniają twarze,
Bezwiednie w ziemskiej toną czarze. —
„„Dwie studentki wydziałowe,
Hulaj dusza, hulaj ha!
Wymyślają figle nowe,
Tra. la, la!
Jakieby studentom sprawić,
Hulaj dusza, hulaj ha,
I ich kosztem się zabawić,
Tra, la, la!
Uchwyciły w obertasy,
Naprzód żwawo, tu i tam,
Dwu studentów z ósmej klasy,
Tra, ra, ram!
Musimy ich za nos wodzić,
Naprzód żwawo tu i tam!
Muszą w naszej uździe chodzić,
Tra, ra, ram!
I studenckie ich nawyczki,
W prawo, w lewo, hulaj ha!
Na swe naginają stryczki,
Ca, ca, ca!
W różnej gimnastyce ćwiczą,
W prawo, w lewo, hulaj ha!
Machinacją tajemniczą,
Ca, ca, ca!
Jakieś licho tu się kręci,
Hula żywo, hula, ha!
Rzekli zgodnie wnet studenci,
Tram, ta, ta!
Różne płata nam figielki,
Hula żywo hula, ha!
Psuje nam porządek wszelki,
Tram, ta, ta!
Trzeba schwytać, tylko cicho,
Hulaj jeszcze, hulaj laj!
Nasze zagadkowe licho,
Aj, aj, aj!
Tak się dzielnie zaczaili,
Hulaj jeszcze, hulaj laj!
Że na figlu przycupili,
Aj, aj, aj!

Hej panienko żywa, giętka,
Nie chcę więcej, nie chcę, nie!
Gdy cię figlów porwie chętka,
Nie, nie, nie!
To ci student figla splata,
Nie chcę więcej, nie chcę, nie!
Że go popamiętasz lata!
Nie, nie, nie!““

I naprzód jarosławskim traktem
Podąża przyspieszonym taktem
Wesoło kalwakata cała,
A druga kwieciem zabielała.
I biało błyszczą wszystkie sady,
Ubrane jakby do parady
W urocze odświąteczne stroje,
W kwieciste suknie, śnieżne zwoje,
Gdyż wszystkie owocowe drzewa
Wspaniały maju czar oblewa.
Jabłonie, grusze, śliwy, trześnie,
Brzoskwinie, wiśnie i czereśnie,
Wzniesioną w górę swą koroną
W porannym blasku słońca płoną,
Dzisiejszy ranek mile święcą
I na się wzrok studentów nęcą.

Ej, czy naprawdę sądzisz kwiecie,
Że student na cię wzrokiem miecie?
Pożąda ciebie? Twych warkoczy
Tak tęsknie pragną jego oczy?
Do twej nęcącej, świeżej woni
Tak pożądanie noskiem goni?
Lub twoja słodycz język łechce? —
Ej! — Ciebie student wcale nie chce,
Pragnieniom jego ciebie nie trza!
Twe listki zda na los powietrza,
Twój miód zostawi ssawkom pszczółek
Bez jakichkolwiek z niemi spółek.
Od kiedy zbadał twe składniki,
Podstawę, słupki i pręciki,
Sukienką swoją go nie zwabisz,
Pozorem zmysłów nie zagrabisz.

Zewnętrzną szmatkę dziś błyszczącą
Niebawem wiatry tobie strącą,

Rozpłodniający pył omszony
Rozwieją ci na wszystkie strony,
Lecz grunt zostanie, owoc wyda,
A ten się studentowi przyda. —
Owoców to rozkoszne soki
Studentów wywołują cmoki,
Owoców zapach wonny, boski
Studentów czujne łechce noski,
Owoców urodziwe wdzięki
Nadają oczom wyraz mięki,
Owoce pulchnym, miękim miałem
Wstrząsają całem jego ciałem.
Za niemi student żądzę czuje,
Tęsknota do nich w nim nurtuje,
I każda nęci go dziewczyna,
Bo mu wakacje przypomina,
Gdy rzuci w kąt mizerje szkolne
Tak ołowiane, tak mozolne,
I wobec tych rygorów nudnych,
Wysiłku myśli, zajęć żmudnych,
Na miękiej trawie się pokładzie
W domowym owocowym sadzie.
Ach co za rozkosz, co za chłódek!
Jak swojsko pachnie ten ogródek!
Jak wszystko, wszystko tu znajome!
Niewielki stawek, brzegi strome,
Dogodne zimą do jazd walnych
Na saniach całkiem naturalnych...
Poniżej stawku, koło rzeczki
Usadowiły się porzeczki
I jeden wielki krzew agrestu:
Najlepsze, kiedy bez szelestu
Ukradkiem zrywać je potrzeba,
Bo trudno po nich ugryźć chleba,
Gdy cierpkim kwasem zęby zgrzycą,
Kolczeje język, oczy świécą,
Bo gdy ich już pomiękną skóry,
Niedobre i na konfitury,
Tem bardziej zwłaszcza, że czereśnie
I elastyczne, gibkie trześnie
Okrągłe, białe i czerwone
Szeroko tu rozgałęzione.

I czarne świeże swe jagody
Wydają mu już dla ochłody,
A takie miłe, tak pulchniutkie,
Soczyste, miękie i słodziutkie,
Że strasznie w obec nich kwaśnieją
Porzeczki, agrest, choć dojrzeją,
Więc hurtem je z pestkami bucha,
Niepomny na boleści brzucha.
Nad mchem porosłym stajni dachem,
Po którym stąpać trzeba z strachem,
Rumiane, okrąglutkie brzuszki
Do słońca wystawiają gruszki,
Z pozoru piękne, lśniące, harde,
A w gruncie kamieniste, twarde.
Bledziutkie przy nich papierówki
Padają prosto do gnojówki.
W lot się dobywa owoc kruchy,
Obciera trawą z czarnej juchy,
Kosztuje — smaczny! — wącha — pachnie!
I zjada, ani się nie zżachnie,
Z ogryzkiem, skórą, het — na czysto.
A wśród ogrodu rozłożysto,
Szeroko jakby gospodyni,
By wszędzie patrzeć, co kto czyni,
Podniosła w górę swe ramiona,
By każdy wiedział, co to ona,
Najstarsza pewnie z wszystkich grusza,
Owocu jednak nikt nie rusza,
Bo tak niesmaczny murdz okrągły,
Jak gospodyni zgrzyt przeciągły.
Ku ziemi zgięta, kosturbata,
Gdyż murdza ciężko ją przygniata,
Soczysta, żółta muszkatela
Na okół zapach rozpościela.
Miodówka niżej nudnosłodka
Wcisnęła się mocno do płotka,
Zanadto słodka, lipka, mięka,
A takich się unika, lęka
Ponad agrestem w dobrej tuszy
Konary gną się starej gruszy
I w rzece swe owoce gubią,
A szkoda, bo je wszyscy lubią,

Te wielkie gruszki, dziś w zieleni, —
A żółkniejące aż w jesieni. —
Tu małgorzatki, tam pachniączki
Wpraszają się same do rączki,
Zapachem łechcą powonienie,
Słodyczą wabią podniebienie;
Tam znowu długa, sypka gdula
Rumianym kształtem wzrok rozczula.
Ach, jak tu dobrze! Jak tu miło
Dziecinne lata się pędziło!
Po kiego licha profesorzy,
Wybledli zawsze, zawsze chorzy,
Mające zżółkłe, zwiędłe puszki,
Jak gdyby zasuszone gruszki,
Chodzący jak ponure mruki,
Powymyślali te nauki?
Po co się ludzie niemi szczycą?
Czy kogo zbawią? czy nasycą?
Czy cały łeb Pitagorasa
Popuścił wolniej komu pasa?
Czy cały zlep mitologiczny
Wart choćby jednej gruszki ślicznej?
A śliczne gruszki w tym ogrodzie,
Że aż apetyt do nich bodzie!
A jabłka? — Jak ich czuć zdaleka!
Jak tęskno do nich ślinka ścieka!
Jakto ten woniejący puszek
Przywabia, nęci do jabłuszek!
A różne jabłka w tym ogrodzie!
Przy stawku w przeźroczystej wodzie.
Pstro przeglądają się buraczki,
Czy się rumienią im buziaczki,
Zielony na nie i ponury
Spogląda wielki śliczak z góry,
Na każdy umizg pilnie zważa
I swoim kwasem je zaraża. —
Oliwki słodkie i soczyste,
Miejscami czasem przeźroczyste,
Nie mogąc podnieść swych gałęzi,
Gdyż zbyt je mocno murdza więzi,
Do ziemi kornie się schylają
I gospodyni zalecają.

W kąciku cichym, na uboczu,
Niczyich nie zwracając oczu,
Stanęły trzy renety w kupce,
Spokojne, że ich nikt nie schrupce,
Skrywają jabłka wątłe, śpiące;
Lecz kiedy choć ze dwa miesiące
Poleżą, prześpią się na słomie,
Jak pysznie pachną, jak łakomie!
Opodal pokazuje białka
Bezwstydne, całkiem nagie ciałka
Zarumienionej mocno gduli.
W pobliżu kurczy się i kuli,
Ku ziemi chyli swe konary
Starością zgięty winnik stary.
Spruchniałe, wyschłe ma pacierze,
Gdy jednak go ochota bierze,
Pokaże jeszcze, co on umie,
Wybornym smakiem wszystkich zdumie.
Sztetyny wreszcie w szarym końcu
Owoce wygrzewają w słońcu,
Aż twarz smagławo im opali
I kolor nada im korali,
I twardo w środku mięśnie skuje.
Paradnie jabłko to smakuje,
Gdy przyjdzie Boże Narodzenie!
Ach, gdyby tylko zaświadczenie
Wykazać dobre na wakacje,
To smaczne będą rekreacje!
Cóż, kiedy i przy stęchłych mapach
Jabłuszek zalatuje zapach!
Cóż, kiedy greka i łacina
Ogrody często przypomina
I od bębnienia twardych słówek
Do kruchych pędzi papierówek!
Cóż, gdy chemiczny niedokwasek
Owoców zaraz wonny kwasek
Na myśl przywodzi mimochodem
I zająć się każe ogrodem!
Cóż, kiedy lada wyraz nowy,
Niechcący zmieścić się do głowy,
Odrywa myśli od dowodów
I pędzi, pędzi do ogrodów!

A co tu miękich pulchnych śliwek!
Jak cudny mają przyodziewek!
Tam śliwki nad stodołą ranie,
Najprędzej z dachu je dostanie,
Na który się po węgłach włazi. —
Wenetki tam o czarnej mazi,
Tu zaś skrónatki, a tam psiórki
Rumiane wystawiają skórki,
By je też czule pocałować,
Powąchać, ścisnąć, pokosztować.
Jedyna, rzadka śliwa biała
Pod samą murdzę się zapchała,
A ta kapryśna gospodyni
Bynajmniej krzywdy jej nie czyni,
Lecz tu ramiona swe wygięła,
By jej przypadkiem nie pomięła. —
A przy renetach dwie ryngloty
Powystawiały do pieszczoty
Czerwone, otuczone, duże
Owoce, jakby jaja kurze.
Przy płocie stoją we trzy rzędy,
A zresztą rozrzucone wszędy
Węgierki bardzo, bardzo liczne,
Podłużne, smukłe, elastyczne.
Jedynie tylko śliwki czarne,
Jak gdyby polne tarki marne
Swą barwą zwodzą i połyskiem;
Bo aż zachodzą oczy błyskiem,
Gdy się ją ujé, zanim zmięknie,
Lecz później — jak smakuje pięknie!
Ach, co za rozkosz, co za chłódek!
Jak swojsko pachnie ten ogródek!
Jak w nim przyjemnie spocząć sobie,
Wyciągnąć nogi, ręce obie,
I dumać, marzyć o fiołkach,
Bukietach, strzałach i aniołkach,
Kapelusikach, wstążkach, piórach,
O kołomyjkach i mazurach.
„„Kukułeczka w lesie kuka;
Jakąż, jakąż głosi wieść?
Pewnie, pewnie gniazdka szuka,
Gdzieby swoje jajo znieść,

Kręci się w około
I kuka wesoło.
Hej paniczu urodziwy!
Do mnie, do mnie śmiało chodź!
Nie bądź, nie bądź tak leniwy,
Żwawo, chyżo kroki wodź!
Nie kręć się tak w kole,
Orle i sokole!
Panicz w górze pod obłokiem
Szuka, szuka, błądzi wciąż:
Przeszył, przeszył go swym wzrokiem
Jakiś czarujący wąż!
Patrzy się dokoła,
Kto na niego woła?
Hej paniczu, zbyt wysoko
Hardy, hardy buja wzrok,
Niżej, niżej spuść twe oko,
A zobaczy moje w skok!
Nie skacz, nie, w około,
Bo rozbijesz czoło.
Panicz spuszcza wzrok ku ziemi,
Duchu, duchu, drogę wskaż!
Może, może oczy swemi
Czarodziejki ujrzy twarz?
Lecz widzi dokoła
Same tylko zioła!
Hej paniczu, w poniewierce,
Nisko, nisko chylasz się,
Wyżej, wyżej podnieś serce,
Bo tak nisko nie ma mię.
Ku błotnemu kołu
Nie pójdziem pospołu.
Panicz spojrzał wprost przed siebie,
Spotkał, spotkał oko jej,
Ujrzał, ujrzał się jak w niebie,
W oku czarodziejki swej,
I śmiało w około
Wywija wesoło!“
I naprzód, naprzód coraz wyżej,
A ku lasowi bliżej, bliżej,
Studenci żwawo maszerują.
Zmęczenia wcale dziś nie czują,

Bo ono tam się nie udziela,
Gdzie tak cudownie gra kapela,
I kiedy młodzież urodziwa
Wesołe w pauzach piosnki śpiéwa.
By jednak szczerą prawdę wyznać,
To każdy w duchu musi przyznać,
Że gdy w otwarte wyszli pole,
Gdzie ich słoneczko nieco kole,
A kurz już nawet w nosie wierci,
Choć drogi nie odbyli ćwierci, —
— Więc co to dalej, dalej będzie? —
Niejeden się w tym pytał rzędzie,
Że więcej wolałby swobody
I że go ciągnie coś do wody:
Lecz o tem dziś się nikt nie dowie,
Bo głośno tego nie wypowie,
Na śmiech się ludzki nie narazi,
Studenckiej sławy swej nie skazi,
Wytrwale przeto, wyprężony
Dobywa z siebie dźwięczne tony
I prosto się i ostro trzyma. —
A poprzed jego się oczyma
Przeróżna ścieli panorama
I różne myśli budzi sama.
Na prawo w kabłąk jak ogórek
Podnosi się zielony wzgórek,
Na którym student często bywał
I z kolegami się ukrywał
Za wzgórkiem w przepaścistych jarach.
Pamięta dobrze jak raz tarach!
Z łomotem, z trzaskiem brzegu kawał,
Co nad potokiem tam wystawał,
A który się ponętnie chruścił, —
Tak szybko z nim się na dół spuścił,
Że nie miał się przestraszyć czasu,
Jak potem cicho bez hałasu,
Sza, wygramolił się z załomu,
Nie pisnął o tem nic nikomu.
Popatrzył w górę z tego lochu,
Obtrzepał chrustem surdut z prochu,
Zmył wodą glinę popod okiem,
I w górę puścił się potokiem;

Dopiero, gdy do domu wrócił
I do zwierciadła okiem rzucił,
Zobaczył siniec popod okiem,
A jeszcze później, samym zmrokiem,
Gdy już kolację swoją spożył
I spać do łóżka się położył,
Po całem się obmacał ciele
I odkrył zadarć, guzów wiele.
Lecz dziwny, dziwny ten przypadek
Sprowadził go na wodospadek,
O którym przedtem nic nie wiedział,
Choć nad nim w górze często siedział,
A gdy niebawem guzy zgładził,
To wnet tu innych przyprowadził.
Niepowściągliwy, niedyskretny,
Okazał wynalazek świetny
Zdumionym oczom swych kolegów,
I wziął się do badania brzegów,
Gdzie, które, jaką mają postać,
Którędy by się na dół dostać,
A potem wziął się do roboty,
Wyrobił schodki, słupki, płoty,
Wyżłobił w dole wnet wanienkę
I wstawił w górze tak rynienkę,
Że miał paradną kąpiel w lecie,
Nielada kąpiel z tuszem przecie! —
Pod wzgórkiem leży u podnóża
Ni kraśna łąka, ni kałuża,
I połyskuje swym szuwarem,
I wabi swym błotnistym czarem,
I nęci zgniłym swym zapachem
I nieuchwytnym jakimś strachem
Niestety bardzo wielu ludzi,
Co ich pożądna praca nudzi,
Do bliskiej nęci karczmy brudnej,
Śmierdzącej, stęchłej, ale ludnej.
Mordownią się ta karczma zowie,
Gdyż różne zbrodnie rodzi w głowie,
I wszędzie pełna nieczystości,
Próżniaków zwykle w sobie gości,
A te próżniacze chlewu hordy
Plugawe zalewają mordy

Gorzałką gorżką i śmierdzącą,
Dopóki nogi się nie plącą,
A ciągnie tutaj chuć bezbożna,
Bo tanio tu się upić można. —
Na lewo po za dużą łąką
Do słońca błyszczą jakby mąką
Domeczków ściany wybielonych
Wśród wierzb, topoli, lip zielonych,
Co uczepiły się pogoru,
Na którym są budynki dworu,
Już wiejskiej gminy Karanowa.
Na górze drogi już połowa.
Tam siedzi zwykle ludzi para,
Zgarbiony dziad i baba stara.
Za chlebem ręce wyciągają,
A pomieszkanie w ziemi mają,
Z którego tylko komin duży
Na wierzchu czarnym dymem kurzy.
Ta smutna para starych ludzi
W studentach strach i trwogę budzi;
Bo musi się tu dobrze chować
Ten, kto nie pragnie ich całować,
Gdy tędy go do szkoły wiozą. —
Ponad wzgórkami ciemną łozą
Szeroko leśna się wyrzyna,
Wzrok wabi tęskno jej czupryna,
Bo do niej student dzisiaj dąży,
A do niej wiedzie ją chorąży
I bandy uroczysty trabant.
Mijają karczmę, moczar, szlabant,
I już na górze są niebawem
Ponad doliną, łąką, stawem.
Na lewo droga do Pruchnika
W pobliskim lesie prędko znika.
Dokładnie znają ją studenci,
Gdyż ciekawością zawsze zdjęci
Do szańców tędy wychodzili,
Do których nie ma — nawet mili!
Tam się wolniejszym idzie czasem, —
Bukowym, wielkim, gęstym lasem
Obfitującym w różne grzyby.
Tu więc, zrzuciwszy szkolne tryby,

Praktycznie się rozróżniać uczą,
Czy które z nich ciecz mają suczą,
Szkodliwą zdrowiu i trującą
I już zapachem przykrym trącą,
Czy wonną, zdolną do trawienia,
I tu praktycznie się ocenia
W tej leśnej, żywej botanice,
Jak wyglądają wierzchnie lice,
Jak ich muszkuły i cięciwy,
Jak to wygląda grzyb prawdziwy,
Co suchy, cały ma kadłubek,
— Wypukły, jędrny, ciemny czubek
I twardy, gruby, krótki korzeń
Odróżnia go od bratnich stworzeń, —
A jak maślaczek żółty, lepki,
Ze ściągłą skórką jak u rzepki,
Jak gorżko wielkie, białe bile,
A jak smakują krówki mile,
Aż je się zaraz świeżo zjada,
Jak główka się barania składa,
Wystaje z ziemi jakby gąbka,
A jak się skręca liszki trąbka
I spaja często w jeden krzaczek,
Jak po złamaniu wnet kozaczek,
O długiej tyce, czapce małej,
Przechodzi w barwę czarną z białej,
By ktoś schwycony na intrydze,
A jak się stale krwawią rydze,
I które dobre są gołąbki,
Mające tak strzępiaste ząbki,
Że je rozpozna nawet głupiec, —
By je na wolnym ogniu upiec,
A które znowu muchomory,
Wołowe pyski i znachory,
I inne, liczne a trujące,
Zbyt brzydko się nazywające. —
A nieco dalej za tym lasem
Rozciąga się szerokim pasem
Przy samych szańcach zrąb lesisty,
— Gdzie dąb stał dawniej wiekuisty,
Wycięty teraz co do znaku
A w tymże zrębie jakby maku

Poziomek moc na gęby czeka.
Cóż, kiedy droga za daleka
I często tutaj przyjść nie mogą.
Czy może pójdą dziś tą drogą,
Oglądać resztki wielkich szańców,
Tych świadków — nie zabawnych tańców,
Lecz krwawych walk i starć z wrogami?
Czyż tu zabawa ich nie splami?
Czy krew poległych tu rycerzy
Do głów młodzieńczych nie uderzy?
Czyż choćby jakie skoczne tańce
Ich nie oniemią jak kagańce?
Nie, nie! — Nie skręca tu chorąży,
Lecz prosto, prosto dalej dąży,
A za nim w krok drużyna cała. —
Zielenią ziemia się ubrała
I wystroiła suknią nową.
Zielone listki lśniąc perłowo
Wilgotne wystawiają lice,
Ku słońcu łzawe swe źrenice
I mokre wychylają czuby,
A słońce podarunek luby,
Z lubością wielką dziś wysuwa

„„Niebiańskie słońce, wstań już, wstań,
I przyćmij mgliste gwiazd połyski,
I osusz nocny porost śliski,
Niebiańskie słońce, wstań już, wstań!
Z ochotą przyjm miłości dań
I otocz pieczą od kołyski,
Niebiańskie słońce, wstań już, wstań
I przyćmij mgliste gwiazd połyski!
Ogniste słońce, parz już, parz;
Oczyszczaj z brudów miękie ciemię,
Ożywczem ciepłem ogrzej ziemię,
Ogniste słońce, parz już, parz!
W obronę swą i czujną straż
Przyjm nas i ulżyj cierpień brzemię.
Ogniste słońce, parz już, parz,
Oczyszczaj z brudów miękie ciemię!
Zwaśnione serca żarem spój,
By źródłem szczęścia dla nas trysły,

Źrenice mile im zabłysły,
Zwaśnione serca żarem spój!
Niech twych promieni jasny strój
Harmonją zdobi nam umysły,
Zwaśnione serca żarem spój,
By źródłem szczęścia dla nas trysły!““

„Stój!“ — gdzie na prawo góra łysa,
Na lewo las się rozpoczyna,
Wychodzi hasło, a drużyna
Posłusznie staje. — „Tu spoczniemy,
I wody tu się napijemy!“
Cenzorzy hasło im tłumaczą,
Co wszędzie na porządek baczą
I w ryzach go trzymają wodze. —
Istotnie tuż przy samej drodze
Krzyż stoi dla postrachu czarta,
Przy krzyżu słup, na słupie kwarta,
U spodu słupa źródło wody
Wypływa ludziom dla ochłody
I zeschłe usta zwilżyć nęci. —
Do źródła rwą się już studenci,
Przezorni jednak ich cenzorzy
Tak prędko puścić ich nie skorzy.
„W tył zwrot!“ — Ach! — z piersi się dobywa,
I jeszcze, jeszcze, ach! — wyrywa,
Ach Przemyśl, zamek, góry, brama,
Co za wspaniała panorama,
Jak uroczysta i jak miła!
Na samym stoku gór mogiła
Nad równią wznosi się wysoko
I najpierw każde chwyta oko.
Swojego tu Tatarzy chana,
Dowódcę, najwyższego pana,
W wycieczce jednej utracili
I taki pomnik wystawili,
A taka ćma tu tego była,
Co na ten pogrzeb pospieszyła,
Że każdy tylko grudkę ziemi
Na grób wyrzucił, jednak niemi
Tak wielki usypali kopiec!
A kiedy, — żaden nie wie chłopiec;

Tatarzy bowiem długo srodze
Trzymali ludność w wiecznej trwodze
I w niepewności życie, mienie...
                    Ponad Przemyślem, to Zniesienie
Potężnym grobem się wysuwa
I grozą swoją wzrok przykuwa.
U stóp Zniesienia szumne gmachy,
Wyniosłe wieże, domów dachy,
Wydają się jak szczypty sera,
Na które góra się poziera,
A ileż w sera tem mrowisku
Zabiegów, wrzawy, tłumu, ścisku!
Jak hardo patrzą na swe domy,
Choć w gruncie każdy jest znikomy
Jak cacko, co u stóp Zniesienia
Co chwila w inne się zamienia! —
Ej! popatrz bliżej na to cacko!
                    Na samym rogu sterczą chwacko
Niedogryzione czasu zrębem
Dwie baszty swym okrągłym zębem.
Ponad drzewami wznoszą czoła,
Co je, zieleniąc się dokoła,
Ze wszystkich stron obwiodły tłumnie,
I wprost na ciebie patrzą dumnie! —
To zamek! Jakiż on ztąd mały!
Jak niski! — Ani nie znać skały,
Na której przecież stanął szczycie,
A z której wszyscy słodzą życie
Widokiem srebrnej wstęgi Sanu,
Wijącej się wśród łąk i łanu,
Widokiem gór naprzeciw ległych
I zewsząd ku Sanowi zbiegłych,
Widokiem wielkiej równi Wiaru
I jego krytych mostów paru,
Widokiem domostw rozrzuconych,
To pojedyńczych, to skupionych,
Ostrowa, Błonia i Zasania.
Tu nic a nic ich nie zasłania
I zewsząd widok jest wspaniały,
Czy ze ślimaku, czy ze skały,
Co się nad miastem znacznie wznoszą
I gości na się szczerze proszą. —

U stóp zielonej zamku skały
Gmach stoi bardzo okazały,
A wprost gościńca jakby strzelił,
Tak wśród zieleni się zabielił,
Że każde oko zwrócić musi.
Pochyły grunt go dziwnie dusi,
Dwa piętra okazują z góry
A cztery z dołu jego mury,
Ubrane całym topól rzędem.
Psim czują go studenci swędem.
Ubożsi zwłaszcza, wygłodzeni,
Bo ztąd na księży wyświęceni
Osiągną karmne stanowisko
I staną Boga blisko, blisko!
Poniżej nieco dach wysoki
Katedry polskiej kryje boki,
A jej wierzyczki trwożnie mierzy
Czerwony czub potężnej wieży,
Co chwałę bożą miastu głosi
I ludzi do katedry prosi.
Biskupi pałac przy katedrze
Wysoko wprawdzie głowy nie drze,
Zasłania jednak swym pułapem
Katedrę samą przed okapem.
Za wieżą liczne okien rzędy
Odsłania prowadząca tędy
Do rynku prosto w dół ulica.
To kapitulna kamienica,
A przy niej klasztor jezuicki
Wysoko spiętrzył styl gotycki
I w górę wieże dwie wystrzelił.
Do swych go rząd majątków wcielił.
Gdy Jezuitów wypędzono
Podobno pro publico bono. —
Tu student dłużej wzrok swój pieści,
Bo tu się jego szkoła mieści,
A na dziedzińcu żołnierz ćwiczy,
Aż się dwadzieścia pięć naliczy. —
U spodu kościół Franciszkański
Tak śliczny wewnątrz, taki pański,
Zaledwie szczyt swój okazuje.
Natomiast się szeroko duje

I szumnie głowę pnie kopuła,
Jak gdyby swoją godność czuła,
Ponad murami cerkwi świętej,
Katedry ruskiej, górno wspiętej,
A wprost za szkołą jakby w bramie,
Gdzie prostopadle brzeg się łamie,
Czernieją dzwony z swym Iwanem,
Tak wielkim, szumnym, hucznym panem,
Że chętnie tylko wtedy bryka,
Gdy nabożeństwo ma Władyka.
Ta wielka cerkiew dumnie wzrasta
Ponad dachami środka miasta,
A jej kopuła z góry mierzy
Najwyższy szczyt pobliskiej wieży,
Co wśród kamienic się wysuwa
I z ganku swego pilnie czuwa,
Czy gdzie przypadkiem się nie pali,
Czy to w pobliżu, czy w oddali,
A o czem trąba jej złowieszcza
W około głośno ztąd obwieszcza;
A iżby alarm w porę znaczyć,
Dokładnie musi stróż ztąd baczyć
I pokazywać się na ganku
We dnie i w nocy bez ustanku
I trąbić w koło co godzina,
— Ażeby nie spał starowina,
Lub nie chciał obowiązków zbywać. —
A znów co kwadrans przyświstywać.
Budynków tu się mnóstwo tłoczy,
A z pośród nich przywabia oczy
Czerwony wązki dach klasztoru,
Co nisko usiadł, bez splendoru,
Bez wież, bez hojnych antenatów,
I mieści — Ojców Reformatów,
Co od ubogich strawę mają
I ją ubogim udzielają.
Pod nosem kolejowy dworzec,
— Czy im przyjemny, trudno orzec —,
Dość się szeroko rozprzestrzenia
I dawną cechę miasta zmienia,
Roznosi gwizd i szum i wrzawę,
Odbiera ludziom swojską strawę

I innej ich fabrycznej uczy,
A z której tylko żyd się tuczy,
Bo tak tam praca rozdzielona
Do maszyn i do ludzi grona,
Że się maszyną człowiek staje
I co to praca jemu daje,
Co żydom, nie potrafi zliczyć, —
A w służbę, to się musi wćwiczyć
Tak, jak wskazówka na zegarze. —

Poniżej Mnisze i Garbarze
Na samym brzegu Sanu leżą
I złotem placów swych nie mierzą,
Gdyż pełne trawy i swobody
Są wszędzie place i ogrody.

Za dworcem na równinie nudnej,
Przy drodze lwowskiej bardzo ludnej
I przy gościńcu z Dobromila
Już więcej domów się wychyla.
Przedmieście lwowskie one tworzą
I szybko się przez kolej mnożą,
A za Reformatami w głębi
Już tylko się maleńko zębi
Bakończyckiego zamek dworu,
A potem wszystko w mgle przestworu
Uchyla się przed zwykłym wzrokiem,
Aż znowu kopiec go podskokiem
Napowrót zajmie, dumać każe,
Dlaczego tej pogańskiej marze
Zachciało wznieść się nad krzyżami
I to pomiędzy katedrami?...

Gdzie w grzbiet się już Zniesienie zniża
I więcej ku zamkowi zbliża,
Wystaje mniejszy tam pagórek,
Mieszczący w sobie słynny ciurek.
Tu każdy student często chodzi,
Pragnienie zimną wodą chłodzi,
Winduje się popod trzy krzyże,
Oczyma i uszyma strzyże,
Że tak tam stromo i tak ładnie,
A chociaż czasem i upadnie,
Choć mu zamroczy przed oczyma,
To przecież nic go nie powstrzyma,

Uganiać tu po stromych górach,
Zaułkach, skałach, jamach, dziurach...
Poniżej na spadzistym stoku
Domeczki się z każdego boku
Co raz to liczniej góry czepią,
Im niżej w dół, tem wyżej sklepią.
Podzamcze jest ich tutaj miano,
Gdyż popod zamkiem je stawiano.
Z niem zaraz już się łączy rynek.
Wygląda jakby z poza skrzynek,
Co zewsząd go tu otoczyły,
Lecz przecież całkiem nie zakryły,
Bo na pochyłym gruncie leży.
A prosto katedralnej wieży
Widnieją nieco wielkie schody,
Po których tylko naród młody
Od mostu pnie się ku katedrze,
Bo tędy się najprędzej wedrze.
A dalej, bez zieleni świeżej,
Co raz to gęściej, co raz szerzej,
Co raz brudniejsze kamienice
Żydowskie tworzą już ulice
I tuż żydowskie tworzą miasto,
Cuchnące jak zatęchłe ciasto,
Lub jak szpitalne zgniłe prycze. —
Pod górą ruskie już Władycze
Od cerkwi aż ku wieży schodzą.
Studenci po nich okiem wodzą,
Bo tu najliczniej się osiedli,
A ci, co większą nędzą zbledli,
Ci tęsknym spozierają wzrokiem
Na dom pod samym cerkwi bokiem,
Gdyż tam są ruscy teolodzy,
A przy nich żywią się ubodzy.
„Do wody!“ hasło im wychodzi,
„Już teraz ona nie zaszkodzi,
A więc ją pić możecie śmiało!“ —
Lecz im się wody odechciało,
Bo każdy szuka swego kątka,
Lub gdzie go jakaś prze pamiątka,
W widoku miasta cały tonie,
Aż mu się zapłoniły skronie

I nim nie może się nacieszyć. —
„Pod górę naprzód a nie spieszyć!“ —

„Tam na górze brzoza płacze
I gałązki zwiesza,
A na brzozie wrona kracze
I powietrze miesza:
Smutny brzoza chyli czub,
Wietrzyk po nim gra,
Tępy wrona ostrzy dziób,
Wrzeszczy głośno: kra!
    Naprzeciwko jest kaplica,
    Która serca koi,
    Pod kaplicą jakby świéca
    Rusałeczka stoi;
    Biało się kaplica lśni,
    Jasno błyszczy krzyż,
    Czarno Rusałeczka śni,
    Z włosów skubie pérz.
Ciężko wzdycha coś niewiasta,
Włosy rwie na głowie,
Drogą jadą prosto z miasta
Jacyś dwaj panowie;
Rusałeczkę ściska ból,
W oczy pędzi łzy,
Panów toczy żądzy mól,
Wywołuje gzy.
    Za kaplicą ludzie wiejscy
    Pługiem ziemię orzą,
    A panowie patrzą miejscy
    Na Rusałkę hożą;
    Ludzie znoszą ciężki znój,
    Bogu modły szlą,
    A panowie krzyczą: stój!
    Oczy im się szklą.
Jeden się w kubraczku biedzi,
Co ogonem myrda,
Drugi futro ma z niedźwiedzi,
Co po ziemi fyrda.
Jeden ma zgolony pysk,

W nogach skoczny pląs,
Drugi w ślepiach dziki błysk,
Nastrzępiony wąs.
Rusałeczka w Bożej męce
Całą duszą tonie,
To do krzyża wznosi ręce,
To pociera skronie:
„Wielki Boże, ratuj mnie!“
Wzdycha, wzdycha wciąż,
Nie daj zginąć dziatkom, nie!
Jak mi zginął mąż“.
„Gołąbeczko, czy się boisz?
Pokaż przecie oczy!
Czemu to tak smutno stoisz?
Co ci duszę tłoczy?
Patrz, jak ciepły wietrzyk dmie
Z południowych gór!“ —
Coś mi twoja skóra schnie,
Zbladła jakby mur. —
Pany życie mi zatruły,
Ciężko serce boli,
Bo niewinnie męża skuły,
Wzięły do niewoli:
Przepadł, przepadł mi mój stróż,
Ręce wiążą mu,
Odtąd nigdy, nigdy już
Nie mam, nie mam snu
„Czemu trują twe zaranie —
Takie widma czarne?“ —
„Co się stało, nie odstanie“,
Porzuć myśli marne! —
Wszakżeż cię ten mąż twój bił!,
Ja zaś serce mam! —
Szkoda twoich młodych sił,
Ja ci służbę dam!“ —
Rusałeczkę przeszło mrowie,
Gdy spojrzała w ślepia,
Jakie im też głupstwo w głowie,
Żądza ich się czepia;
Ten z ogonem jakby wąż
Ma zatrutą ciecz,

A ten tyran a nie mąż!
„Precz mi z oczu, precz!“
Za kaplicą ludzie wiejscy
Pług na ziemi kładą,
A panowie drogą miejscy
Już z powrotem jadą;
Ludzie chwalą Bożą moc,
Z miejskich panów drwią:
Nie mów panie naprzód hoc!
Bo zapłoniesz krwią!““

I naprzód popod górą zwolna
Drużyna maszeruje szkolna,
A kurz jej teraz nie opyla,
Gdyż droga ciągle się nachyla.
Towarzyszący tłum gawiedzi
Już też się zgubił, już im ledziej;
Bo od małego ich spoczynku
Pobiegło wszystko wraz do rynku,
I nie ma nic — jak gdyby splunął.
Na lewo las się już wysunął,
Z wąwozu już na brzeg się tłoczy,
Zielenią poi wyschłe oczy,
Powietrzem świeżem czyści płuca
I z flegmą dawny kurz wyrzuca,
W nos bije woń żywicznej sosny,
A w uchu ptasząt śpiew radosny.
Studenci las ten dobrze znają:
W nim bowiem często przebywają,
Wspinając się na wszystkie żberki,
Że aż ich nieraz bolą nerki,
Za orzechami laskowemi,
Gdy ich nie można dostać z ziemi
A które też po żberach rosną,
Czy to jesienią, czy to wiosną,
Czy skwarnem i gorącem latem.
Tu kamrat schodzi się z kamratem,
By w piłki zagrać na polanie,
Gdy jeszcze wolną się zastanie,
Lub w inny się zabawić sposób,
Jak więcej tu się zejdzie osób.

Pociesznie skaczą tu wiewiórki:
Dopiero liże swe pazurki.
Spokojnie siedząc na gałązkach,
A już bądź w susach, bądź też w pląskach,
Na drugiej, trzeciej, czwartej sośnie
Z podełba się spoziera skośnie,
A gdy ją student chyżo ściga,
To tylko mu ogonem miga.
Sośniną u swych nóg zarosła
Na prawo góra się podniosła;
Pod jej osłoną karczma stoi,
Tłumami się jednak nie roi,
W około puste są jej ławy,
W kręgielni nawet pełno trawy,
Ze słupów zdjęty giętki reczek.
Widocznie jeszcze brak wycieczek,
Widocznie brak uroczystości,
Co ludzie tu sprawiają prości.
I student czasem tutaj zajdzie,
Gdy tylko parę centów znajdzie,
Bo tu go pędzi skwarna spieka,
By wypił choćby szklankę mleka.
Powszechnie jednak u studentów
Kieszenie opróżnione z centów,
Na wodzie muszą więc poprzestać,
Jeżeli ich na mleko nie stać.
A źródeł mnóstwo tu w tym lesie
Ku strumykowi wodę niesie!
A karczma nieraz za daleko
I słono każą płacić mleko!
A może dadzą i pomyje,
Lub też popłukowiny czyje?
Pfe! — Woli student wodę, woli,
Bo karczma soli, brudzi, goli,
A nawet ludzi kładzie w rowie. —
Widaczem się ta karczma zowie,
Bo ztąd się Przemyśl już odsłania
I kusi wciąż do oglądania
I wstecz ku sobie głowy kręci.
Na miasto często więc studenci,
Pod górę idąc krok za krokiem
Dorywczym spozierają wzrokiem.

Jak też ta cerkiew dmie się górno!
A jak szeroko, jak czupurno!
Zasłania całą Cebulankę,
Jak gdyby marną jaką ściankę:
Nad samym rdzeniem stojąc miasta
Spogląda z góry jak niewiasta,
Czy też dziateczki się nie czubią,
Czy żyją w zgodzie, jak poskubią,
Czy nie potrzeba ich przywołać,
Pod swoją ich przytulić połać,
Gdy bole swoje jej wynurzą,
Lub skarcić gniewnie, gdy zasłużą.
A dzwony? — Aż się serce kurczy
Na widok ten, jak Iwan burczy,
Porusza się u swego dylu,
By święto grzmieć starego stylu,
I patrzysz się z wewnętrznym strachem,
Czy nie rozniesie swym zamachem
Calutkiej wieży ze dworami,
I oczy ci zachodzą łzami.
Czy głowy temu nie roztrzaska,
Co pod nim trzyma koniec paska
I na nim serce dzwonu wodzi,
I dreszcz po ciele cię przechodzi,
Kurczowym serce ściska lękiem.
Czy nieustannym strasznym jękiem.
Wokoło wszystkich nie przygłuszy...
Aż lżej się robi w sercu, w duszy,
Gdy grzmieć nareszcie już przestanie.
A grzmiesz, przemożny ty Iwanie,
Na Jordan, takie wielkie święto,
Że także strojnie i opięto
W paradzie wszystko występuje,
Co tylko w mieście się znajduje
Z gimnazjum, sztuby i normałki,
Z panieńskiej szkoły i reałki.
I wśród mundurów, futer, pluszów,
I stosowanych kapeluszów.
Wśród błysku szabel, szpad pobrzęku,
Migotu świec i dzwonów jęku,
Wśród flaszek, garnków, dzbanów, stągwi,
Obrazów, krzyżów i chorągwi,

Ogłuszającej gry moździerzów
I brawurowych salw żołnierzów,
I tłumów bez różnicy stanu,
Prowadzi z cerkwi aż do Sanu
Władykę, aby wodę święcił.
Z procesją całą tu się skręcił,
Gdzie wyrąbany krzyż na lodzie
I pełno ludzi jest w obwodzie,
Że aż się lód po ludem zgina,
A choć się oddech mrozem ścina,
Śnieg krzepko pod nogami chrupi,
Chce każdy słyszeć głos biskupi,
Zobaczyć jego świetne szaty,
Infułę, berło i ornaty,
Być świadkiem ceremonji całej
Tak uroczystej i wspaniałej,
I mało wzroku nie wytęży
Ku orszakowi ruskich księży.
Na Nowy Rok starego stylu
Poruszasz się u swego dylu
I grzmisz, przemożny ty Iwanie,
Następnie w ruskie Zwiastowanie,
I w dzień patrona, na Iwanka
Na kiermasz wołasz chłopa, panka,
I zewsząd ściągasz sadowników,
Kupczyków, żydków, rzemieślników,
Co mają towar do pozbycia
Lub grosz potrzebny do nabycia,
Co chcą przeczyścić swe sumienia
Lub tylko gasić swe pragnienia,
Potężnie najeść się, upoić,
Lub inną żądzę zaspokoić;
Gromadzisz zewsząd różne tłumy
I każesz modlić się do sumy,
Po sumie zaś w te trzy dni w roku
Wypuszczasz lud od swego boku
Na jarmark, kupna i gościny,
I w górę wznosisz ruskie miny,
Bo najwyraźniej, jasno, śmiało,
Każdemu serce twe zagrzmiało,
Że Przemyśl był już potoplastem
I pozostanie ruskiem miastem!

I wszędzie się znajomych spotka.
Pod cerkwią zaraz wita ciotka:
O mój gołąbku, pójdziesz do mnie!
A gdy się ku niej zbliżysz skromnie.
Z całego serca cię całuje
I wszystkim w koło pokazuje,
Jak urósł chwacko jej siostrzeniec,
Jak piękny zdobi go rumieniec,
Jak wąsy mu się zaczerniły,
I by pokazać, jakeś miły,
Pieroga ciągnie ci okruchy
Z pod serca prosto — z za pazuchy,
I do jedzenia cię zniewala,
I wobec wszystkich ci przechwala,
Jak dobrze pierog upieczony,
Jak zcytwarzony, pieprzny, słony,
I oko łzami jej zachodzi,
I z płaczem dalej ci wywodzi,
Coś w życiu kiedy od niej dostał
I jak ją za to swak wychłostał,
Jak ona bardzo ciebie kocha!
I coraz głośniej łka i szlocha,
I puścić cię z uścisków nie chce;
Wyrywasz się, — w tem ktoś cię łechce
Znacząco z tyłu. — Któż to taki?
To swak podaje ci tabaki,
Z radości sam donośnie kicha,
Że tak cię z tyłu podszedł z cicha,
Obciera sobie wąsy połą,
Co lśni przesiąkłą, czarną smołą,
I jeszcze z tobą się nie wita.
Zażywasz — psich! — „Mnohaja lita!
Na zdrowie!“ swak ci ciągle życzy,
I coraz silniej, głośniej krzyczy,
Udając jednak, że na ucho:
„Ta swak nie wita się na sucho,
Bo ma tabakę na swych wargach!“
Po wielu wreszcie długich targach
Kupuje żółte dwie kokiołki
Zczerstwiałe, twarde jakby kołki,
I do pruchnickiej ciągnie lady.
„Ze swakiem nie ma, nie ma rady!

Tabakę pierwej spłukać trzeba,
Pytlowanego zjeść też chleba
Potrafi student z każdej klasy!“
I tu kupuje wnet kiełbasy,
Co czuć ją nie tak bardzo wieprzem,
Lecz za to czosnkiem, oraz pieprzem!
I ciągnie dalej aż do rynku
Do jak najbrudniejszego szynku,
I tu częstuje cię nieboże,
Czem tylko dusza jego może,
Tabaką, piwem kwaśnem, zgrzanem,
Kiełbasą, wódką, octem, chrzanem,
Kokiołką, fajką, papierosem,
Co tylko zwęszy swoim nosem,
Traktuje wszystkiem choćby trocha,
By ci pokazać, jak cię kocha!
I kochał by cię tak do rana.
Na szczęście jednak zadyszana,
Spocona wpada twoja siostra
I mówi śpiewnie, chociaż z ostra:
„Ta dzież wy macie rozum swaku?
Ja szukam go jak w korcu maku,
A wy aż tutaj go przywiedli?
Spokojnie sobie tu usiedli,
Jakby nie było już sprawunków,
I wzięli się do poczęstunków!
Ta bracie, chodźżeż do mamuni!“
I kroczysz z siostrą w starej guni
I znów mamusi szukasz wszędzie,
A gdy zmęczona siostra siędzie,
Popuści z guni nieco krajkę,
To musisz chwalić kacabajkę,
Co ją tak tanio dziś kupiła
I wciąż zgadywać: „a za siła?“
Przypadkiem węzeł ten rozcinasz,
Bo naraz sobie przypominasz,
Że swak, żegnając ciebie czule,
Coś w rękę wsunął ci w bibule,
Lecz „żeby ciotka nie wiedziała,
Bo nawet by mi spać nie dała!“ —
I liczysz w myśli: pięć od ciotki,
Od swaka dziewięć jak błyskotki,

Więc dotąd przyniósł mi odpustek
Gotówką już „czternaście szóstek!“
Niechcąco głośno się wyrywa.
„Przezedwu!“ — siostra się odzywa,
„Przezedwu dudków z ledwą biédą!
A wo! Mamunia tamok idą,
Tu, gdzie ujanka stoją w dźwierzach,
Wo tu! pod wieżą przy kuśnierzach!“
Pod wieżą wujko zapérzony
Na wszystkie się wykręca strony,
I na wujankę kożuch wsunął,
Ogląda mnie, nareszcie splunął,
Dopada majstra, z hukiem klaska;
— Aż sprzączka pęka mu u paska. —
„Półosiemnasta!“ — „Jutro, jutro!
Za taki kożuch, takie futro!“
I w kołnierz z całej siły wali,
Aż pękł wujance sznur korali.
„Ostatnie słowo; osiemnaście!“
„Popierwej portki se przypaście!“
Odburknął majster z wielkim gniewem.
I ochłódł wujko po za drzewem,
Zawiązał pasek na dwa guzy,
Obtrzepał kredę z siwej bluzy,
Koszulę ściągnął po kolana,
I znowu nagle zbladł jak ściana,
Gdy między ludźmi majstra zoczył,
Pomiędzy nich piorunem skoczył.
„Bodajżem dziś nie wyszedł z miasta,
Jak więcej dam! — Półdziewietnasta!
Nie chcecie jeszcze? Dziewietnaście!“ —
„Tam dostaniecie za szesnaście
I taniej jeszcze z — Husakowa! —
Dwadzieścia trzy! — ostatnie słowa!
Z Pruchnika nikt wam taniej nie da“ —
— „Za półdwadziesta majster sprzeda?
Ta gadaj przecie! — panie! — mów no!
Nie? — Macie już dwadzieścia równo!“
I z całej siły go zahuknął,
Za rękę szarpnął, butem stuknął,
Odtrącił gniewnie do framugi,
Odskoczył, splątał, padł jak długi,

A wszystko w jednem oka mgnieniu. —
Powstaje, siada na podsieniu,
Rozgląda się chwilkę dokoła,
Palcami pot obciera z czoła,
Wyciera ręce o nadołek,
Przewraca koło majstra stołek,
Ze złością mu pod nosem spluwa
I do wujanki się przysuwa:
„Dwadzieścia nie chce! twarda dusza!“
Wujanka ramionami rusza
I pewnie każe coś nałożyć,
Bo czyż musiała tego dożyć,
By kożuch miała lada plucha
A ona marzła bez kożucha?
I pewnie kożuch mocno chwali,
Bo pchnięty jak sprężyną z stali
Do pana majstra pędzi cwałem:
„I jeden! — Dość już, dość już dałem:
No, panie majster, będzie zgoda?“ —
„Nie będzie! — Szkoda was też; szkoda!“
I obaj przy wujance stają
I wprzód i w tył ją wykręcają,
Chwytają wreszcie jak koguty:
„Opuśćcież przecie coś na buty!
Dwadzieścia i półtora chcecie?“ —
„Dołóżcie jeszcze jeden przecie!“
„I dwa!“ Łup! Łup! — i w jednej chwili
Obydwaj w kółko się skręcili.
Odsapnął wujko, spostrzegł ciebie:
„I klejnot znajdzie się w potrzebie!“
Z zapałem wita temi słowy,
I czeka cię traktament nowy.
„Bo gdy się trafi dobrze kupić,
To można się już nawet upić,“
Wujaszek ci we wierszach głosi
I z majstrem cię na litkup prosi.

„„W nowym pałacu, w przepysznej sali,
Strojnej w weneckie źwierciadła,
Kręci się służba w frakowej gali,
Wina roznosi i jadła.
Pod mnóstwem sreber stół się ugina,
W koło lśnią złote puhary,

W pośrodku butle słodkiego wina,
Słodkich łakoci bez miary.
Goście bogaci przy stole siedzą,
Znać po ozdobach z brylantów,
Z rzędu już piątą potrawę jedzą,
Pieczeń przyprawnych bażantów.
Wszyscy należą do jednej kasty,
Wszystkich Mamona jest bogiem,
Wszyscy na jej cześć wznoszą toasty,
„Mnożyć!“ jest wszystkich nałogiem.
Bankier gospodarz suto częstuje,
Prosi, zachęca i gości,
Radość się w jego oku maluje,
Ręce zaciera z radości.
„Mnóż nam pałace, brylanty, krocie!“
Gość się doń pierwszy odzywa,
„I tak opływaj w srebrze i złocie,
Jak pączek w maśle opływa!“
Toast przyjęto hucznym okrzykiem,
Puhar o puhar zastukał,
I jednym do dna spełnionym łykiem
Sflegmione gardła przepłukał.
„Za te życzenia dzięki, o dzięki!“
Bankier rzekł pełen wesela,
I wam fortuna niech z szczodrej ręki
Hojnie swych darów udziela!“ —
I coraz bardziej ochota wzbiera,
Wciąż się podsyca tokajem,
Bankier swych gości, goście bankiera
Wznoszą toasty nawzajem.
Już tokaj szumieć zaczyna w głowie,
Wrzawa, uciecha, gwar rośnie,
Wtem: „Puhar w górę! zacni Panowie!“
Krzyknie ktoś z gości donośnie.
„Niech żyje giełda, z pyłkiem motylim,
Lotnej fortuny narzędzie,
I niech tu, gdy jej toast wychylim,
Z skrzydłem złocistem przybędzie!“
„Niech żyje giełda! z rykiem wyleci
„Wi-i-wat!“ w sali zagrzmiało.
„Wi-i...!“ powtórzyć chciano raz trzeci,
„Wat!“ jednak w krtani zostało.

Bo nagle strach im zęby wyszczerzył,
Dziko ślepiami zabłysnął,
Pulchniutkie włosy jak szczeć najeżył,
Gwałtownie gardła ich ścisnął;
Bo nagle jakby piorun uderzył,
Grom tuż w powietrzu zawisnął,
Każdy struchlały w duchu już nie żył,
Więcej już słówka nie pisnął;
Bo nagle jakimś piekielnym czarem
Wrosły w posadzkę ich nogi,
Każdy jak wryty stanął z puharem,
Ruszyć nie może się z trwogi;
Bo nagle wszyscy zbledli jak chusta
W nieme się głazy zmienili,
Rozwarte oczy, rozwarte usta
We drzwi bezwładnie wlepili.
A we drzwiach stoi syn gospodarza,
Twarz mu pożółkła boleścią
I zmięta postać jasno wyraża:
Z straszną przybyłem tu wieścią!
Gdyż z natężenia w głowie mu mroczy,
Szum głuchy roi się w uszach,
Drgają muszkuły, krwią zaszły oczy,
Świadcząc o strasznych katuszach;
Gdyż jakby w febrze dzwonią mu zęby,
Oczy się kręcą w około,
Trzęsą się wargi, pieni się z gęby,
Pot występuje na czoło.
A przecież darmo, darmo się sili,
Język go jakoś nie słucha,
K... kr... kra... kch... krach! po długiej chwili
Jęknął i upadł bez ducha.
„Krach!“ jednem w sali jęknęło echem,
„Krach!“ zawtórzyły mu mary,
„Krach!“ wyrzucone z dziwnym pośpiechem
Dziwnie zabrzękły puhary.
I nagle goście jak oparzeni
W drzwi się rzucili bez ładu,
Za chwilkę nie ma ani ich cieni,
Znikli gdzieś wszyscy bez śladu.
Tylko gospodarz w krwi własnej broczy,
Wieścią okropną rażony,

Ziewa śmiertelnie, zamyka oczy
I już opuszcza miljony. — —
W nowym pałacu, w przepysznej sali,
Strojnej w weneckie źwierciadła,
Przed chwilką goście biesiadowali,
Teraz śmierć głucha usiadła.
I został pałac, zostały krocie,
Sztucznie zbierane do kupy,
A przy klejnotach, srebrze i złocie
Martwe zostały — dwa trupy!"" —

I naprzód popod górę zwolna
Drużyna maszeruje szkolna.
Na prawo droga się skręciła.
Tu góra miasto zasłoniła,
Odkryła jednak swoją pozą
Zasańskie góry z całą zgrozą;
Ku nim więc idąc krok za krokiem
Dorywczym student patrzy wzrokiem,
Jak one stromo w wiecznym cieniu
Zbiegają zewsząd ku Zniesieniu
I z niem się łączą jakby z głową
Majestatyczną i surową,
Jak kryje widok ich opończa
I jak go kopiec znów zakończa,
Wystając z boku jakby ucho.
Naokół teraz głucho, głucho!
Nie widać nigdzie twoich ojców,
Nie rżą już konie twych mołojców,
Nie słychać nigdzie broni szczęku,
Ni głosu chanów, ofiar jęku,
I cudzoziemski teraz żołnierz
Aż po pod sam ci wylazł kołnierz.
Straszliwe cię tu wzniosły hordy,
Siejące w okół strach i mordy,
A które często swe zagony
W przemyskie zapuszczały strony,
Znaczyły szlak kłębami dymu
I uwoziły aż do Krymu,
Co tylko im pod łapy wpadło,
Słoninę, mięso, tłuszcze, sadło,
Owoce, chleby, miód, bydlęta,

A nawet dzieci i dziewczęta,
I ludzi brały do niewoli,
A taki miały wzrok sokoli,
Że już na milę wszystko zoczył,
A pęd, co tylko koń wyskoczył,
A słuch, że już rozpoznał zdala,
Kto w którą stronę się ocala,
A kto naprzeciw i zkąd goni,
I z jakiem wojskiem, w ile koni,
A węch, co zawsze tropy wykrył,
Choć ziemią byś je nawet przykrył,
A żądza ich nienasycona
Bydlętom, ludziom pruła łona,
Gdzie jakie tylko Tatar zdobył.
Pragnienie Tatar mlekiem z kobył,
Apetyt końskiem mięsem sycił,
Gdy głód go nieco więcej schwycił.
Nie wiedział jeszcze, co zdobędzie,
A które gniótł w największym pędzie
Po nieprzejrzanym stepów błoniu,
Pod siodłem na spienionym koniu,
Dopóki nieco nie skruszało:
Kto z duszą wyszedł tylko cało,
Dziękczynnie Bogu zsyłał modły,
Że go nie schwycił Tatar podły,
Przed którym skrył się w jakiejś jamie.
Niebawem jednak ręce łamie
I ciężko jęczy w niebogłosy,
Bo wszędzie tylko gruzów stosy!
Gdzie były stajnie i chałupy,
Tam teraz tylko węgla kupy,
Gdzie brogi z sianem i stodoły
Ze zbiorem, które tak wesoły
Tam składał, teraz sterty zgliszczy,
Po których wiatr przeciągle świszczy,
Roznosząc odór spalenizny.
Aj, z dymem poszły ojcowizny!
Aj, z dymem poszło wszystko zboże!
I bydląt nie ma! Boże, Boże!
Zabrane wszystko przez Tatarów
Do niedościgłych stepu jarów!
Przed Tatarami na wyścigi,

Gdy ich zapowiadały migi
Błyszczących, smolnych znaków w górach,
Chroniono się w przemyskich murach
Ze wszystkiem, co kto zabrać zdołał,
Bo tu ich mocny zamek wołał,
Bo miejskie ich wabiły mury,
Zaciężne wojsko i ich ciury,
I tu wraz z wojskiem, choć z ukrycia,
Bronili swego mienia, życia ;
Tu także Tatar swe namioty
I swój błyszczący sztandar złoty
Ze szczytu góry pokazywał
I często się do szturmu zrywał
I wojsko utrzymywał w szachu
I ludzi w gorączkowym strachu,
Tymczasem jednak swe zagony
Na wszystkie ztąd rozsyłał strony,
Na łup pokaźny zewsząd czekał
I tak ztąd długo odwrót zwlekał,
Aż łup ogłosił podróż długą,
Zgliszczami tlącą i krwi strugą,
Lub gdy liczniejsze wojsko zwietrzył,
Bo wtedy sam już trwogą pietrzył.
Hej, przetrzebiły się już lasy!
Nie wrócą się dawniejsze czasy!
I śladu nie ma już z Tatarów..
Zniknęli jakby dym z pożarów!
A wy, dawniejsi cni rycerze,
W głębokiej wychowani wierze,
Co skocznie szliście jak do tańca,
Zatwardziałego chrzcić pohańca,
W żelaznej takiej ciężkiej zbroi
Iż w niej dziś nikt się nie ostoi
I nikt się nawet jej nie ima,
Rycerze dziarscy z pod Chocima,
I z pod Grunwaldu i z pod Wiednia,
Co jasne czoło nam rozwiednia
Świetlaną zdobiąc aureolą!
Gdybyście tak Wszechmocną wolą
Powstali teraz z grobów waszych,
Rozglądli się po ziemiach naszych,
Powiedzcie prawdę cni rycerze,

Czy wielka litość was nie zbierze,
Gdy miast rycerzy tylko ciurów,
A zamiast zbroi płat mundurów
Zdziwione ujrzą wasze oczy?
Wy, coście w mig jak koń wyskoczy,
Ze strasznym chrzęstem i łoskotem
Stanęli nagle pod namiotem,
Przed którym sztandar tkwił proroka,
I z tym sztandarem jak epoka
Z pośrodka Turków wyszli dzielnie,
Na wszystkie boki tnąc piekielnie;
Wy, coście z chęcią i podniosło
Bój traktowali jak rzemiosło,
W nim od dzieciństwa się ćwiczyli,
I nim przesiąkli, weń się wżyli;
Wy, których nawet już turnieje
Ochoczo opiewają dzieje,
Powiedzcie prawdę, cni rycerze,
Otwarcie, śmiało, jasno, szczerze,
Co teraźniejszy wojak warta?
Ot, ludzi się do kupy zgarta
I pędzi to jak stado wołów
I z luf wyrzucać każe ołów...
Puf! puf! puf! moździerz się odzywa
I od zadumy cię wyrywa.
Chorągiew górą zajaśniała
I „wiwat!“ huczy szkoła cała,
I „wiwat!“ jeszcze dmie w powtórkę,
Gdy wyszła na ostatnią górkę.
Już bliskim cel jest tej podróży,
Nikogo ona już nie znuży,
Nagrodzą się pochodu trudy,
Bo w dali tam już Budy! Budy!
I „wiwat!“ krzyczą lasy echem,
A młodzież śpiewa już z pośpiechem:

„Z tamtej strony Sanu pluska w wodzie wrona,
A studencik myślał, że to właśnie ona:
Pije wodę wrona i skrzydłami trzepie,
Student się znacząco po kieszeniach klepie.
Po kieszeniach klepie i cencików szuka,
A aniołek z okna filuternie kuka:

Znalazł student centy, szybko siadł do łodzi,
Ona zaś po schodach prędko na dół schodzi!
Prędko na dół schodzi, biegnie w skok do brzegu,
I studenta widzi w jak najszybszym biegu;
Już na środek Sanu chyżo przywiosłował,
W dal się patrząc, mocno się też zafrasował.
Mocno zafrasował, bo tam siedzi wrona,
Jeśli wzrok nie myli, nawet bez ogona.
A cóż to za licho wronę tę przyniosło?
Żeby ją napłoszyć, w górę podniósł wiosło.
W górę podniósł wiosło, wrona nie wzlatuje,
Student przeto ku niej wodę wiosłem pruje,
Patrzy się w około, w dali tylko żydzi,
Macha znowu wiosłem, — wrona z niego szydzi.
Wrona z niego szydzi, szydzi najwyraźniej,
Już go złość porywa, pędzi przeto raźniej.
Może ją kto splątał, może ją co boli?
Ja cię wnet wybawię, wyrwę z tej niewoli.
Wyrwę z tej niewoli, ogon ci rozwiążę,
Gdy wysiędę na brzeg i do ciebie zdążę.
Student przeto na brzeg łódkę swą popycha,
Biedna, biedna wrona, ledwie jeszcze dycha!
Ledwie jeszcze dycha, student ból jej czuje
I z zapałem całym ogon rozwiązuje,
Nie spostrzega wcale, że tu z poza czaty
Milczkiem się przysuwa groźny pan brodaty.
Groźny pan brodaty biczyk w ręku trzyma
I studenta spłasza, mierząc go oczyma:
„Nie rusz mego ptaszka! Gapiu, ruszaj sobie!"
A aniołek marchew paluszkami skrobie!"

Oj wy aniołki, aniołeczki!
Kładziecie pewnie do torbeczki
Kajety, pióra i ołówki,
Martwicie małe wasze główki,
Czy wam sukienka leży ładnie,
Lub, jak tam w szkole dziś wypadnie,
Czy dzisiaj która dobrodziéjka
Nie będzie syczeć znów jak żmijka,
Gdy świeżą grzywkę twoją zoczy,
Lub czy profesor cię nie spioczy,
Nie nazwie jakim sowizdrzałem,

Zakładu śmieciem i zakałem,
Lub innych rzeczy się nie dowiesz,
Gdy lekcji dobrze nie odpowiesz;
Czy w domu nie sklną nieprzyjemnie,
Gdy się cokolwiek suknie zemnie,
Lub w ławkach szkolnych się zaprószy, —
Nie pomyślicie nawet w duszy,
Co porabiają też studenci,
Jak każdy żywo głową kręci,
Na wszystkie się rozgląda strony
I jakim każdy rozpalony
Zabarwił się prześlicznym różem,
A jak zabawnie przesiąkł kurzem!
Jak skoczna u każdego mina!
Jak się na palcach każdy wspina
I patrzy po za karczmy mury,
Zkąd jeszcze mu zabłysły z góry
Przeróżne barwne chorągiewki!
Jak lasy wtórzą w jego śpiewki!
Jak chyżym na dół idą krokiem
A nawet z pląsem i podskokiem!
Oj, biedne, biedne aniołeczki!
Nie macie żadnej dziś wycieczki,
I waszej nic się nie śni główce
O żadnej pewnie dziś majówce,
A tu, za karczmą dla popasu,
Przy drodze, wychodzącej z lasu,
Prześliczna dzisiaj brama stoi,
Chorągiewkami aż się roi
I wszystkich oczy na się zwraca.
Studencka ją tu wzniosła praca,
Lecz pod nadzorem profesorskim,
Przesiąkłym bardzo duchem dworskim.
Chorągiew czarno-żółta wieje
Na szczycie; budząc w nas nadzieje,
Poniżej druga zajaśniała:
Chorągiew to czerwono-biała;
Niebiesko-żółta wśród zieleni
Rusinom oczy barwnie mieni, —
A ileż to tam barwnych wieńców
Jaskrawo lśni do ócz młodzieńców!
A w jakież zamaszyste kiście

Splecione różnobarwne liście!
To brama nas ku sobie woła;
Więc „wiwat!“ krzyczy cała szkoła.

„Do dłoni dłoń! Hej naprzód w las!
Tu boska toń, tu oddech boży,
Promieńmi słońce cuda tworzy.
Do dłoni dłoń! Hej naprzód w las!
Dziewicza woń otacza nas,
A świeża błoń u nóg się korzy.
Do dłoni dłoń! Hej naprzód w las!
Tu boska toń, tu oddech boży!
　　Przecudny Maj zawitał nam,
　　Pogoda rajskie wdziała szaty,
　　Wonnemi kraj zakwitnął kwiaty,
　　Przecudny Maj zawitał nam!
　　Z zielonych raj wyglądu ram,
　　Przygoda rajskie wdziała szaty!
Gdy błysną pasma nocnych gwiazd,
Co świat przed jasnem słońcem chronią,
Żywiczną las wytryśnie wonią,
Gdy błysną pasma nocnych gwiazd.
Noc zwabi nas do strojnych gniazd,
Poigrać wraz zalotów bronią,
Gdy błysną pasma nocnych gwiazd,
Co świat przed jasnem słońcem chronią.
　　Rozkoszy stój miłości czar,
　　Tworzenia zdrój przenika nerwy,
　　Przyrody strój wabi bez przerwy,
　　Rozkoszy stój! miłości czar!
　　I życia rój rozpala żar,
　　Tworzenia zdrój przenika nerwy!
Do dłoni dłoń! Hej naprzód w las!
Tu rajska woń otacza nas!“

Jeden z ostatnich,

Obraz dramatyczny

w jednym akcie

przez

Franciszka Zwilkońskiego.

OSOBY:

CHROBNICKI.
HELENA.
ANDRZEJOWA.
POSŁUGACZ PUBLICZNY.

(Pokoik bardzo ubogo, lecz starannie umeblowany. W głębi drzwi, z lewej strony otwarte okno. Od prawej drzwi, łóżko, po lewej stół, oparty o ścianę. Na stole książki, pod stołem pudełko ze skrzypcami. Po przeciwnej stronie okna wygodny fotel, obok stolik. Na stoliku flaszka od wina, kieliszek i szklanka wody. Opodal stolika krzesełko. Blisko okna stoi drugi stół ze szufladą, opatrzoną zamkiem. Przed stołem krzesło. — Przez otwarte okno wpadają do pokoju promienie słońca).

SCENA I.

CHROBNICKI, HELENA.

(Chrobnicki, ośmdziesięcioletni staruszek, siedzi w fotelu i drzemie, opodal siedzi Helena z robotą w ręku i pracuje pilnie. — Po chwili Helena wstaje i idzie do okna).

HELENA (*patrząc przez okno, to znów pracując, d. s.*)

Że też ta Andrzejowa bez końca siedzi w mieście. Miała zabrać tylko wino i powracać do domu. Kupiec dobry, pewno wina nie odmówił na kredyt, z pewnością nie odmówił. Przecież od tak dawna kupuję wszystko w jego składzie. Dziś po raz pierwszy biorę bez pieniędzy, ale nie na długo. Jutro dywanik będzie skończony, dostanę dużo, dużo pieniędzy i zaraz zapłacę za wino...

Jeszcze jej nie widać! Lada chwila dziadzio się obudzi, zażąda wina — a tu wina nie ma. Nieznośna Andrzejowa! (Powraca na miejsce).

SCENA II.

CIŻ, ANDRZEJOWA.

HELENA.

Cicho, moja złota Andrzejowo, dziadzio spi jeszcze. — A wino?

ANDRZEJOWA.

Nie przyniosłam. Kupca nie było w sklepie, podobno wyjechał, a subjekt panienko, ot zwyczajnie sobie subjekt, bez pozwolenia pana nie chciał poborgować.

HELENA.

Co ja teraz pocznę nieszczęśliwa! Czyście przynajmniej powiedzieli, że ja jutro zwrócę, z podziękowaniem zwrócę?

ANDRZEJOWA.

Czegom ja mu nie nagadała! Przysięgałam na wszystkie świętości, że panienka jutro sama przyniesie i że sama pięknie podziękuje. Prosiłam, ale na psa uroki! nie i nie! Więc zaczęłam besztać: jakto! panienka kupuje u was mąkę, ryż, ser, bryndzę i powidła, a pan jej nie chce poborgować wina! Co mi to za sklep!

HELENA.

Ciszej, ciszej, Andrzejowo.

ANDRZEJOWA.

Jak żyję nie widziałam katolickiego sklepu, coby nie poborgował katolikowi.

HELENA.

Nie trzeba było łajać tego pana.

ANDRZEJOWA.

A może nie było za co! A panienka myśli, że on mi darował? także! zbeształ mnie jeszcze lepiej.

HELENA.

Teraz to tam już wina nie dostaniemy.

ANDRZEJOWA.

To i co? Wielka rzecz, że pan nie popije wina przez jeden dzień. Ja nigdy nie piję wina i także dobrze.

HELENA.

Ale spojrzyjcie tylko na dziadka, Andrzejowo. Widzicie, ta twarz taka starością zorana, taka chuda i taka strasznie blada. — Dziadek stary, bardzo stary. Już jemu nie długo bawić między nami, a jabym chciała, żeby żył bez końca. Jego już sen nie pokrzepia, mięso nie posila, jedno jeszcze wino podtrzymuje jego siły.

ANDRZEJOWA.

Co ja na to poradzę, moja złota panieneczko. — Żebyto jeszcze nie był koniec miesiąca, znalazłabym w kufrze z kilka szóstaków.

HELENA.

Nie, nie, Andrzejowo, ja i tak jeszcze winnam wam za posługę.

ANDRZEJOWA.

Nic nie szkodzi, panieneczko. Nie odda panienka na tego pierwszego, to jeszcze w ciągu roku dość czasu na oddanie.

HELENA.

Poczciwa moja Andrzejowo! wy najlepiej wiecie, jak mi bardzo ciężą na sumieniu długi. Obecnie o tem tylko marzę, żeby naprzód was zaspokoić, potem zapłacić pomieszkanie...

ANDRZEJOWA.

Jakoś to będzie panieneczko.

HELENA.

Jakośby było, gdyby lepiej płacono za roboty ręczne. Tak mi mało płacą! — A może ja nie dosyć pilnie pracuję?

ANDRZEJOWA.

Co też panienka gada! Żeby pan wiedział, jak panienka po całych dniach i nocach nic tylko nad robotą siedzi i szyje i szyje, dobry pan, wyrzekłby się wina. Zobaczy panienka, że jak raz wpadnę w złość, wszystko panu opowiem.

HELENA.

Nie uczynicie tego, Andrzejowo!

ANDRZEJOWA.

Jak Boga kocham, co powiem! — Czemuto, dlatego, że pan niewidomy, panienka wszystko robi na coby pan nie pozwolił? — Sprzedała panienka fortepian, a przed panem nazywa się, co on jest w reperacyi. Dobra reperacya! Srebra zastawione, pierścionki zastawione, nawet czarna sukienka zastawiona! Nie długo panienka chyba mnie albo siebie zastawi, ale za Andrzejowę, to i handełes nie da centa.

HELENA.

Ciszej, moja Andrzejowo!

ANDRZEJOWA.

Czemu ciszej? właśnie jabym chciała, aby pan posłyszał, że te pieniądze, co to kiedyś były, już dawno poszły. Teraz, kiedy nie ma na wino, niech pan pije wodę!

HELENA.

Ciszej, błagam Was, Andrzejowo.

ANDRZEJOWA.

Już będę cicho, bo sobie pójdę. Idę mężowi zgotować obiad. Całuję rączki panienki.

HELENA.

Bądźcie zdrowi.

ANDRZEJOWA.

Jak będzie trzeba przynieść obiad z restauracyi, niech mnie panienka zawoła. (Idąc ku drzwiom spogląda ua Chrobnickiego, *d. s.*) Starowinka, patrzajcie jeno, jaka u niego biała głowa i broda. Utoczyłabym mu wina z pod serca! — (wychodzi).

SCENA III.

CHROBNICKI, HELENA.

HELENA (*pracując nad robotą, d. s.*)

Kiedy się obudzi i wyciągnie drżącą rękę i powie: Helenko, podaj mi kieliszek wina, co ja mu odpowiem? Straszna prawda zabije mi dziadka i zostanę sama jedna na tym wielkim świecie pośród obojętnych. To być nie może! Dziaduś musi mieć wino!... Trzeba corychlej coś sprzedać, zastawić... Ale co?... Już wszystko sprzedałam, już wszystko zastawione... Jest jeszcze dziadka krzyż „Virtuti militari“, ale ten krzyż jest świętością... Są skrzypce, lecz dziadzio jeszcze czasem bierze je do ręki i gra „Boże, coś Polskę!!...“ Więc nic do zbycia?!... Boże, mój Boże!!

CHROBNICKI (*budząc się*).

Jesteś tu, wnuczko?

HELENA.

Jestem, Dziadusiu. —

CHROBNICKI.

Czy ja długo spałem?

HELENA.

Dziaduś drzymał dosyć długo.

CHROBNICKI.

Więc drzymałem... Słońce już wysoko na niebie, prawda?

HELENA.

O! już wysoko. Jedenasta już dawno wybiła.

CHROBNICKI.

(*d. s.*) Czas ucieka, śmierć goni, wieczność czeka.... (*gł.*) Słońce już wysoko, ale czy nisko, czy też jest wysoko, już go nie zobaczę. Mów mi o słońcu.

HELENA (*stojąc przy oknie*).

Niebo dziadusiu pogodne, błękitne, tylko kiedy niekiedy zdala nadlatują przeźroczyste obłoki a przez nie słońce wygląda ku nam wiosenne i wesołe.

CHROBNICKI.

Ale czy takie złote i takie wspaniałe, jak było wtedy, kiedy patrzałem na nie zdrowemi oczami? — O już nie takie! Teraźniejsze słońce musi być blade i nie mów, że wesołe, ale smutne i zimne.... Inne ja pamiętam słońce — jesienne, a jednak oby Bóg kiedy zaświecił nad wami takie drugie światło! Niechby wam zajaśniało i nie gasło nigdy!

HELENA.

Słońce zawsze jednakie, Dziadusiu.

CHROBNICKI.

Nie wierz temu, dziecko! — Była chwila, w której mimo mrozu i śniegów, kiedy słońce weszło, promienie jego roztaczały się na całą Polskę. Jak Polska była wielka, tak daleko rozszerzały się wszystkie serca, zapaliły się wszystkie myśli...

HELENA.

Czy stał się cud, Dziadusiu?

CHROBNICKI.

Stał się cud wielki! bo słońce, które dnia tego nad nami zajaśniało, było światłem wolności!

HELENA.

Ty mówisz Dziadusiu o dniu naszego zmartwychpowstania?

CHROBNICKI.

Nie z martwych myśmy powstali, ale z głębokiego letargu. — Pierwsza przebudziła się Warszawa, pierwsza witała nadzwyczajne światło swobody potężnym okrzykiem: „Jeszcze nie zginęła!“ I ten okrzyk poniosły wiatry i ptaki i ludzie ku Polsce od krańca do krańca. Z całej Polski wzniosły się błagalne dłonie do nieba i popłynęła do Stwórcy modlitwa dziękczynna: „Ciebie Panie chwalimy!“... A słońce wolności wznosiło się coraz wyżej i coraz wyżej wznosiły się nadzieja, wiara i miłość.... Odgłos wszechpotężnego wolności okrzyku „Jeszcze nie zginęła!“ i odgłos modłów, słanych z piersi miljonów do nieba, wstrząsnął światem i objawił światu, żeśmy nie umarli, że my nie zginiemy!

HELENA.

Dziadusiu mój drogi, daj pokój wspomnieniom, których siła cię osłabia.

CHROBNICKI.

Nie wiele staremu należy się od życia, pozwól więc dziecino żyć mi przeszłością przez resztę dni moich.

HELENA (*n. s.*)

Biedny Dziaduniu!

CHROBNICKI.

To słońce dzisiejsze, to oko dnia dzisiejszego, ono tobie może się wydawać piękne, ale dla mnie, co oglądałem słońce wolności, już ono nie ma uroku. Gdybyś tylko przeniknąć mogła ten majestat światła, w obec którego mocarze tego świata — jedni struchleli, drudzy głowy ukoronowane kornie schylili....

Na najwyższym punkcie nieba słońce wolności zatrzymało się i przyświecało nam na polach Stoczka, pod Wawrem, pod Dębem, na polach Grochowa! Pod Wawrem było dwóch moich braci, ale legło z chwałą, więc nie płakałem nad ich skonem. — W te czasy ja umiałem płakać tylko z radości.... Ale radość krótko trwała... Bogu podobało się, pchnąć słońce naszej wolności do zachodu... I szło słońce drogą wskazaną, coraz posępniejsze i coraz czerwieńsze, aż się zmieniło w jedną bryłę krwi. I tą krwią zmazane i przesiąknięte kryło się na zachodzie przed przerażonym wzrokiem ludzkości. — Raz jeszcze potem zabłysło i zgasło.

HELENA.

Nie na zawsze, Dziaduniu! Jeszcze jest to słońce za lasami i za górami, tylko, że gdzieś tam tak daleko, że może jeszcze wiele czasu upłynie, nim na naszem niebie zajaśnieje.

CHROBNICKI.

I ty wierzysz w to, co mówisz? — Zbliż się do mnie, moje kochanie.... Powiedz mi teraz, czy wy wszyscy, co dziś żyjecie, wy młodzi i silni na duchu — więc wy wierzycie w dzień cudu i zwycięztwa?

HELENA.

Wierzymy Dziadusiu, tak jak wierzymy w Boga! Sztandar narodowy, któremu służyłeś wiernie, jeszcze w rękach dzierżymy i kiedyś podniesiemy go ponad głów miljony!

CHROBNICKI.

Tak, wy to uczynicie! Ja legnę w grobie, ale wy mnie przebudzicie głosem, co wstrząśnie i przebudzi Polskę całą! Tak, wy to uczynicie! — Kłamią ci, co głoszą przed światem, żeście wy, młode pokolenia, pozbawieni zapału, miłości i wiary! Oszczercami są ci, którzy zarzucają wam brak miłości Ojczyzny!.. Wy pracujcie w pocie czoła nad tą ziemią, zroszoną krwią i łzami... O pracujcie dalej bez wytchnienia, niezmordowanie i ochoczo, a Bóg dojrzy waszą pracę i jej pobłogosławi. Precz z niedowiarstwem! Precz ze smutkiem! Wierzcie i bądźcie wesołej myśli, bo kto ma smutek w sercu, ten już zwątpił... (wycieńczony i drżący pada na fotel.)

HELENA.

Dziadku! Dziadku! widzisz, zmęczyłeś się, twarz twoja pobladła, ręce ci drżą ze wzruszenia.

CHROBNICKI.

Ale w sercu błogi spokój czuję.. Podaj mi kropelkę wina.

HELENA.

Wina?!... Zaraz Dziadusiowi podam. (*d. s.*) Boże mój wielki!... (Chrobnicki wyciąga drżącą rękę:) Dziadusiu — wina zabrakło...

CHROBNICKI.

Każ przynieść służącej. — Dawniej mało pijałem wina, dziś czuję, że mi dobrze robi, że mnie wzmacnia.

HELENA.

Zaraz posyłam, Dziadusiu, tylko... zaraz poślę! (bierze flaszkę, idzie do drzwi i przez uchylone drzwi woła:) Andrzejowo! Andrzejowo! (zamknąwszy drzwi, spieszy do łóżka i ściąga poduszkę. *N. s.*) I bez poduszki spać można...

SCENA IV.

CIŻ, ANDRZEJOWA.

HELENA (*półgł. do Andrzejowej.*)

Bierzcie poduszkę — może kto kupi... Tylko się spieszcie i przynoście flaszkę wina.

ANDRZEJOWA.

Jeszcze tego nie stało — poduszkę sprzedawać!

HELENA.

Przez litość, Andrzejowo, ciszej! —

CHROBNICKI.

Kto mówił o poduszce i o sprzedaży?

HELENA.

To nic, nic, Dziadusiu.

ANDRZEJOWA.

E proszę pana! już tego dłużej nie ścierpię! Niech się panienka gniewa, ja muszę panu otworzyć oczy.

CHROBNICKI (*smętnie*).

Chociaż otworzycie i tak nic nie zobaczę — ale proszę, mówcie, co to wszystko znaczy.

HELENA.

Zwyczajnie Andrzejowa plecie niestworzone rzeczy.

ANDRZEJOWA.

Andrzejowa nie plecie — Andrzejowa jest mądra baba, oho! — Pan bo pan, pije i pije wino...

HELENA.

Andrzejowo!

CHROBNICKI.

Pozwól jej skończyć.

ANDRZEJOWA.

A wino proszę pana kosztuje, drogo kosztuje!... Panu się ciągle wydaje, co w domu są pieniądze, a w domu nie ma pieniędzy.

CHROBNICKI.

Nie ma pieniędzy? co ty mówisz kobieto!

HELENA.

Dziadusiu mój drogi! ukochany!... proszę cię!.. nie słuchaj jej!... ona sama nie wie, co mówi! (do Andrzejowej) Moja kochana Andrzejowo, idźcie sobie! idźcie sobie!.

CHROBNICKI.

Ja chcę! niech zostanie. — (do Andrzejowej). Mówcie prawdę, dobra kobieto.

ANDRZEJOWA (*pocałowawszy Chrobnickiego w rękę*).

Niech się pan na mnie nie gniewa, ale ja już na to wszystko i patrzeć nie mogę. Panienka pracuje bez wytchnienia, sprzedaje kawałek po awałku...

CHROBNICKI.

Więc fortepian nie w naprawie?

ANDRZEJOWA.

Już go kto inny psuje i daje do naprawy. — Pierścionki sprzedane, zegarek sprzedany, medaljonik zastawiony...

CHROBNICKI.

Moje oczy!... (osłania twarz rękami).

HELENA (*rzucając się przed nim na kolana*).

Mój najdroższy Dziadusiu! mój ojcze! moja matko! moje wszystko!

CHROBNICKI.

Sza córeczko, już przeszło, powstań (*p. ch.*) Niech ta kobieta mówi dalej.

HELENA.

Andrzejowo! wy nie mówcie! ja dziadusiowi opowiem wszystko. Przysięgam ci Dziadku, że dowiesz się odemnie prawdy i tylko prawdy.

CHROBNICKI.

Wierzę ci moje dziecko, (ze smutkiem) a wam poczciwa Andrzejowo, serdecznie dziękuję, żeście mi otworzyli oczy.

ANDRZEJOWA.

Niech tam pan nie dziękuje, bo to była rzecz sumienia, zawsze mi jednak czegoś markotne, żem się wygadała.

HELENA.

A widzicie.

ANDRZEJOWA.

Baba nigdy nie wie, kiedy za wiele mówi. Ot głupstwom zrobiła i tyle!

CHROBNICKI.

Uczyniliście bardzo rozsądnie i ja wam wdzięczny jestem za to. Teraz nas zostawcie.

(Andrzejowa ociera łzy fartuchem, całuje w rękę Chrobnickiego, potem Helenę i wychodzi markotna.)

SCENA V.

CHROBNICKI, HELENA.

CHROBNICKI.

Czy ci się godziło, trzymać w podobnej nieświadomości mnie — niewidomego, o tem nie chcę mówić, przez wzgląd na szlachetne chęci twoje. Wytłómacz mi przedewszystkiem, czemu się to dzieje, że pieniędzy nie mamy w domu? Przecież kilkadziesiąt tysięcy wyrwałem z paszczy północnego smoka i oddałem wszystko twemu ojcu.

HELENA.

Dziadunio widocznie zapomina, że ojciec stracił wiele na majątku w latach nieurodzaju. Później, w mieście naruszało się kilka razy kapitał, kiedy ojciec chorował. Dziadusiowi nie mówiono o tem, bo i po co? Następnie mama zachorowała, jeździła rok po roku do Meranu. Mama nie chciała jeździć, ale lekarze namawiali, a Dziaduś życzył sobie tego koniecznie.

CHROBNICKI.

Tak, tak, przypominam sobie....

HELENA.

W ten sposób wyczerpały się zapasy kapitału.

CHROBNICKI.

Od jak dawna nie mamy pieniędzy?

HELENA.

Od trzech miesięcy Dziadusiu.

CHROBNICKI.

Więc od tego czasu żyjemy częścią za sprzedane i zastawione rzeczy, a częścią?...

HELENA.

Na kredyt.

CHROBNICKI.

Na kredyt!.. (*p. ch.*) Ale ta kobieta wspominała jeszcze o pracy?

HELENA.

Nic to Dziadusiu, nic.

CHROBNICKI.

Dziecko moje, ja chcę wiedzieć całą prawdę.

HELENA.

Ja... ja robię roboty do magazynów.

CHROBNICKI.

Pracujesz na mnie! (*p. ch.*) Może po nocach pracujesz, tracisz wzrok i zdrowie?

HELENA.

O nie! Dziadusiu, ja wcale dobrze wyglądam.

CHROBNICKI.

Dobrze wyglądasz? Przybliż się... (Helena przybliża się, Chrobnicki przesuwa po jej twarzy

rękę). Nie! ty nie wyglądasz dobrze, ja to czuję pod ręką, ja to sercem odgaduję.

HELENA.

Ja nigdy lepiej nie wyglądałam, twoja wnuczka Dziadusiu, była zawsze szczupła na twarzy.

CHROBNICKI.

Lecz ty nietylko szczupła; pod ręką czułem zapadłe policzki. O! lepiej, że ja tego nie widzę... I ty biedne dziecko pracowałaś na mnie, a ja wino spijałem!

HELENA.

Ty nie uwierzysz, Dziadusiu, co to za rozkosz dla mnie, pracować dla ciebie, byle się tylko praca opłacała.

CHROBNICKI.

Ale ona się nie opłaca, wiem o tem, wiem! Wyzyskiwane są biedne pracownice, których głos słaby tłumią donośne głosy ich wyzyskiwaczy. I nikt się nie ujmuje za niemi, bo i ktoby się ujął?... Ja nie chcę, żebyś ty należała do tej nieszczęśliwej kategorji ludzi — słyszysz? ja nie chcę!

HELENA.

Dziaduniu...

CHROBNICKI.

Nie ma pieniędzy? i cóż! wszakże ja przed laty złożyłem na ołtarzu Ojczyzny większą część mego mienia! Wszakże ja dla moich współbraci przelewałem krew! Zagnany do kopalń syberyjskich spędziłem tam lata! Oddałem dwóch braci ziemi ojczystej i nie płakałem po nich! Wszystko oddałem i wszystko przecierpiałem bez żalu i jęku! W zamian, ja nic nigdy nie żądałem od mojej

Ojczyzny. Oddając jej wszystko, nie targowałem się z nią o zyski — oddawałem, nie rachując na zwrot. I pogardziłbym sam sobą, gdybym był kiedykolwiek myślał inaczej! Ale dziś córko moja, dziecię moje, powiedz mi, czy ja mogę wyciągnąć rękę do braci? — Powiedz, czy się nie zarumienisz za Dziadka, a ja czy potrafię uczynić to — dla ciebie?...

HELENA.

Nie dla mnie, Dziadusiu! nie dla mnie! Jam jeszcze młoda i czuję tyle sił w sobie, że z łatwością przyjdzie mi pracować, ale dla ciebie Dziadusiu potrzeba więcej, niż korzyść z pracy mojej dać może.

CHROBNICKI.

Wina mi trzeba! przeklęty niedołężny wieku, który masz podobne zachcianki!.. Przed tobą dziecko życie długie, jeszcze bardzo długie, więc tobie potrzeba sił, abyś nie uległa w okrutnej walce o chleb powszedni. Dla ciebie wyciągnę rękę i tego się wcale wstydzić nie będę! — Siadaj i pisz!

HELENA.

Do kogo Dziadusiu?

CHROBNICKI.

Wszakże jest w mieście Towarzystwo opieki nad weteranami. Kiedyś i ja wspierałem Towarzystwo i nie żałowałem grosza. Dziś się do niego udaję i jestem już spokojniejszy, bo nie żądam zwykłej jałmużny. Siadaj i pisz.

HELENA (*zabierając się do pisania*).

Co mi pisać każesz?

CHROBNICKI.

Krótko i węzłowato. „Jestem weteranem z r. 1831, jak świadczą papiery“. Papiery dołącz. „Je-

stem w potrzebie i proszę! — Podpisz: „Chrobnicki, żołnierz byłych wojsk polskich.“

HELENA.

Adres?

CHROBNICKI.

„Do Towarzystwa opieki nad weteranami z r. 1831“. — Papiery znajdziesz w szufladzie stolika. Oto klucz... Proszę cię, idź sama i wręcz list posłańcowi, niech natychmiast idzie i z odpowiedzią wraca.

HELENA.

Dobrze Dziadusiu. — (Wyjmując papiery z szuflady, następnie bierze kapelusz na głowę, parasolkę do ręki, zbliża się do Chrobnickiego i całuje go w rękę). Do miłego powrotu...

CHROBNICKI.

Sama nie idź, weź służącą ze sobą.

HELENA.

U nas posługuje Andrzejowa, Dziadusiu.

CHROBNICKI.

Prawda, nie mamy służącej, myśmy bardzo biedni.

HELENA.

Pójdzie ze mną córka Andrzejowej, ona zawsze chodzi ze mną do miasta.

CHROBNICKI.

Niech więc idzie z tobą, a Andrzejowę przyślij tu do mnie.

HELENA.

Dobrze Dziadusiu. — (Wychodzi).

SCENA VI.

CHROBNICKI (*sam*).

Gdyby mi było wolno zapłakać — płakałbym, lecz jakieżto byłoby nędzne widowisko, gdyby stary wiarus zapłakał! Jeszczeby kto podpatrzył i wyśmiał starego!.. No, no, tylko odważnie! tylko śmiało! Straszny nieprzyjaciel, bieda, stanęła u drzwi moich... (powstaje i zwraca się w stronę drzwi). Pocoś tu przyszła, straszna wiedźmo?.. Czy myślisz, że ja stary, to mnie tak połkniesz, jak szczupak karasia?! Hola mościa panno! mam ja jeszcze braci, co mnie zjeść nie dadzą! Marsz z mego domu! . . . . (wraca na fotel).

SCENA VII.

CHROBNICKI, ANDRZEJOWA.

ANDRZEJOWA.

Jestem proszę pana.

CHROBNICKI.

Zbliżcie się, zacna niewiasto.

ANDRZEJOWA.

Gdzie ja tam niewiasta — baba! proszę pana.

CHROBNICKI (*żartobliwie*).

Jednakże zawsze niewiasta. Powiedzcie mi moja Andrzejowa, — wszak tak, Andrzejowa?

ANDRZEJOWA.

Andrzejowa.

CHROBNICKI.

Przepraszam was, bo to widzicie, stary pamięć traci i więcej żyje przeszłością niż teraźniejszością. Powiedzcie mi, czy moja wnuczka bardzo źle wygląda?

ANDRZEJOWA (*n. s.*)

Żebyś też znowu za wiele nie powiedziała, (spluwając) tfu, tfu, na psa uroki!

CHROBNICKI.

Co mówicie?

ANDRZEJOWA.

Panienka niby nie mizerna, a po prawdzie mówiąc, biedactwo takie mizerne, że nie można więcej.

CHROBNICKI.

Tak powiadacie?

ANDRZEJOWA.

A może za wiele powiedziałam? Bo to widzi pan, ja jestem zwyczyjnie sobie baba, ale strasznie nie lubię, jak się kto przezemnie truje.

CHROBNICKI.

Nic nadto nie powiedzieliście i owszem, chcę poznać całą prawdę. — Jest to nawet waszym obowiązkiem, nie okłamywać biednego kaleki.

ANDRZEJOWA.

A kiedy tak, to rozpuszczę język i już wszystko wydobędę z serca. Panienka po nocach szyje, szyje i szyje i czasem pakaszluje w kąciku, coby pan nie słyszał.

CHROBNICKI.

Kobieto! co ty mówisz! moja wnuczka kaszle?

ANDRZEJOWA.

(*j. w.*) Znowu coś paskudnego powiedziałam... (*gł.*) Proszę pana, to tak czasem tylko kaszle, jak się zasiedzi nad robotą. Panienka, jak zwyczajnie panienka, potrzebuje dużo powietrza. Wróbel, jaki mały, a nic tylko na dworze, na powietrzu i zdrów bestyjka! Panienki do wróbla i nie równać!

CHROBNICKI.

Moja poczciwa Andrzejowo, wszystko się naprawi. Za chwilę już będziemy mieli pieniędzy, spodziewam się — tyle, że nie tylko wykupimy część zastawionych rzeczy, ale dla panienki będzie można pomyśleć o pewnych wygodach.

ANDRZEJOWA.

Państwo już będą mieli pieniądze? jak ja się cieszę! jak się cieszę! — Bo ja już sobie myślałam, co to będzie z jutrzejszym obiadem, bo to jutro pierwszy, a u panienki już dziś w kieszeni dziura. Na wino nie chciałam pożyczyć...

CHROBNICKI.

Jestem wam za to mocno zobowiązany.

ANDRZEJOWA.

Ale na jutrzejszy obiad, jużciż żebym wyskrobała kilka centów z kufra, ale kiedy już państwo mają pieniądze swoje, to i lepiej!

CHROBNICKI.

Zacna kobieto, pozwólcie uścisnąć wasze spracowane, poczciwe ręce... (wyciąga swoje).

ANDRZEJOWA.

Także się panu zachciało: ściskać moje ręce!

CHROBNICKI.

Dawajcie, kiedy każę! —

ANDRZEJOWA.

Kiedy pan każe — sługa musi. (podaje Chrobnickiemu obie ręce).

CHROBNICKI.

Niech wam Bóg we wszystkiem błogosławi, poczciwa, dzielna Andrzejowo!......

ANDRZEJOWA.

A jak już będą te pieniądze, to z panienką pójdziemy po obiedzie powykupywać rzeczy.

CHROBNICKI.

Pamiętajcie! sukienka i medaljon — rzeczy najważniejsze. A jeżeli pieniądze wystarczą, wykupimy — co jeszcze?

ANDRZEJOWA.

Pierścionki.

CHROBNICKI.

A jakby jeszcze pieniądze wystarczyły, kupilibyśmy Helence — nową sukienkę, co?

ANDRZEJOWA.

Toby się jej przydało! i bardzo!

CHROBNICKI

Kto wie, może wystarczy... Już was dłużej nie zatrzymuję Andrzejowo.

ANDRZEJOWA.

Już mi taki czas wracać do izby. — Całuję rączki pana.

CHROBNICKI.

Moja poczciwa!

(*Andrzejowa wychodzi*).

SCENA VIII.

CHROBNICKI (*sam.*)

I niech mi teraz kto powie, że dzisiejsi ludzie są gorsi od dawniejszych pokoleń... Nieprawda! Nigdy u nas w Polsce nie brakło serc poczciwych, natur szlachetnych i umysłów wzniosłych. Ale serce, to nie jest rzecz, którą się zdobywa na zawołanie, nad tem trzeba pracować rozważnie i wytrwale.

Chodziłem ja między lud nasz i nie poufaląc się z nim, jednałem go sobie pożyteczną radą i zdrową nauką. Czyniłem to wszystko, nie w roli posłannika bożego, ani też jako emisarjusz, nie próbowałem nawet głosić się przyjacielem ludu, ale poprostu stawałem przed nim jako człowiek, rozumiejący jego potrzeby i utyskiwania. — Słuchałem wszystkiego. — Co było dobre, starałem się ugruntować, a co złe było – wyplenić. — I ta wdzięczna i cicha praca około ludu, opłacała się sowicie, bom jednał Ojczyźnie serca prostaczków... (wchodzi Helena; odkłada kapelusz i parasolkę).

SCENA IX.

CHROBNICKI, HELENA, (*przy końcu*) POSŁUGACZ.

HELENA.

Już Dziadusiu list oddany; nie długo jeszcze a odpowiedź będziem mieli. (całuje go w rękę.)

CHROBNICKI (*głaszcząc Helenę po głowie*).

Jaskółeczko wdzięczna moja, prędko powróciłaś. — Ja tymczasem rozmawiałem z Andrzejową i bardzo dużo dowiedziałem się brzydkich rzeczy o tobie.

HELENA (*tuląc się do niego*).

Andrzejowa jest najlepsza w świecie kobieta, ale o jej języku nie da się to samo powiedzieć. Z pewnością opowiedziała Dziadusiowi więcej, niż była potrzeba.

CHROBNICKI.

Co mi powiedziała, to pozostanie między nami. — Teraz moje dziecko, trzeba ci z gruntu zmienić dotychczasowy sposób życia. Najprzód zakazuję ci pod grozą mego smutku i żalu do ciebie, pracować po nocach. Powtóre, życzę sobie, abyś w towarzystwie naszych znajomych chodziła na spacery. Po trzecie, Dziaduś sobie życzy, żebyś była grzeczną i odtąd nic przed nim nie taiła, czy słyszysz? nic nie taiła!

HELENA.

Doskonale słyszę Dziadusiu i zastosuję się do tych wszystkich życzeń.

CHROBNICKI.

Z pewnością?

HELENA.

Ja Dziadusia kocham, a Dziaduś przecież wie, że to jest największe moje zaklęcie, na które sobie czasami pozwalam.

CHROBNICKI.

Wiem o tem i już jestem spokojny. — Ach! byłbym już teraz spokojny jak dziecię, gdyby nie

troska o twoją przyszłość... Dziecko moje, gdybym ja mógł przed śmiercią oddać cię człowiekowi prawemu...

HELENA.

Dziadusiu...

CHROBNICKI.

Któregobyś ukochała i któryby ciebie ukochał, spokojnie kładłbym się do trumny. Jużby mi nic nie przeszkadzało, wypoczywać po latach trudu i znoju, zaznanych nadziei i rozczarowań, klęsk i boleści, ale i radości wielkich... Ja to wszystko przebyłem, a teraz dość mi na tem, że kości moje legną w ziemi ojców moich. — Twój los mnie tylko obchodzi; o los mojej Ojczyzny jestem dziś spokojny. Bóg jest tam — nad nami, więc się spełnią słowa wieszcza:

„Polsko moja! Polsko święta“
Nad zwycięztwa stoisz progiem,
Kres to męki twój ostatni!....

(po chwili). Popatrzno przez okno, czy posłaniec nie wraca.

HELENA, (*patrząc przez okno*).

Jeszcze go nie widać... ale teraz... zdaje mi się... (klaszcząc w dłonie). Tak, to on!... Dziaduś będzie miał wino! (biegnie do drzwi i nadsłuchuje).

CHROBNICKI.

Ja już nie chcę wina; w ostatnich czasach przestało mi smakować. Ale ty moja Helenko, będziesz musiała pić po trochę.

HELENA.

Ani po kropelce! Toby dopiero było zabawne, gdybym ja spijała winko!

CHROBNICKI.

Za moje zdrowie.

HELENA.

Już ja wolę, żeby Dziaduś spijał wino jak spija, za własne zdrowie. (Wchodzi posługacz). I cóż, oddaliście?

POSŁUGACZ.

Oddałem, panienko.

HELENA.

A odpowiedź?

POSŁUGACZ (*wręczając Helenie pakiet*).

Zwrócono mi ten pakiet, papiery podobnoś.

HELENA, (*przeglądając papiery*).

Nic więcej! — żadnego listu? -- tylko te papiery?...

POSŁUGACZ.

Papiery przeglądano tam przy kasie, a potem powiedział mi jeden pan, że już dobrze, że papiery mogę zabrać i mogę się wynieść.

CHROBNICKI.

Co? — Co?

POSŁUGACZ.

Odpowiedź przyjdzie później.

HELENA.

Ale kiedy — dziś, jutro, czy pojutrze?

POSŁUGACZ.

Nie wiem panienko.

HELENA.

(*n. s.*) O mój biedny Dziadusiu! — (do posługacza). Macie waszą należytość. (płaci, posługacz wychodzi — *d. s.*) Za resztę pożyczonych pieniędzy spłaciłam posługacza — Boże! —

SCENA X.

CHROBNICKI, HELENA.

To jest oburzające, Dziadusiu! Ojczyzna twoja, za którą krew przelewałeś, której oddałeś dwóch braci, dla której zagnany do kopalń syberyjskich, przykuty do taczek, jęczałeś przez lata, dla ciebie, coś potem tułał się po obczyznie i krew jeszcze przelewałeś za wolność naszą i waszą, dla ciebie Dziadusiu, coś wszystko oddał, a w zamian pragnąłeś tylko miłości matczynej — dziś, kiedy ty wiekiem obarczony, niewidomy, chory, zgłodniały i spragniony — dziś ty wyciągasz do tej ukochanej przez ciebie matki ręce o ratunek — a ona każe ci czekać — może bez końca czekać! — Ach to straszne! (zakrywa twarz rękami).

CHROBNICKI.

Nie bluźnij córko! Święta matka Ojczyzna nasza i nie wolno nam, jej dzieciom, złorzeczyć niebogiej. — Czy nie dość, że Bóg ją karze, a wróg jej urąga?! Czy niedosyć, że na Golgocie na krzyżu rozpięta, okrutnie cierpi za winy nasze? Ojczyzna moja nic mi nie jest winna. Co mi dać może, to mi da niezadługo: ciało moje przytuli do ciepłego łona i otuli żal mój i tesknotę moją.

HELENA.

A więc jej syny a bracia twoi, Dziadusiu, zapomnieli o tobie! W ich piersiach nie serca, ale bryły lodu! Ich pamięć jest pamięcią jednej chwili! Zapał, co w jednej godzinie czyni z nich

bohaterów, jest jak ta lawa, co rozpalona i wrząca w godzinie — w godzinę opada i stygnie! — Oni, co dziś bożyszcza swe na rękach nosili, jutro potrafią, strącić je w otchłań nędzy i rozpaczy! Tacy są twoi bracia, twoi rodacy, Dziadusiu!...

CHROBNICKI.

Cyt moje dziecię! — Ten, co oskarza w gniewie, oskarza niesłusznie i niesprawiedliwie. — O wieku młody! tyś taki skory do uniesień, do zapału, do zachwytów, aleś równie skłonny do zwątpienia, do rozpaczy i apatji!... Nie wiń ty braci moich, boś ty nie ich sędzią. Jest sędzia najwyższy, Pan nad Pany, jeden, który sądzi sprawiedliwie... Bogu więc pozostaw, co boskie! Nie dziw się ty, że naród, okuty w kajdany, zapomina o jednostkach. Jednostka ginie w narodzie, ale idea wielka i święta, ta nie ginie nigdy! Nieśmiertelna, ona pochłania wszystkie serca, wszystkie myśli, nadzieje i ofiary. — Więc i co dziwnego, że w obec pamięci o tej wszechpotężnej, ginie pamięć o tym i owym, zapomniano i o mnie. — Zresztą, moje dziecię, wszakże obiecano nam odpowiedź, czekajmy przeto cierpliwie.

HELENA.

Tyś za pobłażliwy Dziadusiu, ale ja wiem, że kto ma w pamięci wielkie rzeczy, ten nie zapomina i o małych rzeczach. Człowiek, co opuści bliźniego w potrzebie, opuści brata, ojca i matkę, zapomni o Ojczyznie! — Ale ja nie pozwolę, żeby kazano ci czekać! Tobie należy się cześć i pamięć od twoich braci i ja im to przypomnę, ja ich poruszę, ja im wskażę twoje włosy srebrne, twoje oczy martwe i blizny twoje!... Dziadusiu, do widzenia! (chwyta za kapelusz i wybiega).

CHROBNICKI.

Stój szalone dziewczę!.... (Nadsłuchuje).

SCENA XI.

CHROBNICKI (*sam*).

Wyszła... co ona czynić zamierza? Drogie dziecię, jej się zdaje, że świat cały powinien myśleć o jej Dziadusiu. — Dziś ciężkie czasy, a w takich czasach nic dziwnego, że każdy myśli o najbliższych, a zapomina o dalszych, starych i niedołęgach... Stary niedołęga... ale ja mam wnuczkę!.., dziecko mojej córki!... Ona tak ciężko pracowała na mnie, na wino dla mnie! — A ja? (powstaje) Czy nie ma już we mnie iskry energji i siły do pracy? (prostuje się). O nie! jeszcze nie tak źle ze mną:

„Dzieckiem w kolebce kto łeb urwał Hydrze,
Ten młody zdusi centaury,
Piekłu ofiarę wydrze,
Do nieba pójdzie po laury!
Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga;
Łam, czego rozum nie złamie.
Młodości!...

(Opada na fotel.) — Młodości — alem ja stary i ślepy... (po chwili przychodzi do siebie i znów powstaje i znów się prostuje). Więc dlatego, żem stary i ślepy, wnuczka moja ma umierać z głodu? Także racja! — Stary niedołęgo, no pomyśl! nie masz ty przyjaciół, coby cię wspomogli w biedzie? (po chwili). Mam przyjaciół, ale wyciągać rękę? — Dla wnuczki, stary!... Żebrać dla wnuczki? (*p. ch.*) Ona wszystko sprzedała, sukienkę zastawiła dla ciebie. Taka biedna, taka blada — po nocach nie sypia... Dla ciebie dobra woda, ale ona potrzebuje wina. A więc... (*p. chw.* z bolesnem przejęciem). Ach! co za myśl szczęśliwa, przyjaciołom się nie narzucę!... Gdzie to moje skrzypki? Gdzie mój krzyż „Virtuti Militari“? Chłopicki piersi mi nim ozdobił... (chodzi po omacku i szuka.)

SCENA XII.

CHROBNICKI, ANDRZEJOWA (*wchodzi z menażkami w ręku.*)

ANDRZEJOWA.

Przyniosłam obiad.

CHROBNICKI (*j. w.*)

Jeszcze na obiad nie zapracowałem.

ANDRZEJOWA.

Czego pan tak szuka?

CHROBNICKI.

Gdzie są moje skrzypki?

ANDRZEJOWA.

Niechno pan usiądnie, zaraz skrzypki podam (*n. s.*) Staremu zachciało się skrzypek!

CHROBNICKI.

Podajcie mi jeno skrzypki!...

ANDRZEJOWA (*wydobywa z pudełka skrzypce i smyczek.*)

(*n. s.*) Starowinka gdzie jemu do smyczka. (podając) Proszę pana...

CHROBNICKI (*odebrawszy skrzypki i smyczek, kładzie je na tym stole, przy którym stoi, następnie wydobywa z kieszeni kluczyk od szuflady*).

Oto kluczyk, Andrzejowo... otwórzcie jeno szufladę stolika, tam leży pudełeczko, małe czarne pudełeczko.

ANDRZEJOWA.

Pewno pan chce pudełko z kalafonią? (otwiera szufladę).

CHROBNICKI.

Nie, moja Andrzejowo, w tem pudełku jest złożony krzyż zasługi: „Virtuti Militaris“.

ANDRZEJOWA.

Już znalazłam... Proszę pana... (podaje pudełko).

CHROBNICKI.

Otwórzcie, wyjmijcie krzyż i dajcie mi do ręki. (Andrzejowa krzyż wyjmuje i podaje. — Chrobnicki bierze krzyż drżącą ręką — po chwili.) Prawda, Andrzejowo, panienka bardzo źle wygląda, panienka za dużo pracuje? Moja wnuczka nie ma czarnej sukienki, prawda Andrzejowo?

ANDRZEJOWA.

Oj prawda proszę pana! (*n. s.*) Babo! trzymaj język za zębami.

CHROBNICKI.

Prawda, Andrzejowo, na co staremu pić wino? woda dla mnie dobra, ale dla mojej wnuczki przydałoby się dobre winko — tak kieliszek codzień, co?

ANDRZEJOWA.

I dwa kieliszki nie zaszkodziłyby panience Takie to mizerne, że się pożal Boże!

CHROBNICKI.

A więc widzicie... (coraz powolniej i smutniej) A ten krzyż... złoty krzyż... leży nadaremnie w szufladzie... i pleśnieje.

ANDRZEJOWA.

Gdzietam złoto pleśnieje.

CHROBNICKI.

No tak, nie pleśnieje, ale to tam leży, Bóg wie na co... Andrzejowo, a możeby krzyż.... co... jak wy uważacie?

ANDRZEJOWA.

Co takiego panie?

CHROBNICKI.

Krzyż... uważacie... złoto... a złoto coś warte! Czyby nie można tego... uważacie... Ale panience ani słowa!

ANDRZEJOWA.

Pan chce krzyż sprzedać?

CHROBNICKI.

A no tak... sprzedać... uważacie... sprzedać.

ANDRZEJOWA.

Ja tam sobie głupia baba i nie wiem, co to za krzyż, ale zawsze krzyż i nie godzi się tego sprzedawać.

CHROBNICKI.

No, no, Andrzejowo, nie żartujcie jeno. Panienka blada, mizerna...

ANDRZEJOWA.

Jużciż blada i mizerna.

CHROBNICKI.

A widzicie!... Weźcie krzyż i... i... wy już wiecie...

ANDRZEJOWA.

Kiedy taka pańska wola... (odbiera krzyż).

CHROBNICKI (*mówi coraz prędzej*).

Weźcie... weźcie... zanieście do złotnika, niech krzyż stopi — przecież on od tego. Piękne kolczyki zrobi z tego krzyża — niech — zrobi! (tłumi w sobie łkanie).

ANDRZEJOWA.

Nie panie! ja tego krzyża nie poniosę, bo on musi być wielką świętością dla pana, toć pan płacze!...

CHROBNICKI (*prostuje się*).

Andrzejowo! kto płacze?? Widzieliście wy kiedy płaczącego starego wiarusa? Jam raz tylko zapłakał — kiedy płakał naród cały!... Głupstwo gadacie, dzielna Andrzejowo! Róbcie co każę i basta!

ANDRZEJOWA.

Nie potrzeba sprzedawać, wystarczy zastawić, proszę pana.

CHROBNICKI.

Zastawić powiadacie?... zastawić?... Zastawcie krzyż i wykupcie medaljon i sukienkę panienki.

ANDRZEJOWA.

A skrzypce, czy także na sprzedaż?

CHROBNICKI.

Skrzypki? ho! ho! nie sprzedam ja skrzypek! Panienka będzie miała wszystko, wszystko... Dla mnie dobra woda! Podajcie mi szklankę wody. (Andrzejowa podaje wodę. Chrobnicki pije, krzywi się i oddaje szklankę).

ANDRZEJOWA.

Coś nie bardzo smakowała panu.

CHROBNICKI.

Gdzie tam! woda wyśmienita... Podajcie mi skrzypki!

ANDRZEJOWA (*podając mu skrzypce*).

Gdy panu już palce zasztywniały, przecie pan nie zagra.

CHROBNICKI.

Zobaczycie! — Panienka musi mieć sukienkę i wino... (stroi skrzypce). Dalej Andrzejowo! dawajcie czapkę na głowę — paltota nie trzeba, bo ciepło!

ANDRZEJOWA (*kładzie mu czapkę na głowę*).

(*n. s.*) Staruszkowi pokręciło się w głowie.

CHROBNICKI.

Dalej Andrzejowo!... podajcie mi rękę i wyprowadźcie mnie na ulicę.

ANDRZEJOWA.

Na co to wszystko, złoty panie?

CHROBNICKI.

Na co?... To wy myślicie, że ja już do niczego?... Prawda, żem stary, ale jeszcze jary!.. Tylko przed panienką sza!.. Skoro panienka wyjdzie na miasto albo do znajomych, wy poczciwa Andrzejowo, wyprowadzicie mnie przed dom, na słońce. Prawda, że wyprowadzicie?

ANDRZEJOWA.

Wyprowadzę pana, ale przecież pan nie zechce na ulicy grać na skrzypcach!

CHROBNICKI.

Czemu nie mam zechcieć? Myślicie, że już

grać nie umiem? posłuchajcie jeno!.. (Odgrywa drżącą ręką pierwszą zwrotkę „Boże coś Polskę“) A co, gram jeszcze?... A jak im zagram „Jeszcze Polska nie zginęła“... (gra ustęp) A co? myślicie, że centy nie posypią się do czapki?! — Dalej Andrzejowo! prowadźcie starego na ulicę!

ANDRZEJOWA.

Co tego, to już Andrzejowa nie zrobi! Wolę zastawić korale i pożyczyć panu pieniądze, wolę poduszkę zastawić, a taki pana nie poprowadzę!

CHROBNICKI.

Zkąd u was takie poczciwe serce, Andrzejowo?

ANDRZEJOWA.

Bóg mi dał takie, ale Andrzejowa ma serce tylko dla swoich, a pan i panienka przecież nie cygany!

CHROBNICKI.

Gdybym ja mógł was wynagrodzić, nie za waszą poczciwość, bo za poczciwość Bóg sam wynagradza, ale chciałbym w czemkolwiek okazać się godnym waszego serca...

ANDRZEJOWA.

Jeżeli pan chce mi co dobrego zrobić, to niech pan siada sobie na fotel i nie myśli o ulicy!

SCENA XIII.

CIŻ, *wchodzi Helena.*

(w rękach trzyma złożony papier i flaszkę, którą stawia na stole).

HELENA, (*rzucając się dziadkowi na szyję*).

Dziadusiu! mój Dziadusiu! a widzisz! nie na-

próżno chodziłam. — Zastałam już pismo gotowe. (rozwija papier i czyta) „Czcigodny Panie! Niniejszem pozwalamy sobie zawiadomić Szanownego Pana, że jednocześnie wydane zostało do kasy weteranów wojsk polskich z r. 1831 polecenie, by panu Józefowi Chrobnickiemi, oficerowi w. p., który udział swój w wojnie o niepodległość w r. 1831 należycie udokumentował, wypłaciła dnia dzisiejszego a następnie 1-go każdego miesiąca żołd narodowy w kwocie alegatem oznaczonej!“ (mówi). Oto są pieniądze, a oto wino.

CHROBNICKI.

Więc nie zapomniano o mnie?... Andrzejowo! dajcie krzyż panience... Wnuczko, przypnij mi krzyż na piersi, bracia mi go wykupili! (Helena przypina krzyż. — Chrobnicki ozdobiony krzyżem zwraca się do publiczności.) — Bóg zapłać Rodacy!

ZASŁONA SPADA.

Łowiec szczurów

(z Göthego).

Jestem ja śpiewak, dobrze znany
I łowiec szczurów bez nagany,
Którego ten sławetny gród
Uraczy pewnie chętnie w bród.
    A choćby szczurów było wiele
    I łasic tyle, jak w kościele,
    Z wszystkich oczyszczę miejsce to,
    Że pójdą precz, ujrzycie no!
Jam śpiewak także żartobliwy
I łowiec dzieci nieleniwy,
Które poskramiam woli wbrew,
Gdy im zanucę złoty śpiew.
    Niech chłopcy będą najkrnąbrniejsze,
    Dziewczątka znów najprzekorniejsze,
    Kiedy na lutni pieśń im gram,
    Już ja je wszystkie pewnie mam.
Jestem ja śpiewak dość ruchliwy,
I łowiec dziewcząt też szczęśliwy,
Każde miasteczko taką ma,
Która mnie z tego ponoś zna.
    Dziewki niech będą najharniejsze,
    Kobiety zaś najoporniejsze,
    Wszystkim rozruszam serca krew,
    Gdy brzęknę w lutnię, wzniosę śpiew.
Jestem ja śpiewak dobrze znany
I łowiec szczurów bez nagany,
Którego ten sławetny gród
Uraczy pewnie chętnie w bród.

Przemyśl, 30. Października 1898.

Władysław Krzyworóg.

Jesień.

Jesień cicha, błękitna, różowa i złota,
Zwodnicze blaski rzuca na ścieżki i błota,
Rozsnuwa ponad ziemią nić białego lata,
Późnych kwiatów i krzewów łodygi oplata.
Wśród tej cudnej pogody niezmąconej ciszy,
Myśl ma drogie wspomnienia odczuwa i słyszy
I zatapia się w miłej, tajemniczej gwarze —
Którą pamięć przynosi sercu memu w darze.
I szepce coś o różach, co kwitły i więdły
I w szarej pajęczyny pasma się oprzędły;
O jagodach czerwonych, krzewach kalinowych,
O niebiosach błękitnych, o blaskach różowych.
I obwija mą duszę snów pajęcza siatka
Jak łodygi krzewiny, jak listeczki kwiatka,
I wreszcie znika... rwie się... jak ta smuga złota,
Co zwodniczy blask rzuca... na ścieżki i błota.

Marja B. Przestaszewska.

Pospólstwo zwie mię warchołem.

Pospólstwo zwie mię warchołem,
Że ojców kroczę wciąż drogą;
Że myśli moje nie mogą
Obracać się błędnem kołem;
Że pamięć ojców szanując,
Wzywam do czynu miast słowa
I wyższą w sobie moc czując,
Wołam: „Bądź braci gotowa!“
Jam warchoł, że wzywam rzeszę
Do boju z świata zgnilizną;
Jam warchoł, że z starą blizną
Na czole, jeszcze w bój spieszę;

Jam warchoł, że mi obłuda
Wstrętna, wstrętniejsza od śmierci,
Że chciałbym dokazać cuda
I rwać łotrzyków na ćwierci.
Jam warchoł, że prawdą nagą
Świecę im w ciemne ich ślépia;
Że krew mi w żyłach zakipia,
Gdzie ważą fałszywą wagą;
Jam warchoł, bo chciałbym biednym
Pomocnym być z serca, z duszy,
I silnym zamachem jednym
Położyć kres ich katuszy!
Jam warchoł, ojciec tak samo,
Co taką wskazał mi drogę,
Gdzie łatwo wywichnąć nogę,
Smiertelną puścić się bramą;
A przecież coś w głębi serca
Tak działać każe i woła,
Choć mnie obdarzy bluźnierca
Mianem warjata, warchoła.
Przed duszy mojej oczyma
Szereg przesuwa się męży,
Co idąc w bój z rodem węży,
Na śmierć szli, których już nie ma!!
To święci szermierze ducha,
To światła, prawd apostoły:
Budowa ich – to nie krucha;
Przeszłości są to warchoły!
Więc niechaj żyję warchołem
I niechaj warchołem zginę!
To me życzenie jedyne —
Promiennem wyznam to czołem.
Kiedyś idei oprawców
Tłum dziś bezduszny i dziki,
Widząc w nas ludu wybawców,
Warchołom wzniesie pomniki!

Zamarstynów, 18. Grudnia 1898.

G. Kohn.

ZŁODZIEJ.

Szkic

przez

Kazimierza Bincona.

Słońce zachodziło i ostatkiem promieni oświecało przepiękny krajobraz nadwiślański, rozległy, w oparach drżący, tajemniczy a smutny. —

Poznał się widocznie na jego pięknie artysta jakiś młody, bo siedzi przy polnej sztaludze i pospiesznie pracuje. — Kasetka z farbami stoi przed nim otwarta, paletę trzyma w lewej a prawą drżącą ręką wygniata z tubki cynober, którego mu, przy mięszaniu tonu pomarańczowego, zabrakło. Umieszał wreszcie kolor odpowiedny i nabrawszy farby na pędzel, postawił parę kleksów gorączkowo, między dwie wykończone już zupełnie brzozy — potem rzucił paletę na trawnik, a odszedłszy kilka kroków, usiadł na pieńku ściętego drzewa i z tej odległości zaczął się przypatrywać swemu dziełu i porównywać je z naturą. —

Widocznie był z siebie zadowolony — bo uśmiechnął się, a w oczach zapadłych, w śmiertelnie bladej twarzy młodzieńca, błysnęło coś, jakby nadzieja przyszłego tryumfu.

— Trzeba się jeszcze podpisać — mruknął rad z siebie, podniósł się nieco — lecz znowu usiadł, nie mogąc stanąć na nogi.

— A — do kaduka — szepnął — widocznie za długo siedziałem skurczony; wyciągnął nogi — za

chwilę spróbował powstać raz wtóry, lecz i teraz się nie udało. Pot kroplisty, zimny, wystąpił na czoło marzącego o sławie biedaka. Słabnął coraz bardziej, czarne płatki i gwiazdki jakieś mgliste, poczęły bujać mu przed oczyma. Oglądnął się trwożliwie w około, rozchylił usta, jak gdyby chciał zawołać kogo, lecz z ust zamiast słów — krew wypłynęła strumieniem obfitym.

Pasował się jeszcze z niemocą chwilę — w końcu z okrzykiem „matko“ osunął się bezwładny na ziemię. —

Słońce ginęło, zasuwając swą promienną tarczę za szare ściany horyzontu, a z światłem owem niknącem, konało życie, któremu choroba piersiowa przedwczesny sprowadziła — zachód.

II.

Byłby umarł opuszczony, na łonie ukochanej przez siebie matki przyrody, gdyby nie miał jeszcze matki rodzicielki, która przeczuciem i niepokojem dziwnym wiedziona, wybrała się wieczorem nad rzekę, wiedząc doskonale miejsce, w którem Janek od paru tygodni, niestrudzony, choć słaby jeszcze, pracował.

Starowina przyszła po to — aby zobaczyć dziecko ukochane, skąpane w krwi własnej. —

Zadrżała — poruszyła bezwładnem ciałem — szczęściem to ciało bezdusznem jeszcze nie było, dusza kochająca pozostała na ziemi, spragniona ostatniej ziemskiej rozkoszy — uścisku matczynego...

Kobieta praktyczna, nie tracąc czasu, obmyła twarz syna chustką zwilżoną u rzeki — a gdy przyszedł nieco do siebie — pospieszyła do niedalekiego gościńca, gdzie wkrótce napotkała powracającego wozem do wsi wieśniaka — zatrzymała go, a wyjaśniwszy powód, łatwo namówiła do oddania przysługi za wynagrodzeniem. —

Podjechano — chorego złożono na słomie, obok kasetkę i wilgotny obraz, a potem zwolna ruszono ku miastu.

III.

W pokoiku małym, w niezbędne zaledwie mebelki zaopatrzonym, leżał nasz artysta ciężko chory — matka staruszka przy łóżku czuwała — a gdy się syn, po dwugodzinnym ciężkim śnie przebudził, podała mu kawałek lodu, który lekarz połykać choremu polecił. — Sen pokrzepił go nieco — przyszedł do siebie chłopczyna — rozglądnął się po pracowni, a nie znalazłszy tego, czego szukał, nagle zapytał: „Gdzie obraz mamo?“ —

— W moim pokoju. — No jakże ci Jasiu, czy ci lepiej? —

— Lepiej, znacznie lepiej — odrzekł po chwili — ale niech mama będzie tak dobra i przyniesie obraz. —

— Jutro go oglądniesz — co ci po nocy jeszcze nim się zajmować? — leż cicho, bo lekarz spokój przykazał. —

— Ależ mamo, czy przypadkiem płótno nie uszkodzone? —

— Całe kochanie, sama trzymałam obraz w rękach, gdyśmy wracali. —

— To niech go mama przyniesie. —

Wiedząc, że słabego drażnić nie wolno, nie sprzeciwiała się dłużej, a wziąwszy lampę ze stołu, przyniosła obraz z drugiego pokoju — i ustawiła na sztaludze tuż przy łóżku. — Chory oglądał długo swą pracę, zamyślił się głęboko — widocznie smutne to były myśli, bo westchnął i przymknął oczy, chcąc przysłonić łzy, które mu smutek z pod powieki wycisnął. — Po chwili, pokonawszy żałość — cichym głosem zapytał, która godzina?

— Jedenasta Jasiu. —

— Staszek musi być teraz w domu - niech też mama po niego pośle.

— Ależ Jasiu — jutro rano dosyć na to będzie czasu. —

— Jutro rano? nie matusiu — sprawa jest ważna, a do jutra, kto wie co się stanie...

— Z czem? — zapytała wylękła matka.
— E nic — nasze sprawy zawodowe tego wymagają — później mama o tem się dowie. —
Staruszka nie wglądała nigdy zbytnio w sprawy syna, wierzyła mocno, że co robił — robił dobrze i to jej wystarczało i teraz, więc wstała i wyszła do sieni, by zbudzić służącą, spiącą na drugiej stronie w kuchni.
Chory patrzył za odchodzącą wielkiemi oczyma, w których się boleść i żałość naprzemian odźwierciedlały.— Kochał matkę uczuciem wdzięcznego dziecka, kochał tem bardziej, że zajęty pracą nie zwrócił serca do innej kobiety, mimo lat młodszych.
Dzisiaj, gdy pokonał po raz pierwszy techniczne trudności, gdy czuł, że obraz jego zrobi wrażenie na wystawie, gdy śnił o sławie swojej, a o majątku i dobrobycie dla matki ukochanej, dziś zimno ścinało mu krew w żyłach, a śmierć zbliżała się, groziła, obejmowała go ręką snu wiecznego.
Marzenie usłania spokojnego schronu drogiej, spracowanej matce — rozwiewało się w mgłach konieczności — Widział znowu matkę starą zgarbioną, jak chodzi z teką w ręku od domu do domu na lekcje, jak pracuje i męczy się, by nie zginąć w nędzy. —
Do dzisiaj pracowała na syna i siebie, udzielając lekcyj na fortepianie, gdy ukochany chłopak uczył się, malował i pierwsze swe prace słał na wystawę. — Nie miał protekcji a i nie namalował nic takiego dotychczas, coby mu zjednać mogło sławę wśród ogółu. — Żyć więc musiano z tego, co matka na lekcjach zarobiła i z małej pensyjki, przypadającej jej jako wdowie po urzędniku. —
Obraz jeszcze wilgotny — jeszcze pachnący farbą miał to biedne życie zmienić na wygodniejsze, ale cóż z tego! — twórca już nie miał doczekać się tej chwili — czuł, że za parę godzin umrze, a pragnął li tylko, by praca jego nie poszła na marne.

IV.

Zbudzony kolega Derski, dowiedziawszy się, że Janek zachorował niebezpiecznie — ubrał się

szybko, wielce tym wypadkiem zaniepokojony, bo chociaż nie odwzajemniał mu miłości przyjacielskiej — zawsze jednak Janka potrzebował bardzo.

Będąc bogatym z domu, miał już nieco wyrobioną sławę, jako zdolny pejzażysta, a mówiąc nawiasem, zawdzięczał swe powodzenie jedynie Jankowi, który mu jego obrazy poprawiał i ozdabiał wybornemi figurkami, bo tych niestety, wzięty malarz nie umiał malować.

Janek był jego prawą ręką i w prostocie swojej ani przypuszczał, że był wyzyskiwanym srodze przez pasożyta — kolegę. Dziwne to zaiste — zazwyczaj rodzaj ludzi — parazytów trzyma się bliźnich bogatych, gdy w tym wypadku, jak u owadów, ssał tłusty pająk — biedną muchę. —

Drzwi się otwarły i wyelegantowany, do ubogiej izdebki wkroczył Derski.

— Dobry wieczór, jak się masz Janku? — zapytał już w progu, a ukłoniwszy się wyniośle matce kolegi — podał choremu rękę i usiadł na krześle. —

Starowina, która instynktownie Derskiego nie lubiła, wysunęła się na chwilę z pokoju do kuchni po lemoniadę dla syna. — Zostali koledzy sami. —

— Przepraszam Cię Staszku, że kazałem cię budzić — zaczął Janek.

— Nie ma co przepraszać — gadaj, poco mię wołałeś, bo spać mi się chce — odparł zagadnięty.

— Stachu, rzekł cichym głosem chory — jestem słaby, bardzo słaby — nie doczekam rana. —

— Plecież głupstwa — nic ci nie będzie, poleżysz z tydzień i znowu będziesz łaził. —

— Oj nie — nie przyjacielu, wiem, że muszę umrzeć i to jeszcze tej nocy — nogi już mi ziębną — więc nie pocieszaj daremnie — a słuchaj tego, co ci powiem.

Widząc zmienioną twarz kolegi i dziwną w niej powagę — nie rzekł Derski ni słowa więcej a przygnębiony wrażeniem, jakie sprawia zawsze widok mieszkania, w którem niebawem śmierć ma zagościć — słuchał uważnie:

— Stachu, byłem ci przyjacielem, wiesz o tem dobrze — zdaje mi się, że i ty jesteś moim i zawsze

zostaniesz; bo wierzę, że miłość rodzi miłość, a ja cię kochałem, druhu luby. — Muszę was opuścić — trudno — Bóg wie — co robi — nie żal mi wiele życia — przykro mi jednak bardzo, że biedną matkę muszę opuścić, która teraz sama jedna, bez żadnej podpory, zostanie na świecie.

Patrz: — tu wskazał ręką na obraz, mój „Zachód“ skończyłem dzisiaj. Robiłem pospiesznie, gorączkowo, ale zdaje mi się, że się udał. — Nie prawda, że niebo wiernie, a refleksy na wodzie żywo oddane?

Derski skinął głową na znak potwierdzenia.

— Brzozy już oglądałeś kiedyś, ale patrz na te mgły na drugim planie — prawda, że lotne i przejżyste? — Zresztą przy świetle nie tak to dobrze wygląda, jutro za dnia lepiej to sam osądzisz.

Nie wiem dlaczego, ale mam jakieś dziwne wewnętrzne przekonanie, że to malowidło jest dobre. Chciałbym je wystawić, choćby po mojej śmierci — nie dla sławy, bo tej już nie pragnę, ale dla matki chciałbym zrobić niespodziankę — by miała jaką taką przynajmniej pociechę, gdy usłyszy od znajomych, że chwalą jej syna. A kto wie? może znajdzie się kupiec i dobrze zapłaci za widok — byłoby to dobre — matka strapiona mogłaby wypocząć jakie pół roku — mając gotówkę w zapasie. —

Jesteśmy biedni — a skoro mię braknie, gorzej będzie staruszce — dalej nie mógł mówić, bo boleść głos mu w piersi zadławiła łzami. —

Derski wzruszony nieco, chwalił mimo zwyczaju widok, opowiadał, jakie da zrobić ramy do obrazu i pocieszał Janka, że wszystko jak najlepiej załatwi. —

— Dziękuję ci, przerwał mu Janek, a podpisz mię też na obrazie, bo właśnie, gdym chciał się uwiecznić, krew mię zalała. —

O projekcie wystawienia obrazu nic a nic nie mów matce, aż wtedy, gdy zaczną dobrze o nim mówić — teraz powiemy jej, że bierzesz go do sprzedania, do żyda, bo się nie udał. —

— Dobrze — ale tak dysponujesz, jakbyś już z za grobu patrzył, a tego nie znać po tobie wcale. —

— Nie znać, bo Bóg łaskawy, zostawił mi przytomność do ostatniej chwili — wkrótce przekonasz się, żem miał słuszność. A teraz, gdy wszystko omówione, bądź tak dobry i poproś mamę tu do mnie, chcę ją mieć jak najdłużej przy sobie. — Pozdrów Józka, Wicka, Miecia, Antka, Jacka, no i wszystkich znajomych, powiedz im, że o nich pamiętałem — niech w zamian zachowają mię w swojej pamięci, a niech mi darują, jeżeli czem zawiniłem względem którego. —

Przyszła matka i usiadła na krawędzi synowskiego łóżka. Janek wyciągnął dłoń białą po rękę matczyną, a zbliżywszy ją do ust, kilkakrotnie ucałował. —

— Co ci dziecko? — zapytała czule.

— Matusiu! — mam ci coś opowiedzieć, posłuchaj!

Czy wiesz, że byłem dzisiaj u spowiedzi?

— Nic nie wiedziałam — dziwiłam się tylko, dlaczego rano wyszedłeś z domu, nie wypiwszy kawy — teraz rozumiem — i cieszę się, że zawsze jesteś religijnem dzieckiem.

To mówiąc ucałowała bledziuchne czoło chłopca. —

— Nie byłbym poszedł, ale miałem sen dziwny, śniło mi się, że byłem nad Wisłą, a w korycie zamiast wody widziałem krew, krew ta płynęła ku mnie i podmywała mi stopy, już upadałem, gdy ktoś za rękę mię pochwycił; oglądam się i widzę nieboszczyka ojca, a ten mówi do mnie: „ostrożnie chłopcze, chodź za mną.“ — Szliśmy z ojcem ręka w rękę, przez jakiś kraj pusty a dziki, nagle ujrzałem jasność wspaniałą, a z niej wyłaniały się aniołki, gnomki jakieś prześliczne, w rączkach z wieńcami laurowemi, a wszystkie płynęły ku nam w obłoku. Zbudziłem się i pierwszą myślą moją było, pojednać się z Bogiem na wypadek śmierci. Suchotnik zawsze powinien czekać śmierci i być na nią przygotowanym. Dzisiaj jestem spo-

kojny, patrzę śmiało w wieczność niezbadaną, czuję, że pożegnać się musimy. Matusiu — bądź zdrowa — nie trap się zbytnio — do zobaczenia — duszą zawsze będę przy tobie — przestał, bo łzy matczyne mówić mu nie dały.

Żegnam cię Waciu, widok weź do siebie. —

Usiadł na łóżku, ostatkiem sił wyciągnął ręce ku matce i drżącemi usty wycisnął pocałunek pożegnania na nachylonej nad sobą twarzy ukochanej kobiety.

Obraz wziął ze sobą Derski — a nieboszczyka ciało wywieziono skromnie na Rakowicki cmentarz.

V.

Na wystawie rojno i gwarno.

Damy i faceci przechadzają się, pary przeróżne mijają się, obmawiają wzajem, flirtują i kokietują; mało kto zważa na obrazy, bo orkiestra gra w pierwszej salce skoczne tańce, a lampy elektryczne po raz pierwszy w tym sezonie się żarzą. Nie dziwota, że ludek próżny, wesoły, przechadza się po dużej wystawowej sali, rad że nań patrzą, i że mu tu wygodniej niż na ulicy, bo cieplej i jaśniej. Mimo pozornej obojętności dla sztuki, słyszysz co chwilę w rozmowach, co żywo się toczą, słowa „Zachód słońca“ a jeszcze częściej „Derski“.

Szczególniej przy przejściu z małej salki, gdzie nowości nadesłane na wystawę są umieszczane, tłumno i ciasno, a kto tylko wyjdzie z natłoczonej formalnie sali, ten giestykuluje gwałtowniej i mówi głośniej i z zacięciem.

W sali owej wystawił Derski pięknie oprawiony widok ś. p. nieboszczyka Janka. — Umyślnie poczekał kilka miesięcy z wystawieniem dzieła, aż do dnia otwarcia wieczornej wystawy — pewny sukcesu. —

Rzeczywiście zrobił furrore. Dawno nie widziano krajobrazu wierniej podpatrzonego, a kto wie, czy kto kiedy lepiej namalował słońce o zachodzie?

Natura żywa, mgieł oparami owiana, świeża i rozkoszna, w chwili oczynienia artystycznego pojęta i dokonana, niewoliła nie tylko znawcę, ale każdego widza, by spojrzał na nią z lubością i za doznaną rozkosz złudzenia, uderzył czołem przed mistrzem.

Kolega przyrzeczenie dane przyjacielowi — wypełnił, dzieło wspaniałe wystawił, olśnił nim tłumy i oczarował. Małej tylko nieformalności się dopuścił — bo u spodu obrazu, po lewej stronie brzozy płaczącej, było wypisane bijącemi w oczy literami nazwisko: „Derski“.

K O N I E C.

Chory, wiersz Gustawa Kaczkowskiego *).

Wiosna — ziemia zmartwychwstaje
Po zimowem odrętwieniu,
Radują się pola, gaje
Już w rozkosznem przebudzeniu. —
Już się niwa rozśpiewana
Przyozdabia pól zielenią,
W gwar strumyków zasłuchana,
Patrzy, jak się fale pienią. —
A słoneczko tam w błękicie
Złote blaski swe rozlewa,
Och! to wiosny rajskie śnicie,
Wszystko żyje, kwitnie, śpiewa.
A ja chory — już me czoło
Śmierci senna mgła owiała.
Już nie nucić mi wesoło,
Zmartwychwstania pieśń przebrzmiała.
A ja chory — tęsknym wzrokiem,
Duszą bolem rozżaloną
Ścigam ptactwo pod obłokiem,
W dal wybiegam rozmarzoną...
Raz do celi mej samotnej
Wiosna zapukała z cicha,
Do tej wiosny bezpowrotnej
Zwiędłe serce jeszcze wzdycha. —
Przez otwarte me okienko
Niebo widzę w barwach tęczy,
Boże! czy szczęścia piosenką
Lutnia moja nie zadźwięczy?
Noc. — Już gwiazdy migotliwe
Przebiegają wieczne tory.
Serce śniło tak szczęśliwe —
To sen tylko — och! jam chory!

---

*) Podzielam się z czytelnikami mymi ciekawą a niejednemu może miłą i pożądaną wieścią: Gustaw Kaczkowski, pozbawiony wzroku samouk i stroiciel fortepianów w Jaśle, porzucił nieprzydatne dla kraju prace w języku obcym, a chcąc być zrozumianym przez rodaków, pisze już teraz w języku polskim. Oto pierwsza próbka polska jego zdolności literackich, zaofiarowana naszemu wydawnictwu. (Przyp. red.).

Śmierć ojca.

Zkąd się łez tyle nabiera, mój Panie!
Jak nawałnica nieograniczona
Płynie z mych oczu!.. Już nie jestem w stanie,
Płakać w mym smutku, ciężko przygnębiona!
Dałeś i wziąłeś, co najdroższe było,
Lecz jeśliś zesłał na mnie ten cios srogi,
Udziel mi siły, bym do końca drogi
Krzyż ten dźwigała, póki serce śniło!
Ziemski nasz rodzic zamknął już powieki,
Już nas opuścił na tej łez dolinie,
Już nas porzucił na zawsze, na wieki,
Panie! czy boleść ta kiedy przeminie?
Wziąłeś nam Boże to, co dla nas żyło!
Lecz jeśliś spuścił na nas ten grom srogi,
Daj nam wytrwanie do grobowej drogi,
W obliczu śmierci, przed ojca mogiłą!

Olimpa.

W lazurach.

W lazurach niebios gwiazdki lśnią
Srebrzyste —
W oddali dźwięki pieśni brzmią
Przeczyste —
W dumaniu rybka aż na dnie
Swawoli —
A serce w piersiach drga, rwie się
I boli.
Niedługo znikną gwiazdki w mgle
Srebrzyste —
Ucichną pieśni dźwięki te
Przeczyste

I tylko rybka aż na dnie
Swawoli —
I serce w piersiach drga, rwie się
I boli.

Marja B. Przestaszewska.

O cudzie ze stanowiska przyrodniczego,

odczyt

M. Stutza

w tłumaczeniu

Macieja Wszelaczyńskiego.

W spornych poglądach na świat, które obecnie walczą o zdobycie sobie pierwszeństwa, zajmuje cud niepoślednie miejsce. Gdy strona przeciwna widzi w nim u samego początku szermierki tylko straż przednią nieznaczną i utraconą, wygląda to niejako na podstęp wojenny; strona wszakże przychylna upatruje w cudzie tak ważny objaw, iż warto nie poskąpić trudu celem obrony onegoż. Wszak to widoczne, iż się dodatni (przedmiotowy, pozytywny) pogląd na świat nie może obejść bez cudu, bez równoczesnego samozaprzaństwa. Chociaż takowy gotów i jak wiele pominąć, chociaż zechce niejedne opisy wydarzeń wyjaśnić spółczesnemi pojęciami, nie zdoła jednak z wszelką stanowczością usunąć głównych cudów bez pewnych kupczeń i wykrętów, inaczej bowiem przedzierżgnie się w zupełnie inną istotę, aniżeli nią jest obecnie. Jeżeli zaprzeczymy i odrzucimy zasadniczy cud stworzenia, skoro nie uznamy zmartwychpowstania Chrystusa dla bezcudownego świata, to i chrześci-

janizm zejdzie na nizinę nagiej filozofii, wybornej wprawdzie, a może i najlepszej; ale nie ma w niej już miejsca do wyszukiwania zatraty, do zbawienia sprawy potępionej.

Jak chrześcijaństwo musi się trzymać i imać cudu, tak z równąż stanowczością odrzuca takowy nowoczesny pogląd na świat, i opiera się przy tem, jak mniema, wyłącznie na naukach przyrodniczych. Gdziekolwiek zdarzyło się tylko coś cudownego, a wnet przeciwnicy pragną, wywietrzyć powietrze mitologiczne i cieszą się z góry z wszelką pewnością z odniesionego zwycięztwa; teraz bowiem wyrasta takie pokolenie, które nie wierzy wcale w cuda i tem samem zapleśnia istotnie świat starożytny. Poznanie praw przyrody, które rządzą niebem i ziemią, uchwycenie nierozerwalnego a zatem tak zwanemi cudami nigdy nienaruszonego związku wszystkich zjawisk i pojawów przyrody uniemożliwiają według nich dotychczasowe poglądy świata chrześcijańskiego na chrześcijaństwo i onegoż założyciela. A pod żadnym warunkiem nie można się wyrzec nowoczesnego na świat poglądu.

W obec takiego stanu rzeczy warto — sądzę — poświęcić chwil kilka poważnemu rozmyślaniu nad zagadnieniem, dotyczącem cudu. Skoro niewątpliwe wyniki badań przyrody nie zgadzają się z cudami, to czyliż niemożliwym istotnie wszelki cud według naukowego objęcia i poglądu na rozwój przyrody? Owoż zagadnienie, które radzibyśmy ile możności mieć przed oczyma i rozwiązać. Mieści ono w sobie spraw wiele i ważnych. Pragnienie służenia prawdzie jest jednak najważniejszem, ono bowiem uzasadni tak obyczajowe, jak i religijne stanowisko każdej jednostki! Chociażbyśmy i jak wiele musieli poświęcić prawdzie, to nigdy nie przebierzemy miary, ona może po nas wymagać wszystkiego, skoro się wzniesie ponad wszelkie wątpliwości i uwydatni w postaci prawdy. Przy tem żywotnem zagadnieniu nie trzeba wszakże tracić z oczu prawidła, mającego zresztą wszędzie bez wyjątku pełną wagę: Im ważniejszą sprawa sporna, tem powinno być rozstrzygnienie względniej-

szem! My nie potrzebujemy tu więc dochodzić, ażali ten lub ów cud stał się istotnie. Pytamy tu raczej, ażali w ogóle cud jest możliwym i pod jakiemi warunkami jest on możliwym, w razie potakującej odpowiedzi, i przypuszczalnym. To jedynie dochodzenie dotyka nauk przyrodniczych, jeżeli ono dojdzie do wyników twierdzących, w obec więc jasno i niewątpliwie przekazanego nam zdarzenia odzyszcze swe prawa dochodzenie dziejowe i naówczas dopiero można zacząć przesłuchanie świadków.

Tak jednostki, jak i całych narodów młodość odznacza się pełnem wyobraźni pojmowaniem otaczającej ją przyrody. Im ciemniejszą i niezrozumialszą przyroda dla człowieka, tem też jest ona dlań istotą kapryśniejszą i swawolniejszą, podobnie dziecięciu, stosownie więc obchodzi on się z nią i nabiera odpowiednych na nią poglądów. W miarę, jak zaczyna się na nią zapatrywać z rozmysłem, jak wyrokuje o niej na podstawie doświadczeń, utraca ona swe cechy swawolności a przybiera znamiona prawidłowości. Gdy nauka dojrzeje według wszystkich świadectw rozumnych, ale o tyle jedynie, o ile ją pozostawimy samej sobie, bez styczności z innemi obszarami wiedzy. W organizmie rośliny i zwierzęcia szeregują się wprawdzie inaczej składowe jego ciała chemiczne, aniżeli w geologicznej skale lub w osobniku kryształu mineralogicznego; ujęte tu one jednakże niejako w modłę pewnego właściwego sobie prawa, które stanowi bardzo wprawdzie mało znaną istotę organizmu. Możnaby je nazwać słusznie i śmiało siłą żywotną. Zewnętrznym więc objawem siły żywotnej jest urzeczywistniająca się dążność, wytwarzająca z ciał nieorganicznych rośliny i zwierzęta, które następnie przekazują swą postać potomstwu, a życie ich trwa tak długo, póki ma przewagę, czyli póki nie ulegnie siła życiowa.

Trzeba uznać trzy siły: p i e r w s z ą, oblekającą w postać wątek (względnie siłę krystalizacyjną): żywność; d r u g ą, wytwarzającą z żywności pokarm; t r z e c i ą wreszcie, wyprowadzającą z pokarmu twór przyrody.

Siła żywotna jest siłą ogólną, nie przywiązaną do żadnego rodzaju lub osobnika, z zatratą rodzaju wstępuje ona i działa w innej osłonie cielesnej. — Siła życiowa jest ściśle związaną z rodzajem i osobnikiem i zużywa się przez to samo; tamta dostarcza wątku a ta rzeźbi i rozwija postać. Bardzo tu wielka nieporadność autora. Gdy siła życiowa zaniknie, ustaje wraz z nią życie, a wątki nagromadzone powracają do zakresu z pod prawa świata nieorganicznego. Ta nowa postać bytu jest bez wątpienia daleko trudniejszą dla naszego mechanicznego pojmowania rzeczy od istnienia kopaliny czyli minerału, chociaż wgłębiając się ściśle, nie znamy o wiele lepiej istotę siły krystalizacyjnej od życiowej. Skoro jednak uznamy raz to prawo, naówczas przebiegi, odbywające się w roślinie, będą dla nas zarówno prawidłowemi, koniecznemi i mechanicznie zrozumiałemi jak i te, które zachodzą w osobnikach kopalinowych czyli mineralnych lub ich wątku A gdy nam roślina stała się istotą przejściową, więc nie zechcemy również wyjąć i zwierzęcia jako zwierzę i w zupełności z pod tego prawa.

U zwierząt wyższych, szczególniej u ciepłokrwistych dostrzegamy wprawdzie objawy, naprowadzające na myśl zupełnie odrębnych warunków sposobu ich bytu; że jednak te duchowe zarysy zwierzęcia opierają się na uczuciu i poczuciu, ale powstają bezwiednie i bezrozumnie, noszą przeto w zupełności na sobie znamiona prawidłowości, konieczności i mechaniczności, mimo że się pozornie z pod tych cech wyłamują.

Niezłomna więc konieczność i wyrachowalna mechanika przemożnego prawa, działająca w jestestwie, rządzi bezwyjątkowo wszelką istnością ucieleśnioną czyli materjalną. Z pod tej dążności nie wymknie się nic, a wszystko musi kroczyć swoim torem według wiecznych, żelaznych, wielkich praw bytu. Gdybyśmy napotkali wśród rozległego obszaru materjalnego bytu chociażby jeden taki przebieg, któryby się usunął z pod tej wszechwładnej mechaniki przyrody, z pod tej niezłomnej

konieczności, któryby się odbył bez niej, po za nią i po nad nią, naówczas mielibyśmy przed sobą właściwy cud, a ktoby zdołał dokonać podobnych zjawisk, byłby niezaprzeczenie cudotwórcą. Nie to stanowi istotę cudu, że się dziwimy, że nawet doznajemy uczucia przerażenia, ale że się zdarzyło coś pozanaturalnego i nadnaturalnego, że mamy przed sobą wypadek nie napotykany zresztą w gospodarce przyrody. Gospodarka zaś a raczej przebieg przyrodzony, obejmuje w sobie nietylko wszystko, co się zawsze zdarza zwykle, ale i to, co się odbywa według praw przyrodzonych stosownie do danych istniejących warunków; przebieg przyrody czyli jej gospodarka, jest czysto matematyczno-mechanicznem wypośrodkowaniem iloczynu z przyjętych i ustanowionych raz czynników. Wszystko jest pozanaturalnem i nadprzyrodzonem, cokolwiek wydarza się w świecie materjalnym i w sposób, podpadający pod zmysły bez tej materjalnej konieczności. Przypatrzmy się z myślą badawczą wszystkim wydarzeniom, uchodzącym za wielkie lub małe cuda, i zapytajmy, z jakich właściwie powodów są one cudami, a dostrzeżemy wnet, iż się one odbyły w sposób pod zmysły wpadający, a więc w zakresie jestestw, a jednak przytem wbrew prawom świata materjalnego i po za związkiem, wymaganym przez konieczność przyrodzoną.

Określiwszy i poznawszy ujętnie czyli zrozumiale istotę cudu, możemy dopiero przystąpić do przejrzenia przyrody, ażali w niej nie znajdziemy czegoś podobnego. Ani wszakże świat gwiazdzisty, ani ziemski, ani chemja, ani fizyka nie nastręczają nam chociażby najmniejszej nadziei, byśmy gdziekolwiek odkryli lub napotkali taki przebieg, któryby uzasadniły inne powody i spowodowały inne siły, aniżeli te, które tkwią w istniejącej już materji. Skoro je raz przyjęliśmy, nie możemy bezwzględnie przypuścić, iżbyśmy wynaleźli w materji powód takiego przebiegu, któryby się usadowił po nad nią, lub po za nią. Nie łudźmy się również, iż wykryjemy w świecie roślinnym lub zwierzęcym cud

w myśl uprzedniego orzeczenia. Gdybyśmy wreszcie tą drogą stanęli u kresu przyrody i nauk przyrodniczych, musielibyśmy wyznać po prostu, że przyroda nie tylko nie zna w ogóle żadnego cudu, ale że takowy nadto w jej zakresie istnie jest nieprzypuszczalnym i niemożliwym.

Chociaż obszary wyżwspomniane obejmują w sobie po kres pewien niebo i ziemię azatem całą przyrodę, w istocie jednak nie przedstawiają one ani całej przyrody, ani też nie określają (?) najwyższego jej rozwoju. Pozostał nam jeszcze człowiek jako przedmiot, godzien rozważania. Przypatrzmy się bliżej, a znajdziemy w nim może to, czego wyszukiwaliśmy w całej zresztą przyrodzie nadaremnie! Badanie to przedstawi nam jedno o tyle większe ułatwienie, że przystępujemy do rozstrzygnienia z znacznie dokładniejszą znajomością i wewnętrznych również przejść, niżli u wszystkich innych rzeczy.

Tak w człowieku, jak i w jego postaci jest bardzo wiele względów, które go łączą nierozwiązalnie z przyrodą. Ruchy jego, organizacja i życie odbywają się według ustaw i prawideł, rządzących zresztą całą przyrodą; powstał on z prochu i musi się stać napowrót prochem; prawo konieczności ustanowione nad całą przyrodą, rządzi nim również. W mechaniczno-materjalnym jednakże nawet istnieniu uderza nas czasami coś tak odrębnego dla reszty jestestw ucieleśnionych, co tylko u człowieka napotykamy. Widzimy, jak poświęca spożycie jadła dla pewnej idei (pojęcia); z miłości bliźniego może on się wyrzec swej własności, z miłości Boga lub ojczyzny może nieść w ofierze swe życie. Swobodną wolą rozrywa on związki przyrodzone i przezwycięża niezłomną konieczność mechanicznej, wzajemnej zawisłości. I za pomocą tej woli staje on się nietylko panem rozstrzygającego wyboru, ale przedłuża swą działalność sposobem twórczym. Z minionych drgań powietrza lub z spełzłych barw wytwarza mistrz nowe twory tą drogą, że stare twory przyrody ożywia swojem tchnieniem, alboli raczej, że swoją

myśl w tych tworach ucieleśnia. Toż samo czyni i filozof, który głęboko sięgającą myślą nowe życie duchowe wywołuje, albo mąż stanu, który swemi pomysłami stwarza lepsze węzły towarzyskie i społeczne.

By wszakże poznać owo uchylenie się z pod związku przyrodzonego, nie potrzeba nam się wznosić ku temu aż do owych najwyższych świat poruszających i przekształcających tworów swobodnej woli; każdy chociażby najmniejszy objaw swobodnej woli jest zniweczeniem owej materjalnej konieczności, jest wyłomem w łańcuchu wiążących się z sobą liczb i form. A już sama nazwa „swobodna wola“ dowodzi, iż ona jest tem istotnie. A tem samem jest ona zarówno przyczyną przebiegów przyrodzonych, jak siła ciężkości, przyciąganie się ciał i t. d. Gdy się swobodna wola posłuży temiż samemi materjalnemi czynnikami co owe siły, naówczas może również wytworzyć światło, ciepło, ruch i t. d. Gdy i tak zechcą, mogą chodzić lub stać, mówić lub milczeć; tu jest moja wola ostateczną przyczyną, powodującą powyższe pojawy przyrody, któremi się wyłamują z pod koniecznego związku przebiegów przyrodzonych. Jeśli swobodna czyli wolna wola zdoła przerwać czy to wielką czy małą nowość, to tem samem działa cuda: każdy istotnie swobodny objaw woli, chociażby się on zdał i jak maluczkim, jest cudem, właściwym i istotnym cudem.

Są przyrodnicy, którzy nie przyznają ludziom wolnej woli. Wyznaję, że sobie ich zdanie tym jedynie sposobem tłumaczę, iż mechaniczno-materjalny pogląd na świat oślepia ich spostrzegawcze oko. Toć nie obawiam się, by ich twierdzenie przekonało kiedy wielu ludzi, lub by się społeczność ukształtowała według ich wyroczni. Nie będziemy wprawdzie przeczyć, że wola ludzka nie jest w wielu wypadkach wolną, jeno krępowaną; ale i o tem nie tylko każdy przeświadczony, ale nadto stwierdzono ogólnem doświadczeniem, że ją można wywołać i rozwinąć. A chociaż nie każdemu człowiekowi i nie w każdej chwili nadarza się spo-

sobność naocznego okazania pewnej wolności i swobody swej woli, przyznaje mi ją jednak na najistotniejszą własność wewnętrzne prawo sumienia i zewnętrzne społeczności, gdy w tysiącznych wypadkach robi mię za me czyny w zupełności odpowiedzialnym.

W chwili rozstrzygającej nie uznają owe prawa nigdy uniewinniających okoliczności przymusu materjalnego lub moralnego. Mimo wszystkiego pozostaje zawsze ogólna samowiedza, iż człowiek stworzonym jest jako istota swobodna i wolna, chociażby się nawet zrodził w łańcuchach. Wolno nam więc z wszelką śmiałością i pewnością siebie budować na tej wolnej woli.

Samowiedna wola wolna człowieka nie jest wcale przymiotem jego cielesnego istnienia, jest ona siłą ducha jego. Pojmowanie świata zmysłowego rozsądkiem, rozumienie nadzmysłowego rozumem, pewne i określone rozróżnienie czynności na sprawiedliwe i niesprawiedliwe, na dobre i złe, posłuch wreszcie lub nieposłuszeństwo z wolnej woli przeciwko wszystkim trzem władzom, to wszystko nie bierze wcale źródła swego z materji, nie z mięsa i krwi, jeno pochodzi z istoty niecielesnej, która się zowie w nas owem dobitnem i uosobionem ja, która się nie tylko wyróżnia najściślej od całego świata zewnętrznego, ale poczuwa się w sobie nadto wobec ciała jako coś zupełnie odeń odrębnego i wyższego. Cokolwiek zresztą i działo się z naszym duchem, to nie ulega wątpliwości jego najistotniejsze znamię, że jednostkową samowiedzę wyniósł do dostojeństwa osobistości, że stanął samoistnie wobec wszego bytu tak przyrodzonego, jak i nadzmysłowego. Że się z swej osłony cielesnej bardzo dobitnie ujawnia i jest to dowodem, iż się nie rozpływa i nie zatraca w tem ciele, z którym jest zespolonym i które uzmysłowia. Przy całej spójni, łączącej go z ciałem, znamionuje go pewna odeń niezawisłość, mocą której przebywa w takich krainach, gdzie za nim obecnie przynajmniej wyglądające ciało pod żadnym warunkiem zdążyć nie zdoła.

Duch ludzki jest jedynym, który się i naszym zmysłom ujawnia. Równocześnie możemy na szczęście tak dalece wniknąć w jego istotę wewnętrzną, ukrytą, iż na nim dostatecznie rozeznajemy, czem jest duch właściwie. Zewnętrzną swoją stronę objawia on w naszych słowach i dziełach, w sztuce i nauce, w ustawodawstwie i służbie Bożej, z wewnętrzną zaś poznajamia nas za pomocą poczucia swej osoby i myśli, wyłaniających się z niej. Jakkolwiek nasze duchowo-cielesne pojmowanie rzeczy nie wydaje się w zupełnej mierze do objęcia czystej i całej duchowości, to jednak trzymając się rzeczywistej podstawy spostrzeżeń, przychodzimy do następujących pewników:

1) Wszelki duch rozeznawalny drogą wnioskowania czyli za pomocą wynikowości, jest osobistym.

2) Przy swej cielesności poczuwa on się za coś innego, odrębnego.

3) Wolna wola nadaje mu siłę, iż może niezawiśle od wszelkiej mechaniczno-materjalnej konieczności pójść za głosem rozsądku, rozumu i sumienia, lub sprzeciwić mu się, i tem właśnie zachowaniem się może dać pod zmysły podpadający objaw, przynależący do obszaru materjalnej naturalności.

Ostatni wszakże przymiot stanowi cud istotny i prawdziwy. Duch jest więc cudotwórca, każdy bowiem istotnie wolny objaw woli jest rzeczywistym cudem, jeśli przyroda jest jego czynnikiem.

Nie ma cudu w całym świecie przyrody, nie ma tam nawet i możliwości onegoż, a wyjątek stanowi tu jedynie wolna wola ducha. Gdy mi podniesiona ręka opadnie, nie ma tu cudu, gdyż się to opuszczenie ręki odbyło w myśl praw związku przyrodzonego, w myśl prawa przyrody. Gdy podniosę rękę, dlatego, że w niej mięśnie pracują według praw dźwigni, to i tu nie ma cudu. Ale gdy się moje nerwy i ścięgna muszkularne kurczą, by rękę podnieść, dlatego, iż to wola ducha mego, naówczas widzimy działanie nadnaturalności w naturalności, widzimy wyłom, spowodowany w przyro-

dzonym, mechanicznym związku, widzimy słowem cud.

Jeżeli mówiłem dotąd, czego się spodziewam, przekonywująco, to reszta pójdzie gładko.

Gdybyśmy w zakresie wszechbytu nie zdołali wykryć i poznać innego ducha, naówczas cud pozostałby wyłączną własnością w obszarze działalności ducha ludzkiego, i nie nadawałby się do wzbudzania w nas podziwu, bądź to z powodu swej powszedniości, bądź też dla swej małoznaczności. Ale duch ludzki nie jest jedynym, ani też najpotężniejszym, jaki nam się objawia przy bacznem spostrzeganiu przyrody: wszyscy wiemy o duchu wyższym, dzielniejszym, o duchu stwórczym, o Bogu.

Samowiedza nasza, którą można zarówno poddać naukowo-przyrodniczemu badaniu jak i n. p. podziwienia godny popęd przyrodzony, który nazywamy instynktem, mówi nam bardzo wyraźnie, iż duch nasz jest z wielu miar ograniczonym, iż jest zawisłym od innego ducha; człowiek uznaje się za ducha stworzonego, podwładnego duchowi stwarzającemu. Pojęcia o doskonałości, które się głośno odzywają i żyją pełnem tentnem w naszym duchu, które się jednak wszędzie tylko połowicznie urzeczywistniają, są najlepszą wskazówką, iż istnieje ponad naszym duchem i ponad przyrodą inny duch, w którym one są rzeczywistością i do którego istoty one przynależą. Duch ludzki jest zależnym w sposób bardzo dokładnie określony. od tego doskonałego ducha, odpowiedzialnym on mu również bardzo ostro za korzystanie z własnej wolności. Uczucie błogości i zadowolenia z siebie przenika go, gdy się czuje w zgodzie z wyższym duchem; doznaje przeciwnie uczucia niezadowolenia i niepokoju, skoro się znajdzie w sprzeczności z duchem Bożym.

Ta samowiedza jednostki stała się również znamieniem rodu. Wykazują to zarówno wszystkie narody nowoczesne, jak i całe dzieje ludzkości. Na niezmierzonych obszarach i wśród bardzo długich okresów czasu ujawnia się wprawdzie ta sa-

mowiedza w tysiącznych rozmaitych postaciach, tu wzniosła i czysta jako ubóstwienie w duchu i prawdzie, indziej znów wypaczona i oszpecona do niepoznania, wszędzie jednak przedstawia się ona jako zawisłość, nieporadność, niedoskonałość wobec praducha samoistnego, wszechmocnego i doskonałego. Ktoby nie chciał wyjaśnić tej ogólnej samowiedzy za pomocą tkwiącego w niej promienia prawdy i rzeczywistości, ktoby więc rad widzieć w tem powszechnem uznaniu praducha jedynie omamienie, przyjąłby na swe barki ciężkie i nierozwiązalne zadanie, mające udowodnić, że materjalne jedynie drobiny węglami i t. d. potrafią wytworzyć niematerjalne zupełnie uczucia i wzniosłe myśli. Zadanie to pozostanie tym sposobem po wsze czasy nierozwiązalnem, łatwo tymczasem zdołamy wykazać, iż się ta powszechna samowiedza wszędzie ujawnia, mimo że się spotworzy do niepoznania tak w jednostkach, jak i w społecznościach, i to nie tyle u pokoleń ukształconych, ile u upośledzonych, nie tyle u myślących, ile u takich, które w sposób pierwotny pochłaniają całą troskę o istnieniu czyli wybycie cielesne. Gdziekolwiek się tylko ukazuje u narodów ukształconych choroba zwątpienia albo li też zupełnego zaprzeczenia Boga, i to na większe rozmiary, tam panuje zawsze współcześnie wykrętne, przewrotne wychowanie lub do szczegółów posunięta chuć użycia, która potworność przeistacza w przyrodność, i która doprowadza do zgnilizny zdrowe związki towarzyskie, jak to widzieliśmy w Grecji i Rzymie. Tem większą wartość przywiązują do tego świadectwa naszego własnego ducha i dziejów naszego rodu, o ile że człowiek jest owym tworem przyrody, którego jeszcze najlepiej znamy, również i jedynym, o którego wewnętrznej istocie coś wiemy.

Na myślącego spostrzegacza robi nadto przyroda wrażenie ogromu majestatycznego i przygniatającej a jednak zlewającej się z sobą zgodności; badający dostrzegacz widzi w niej pewną przenikającą wszystko odpowiedzialność celowi.

Co astronom czuje na widok nieba gwiaździstego lub Geibel przed wschodzącem słońcem, to było oddawna usposobieniem miłośników przyrody, a wszystko to jedno, czy się oni wznosili ponad chmury wysoko w świat lodowców, czyli też na brzegu morskim wsłuchiwali się w oddech życia ziemskiego. Wszak jest coś w świecie lepszego ponad jego bole i rozkosze.

Nie wolno nam się wszakże zatrzymywać przy owem uczuciu, chociażby nas ono i jak ujmowało i przekonywało; rozstrzygnienie tkwi tu w roztropnie rozważonem poznaniu. Ale i tu jest zgodnym istotny wgląd w rzecz, że wszystkie szczegóły są nader odpowiedne celowi i że ogół czyli całość jest uporządkowaną zgodnie i spoiście. I któráżto machinę od istniejącej dałoby się urządzić wspanialej i prawidłowiej, od owej budowy świata i jakież to widzimy urządzenie na kuli ziemskiej, które tak sprzyja rozwojowi roślin i zwierząt, jak również i działalności ludzkiej! Czyliż najbieglejszy matematyk zdoła wymyśleć przyrząd tak odpowiedny celowi, jak ludzka ręka; a czyliż oko i ucho nie są dla nas istotnie rozumnego męża nauki instrumentami optyki i akustyki, które go zawsze i ponownie podziwem napełniają, na których się bezustannie poucza a zgłębić ich nie może!

A czyliż owa zgodność miljonów najróżnorodniejszych rzeczy, przekraczająca o wiele naszą pojętność; czyliż ta dokładność i mądrość, okazująca się nawet w najmniejszym pyłku widzialnym nam zaledwie w tysiąckrotnem powiększeniu, może być istotnie igraszką przyrody lub dziełem bezwiednem materjalnej, przyrodzonej hodowli wyboru? Podobnie, jak nie wytwarzają się przypadkowo sprężyny kółka i wskazówki w zegarku, lecz je zestawił w pewną zgodną całość umysł zegarmistrza, tak samo rzecz się ma i z całym światem. Odpowiedność celowi i zgodność są zupełnie obcemi samej wyłącznie materji; cele wymagają po sobie duchowej działalności azatem ducha. Nie to jest przedmiotem zagadnienia, ażali się ten lub

ów twór mógł rozwinąć z innego drogą odmiennych, po sobie następujących pokoleń, ale to, czyli podziwienia godne twory, czyli te stworzenia, zupełną pojętnością obdarzone, mogły powstać bez rozumu i pojętności. Radbym widzieć, które z obu przypuszczeń ukaże się prawdziwszem wobec bezstronnego, nieuprzedzonego badania i roztrząsania.

Ale chociażbyśmy i pominęli myślącego stwórcę świata przy tej pełnej zgodności w odpowiedności celowi, to nie mogą tak samo postąpić sobie dzieje stworzenia, o ile je dotąd nauka wypośrodkowała. Niech mi tu wolno będzie skreślić w kilku krótkich zarysach przyrodnicze dzieje stworzenia. Warstwy w ziemi poukładane jedna na drugiej, są pomnikami, z których geolog odczytuje dzieje rozwoju ziemi. A w tych badaniach zagłębimy się aż ku początkom, znajdziemy zawsze materję. Zkąd ona pochodzi, tego nie mówią nam pomniki. Długi czas były na ziemi tylko skały i wody, ląd stały i morza, ale wszystko puste, niezamieszkałe. Nie wiemy, jak długo trwał ten stan. Nagle powstały rośliny na ziemi, najpierwej w morzu, później na stałym lądzie. Zkąd się one wzięły, nic nam i o tem nie mówi. Niektórzy przyrodnicy mniemali, iż je materja z siebie wytworzyła, przyszli inni i dowodzili, iż to przypuszczenie jest grubym przyrodniczym błędem. Znaleźli się i tacy, którzy sądzili, iż się mądrze z sprawy wywikłają, gdy powiedzą, że zarodki tych roślin zleciały na ziemię z innych światów. Zkąd się tam wszakże wzięły, na to nie odpowiedzieli. Wśród długiego geologicznego rozwoju następowały po sobie czem raz liczniejsze i lepiej uorganizowane rośliny, aż się wreszcie w okresie obecnym ukształtowały tak świetnie, iż ich bogactwo niezmierzonem, ich piękność zachwycającą, a użytek ich tak dla zwierząt jak i człowieka, jak wreszcie dla całej przyrody nie da się obliczyć. Po roślinach pojawiły się zwierzęta, najprzód niższorzędne, a następnie wyżej uorganizowane, szczególniej lądowe. Rozwój królestwa zwierząt idzie równolegle z królestwem roślinnem. Nie wiemy również i tego, zkąd przy-

szły zwierzęta. A chociaż przyrodnicy są w zgodzie w tem, iż pochodzenie zwierząt jest toż samo i roślin, to widzimy tu jedynie czcze słowa, za któremi ukrywa się niewiadomość dosyć jawnie. Gdy się dostatecznie rozwinął świat roślinny i zwierzęcy, gdy się obydwa wraz z całem życiem na ziemi dostatecznie przygotowały, pojawiła się na niej wreszcie najwyższa istota, człowiek. Z jego wystąpieniem ustał dalszy postępowy rozwój naszego planety, ale ustała noc i dzień, mróz i ciepło, posiew i zbiór, by się złożyć na przyrodzoną podstawę bezustannego pomyślnego życia na ziemi i niehamowanego rozwoju rodu ludzkiego. Ale człowiek musi dopiero wybadywać, zkąd przyszedł, i musi wypytywać wsze jestestwa, ażali widziały ojca jego.

Pojętność zawisła i złączona z duchem musiała zakreślić i dokonywać owego niezapoznawalnego zarysu rozwoju i owego widocznego zmierzania do istoty ludzkiej, jako ducha. A chociażbyśmy chcieli przyznać i jak rozległy obszar rozwojowi istot podobnych drogą odmiennego powstawania, jednak nie zdołamy przeskoczyć tymże właśnie rozwojem przedziału między bytem czyli istnością a nieistnością, między jestestwem organicznem a nieorganicznem, między nieczułą rośliną a zwierzęciem duchowo-zmysłowem, między duchem a materją; wszystko istotnie nowe może powstać jedynie drogą nowego stworzenia, a tu nie wystarcza materja, zdoła to zdziałać jedynie duch, zakreślający swój plan z przenikliwością a dokonywający go swą siłą twórczą. Tak więc i trzecim sposobem zapatrywania się na przyrodę dochodzimy również do owego twórczego ducha, skoro tylko cofniemy się do początków wszechjestestw, które się bez wyjątku z jego rąk wyłoniły. Teraz dopiero pojmujemy wspaniałą zgodność wszechświata i odpowiedność celowi, posuniętą do najdrobniejszych szczegółów, ład długiego rozwoju i pochodzenie istot, świeżo pojawiających się: wszystko to obmyśliła taż sama nieograniczona pojętność i powołała do bytu taż sama wszechwła-

dna siła twórcza. A i duch nasz znalazł w duchu stwórczym swe początki i zaspokojenie wewnętrzne. Zapatrując się z zdobytego stanowiska na wszystko, co jest, co zrozumieć mamy, wyda nam się całość tak wspaniałą a jednak tak prostą; tak wzniosłą a jednak tak pociągającą, że przygniata i przewyższa nieskończenie wszelkie usiłowania przyrodnicze, chociażby one i były możliwemi, jakiemi jednakże nie są.

Skoro już wykryliśmy początki wszelkiej istności w duchu w przyrodzie, więc winniśmy teraz zwrócić nasze usiłowania zdążające do poznania rodzaju jego duchowości, przedewszystkiem ku poznaniu ducha ludzkiego, a stosunek tego ducha do świata cielesnego winniśmy badać na stosunku, jaki zachodzi między ludzkim duchem a jego ucieleśnieniem. Nie ma tu innej drogi, gdyż nie znamy żadnego innego ducha prócz ludzkiego; musimy tu jeno mieć bezustannie na baczeniu różnicę, zachodzącą między duchem stworzonym a stwarzającym. Tu trzeba najpierwej zaniechać wszelkiej myśli nowszych szkół filozoficznych o tak zwanym duchu nieskończonym, który ma być nieosobistym, niemyślącym i niesamowiednym. Takich duchów nie ma wcale, są one jedynie urojeniami błądzącej spekulacji. Wszak duch stwórczy dlatego właśnie, że jest duchem, musi być również myślącym, samowiednym i osobistym, musi on się poczuwać w obec materji, będącej jego ucieleśnieniem, jako odrębne ja, musi mieć wreszcie wolną wolę, by urzeczywistnić wyniki swego duchowego ja. Do tegoż samego wyniku dojdziemy zresztą wnioskiem niezaprzeczenie prawdziwym, iż stwarzający nie może być mniejszym od stworzonego. A skoro duch stwarzający obdarzył ducha ludzkiego samowiedzą, pojętnością i wolną wolą, więc musi sam znać i posiadać te przymioty.

Owoż teraz dopiero wykrywamy właściwe źródło cudu, tkwiące w wolnej woli ducha stwórczego, a stoi ona o tyle wyżej od wolnej cudotwórczej woli człowieka, o ile niższem stworzenie od stwórcy. Świat materjalny, jak również własna

jak i obca cielesność jest wolnej woli człowieka w ograniczonej jedynie mierze podległą a raczej narzędziem, wyższość jego jest odnośną tylko. Wobec Stwórcy wszakże ma wszelka istność byt swój jedynie w wolnej jego woli, a zadaniem jej wyłącznem służba tej wolnej woli. Ztąd to jest stworzenie pierwszym i zasadniczym cudem. Dlatego właśnie, że się świat począł z wolnej woli Stwórcy, więc nie można powstania onegoż uzasadnić drogą przyrodniczą; wobec tego objawu wolnej bożej woli staje nauka, i urywa się wszelki przyrodniczy związek.

Z czczego, wątkowego bytu wytryska organicznie żywocący żywot, a z niego duchowozmysłowe życie. Na tem wszystkiem znów wznosi się budowa krainy ducha. Każdy z tych szczebli jest nowym objawem wolnej woli ducha Stworzyciela, każdy z nich jest nowym cudem i właśnie dlatego nieprzystępnym wszelkiej nauce i po wsze czasy, ale również jest każdy stopniem wyżej w wykonaniu planu, które zawdzięcza swoją istność cielesną światowi duchowemu. Cielesność nie jest ubocznem narzędziem woli bożej, jeno jej środkiem, wypływającym z jej własnej woli i twórczości. Ztąd to jedynym jej celem jest służba woli Stwórcy. Służyła mu ona, gdy została powołaną do bytu; służy mu póty, póki istnieje; a wykonywanie bożej woli jest wyłącznie właściwą jej działalnością. Stworzyciel rozkazuje swemu stworzeniu, cielesności i jest nad nią niemniej potężnym i samowładnym, aniżeli człowiek nad swemi myślami i wyobrażeniami, które są również jego tworem.

Tym sposobem zdawałoby się niejako, iż uprawidłowany stan prawny w przyrodzie istniejący, rozprzągł się i że stanęły na oścież otworem podwoje dla przystępu dowolności; zdałoby się również, że i nauce przyrody wycięto nerw życia, skoro można dowolnie przełamać lub swobodnie zerwać ów mechaniczno-matematyczny związek. Ale wszystko to jest pozorem jedynie. Co zwiemy u człowieka w pospolitem znaczeniu dowolnością, to nie może cechować doskonałej istoty duchowej

Stwórcy. U bezwzględnej pojętności nie istnieją zmiany poglądów, ani usposobień, dlatego również mówić tu nie można o zmianie woli. Co Stwórca raz chciał, tego chce zawsze; co raz odpowiedziało jego bezwzględnej mądrości, to nie może być nigdy mniej mądrem lub niemądrem. Wola jego, którą ucieleśnił w stworzeniu, pozostaje tąż samą niezmiennie. Z tego właśnie powodu nie wyszukiwać nam w świecie materji innego już cudu prócz i po spełnionym cudzie stworzenia. Z tej strony pojaw niezmiennej woli Stworzyciela uwydatnił się w zupełności, przeto nie może się wyłonić nowa wola, nie może się również stać nowy cud. W wątku stworzonym i właściwych mu siłach, danemi nam po wsze czasy, te pierwiastki, które stanowią nić życia i przebiegu przyrody; naszem więc zadaniem, byśmy badali ów wątek i siły, byśmy wynikom prac naszych o tyle ufali, o ile nie ma chociażby najmniejszego powodu zajścia jakichkolwiek zmian, zkądkolwiekbądź w tym mechaniczno-koniecznym przebiegu. Potąd jedynie mają ci słuszność, którzy kładą cud w krainie niemożliwości, to wszakże musimy uznać, iż bez cudu nie dojdą do stworzenia.

Od tej jednakże granicy wykażemy i wyjaśnimy ich następną niesłuszność. Gdyby Bóg chciał stworzyć jedynie świat ucieleśniony, materjalny, naówczas z onegoż istnieniem i rozwijaniem się byłaby i jego wola spełnioną; wszakże jego zamiary doszłyby do swego kresu, a wola nie uwidoczniałaby się dalej działalnością swoją. Ale Bóg chciał takiego materjalnego stworzenia, w któremby się ujawnił świat duchowy. Zmysłowość miała się stać objawicielką nadzmysłowości, cielesność miała zmysłom ducha zwiastować. W sobie miał człowiek wykryć swoją osobę, swoje ja, by się tym sposobem pouczył, jakiemi drogami zdąży od widomości do niewidomości, od próżności do treściwości, od przemijalności do wieczystości, od stworzenia do stworzyciela. Wszystko przemijające jest tylko ustosunkowaniem, wszystko niedostępne staje się wydarzeniem. Tą drogą kroczyliśmy wśród prze-

biegu rozstrząsań naszych, i na własnym przykładzie pouczyliśmy się wierzyć w świat wyższy niewidzialny. W stworzeniu ujawniło się bożownętrze ducha stworzyciela, odkąd poznaliśmy dokładnie niewidomą istotę Boga, a mianowicie jego siłę i wieczną bożość, i odkąd ją na dziełach jego badamy. Świat jest objawieniem Boga i jednak ujawnia się Bóg daleko niklej w świecie, aniżeli duch nasz w ciele. My poczuwamy się jako duchowa istność, jako pewna odrębna istota od mięsa naszego, mimo że ciało duchowi naszemu przydane, ma rozliczne własne prawa i okazuje się częstokrotnie odeń niezawisłem. Przyroda jest już zupełnie czem innem w stosunku do ducha bożego. Istnieje ona póty jedynie i według właściwego sobie sposobu, póki się tak Stwórcy podoba, wobec niego nie ma ona żadnych praw; na niej ciąży tylko wyłączny obowiązek pełnienia woli jego. Dlatego to wszystkie rzeczy możliwe u Boga, o ile tylko odpowiadają istocie Jego; nierozumność i bezmyślność może tylko znamionować zbłądzonego, strwożonego ducha. Ponieważ duch Stwórcy stwarza mocą swej woli, więc też i własne istnienie jego stoi ponad wszelką trwałość świata widzialnego, duch ten bowiem sam w sobie poczuwa się i istnieje po za wszechświatem. Dlatego, że chciał stworzyć istotę podobną sobie, stworzył ducha ludzkiego, który się w sobie poczuwa jako coś zupełnie odrębnego, lepszego, jako duchowe ja w stosunku do materjalnego świata, który jest obdarzony przymiotem najwyższym istniejącym, bo wolną, samowiedną, twórczą wolą. Obok swej własnej, bożej, wolnej woli, postawił Stwórca wolną stworzoną wolę, wyposażoną ogromem prawa stanowienia o sobie.

Tu poczyna się właściwy zakres cudu, gdzie stworzony duch korzysta z najpiękniejszego i z najdobitniejszego prawa stanowienia o sobie. Niech mi wolno będzie użyć przystępnego porównania dla tych wzniosłych rzeczy. Dzieci dane nam rodzicom jako kość z kości i krew z krwi naszej,

tem samem są najwewnętrzniejszą myślą i bytem, są one naszem sercem.

Wzrastają one, a miłość nasza rośnie wraz z niemi. Powoli stają się one samemi sobą, stanowią o sobie. I któż z nas pozostawiłby je przytem samym sobie i wyłącznemu przebiegowi przyrodzonemu a nie czuł się w obowiązku bezpośredniego porozumienia się z niemi lub wskazania im za pomocą dowodów serca i rozumu tej drogi wyboru, która im w naszem właśnie mniemaniu ma szczęście utorować! Ogołoćmy ten przykład z jego znakomitych atrybutów, niech on nam będzie mało znacznym, chorobliwym, ograniczonym, natomiast przydajmy mu wszechpotęgę najczystszej miłości, i przystosujmy go do Ojca niebieskiego, który widzi swe dzieci na drodze rozstajnej i który o nich rozstrzyga.

Wobec wolno chcącego ducha ludzkiego staje wolno chcący duch Stwórcy. Wolna wola nie ma już żadnego znaczenia wobec mechanicznej przyrody; ale na wolną wolę ducha może wpływać i działać również wolna wola ducha, która staje się cudem, skoro się posługuje światem zmysłowym. Cud zajmuje nie tylko łatwe do wyrozumienia miejsce w wychowaniu i uduchowieniu wolnego człowieka, w szczegółowych dziejach Objaśnienia i Odkupienia, ale jest on tu nawet łatwo zrozumiałą koniecznością. Tu bowiem musi stanąć wolna wola Boża wobec wolnej woli ludzkiej i musi się uciec do cudu, skoro się ma ujawnić zmysłowo, czyli skoro się ma zewnętrznie udowodnić. Że się wszelkie bezpośrednie objawienie, alboli w innym właściwym odcieniu wszelkie dzieje Odkupienia drogą cudu spełnić mogą, to pojmujemy. Nie stoimy więc zakłopotani przed cudem, jakto niektórzy mniemają, przeciwnie musimy takowego żądać stanowczo i z samowiedzą po dziejach Stworzenia, Objawienia i Odkupienia. Jak niepojętym duch Boży bez potęgi tworzenia cudów, tak również niemożebnemi dzieje Objawienia i Odkupienia bez spełnionych cudów.

W wolnej woli człowieka rozeznaliśmy małoznaczne wprawdzie pozornie, w istocie jednak bardzo ważne zaczątki cudu, są one jedynemi, które możemy schwycić w rozległym obszarze świata widzialnego; w wolnej woli ducha Stwórcy wykańcza się cud tym sposobem, iż ona owłada całym światem cielesnym, który jest jej posłusznym środkiem i narzędziem. Kres cudu znachodzimy jedynie w niezmiennej mądrości Stwórcy.

Przyroda o tyle nie może tworzyć cudów, o ile nie ma w sobie ducha; tu odbywa się działalność wolnej woli ducha wobec innej wolnej woli, toć możemy ją żądać od Stwórcy z wszelką stanowczością i prawem.

W miarę, jakbyśmy zdołali poznać prócz ducha ludzkiego i Bożego jeszcze inne istoty uduchowione, albo gdyby Bóg obdarzył pojedyńczych ludzi, czy to pośrednio czy też bezpośrednio nadzwyczajnemi potęgami, mielibyśmy nowe wzmożone źródła cudów. Pomijam wszakże wszelkie w tem zagadnieniu dociekanie, i poprzestaję na pierwszem i ostatniem ogniwie łańcucha, tam poznaliśmy siłę pierwotną, płynącą z wolnej woli Stwórcy, tu zaś przystępną nam wszystkim bezpośrednio i zrozumiale wywiedzioną siłę cudów w wolnej woli człowieka. Jedno tylko pytanie radbym pokrótce omówić: jaki stosunek zachodzi między cudem a przyrodą i jak się do niej przystosowuje.

Kilka królestw alboli obszarów składa się na rozwój świata przyrody, która ustopniowała w ten sposób jestestwa swoje, iż niższe jest wątkiem i podstawą do powstania wyższego, które tak stopniowo całość uzupełnia i tak szczegółów jak i całości zarysu najściślej dokonuje. Świat nieorganiczny jest tu podstawą ogólną cielesnego bytu, a zawdzięcza on istnienie swoje pierwszemu stwarzającemu cudowi, bożej woli: „stań się“. Odtąd ulega on wyłącznie prawom chemicznym i fizycznym bez jakiejkolwiek możności cudu.

Swiat organiczny rozwija się na nieorganicznym. Powstał on skutkiem drugiego bożego, „stań

się", drugiego cudu. Wolę bożą widzimy tu ucieleśnioną w postaci rośliny lub zwierzęcia, tkwi ona jak typ twórczy w każdem jestestwie organicznem i rozwija odtąd z zarodka niezrozumiale wprawdzie i tajemniczo, ale też i bezcudownie i naturalnie pokolenie po pokoleniu, z praojca tysiące podobnych mu istot. Typ ten zmusza wszystkie pierwiastki chemiczne i siły fizyczne do nowych połączeń i pojawów, których nie zrozumiałby świat nieorganiczny i zdałyby mu się nadprzyrodzonym cudem, gdyby tylko zdolnym był do tego. Cud trwa póty, póki włada nad organizmem tym typ, owa uosobiona wola Stworzyciela. A gdy typ zamrze, alboli gdy się dopełni stwarzająca wola, naówczas organizm rozpada się, właściwe mu połączenia ulegają rozkładowi, a pierwiastki przybierają napowrót bezcudowne właściwości chemiczne i pierwotne przymioty fizyczne. Cud organizmu nie zamierza tu wcale ulepszać praw i właściwości ciał nieorganicznych lub uzupełniać jakie braki, dziełem jego jest jedynie wyniesienie martwego stanu przyrody do ożywiającego, żywego a wreszcie duchowo uczuciowego.

Ujawnienie się ducha znamionuje ów trzeci najwyższy stopień istnienia. Następuje ono dopiero w człowieku, w którym trzecie boskie „stań się" ducha ucieleśniło. Jak uprzednio stwórcza nowość uprzednią podwalinę uszlachetnia, zagłębia i do duchowości podnosi, tak tu uzupełnia duch zarys stworzenia, rozwijając się bowiem i dojrzewając zdąża on do czystości i pełni ducha w postaci nieskalanej. Cokolwiek przynależy do ducha, jest tylko w organizmie nowem, obcem, cudownem. Ale cud, w którym wola ducha owłada przyrodę, nie jest również jej poprawcą, nie mąci on, ani nie niszczy również praw jej, rozwija je tylko w myśl planu stworzenia i uzupełnia tym sposobem całą budowę onegoż. Cudem jest wdarcie się świata duchowego w świat cielesny, pozorny zadatek zupełnego władztwa duchowego nad materją. W cudzie jest cielesność wszelka duchowi posłuszną. A gdy się stało zadosyć woli ducha, ustaje

naówczas przymus, a narzędzie onej wraca do uprzedniego nieorganicznego lub organicznego zwykłego stanu. Cud więc nie mąci i nie niszczy żadnych praw, przysparza on raczej dalszy ich rozwój, do praw cielesności przydaje on nowe prawa świata duchowego wyższego.

Co dotyczy wszystkich dziejowych cudów, stosuje się również i do przeddziejowych cudów stworzenia. I one trwają póty i mają warunek bytu, póki to odpowiada stwarzającej woli ducha. Wraz z ustaniem tej woli ustaje jej dzieło i następuje nicość. Że sobie o tem nauka nie może zrobić żadnego obrazu, jest to równie łatwem do pojęcia, jak i okoliczność, iż niemożliwem jej jest wyrachowanie mechaniczne cudu poczęcie. Jeden tylko twór stworzenia winien stanowić wyjątek w tym powrocie do nicości, jest nim mianowicie nasze własne duchowe ja. Wszystko inne zresztą, co nasze oczy widzą, nie wie nic o swoim bycie, nie zna żadnej przyszłości, nie ma żadnego pojęcia o czystości bez zmazy i przynależy przeto do znikomości, a powiedzmy raczej, iż się z niej nigdy nie wyłoniło (?) Z pośród wszystkich tworów wlał w nas jedynie Stwórca, który jest również i w swych dziełach, zupełną prawdą, samowiedzę bytu i poczucie ideału zupełnego i doskonałego życia. Człowiek jeden tylko zna obawę przed śmiercią i dlatego on tylko ma żyć; jemu to jedynie dokuczają błędy i braki cielesności, gdy więc ona wypełni wolę Stwórcy i powróci do nicości, z której ją cud wyniósł, wyjdzie duch nasz i to on jeden tylko ze wszystkich istot stworzonych, oczyszczon z błędów, z uzupełnionemi brakami w zupełny stan doskonałej duchowości, gdzie cud ustanie, natomiast cudowność kresu mieć nie będzie.

Na zgon wieszcza.

Zanikła pieśń, ucichła pieśń,
Bojowej oddźwięk wrzawy,
Pieśniarza grób pokryła pleśń,
Zgasł śpiewak wielki — prawy.
    Przebiega w dal „Zygmunta“ dźwięk,
    Nad głuche pędzi groby,
    Tysiącem ech rozbrzmiewa jęk,
    Jęk bolu, jęk żałoby.
Ach, powstań wieszczu, tęskno nam,
Zdrętwiałe zagrzej serca,
Zwątpienia lody pieśnią złam;
Nam ból się w duszę wwierca...
    W błękitnych nieb modrawą toń
    Na skrzydłach wzleć natchnienia,
    I marzeń mgłą swą otocz skroń
    I zanuć w chwilce śnienia.
Twa pieśń obudzi ze snu nas
I życia iskrę wznieci,
Twa pieśń jak słońce pełne kras,
Zbudzi nas i oświeci.

. . . .

. . . .

I jęczy Zygmuntowy dzwon
I strugą skarg wybucha:
Na najlepszego bije zgon —
A pieśń ta gorżka, głucha...

Lwów, 10. Października 1897.

Emil Menkes.

Nasze serca

(z niemieckiego Roseggera).

Harfą dźwięczną serca nasze;
Dwiema struny pieśń rozbrzmiewa:
W jednej radość pląsy wije,
W drugiej boleść łzy rozlewa.

Palce losu na niej snują
Wprawnie wiecznej pieśni dźwięki:
Dziś radosny wrzask wesela,
Jutro smętne bolu jęki...

Lwów.

Emil Menkes.

Do „Marzycielki wioskowej“ od „Lirnika Mazowieckiego*)“.

Śpiewaj, śpiewaj dzieweczko, żeby wioska cała,
Słuchając twych piosenek nocy niedospała*)...
Jako wieśniaczka śpiewaj, która o tem nie wie:
Że się słowiki w onej rozkochały śpiewie.

---

*) Miło nam, podzielić się z czytelnikami naszymi nieznanym dotąd tym wierszem Teofila Lenartowicza. Pod przydomkiem „Marzycielki wioskowej“ rozumie nasz lirnik młodą wychowankę zakładów naukowych lwowskich, pannę Ludwikę Kałłaurównę, której już pierwsze próbki poetyczne zdradziły wielką zdolność poetyczną, a która obecnie, przesiedliwszy się do Warszawy, poważne stanowisko zajmuje wśród poetek polskich. (Przyp. red.)

I że piosnkę dziewczęcia roznoszą po kraju,
Jak jeno wiosna przyjdzie, od gaju do gaju:
Słowiki, wilgi, zięby i czerwone gile.
Śpiewaj, — bo na tym świecie szczęścia aby tyle:
Że się serce wynurzy, że co wie wypowie,
W jednej serdecznej nucie, w jednem ślicznem [słowie.
Czego ta dusza pragnie? — za czem się zapędza?
Ludzie się podziwiają: „na co jej ta przędza?..“
— Na uciechę biednemu! bo życie to nędza!

. . . .

Ukochaj wioskę swoją, swój kącik ubogi;
W mieście dla ciebie dziewczę, za wysokie progi!
Lepiej ci na bosaka za zieloną witką
Patrzeć, ażeby gąski nie zalazły w żytko!
Lepiej ci w kurzej chacie siedzieć sobie w kącie,
Dobrego poszukują i w kącie znajdą cię:
A kto myśli: że z pieśni chwałę swą pozyska,
Zawiedzie go ta mara, gdy się przyjrzy z bliska.
Oj zawiedzie... więc słuchaj starego lirnika.
Śpiewaj sobie dzieweczko, jak ptaszyna dzika,
I kochaj swoich ludzi złotych marzeń prządką...
A kiedy wszyscy rzekną: poczciwe dziewczątko!
To pochwale takowej anioły przyklasną —
I w sercu będzie błogo, i na duszy jasno!...

w Maju 1891.

Do młodego słowika.

O słowiku maleńki!
Czemu rzewne piosenki
Już tak wcześnie się uczyć próbujesz?
Czemu tyle tęsknoty,
Ach, o ptaszku mój złoty,
Masz w swej piosnce, gdy z uczuć ją snujesz?
    Czemu ledwie z gniazdeczka
    Wykarmiła mateczka,
    A już sił twych próbujesz nad raniem?
    Czyż nie boisz się grzmotu,
    Że tak rwiesz się do lotu,
    Czarującem olśniewasz śpiewaniem?
O kochana ptaszyno!
Zkąd te pieśni twe płyną?
Czyż ci pełno ich w sercu stęsknionem?
Jakieś dziwne marzenie,
Jakby z piersi westchnienie,
W śpiewie leje się twym rozmarzonym.
    Kiedy wieczór nastanie,
    Lub zaświta zaranie,
    Ja cię Bogu w modlitwie poruczę,
    O słowiku nucący!
    Śpiew twój płynie tęskniący,
    Kiedyż ja się tak śpiewać nauczę?
I ja pragnę ptaszyno!
Nucić nad tą doliną,
Tęskne pieśni, bo kocham je czule;
Więc i ja popróbuję,
Może także wysnuję
Piosnkę rzewną, gdy w sercu mam bóle.
    O poeoto-słowiku!
    Twoich pieśni bez liku
    W czasie wiosny zadźwięczy ach! tyle —

I ja dumki te moje,
Na twą nutę nastroję,
I swą duszę do pieśni wysilę.
A więc mam dziś nadzieję,
Że gdy maj się zaśmieje,
My tak rzewnie zanucim oboje,
I gdy zaczniem szczęśliwie,
Świat zawoła w podziwie:
Zkąd ich pieśni tak płyną jak zdroje?
O nie pragnę ja tego,
Słuchać gwaru miejskiego,
Wolę zawsze to wiejskie ustronie,
Gdzie brzmią twoje piosenki,
O słowiku maleńki,
Tam ma dusza w dumaniach zatonie.
Pragnę czasu tak użyć,
By na imię zasłużyć
Ukraińskiej wioskowej ptaszyny,
Zawsze głosem tym dzikim
Z mym braciszkiem słowikiem
Nucić będę wśród drzew Ukrainy.
Wtedy będzie nam błogo,
Iść spokojnie tą drogą,
Gdzie jest marzeń najwięcej do pieśni.
Można wylać głąb duszy
Bez najmniejszej katuszy,
Gdy już wiosna urocza się prześni.
A tak hymny te nasze
Jako piosnki twe ptasze,
Wzlecą w ciszy wysoko do Pana;
On te przyjmie ofiary,
Ześle natchnień nam dary,
Będziem nucić Mu w wieczór i z rana.

Ludwika Kałłaurówna.

Zbudzone echa,

przez

Aleksandra Strokę.

Niezadługo zacznie się wypogadzać, trzeba będzie znowu poustawiać na oknie moje poczciwe, kochane kwiaty. A jakie szczęśliwe, jak wesoło popodnosiły główki, a taka kąpiel dawno się im już należała. Szczególnie goździki wyglądają wspaniale, a przyznam się, że to mój prawie najulubieńszy kwiat. Kocham je i one mnie kochają. Ich woń budzi mnie rano razem z świergotem wróbli, a wieczorami wywołuje cały szereg wspomnień. Rano i wieczór modlą się razem ze mną, a gdy brewiarz odłożę, zaraz zaczynają ze mną pogawędkę. Zdobiły niegdyś okna mej matki, potem ubogi pokoik studencki, a teraz rozweselają moją poczciwą plebanję. Lecz czy tu i tak nie wesoło? Niebo takie jasne, czyste, pierś wciąga świeże powiewy z gór, a serce mimowoli dziwnem uczuciem nieokreślonej radości się napełnia, na usta cisną się słowa modlitwy.

Ludzie dobrzy, i wszędzie byliby dobrzy, ale trzeba się umieć z nimi sercem podzielić, trzeba ich umieć kochać. Ja poświęciłem im wszystkie swe siły, oddałem im całą duszę, dlatego z ufnością spoglądam w przyszłość.

O, a to co? Braciszek Wawrzyniec o tej porze, w taki deszcz? Phi. phi, ale co mu się stało?

Pędzi, jakby mu kilka krzyżyków ubyło, a czerwona chustka tylko mu miga w dłoni. O, coś musiało zajść ważnego, raz po raz ociera pot z czoła i strzepuje palcami.

— Nie tędy bracie — wołam — furtka zamknięta, proszę od tyłu, przez podwórko.

Ale starowina był już przy ogrodzeniu, okalającem ogródek i zakasawszy sutannę, jak za dobrych czasów przesadził przeszkodę. Patrzałem na niego szeroko rozwartemi oczyma. Co jemu się stało?

Ledwie miałem czas drzwi uchylić, a już wpadł z impetem do pokoiku i siadł ciężko na perkalikowej kanapie.

Słowa prawie nie mógł wymówić i tylko dyszał ciężko, ocierając dużą, fularową chustką resztki pobielałych włosów, które fantastycznemi pasemkami oblepiały mu skronie.

Stałem zdziwiony, zaniepokojony, czekając aż tchu zaczerpnie, a on tymczasem wlepił wzrok w ziemię, twarz zaś rozjaśniona jowialnym uśmiechem, powlokła się chmurą. Wreszcie podniósł na mnie wzrok i rzucił nagle krótko silnym głosem:

— Konrad !.

Wstrząsnąłem się i prawie zamąciło mi się w głowie.

— Gdzie?. — spytałem cicho.

Nie odrzekł nic, tylko wskazał ręką na widniejący w dali na górze klasztor.

Podszedłem bezwiednie ku oknu i patrzałem w wskazanym kierunku. Nastała chwila milczenia. Ja bałem się pytać, przybyły nie kwapił się z objaśnieniem.

Deszcz ustał, świeży prąd powietrza wionął przez okno, przynosząc z sobą woń goździków i rezedy. Ocknąłem się z zamyślenia.

— Czy zdrów? — spytałem nieśmiało.

Wawrzyniec wzruszył ramionami.

— Bóg raczy wiedzieć, idźcie, czeka na was, ja spocznę nieco.

Uścisnąłem go silnie za rękę i pytająco spojrzałem w jego poczciwe, siwe oczy.

— Źle się ma dodał złamanym głosem — nie wiem, czy go poznacie, mówić nie chce, zresztą w Bogu nadzieja. Idźcie, już idźcie — nalegał — ja zostanę, nie chcę wam przeszkadzać.

Wziąłem w milczeniu kapelusz i laskę i skierowałem się ku wyjściu.

— A prawda, zapomniałem, oto w szafie mleko, chleb, pokrzepcie się i przybywajcie za mną.

Machnął tylko ręką, nie patrząc na mnie, ale widziałem, że łzy połykał.

— Bóg z wami.

Wyszedłem.

Chmury oderwanemi płatami przeganiały po niebie, zasłaniając co chwila jaskrawe światło słońca, silny łuk tęczy przeciął widnokrąg półkolem. Było już dobrze po południu. We wsi było cicho i pusto, droga wiodąca pod górę leżała osamotniona, błyszcząca kałużami świeżego deszczu. Zdjąłem kapelusz i szparko puściłem się pod górę. W dali szarzał na wzgórzu stary klasztor pociemniałym murem, spodem toczyła się wartko spieniona smuga wody, przebłyskując stalowym odcieniem, pędziła w dół między chaty i tu ginęła w labiryncie drzew i krzewów. Chłodny powiew wiatru przywrócił mi równowagę umysłu, jednak czułem, że serce silniej mi bije.

Konrad.... Ileż w tem jednem słowie mieści się wspomnień!

Powoli głowa schyliła się na piersi, górski krajobraz zniknął z przed oczu, nawet błotnista droga z błyszczącą w wybojach wodą deszczową gdzieś w dal pomknęła, a ja utonąłem cały w przeszłości.

Z Konradem znaliśmy się od dziecka. Sierota bez ojca i matki, przylgnął do mnie całą duszą, a że byłem starszy i poważniejszy, słuchał mnie prawie we wszystkiem. Była to natura gorąca, burzliwa, ale serce złote i dusza poetycka. Nieraz gwałtowne popędy byłyby go może za daleko uniosły,

musiałem mitygować, nieraz surowo skarcić, zżymał się wtedy i zgniewał, ale zwykle potem serdecznie uścisnął, przepraszał i musiałem przebaczyć.

Gdzież te marzenia, rojenia, przepełniające cichą izdebkę studencką, było ich tak wiele, że świat by niemi wypełnić można. Wszystkie uleciały bezpowrotnie.

Wakacje spędziliśmy albo u mojej matki, albo u jego krewniaka pana Wawrzyńca, który trzymał małą dzierżawkę, gospodarując jak mógł, i polował zawzięcie. Stary kawaler, bez rodziny, Konrada pokochał całem sercem, i zawsze do siebie zapraszał. Mnie wkrótce polubił i nieraz zacięte toczyliśmy dysputy.

Tutaj z Konradem używaliśmy wolności całą piersią. Od świtu do zmroku pola i lasy rozbrzmiewały strzałami, śmiechem i śpiewem. A Konrad miał głos śliczny, pełny jak dzwon, a słowa piosenki sam układał, czerpiąc natchnienie w obłokach, przeganiających po niebie lub rozhoworach ptaków po jarach. Chwytałem w lot słowa piosenki, wtorując głębokim basem. Zwykle siadywaliśmy wieczorami na urwisku nad rzeką, a głos klasztornego dzwonu towarzyszył nam poważnem echem.

Słońce wyzwolone z matni chmur, falą światła w twarz mi rzuciło, płosząc wspomnienia. Ocknąłem się.

W dole leżała wioska i widać było dwie smukłe topole, rosnące przed plebanją.

I smutek mnie ogarnął.

Jam cel mój osiągnął w życiu, a Konrad?.. Tak ładnie ułożyliśmy przyszłość, wstępując do seminarjum duchownego a dziś...

Zapuszczałem się w jar, w którym nieraz noc przepędziliśmy przy ognisku, ileż tym stromym ścianom powierzyliśmy myśli i pragnień.

Zdawało mi się, że lada chwila ujrzę jego smukłą postać wśród krzewów, lub z góry doleci mnie fala śpiewanej przezeń piosnki.

Trzy lata studjów teologicznych minęły, ja

na wakacje pojechałem do matki, która zapadać poczęła na zdrowiu, Konrad do wuja Wawrzyńca.

Po wakacjach wrócił jakoś dziwnie zmieniony. Prawie, że go nie poznawałem. Pobladł, sposępniał i dziwnie na wszystko zobojętniał. Pytałem, on milczał, tylko na uścisk silnym odpowiadał uściskiem. Zauważyłem, że często teraz pisywał i często odbierał listy, ale czekałem, aż sam przedemną serce otworzy.

Raz wieczorem, gdy wracaliśmy z przechadzki po parku, zatrzymał mnie.

— Zostańmy jeszcze chwilę, głowa mi płonie, a chłód wieczorny mnie uspokaja.

Usiedliśmy na ustroniu na ławeczce.

Przez chwilę panowało milczenie.

— Czy ty kochałeś kiedy? — spytał mnie nagle, patrząc w ziemię.

Spojrzałem nań zdziwiony.

— Jakto? czy posądziłbyś mnie o brak serca?

— Nie rozumiesz mnie — szepnął — czy kochałeś kiedy kobietę.

Widziałem, że szkarłat twarz mu zalewa a słowa z trudnością przeciskają się przez gardło.

— Mój drogi, czyż nam wolno myśleć o takich rzeczach?

— Posłuchaj — przerwał mi — wiem, że ładnie umiesz mówić i zgrabnie dowodzić, ale czy zastanawiałeś się kiedy nad tem, że prawa serca mogą być silniejsze nad głos rozumu i wolę?

Patrzałem zaniepokojony na jego świecące oczy i blade wargi, a gdym go ujął za rękę, była rozpalona i drżała.

— Ty cierpisz? — spytałem miękko.

Zdawało mi się, że za chwilę wybuchnie płaczem, ale opanował się i mówił dalej urywanym głosem.

— Zostaw mnie teraz samego, później wszystko ci powiem — a zdejmując z szyi szybko nieduży medaljonik z Matką Boską, dorzucił: — Ona cię ochroni od pokus... gdyby na ciebie przyszła kiedy taka chwila, pamiętaj, ona cię osłoni... ja... masz, schowaj, ja nie mogę tego nosić.. Może kiedyś

przekonasz się, że raj i piekło w jednem mieszczą się słowie, a tem słowem jest miłość.

Nagle uczułem gorący pocałunek na ustach i łzę z jego oka na twarzy, i już go nie było. Słyszałem tylko szybkie kroki po żwirze i na skręcie mignęła jeszcze jego czarna suknia.

Czekałem, nie wracał.

Niebo zaczynało się chmurzyć, wiatr zrywał się, wróciłem do seminarjum. Nie spałem całą noc; w szumie wiatru, w szmerze kropli deszczowych uderzających o szyby dosłuchać się chciałem jego kroków. Nieraz zrywałem się, bo zdawało mi się, że mię woła, otwierałem okno, lecz to było tylko złudzenie...

Konrad już więcej nie wrócił.

Z gorliwością zdwojoną rzuciłem się do pracy i tylko czasem głuche wieści o nim obijały się o moje uszy. Złe to były wiadomości; mówiono nawet, że sobie życie odebrał. Co na tem było prawdy, Bóg jeden raczy wiedzieć. Ja modliłem się za nieszczęśliwego. Brakło mi go na każdym kroku i nieraz łza bezwiednie opadła na rozłożoną księgę, a myśl leciała daleko, daleko...

Lata mijały, ja zostałem księdzem, a biedny Wawrzyniec, któremu coraz gorzej się wiodło, pożegnał swoje sumiaste wąsy, które miał zwyczaj za uszy zakładać i wstąpił jako braciszek do klasztoru.

Wchodziłem w starą, cienistą aleję, wiodącą do furty klasztornej. Wśród niczem nie zmąconej ciszy, słyszałem tylko bicia własnego serca. Lęk mię brał jakiś i niepokój, tysiączne myśli krzyżowały się jak błyskawice. Przeżegnałem się, rozpoczynając „Pod Twoją obronę“. Mój Boże, w jakim ja go stanie zastanę?

Furta była uchylona, wewnątrz pusto i cicho, szedłem krokiem nieśmiałym, jakby lękając się spłoszyć niespodziewanego gościa.

Spotkałem brata Ksawerego.

— Laudetur.

— In saecula — odpowiedział widocznie zafrasowany, ściskając silnie podaną sobie dłoń.

— Idę się modlić, bracia wszyscy w kościele a tobie czas do celi Wawrzyńca.

Wchodziłem w długie, wysokie korytarze, przepełnione właściwą sobie wonią starych murów, ozdobionych szeregiem poczerniałych malowideł. Wązkie schody prowadziły na pierwsze piątro, gdzie znajdowała się cela braciszka. Zatrzymałem się przy wysokiem, okratowanem oknie, aby opanować wzruszenie. Już tylko kilka kroków. Przez kratę widać było toczącą się wartko wodę rzeki i błękitniejące w dali wzgórza. Jakiś szelest dał się słyszeć za mną. Wzdrygnąłem się całem ciałem i obróciłem prawie ze strachem. To zeschła gałązka palmy wypadła z poza świętego obrazu. Pociemniałe oblicze Boga Rodzicy wprost na mnie zwrócone dodało mi otuchy.

— Pocieszycielko utrapionych, módl się za nami, — szepnąłem, zbliżając się do drzwi celi.

Wewnątrz grobowa cisza, tylko krew głośno pulsuje mi w skroniach.

Drzwi pod naciskiem otworzyły się bez szelestu.

Wszedłem i ujrzałem go na wązkiem łóżku, stojącem pod ścianą. Krew nową falą uderzyła mi do głowy, chciałem zawołać, lecz głosu dobyć nie mogłem.

On mnie nie widział, trzymał w drżących delikatnych rękach jakiś przedmiot i tonął w nim całą potęgą swego ognistego wzroku. Oczy te same, twarz zmieniona prawie nie do poznania śladami przebytych cierpień. Patrzałem w te drogie dla mnie rysy a wzrok począł mi mgłą zachodzić, łkanie pierś rozpierało, wreszcie wybuchnąłem głośnym płaczem.

— Konradzie!..

Padliśmy sobie w objęcia. Po chwili wyczerpany usunąłem się na stojące obok krzesło.

Nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa, mnie łzy spływały po twarzy, Konrad dostał silnych wypieków na twarzy.

— Duszno mi, otwórz okno, ja chory nie jestem... Był to ten sam dźwięczny głos, lecz

brzmiał dziwnie miękko i cicho, jakby płynął z oddali.

Otworzyłem okno, a Konrad przez chwilę z lubością wciągał świeże prądy powietrza, płynące z nad rzeki. Nagle zmarszczył brew i skierował na mnie wzrok ostry, przenikliwy, że mimowoli lęk mnie zdjął, bo zdawało mi się, że w oczach jego widzę błyski szaleństwa.

Nagłym ruchem wyciągnął do mnie rękę z przedmiotem, który przy mojem wyjściu trzymał i podając mi go, rzekł urywanym głosem:

— Patrz, oto historja mojego życia.

Była to fotografia kobiety.

Tak pięknych rysów nie zdarzyło mi się jeszcze widzieć, czar bił formalnie z tych ust rozchylonych rozkosznie, z tych ócz patrzących zalotnie i głęboko w źrenicach, których złośliwy chochlik zdawał się zapalać ogniki.

Podniosłem oczy na przyjaciela. Patrzał na mnie z wytężeniem, pytająco.

— Prawda, że... za piękna — szepnął — teraz zrozumiesz wszystko... a może i przebaczysz...

Spojrzałem nań z żalem.

— Kocham Cię, a przecież jam nie kobieta.

Po długiej chwili milczenia zaczął opowiadanie.

— Pamiętasz ten jar, tak piękny urokiem swej dzikiej natury, te zwieszające się nad nim jodły. — Uśmiechnął się smutnie. — Prawda, zapomniałem, wszak widać go przez okno, a mnie się zdawało, że to gdzieś daleko, daleko.

Podczas ostatnich wakacyj, które tu przepędziłem bez ciebie, odwiedzałem go często, bardzo często, przypomniał mi niezmącone niczem chwile. Śpiewałem w dole, a głos po złomach odbijał się echem. Tęskne to były piosnki. Brakowało mi ciebie.

Wiesz, jak pyszne były tam zachody słońca. Jar cały kąpał się w morzu purpury, ponad nim lasy zdawały się płonąć. Wtedy lubiłem improwizować.

I raz, jak zwykle śpiewałem pełną piersią, a gdym skończył, pieśń powtórzyła się, lecz jakoś

cichsza, słodsza, doskonalsza — czyżby zaklęte echo? Słuchałem oczarowany, śpiew zbliżał się...

I wtedy ujrzałem ją po raz pierwszy.

Szła brzegiem przepaści, trzymając w jednej ręce duży, pasterski kapelusz, drugą obejmowała pęk polnych kwiatów. Blask bił od całej postaci, zdającej się zstępować z ognistych promieni. Promienie zdawały się padać od niej wprost na mnie i pociągać ku niej nieprzepartą siłą. Po stromem urwisku począłem się piąć do góry. Mogłem to głową nałożyć, lecz wtedy nie myślałem o tem, i nic mi się nie stało. Rychło jednak zacząłem żałować swego pośpiechu, bo nie wiedziałem, co z sobą począć i jak ten ekscentryczny krok wytłómaczyć. Nieznajoma, która przed chwilą lekki oddech wydała, stała teraz naprzeciw mnie w całym blasku swej piękności, patrząc na mnie swemi dziwnemi oczyma, w których malował się podziw, ciekawość i zalotność.

Cóż łatwiejszego, aniżeli wśród takich okoliczności zawrzeć znajomość. Zapanowałem wprawdzie szybko nad sobą, byłem nawet spokojny i poważny, ale czułem zarazem, że grozi mi jakieś nieokreślone niebezpieczeństwo.

Julia tymczasem mówiła za nas dwoje, śmiała się i co chwila rzucała mi badawcze, długie spojrzenie, jakgdyby przeniknąć mnie chciała do głębi.

Szliśmy brzegiem jaru w stronę parku, okalającego dwór. Opowiadała mi o swoim przyjeździe, o wrażeniach, jakich tu doznała, dowiedziałem się, że zna mnie już od trzech dni, bo z ukrycia słuchała moich śpiewów. Nagle uczułem jakby dotkliwe ukłucie szpilką. Julia była zamężną. Cóż mnie to mogło obchodzić, a jednak...

Nie wiem, czy pamiętasz, że stary Zakrzewski, właściciel Ustronia miał syna. Julia była jego żoną. Obecnie bawiła w Ustroniu, bez męża...

W miarę, jak rozmowa jej błyszczała swobodą, dowcipem, jak przerzucała się w coraz to niebezpieczniejsze tematy, ja poważniałem, powtarzając sobie w myśli ustawicznie „memento!“

Jar się kończył.

— Usiądźmy chwilę, rzekła jakby zmęczonym głosem, tu tak pięknie, że żal mi formalnie odchodzić.

Usiedliśmy.

Wsparła główkę o pień drzewa i mówiła teraz zwolna i cicho, błądząc oczyma gdzieś w dali. Nagle zwróciła się do mnie.

— Pan musisz być bardzo nieszczęśliwym, kiedy dobrowolnie zrzekasz się tego pięknego świata, kryjąc się przed nim za niedostępnym pancerzem.

Spojrzałem na nią pytająco.

— Jesteś pani w błędzie, mój stan chroni mnie tylko od bolesnych nieraz rozczarowań i uczy rozróżniać prawdziwą piękność od fałszywych blasków.

— Rozczarowań — powtórzyła jak echo. — Szkoda, że nie mogę być na pana miejscu, mnie i tego nie wolno, pozostało mi tylko cierpienie... Czy pan kochałeś kiedy?

— Tak, nie tylko kochałem, ale kocham ludzi i pragnę im służyć. Tu, w tem Ustroniu osiędę i jeśli Bóg pozwoli, będę szczęśliwy. Kocham i wierzę w me cele. Spojrz pani tam w dole na te chaty, tam mój świat, moja rodzina.

— I to panu zawsze wystarczy?.

Chciałem odpowiedzieć, lecz jej dziwny wzrok zmięszał mnie i zamilkłem.

Wieczór zapadał.

— Do widzenia, do jutra; — rzekła, powstając nagle. Wyciągnęła do mnie swą drobną, białą dłoń, a mnie lęk prawie przed nią opanował. „Memento“ szeptało coś w duszy, a jednak odpowiedziałem: „do widzenia“.

Zostałem sam.

Czułem się jakiś nieswój, coś ciężyło mi na sercu, nie umiałem sobie jednak zdać dokładnie sprawy z anormalnego stanu. Wieczorny zmrok i cisza zamiast uspokajać, rozstrajały mnie.

Poszedłem nad rzekę. Chłodna kąpiel orze-

źwiła mnie trochę, a kołysząca się samotnie łódka starego Szymona zapraszała ku sobie.

Chwyciłem wiosło i rozpocząłem walkę z prądem wody. Fizyczna praca sprawiała mi wewnętrzne zadowolenie. Odbijające się w falach gwiazdy rozbijałem na tysiączne skry świateł, z wiosła zdawało się kapać roztopione srebro pomięszane ze złotem.

Nad brzegiem czerniał park nieruchomy, milczący, tajemniczy. Przywiązałem łódkę do brzegu i położyłem się na dnie. Park przykuwał moją uwagę, pociągał nieprzepartą siłą uroku. Tak przepędziłem noc. O czem ja wtedy nie marzyłem, czegom nie prześnił!..

Rano zbudził mnie chłód dotkliwy. Nad wodą jeszcze gęste mgły zwisały.

Wstrząsnął się i przerwał zmęczony. Podałem mu wina. Pił chciwie.

Jesteś zmęczonym, odpocznij — prosiłem.

Wstrząsnął przecząco głową.

— Muszę mówić, to moja spowiedź.

— Potem... potem widywaliśmy się codziennie.

Szukaliśmy się wzajemnie, a jednak łudziłem się jeszcze, okłamywałem sam siebie, odkładając wyjazd z dnia na dzień.

Czułem, że noszę w sobie nieprzyjaciela, z którym przyjdzie się stanowczo zmierzyć.

Czasami porywaliśmy się za bary i znów odskakiwali od siebie, nastawało chwilowe zawieszenie broni.

Na jej widok cichła na chwilę burza, lawę pokrywała cieńka powłoka lodu, a widziałem, że ją to drażnić zaczynało.

Po tysiąc razy zadawałem sobie pytanie: Czego ta kobieta chce odemnie i dlaczego ja lecę jak ćma w ogień, i po tysiąc razy pytanie pozostawało bez odpowiedzi.

Kiedy wyciągała mnie na szermierkę słów, prześlizgując się z zręcznością linoskoczki po najdrażliwszych kwestjach, kiedy spalić mnie chciała ogniem swoich spojrzeń i uśmiechów, podejmywa-

łem z zimną krwią rzuconą mi rękawicę, pewny, że nie ulegnę.

Ale Julia potrafiła się przeobrażać w jednej chwili, a wtedy stawała się niebezpieczną. Oczy jej wilgotniały, przysłaniały się rzęsami, a głos cichł, jak oddalająca się fala, rozbrzmiewając serdecznem echem.

... I znowu szliśmy, obrzuceni snopami czerwonego światła, a oczy nasze nie miały odwagi się spotkać.

— Usiądźmy, dziwny urok ma dla mnie to miejsce. Nieokreślonych doznaję wrażeń, patrząc w tę przepaść głęboką. Pociąga mnie i strachem zarazem przejmuje. Co tu kwiatów — ach, ja tak lubię polne kwiaty, patrz pan, nie mam dziś żadnego, zapomniałam się ustroić.

Począłem zbierać kwiaty, a ona siedziała z przymkniętemi powiekami, wsparłszy śliczną główkę o pień drzewa. Spokój i cisza ukołysały mi uczucia w piersi i czułem tylko słodką, rodzącą się rzewność. Zbliżałem się do niej powoli z drżeniem, i usiadłszy obok, podałem na prędce ułożone kwiaty.

— Dziękuję — szepnęła.

I jej ręka drżeć się zdawała, a kwiaty rozsypały się pod stopy.

— Biedne kwiaty, pomóż mi je pan pozbierać.

Schyliłem się a mgła przesłaniała mi oczy, zamiast kwiatów uchwyciłem jej rękę.

Drżałem jak w febrze i bezwiednie przytuliłem tę drobną, miękką dłoń do ust.

— Konradzie – szepnęła, pochylając główkę ku mnie.

Donośny głos dzwonu z klasztornej wieży wdarł się silną falą pomiędzy nasze twarze. Spojrzałem z przestrachem w tę stronę.

Wieże klasztorne stały poważne, jakby próżne, a dzwon rozkołysany coraz silniejszemi rozbrzmiewał tony. Zdawało mi się, że wzrokiem przebijam pociemniałe mury i widzę tłumy ludzi, kornie pochylających głowy i dymy kadzideł oka-

lające ołtarze organy brzmiały poważnie a lud śpiewał; Święty, Święty, Święty!..

Lęk mnie zdjął i chciałem paść na kolana, błagając przebaczenia.

Nagle uczułem na mej ręce aksamit jej dłoni.

Zerwałem się, odzyskawszy przytomność.

— Chciałem panią pożegnać — rzuciłem prawie szorstko — jutro jadę.

Rysy jej zaczęły się mienić gwałtownie, a z oczu padała błyskawica gniewu obrażonej kobiety. Staliśmy przez chwilę naprzeciw siebie, mierząc się spojrzeniem.

I ona śmiać się poczęła, ale ten śmiech brzmiał jakoś nieszczerze, nerwowo.

Skinęła mi głową z przesadną gracją.

— Azatem do widzenia.

Nim miałem czas się opamiętać, już znikała pośród krzewów z piosnką na ustach:

A choć nie kochasz mnie, to przecie
Gdy ja cię kocham, to się strzeż!..

Akcenty były silne, zdawały się drwić i grozić. Chciałem ją gonić, a nie mogłem. W piersi huczało od głuchej wściekłości, żal, ból, złość, miotały mną na przemiany.

. . . Nazajutrz byłem zebrany do drogi.

W powietrzu wisiała burza. Dziwna duszność przygniatała mi piersi. Wybiegłem z domu. W drodze spotkałem się z upragnioną nawałnicą. Kąpałem się z rozkoszą w potokach deszczu, a huczące dokoła grzmoty zdawały mi się najpiękniejszą muzyką.

Nad brzegiem jaru ujrzałem ją.

Stała demoniczna z rozpuszczonym włosem, błyszczącem spojrzeniem, czekała na mnie... Przestałem być panem siebie. Biegłem jak szalony, nieprzytomny, widziałem ją tylko, jedyną, ukochaną. Nim piorun mnie skarze, raz przynajmniej, raz jedyny doznam rozkoszy pocałunku.

Już, już miałem ją w mem objęciu, lecz odepchnęła mnie z nadludzką niemal siłą, tak, że padłem u stóp jej na ziemię.

Szalona kobieta.

Patrzała na mnie rozszerzonemi źrenicami.

— Kocham cię — wymówiła, dysząc tuż nad moją twarzą, a jednak cię nienawidzę!.. głos jej silniej mną wstrząsnął od huku piorunów.

Zerwałem się jak szalony, lecz ona już była daleko, i tylko ta przeklęta piosnka dolatywała mnie, przerywana dzikim śmiechem:

A choć nie kochasz mnie, to przecie
Gdy ja cię kocham, to się strzeż!..

Rozpoczęła się gonitwa.

Czułem, że do tej kobiety należę na wieki, że żadna siła oderwać mnie od niej nie zdoła.

Nagle ona upadła, a ja nie zważając na groźby niebios rzuciłem się...

. . . Potem... potem, dogoniłem ją znowu na szerokim świecie... Ha, ha, znudziła się mną prędko, a ja duszy i serca od niej oderwać nie mogłem. Ja ją tylko kochałem, a ona uważała mnie za niepotrzebną zabawkę.

Zaczęło się dla mnie życie hańby i upodlenia.

. . . Nie, ja nie mogę myśleć o tych chwilach, to zmysłów mnie pozbawia...

Po co ja żyję, wszak żyć nie mam prawa, ja nią pogardzam, a jednak spojrz... czy widziałeś coś piękniejszego, coś bardziej godnego miłości...

Gorączkowo podawał mi fotografię.

Ująłem go silnie za rękę.

— Konradzie, nie bluźnij!

W tej chwili przez otwarte okno wpłynął poważny głos dzwonu pełną falą, słychać było przytłumione dźwięki organów i błagalny śpiew: Święty, Święty, Święty!..

Konrad zbladł i drżeć począł na całem ciele. Wypuścił fotografię i twarz zakrył rękami.

Diękczynne westchnienie do Boga uleciało z mej piersi. Zdjąłem medaljonik, który mi przed laty powierzył i odjąłem mu łagodnie ręce od twarzy.

— Patrz, oto masz odpowiedź na twoje pytanie. Spojrz na te święte rysy, ileż w nich niewyczerpanej miłości... Te ślady pocałunków i łez

twej matki, które wylała, polecając cię w ostatniem tchnieniu opiece Bożej Matki, niech zamiast mnie przemówią do ciebie.

Łagodne światło odbite od krat okiennych, rozjaśniło niebiańskie rysy Bogarodzicy bladą aureolą.

— Módl się!

Konrad drżał i drżące ręce wyciągnął przed siebie.

— Kyrie elejson — zacząłem.

Odmawialiśmy litanię, a Konrad coraz goręcej odpowiadał: „módl się za nami“ Oczy mu wilgotniały, twarz wypogadzała się, pięknieała, a gdym skończył, głośnym wybuchnął płaczem i do ust medaljon przycisnął.

Po chwili cisza wielka nastała w celi.

Wieczorny zmrok zapadał.

Konrad oczy przymknął, pierś coraz wolniej falowała, oddech stawał się prawie niewidocznym.

Zdawało mi się, że rysy jego coraz większą pokrywają się bladością, oddechu już złowić nie mogłem. Stałem niemy, wsparty o kratę okna i bałem się przerwać westchnieniem uroczystej ciszy.

Łzy spływały mi po twarzy, a patrząc na medaljon, który trzymał w ręce, szeptałem w myśli: Ucieczko grzesznych! módl się za nami...

Nie miałem odwagi przemówić, aby go nie zbudzić, oddalając od siebie myśl, że może cichy anioł śmierci wycisnął na jego ustach ostatni pocałunek.

K O N I E C.

Wśród gruzów,

(wiersz napisany z powodu rozruchów antisemickich, przez Stojałowczyków wywołanych, w 50-tą rocznicę roku wyzwolenia).

Ja was żałuję, mocarze idei,
Ja was żałuję, męczennicy wiary,
Coście dzierżyli wśród burz i zawiei
Wysoko sztandar człowieczeństwa stary!
Ja was żałuję; bo cóżeście winni,
Że do tej myśli nie dorósł tłum prosty;
Że ster w swym ręku dzierżą teraz inni,
Co są narzędziem nie wiary, lecz chłosty?!
Miast bratać ludy, rozdwajają naród;
Miast szerzyć zgodę, szczepią jad zawiści;
Z miedzianem czołem sieją złego zaród
W potomków serca nowi promieniści!
„Kochać i cierpieć i czuć za miljony“ —
To hasło dawno pochowane na dnie,
Dziś, kiedy każdy miast bliźnich obrony,
Panować, mścić się chciałby samowładnie!
Kto nie jest zdrajcą, za zdrajcę uchodzi;
Kto nie krzykaczem, uważan za tchórza!
Kto ideały z powszechnej powodzi
Ocalić pragnie — temu grozi burza!
Ha! krzyczcie tylko, szalejcie, wyroki
Głoście zaguby, głoście potępienia!
Próżno wam cofnąć w nicości głęboki,
Ziejący otwór dzieło odrodzenia!
To, co ojcowie krwią i wiarą swoją
Stworzyli dumnie, stworzyli przed laty,
To dla nas synów niezdobytą zbroją,
Której nie skruszą nowe Herostraty!!

Tarnów, 21. Czerwca 1898.

G. Kohn.

Smutne oczy,

sonet.

Wciąż muszę patrzyć w smutne męczennicy oczy,
Te oczy, w których świecą rajskich złud upiory,
Świecą niby blednących gwiazd i tęcz kolory,
Gdy szklannym smutku jękiem wzrok się
[łzawy mroczy.
Patrz! straszna i ponętna w mogilnej roztoczy
Jaśnieje Meduza, a skamieniałe twory
Stoją niby grobowych pomników marmory,
Piękne jak gdyby rzewny wiosny sen proroczy.
W tych oczach wydarta dusz głębiom tajemnica,
Niema, rzewna, bezbronna psyche się przeziera,
Zda się, że morze łez w błękitnej głębi wzbiera.
Niezmiernym bolem duch mój ubezwładnion senny,
Chcę płakać — łzą Dantejską, łzą ludzkiej
[gehenny,
Bo zaświatowa w ócz tych drży smutku
[mgławica. —

Gustaw Kaczkowski.

Pragnienie.

Dzwoń, piosnko, dzwoń, już nocy toń
Burzą się nie zakłuci,
Śnij, grajku, śnij, bo wiosny dni
Prześniony czas nie wróci. —
Nie wróci, nie, choć świętą skrę
W zbolałem żywię łonie,
Choć myśli ster, do pieśni sfer
W wiosennej rwie się stronie. —
Widzisz ten cień? twych rajskich śnień
Z mogiły mara wstała,
Wyciąga dłoń i pieści skroń,
Jak gdyby mówić chciała:
„Tyś biedny tu, do wiosny snu,
Stęskniony marzycielu,
Ja czekam cię, masz tylko mię,
Pójdź marzyć przyjacielu". —
Lecz we mnie wre, burz pędem chcę
Wysączyć życia czarę,
W młodości maj, miłości raj,
Nim przyjmie grób ofiarę. —
Ja chcę się śmiać, rozkosznie drgać
W zmysłowem upojeniu,
Wszechstworzeń cud, miłości płód
Uścisnąć chcę w omdleniu. —
Śmiertelnych win, jam ziemi syn;
Lecz ziemia to macocha,
Obcy mi świat, mnie stworzeń kwiat,
Dziewczyna nie pokocha. —
O, piosnko ma, miłości łza
Gdyby cię raz zrosiła —
Jakby dusz zlew, jak Boży śpiew
Ku niebu byś strzeliła!
Śnij grajku, śnij i osusz łzy
Za wiosną bezpowrotną,
Dzwoń pieśni, dzwoń, wnet mogił toń
Pogrzebie Cię samotną. —

Gustaw Kaczkowski.

Bądźmy razem.

Aleksandrowi Boruckiemu — Zenon Młot.

Bądźmy razem mój druhu, bądźmy razem — i silnie
Myślą, sercem i dłońmi się łączmy!
Dla idei, na której cel budujem żywota,
Krwi ostatnią kropelkę wysączmy —
A zaświeci nam jutrznia, ta zbawienna – ta złota —
Ja w to wierzę, wierzę nieomylnie!

Rydwan nieszczęść, niedoli, ciągnęliśmy wciąż
[razem,
Zwątpiliśmy we wszystko – nie w siebie;
Nie żebralim pomocy u świata,
Tylko siły wytrwania tam w niebie —
Nie mieliśmy ni siostry, ni brata;
W łonie serca nie skrzepły nam głazem.

Nie zmartwieliśmy dotąd — my nieszczęścia synowie,
Źródło uczuć żywimy gorące
Oj, potrafim my jeszcze śmiać się, cierpieć i kochać,
Oj, potrafim za całe tysiące:
A w cierpieniu nie będziem, jak niemowlęta
[szlochać,
Choć nikt słowa pociechy nie powie!

Tylko razem wciąż idźmy, druhu mój ty serdeczny,
Idźmy razem przez bole i ciernie!
Niech nam uczuć nie zerwie żadna ziemska potęga
Dążmy razem wytrwale i wiernie,
A ta miłość, co serca nam sprzęga,
Kiedyś pomnik postawi nam wieczny!

Bądźmy razem, gdy światem w dzień przyszłości
[zawładnie
Bóg miłości, jedności i zgody;
Gdy rzucimy my bole i rzucimy cierpienia,
I ich pamięć, jak kamień do wody —
Bądźmy razem w ten wielki, święty dzień
[odrodzenia,
Gdy nam szczęście w udziale przypadnie! —

W wiosenną noc.

W wiosenną noc gwiazd srebrzą się mirjady,
W cienistym gaju słowika dzwoni śpiew...
Po ziemi mknie księżyca promyk blady
I niknie pośród zieleni... kwiecia — drzew...
W wiosenną noc usiądź tu w cieniu klonu,
Wpatruj się w gwiazdek iskrzących srebrny [rój.
Wsłuchaj się w tę słowika pieśń natchnioną
I marzeń uroczych różowe nitki snuj. —
W wiosenną noc odetchnij czarem woni
Czeremchy białej, uśpionych pączków róż,
Może ci słowik pieśń szczęścia wydzwoni,
O losach twoich z listeczków róży wróż.

Marja B. Przestaszewska.

BIBLIOGRAFIA.

a) Ruch kalendarski.

Jak wiadomo, to ruch kalendarski głównie w stolicy się koncentruje i pod tym względem Lwów nie na ostatniem pozostaje miejscu. Prawie każda warstwa ludności, każda gałąź wiedzy ma osobne swoje kalendarze, tak, iżby to było wprost niemożebną dla nas rzeczą, o nich wszystkich pomówić. Ograniczymy się tedy na niektórych.

I tak zajmuje tu niepoślednie miejsce „Haliczanin, kalendarz humorystyczny illustrowany“, wychodzący już 45ty rok bez przerwy w drukarni Pillera. Jest to jeden z najstarszych kalendarzy galicyjskich, pod względem wieku o mało, bo tylko o 5 lat ustępujący kalendarzowi Winiarza.

Obecny noworocznik okazał się w bardzo nadobnej szacie i w krótkim czasie doczekał się drugiego nakładu. Oprócz obfitego działu informacyjnego i orjentacyjnego, działy literacki i illustracyjny niemniej bogato zaopatrzone. Nowiną w swoim rodzaju są tu nazwy miesiąców, humorystycznemi ozdobione illustracjami. Oprócz znanych piór Rossowskiego, Kuncewicza, Nikorowicza i innych, złożyła się tu także na całość dzieła garstka młodych i mniej znanych, ale mimo to wielce obiecujących talentów.

Z rówieśnikami starszymi rywalizuje o lepsze kalendarz „Żart“. Młode, nowe, nie każdemu znane

siły rozpoczęły to wydawnictwo, młode też głównie je zasilają, choć nie brak między niemi także niejednego imienia o dobrym dźwięku. Z starszych autorów, którzy to wydawnictwo swojemi pracami zasilali, godzi się tu podnieść Bronisława Komorowskiego „Pan Sieniuta nie zginie“, oraz Franciszka Zwilkońskiego opowiadanie humorystyczne: „W górach“. Młodych i nieznanych współpracowników znalazła się także paczka. Prace ich rozmaitą mają wartość. Do arcydzieł humorystyki illustrowanej bezwarunkowo zaliczyć trzeba „Jubileuszowe wydanie dzieł Sieńkiewicza“ w niezrównanych karykaturach obrazowych, których się nigdy nie zapomni. Pajac, na okładzince kalendarza umieszczony, trochę natrętnie i krzykliwie wygląda. Czyby to się nie dało stosowniejszą illustracją zastąpić? Nowemu wydawnictwu humorystycznemu życzymy powodzenia.

Kalendarz powieściowy Bodeka na rok 1899 mimo to, że już 28mą święci rocznicę, wobec tamtych wygląda jak archaizm; papier ten sam, jakiego używano anno domini — nie wiem kiedy, a który już miałem sposobność podziwiać w wydawnictwach z przed czterdziestu lub pięćdziesięciu laty; illustracje sztywne, nieszczególne, bez życia i bez wyrazu; kilka zresztą sensacyjnych powieści, kilka dowcipów odleżałych — a kalendarz gotowy. Czy już nic nie ma poważniejszego i poważnego nawet w literaturze kalendarzowej? Tego zarzutu niestety nie mogę oszczędzić i innym, zresztą bardzo porządnym i sympatycznym wydawnictwom kalendarzowym, jak: „Haliczaninowi“, kalendarzowi „Śmigusa“ i innym, gdzie główną uwagę zwrócono na dowcip, a czasem tylko na pusty żart, a zapomniano o tem, że naród ma także ważne i poważne chwile, które w kalendarzu nie powinne być milczeniem zbyte, tem bardziej, że taki kalendarz dla niejednego niezamożnego czytelnika, a dobrego Polaka, stanowi pamiątkę na rok cały. Czyż na to dopiero nam czekać wypadnie, aż „Towarzystwo historyczne“ sprawę weźmie w ręce swoje i zdecyduje się wydawać „kalendarz histo-

ryczny“, poświęcony jeśli nie wyłącznie, to bodaj przeważnie pamiątkom narodowym, krajoznawstwu, historji ojczystej, oraz biografii tych mężów, którzy epokę stworzyli w naszem życiu umysłowem, literackiem i politycznem?

b) Książki mięszanej treści.

[Holtei und der deutsche Polenkultus, von Robert Franz Arnold. Separatabdruck aus den Forschungen zur neueren Literaturgeschichte. Weimar 1898. Druck und Verlag von Emil Felber. — Mała ósemka. Stronica 467—491.]

Jak tytuł i układ wskazują, jest to odbitka z większego zbiorowego dzieła, zajmującego się badaniami nad literaturą powszechną, odnoszącą się do wszystkich narodów. Autor, który już raz w literaturze niemieckiej z bardzo cenną pracą o Kościuszce wystąpił, drugie swoje studjum poświęca osobie niemieckiego poety Holteia i polskiej sprawie, o ile ona w przychylnym duchu przez Niemców została poruszoną.

Na pierwszy plan wysunął autor postać Holteia, tego entuzjastycznego zwolennika sprawy polskiej, który jej nieśmiertelny pomnik wystawił w swojem melodramie, zatytułowanem: „Stary wódz“. Dziwnym zbiegiem okoliczności pieśń Holteia: „Mów, czy pamiętasz, chrobry mój Łagienko?“ wzięta ze „Starego wodza“, stała się popularną i dla Niemców i dla Polaków, zjednała autorowi cześć Polski, a prześladowania rządu pruskiego i zdobyła mu rozgłos i sławę jeszcze po śmierci.

Autor ugrupował około osoby Holteia zręcznie mniejszą i mniej znaczną grupę przyjaciół Polski i przytacza źródła, z których czerpał, z drobiazgową dokładnością.

[Leo Zamara. Dramatische Dichtungen. Erstes Bändchen. Die Jungfrau von Jerusalem (Sulamith). Drama in zwei Theilen. Anhang: Gedichte. Berlin, 1897. Druk i nakład J. Harrwitza następców. Mała ósemka. Stronic numerowanych 179. Cena 3 marki.

Rzecz na samym wstępie zaopatrzona portretem autora.]

Niniejszy zbiorek poematów dramatycznych i poezyj tem większe powinien u nas budzić zajęcie, ponieważ autor w Galicji urodzony, zbiegiem okoliczności zmuszony został do wyemigrowania z kraju, dokąd teraz, wzbogacony najróżnorodniejszemi doświadczeniami – może już na stałe — powrócił, aby osiąść w Delatynie, gdzie się praktyką lekarską zajmuje.

„Sulamith, czyli dziewica jerozolimska“ jest to, o ile mi wiadomo, pierwsza próbka dramatyczna, którą autor drukiem ogłosił, a jeśli gdzie, to tu usprawiedliwione łacińskie przysłowie: ex ungue leonem. Widzimy też dużo siły i ognia młodzieńczego w tym dramacie, wziętym z dziejów biblijnych, a opiewającym w pierwszej części zanik państwa Dawidowego, podkopanego niezadowoleniem ujarzmionych, w drugiej zaś wschód nowej gwiazdy monarchizmu: króla Salamona. Wyobraźnia i stylizacja autora ognista, język zapożyczony u wschodnich autorów; rażą jednak często gęsto alluzje i zwroty obce, nie mogące znaleźć zastosowania należytego w tej szczególnie pracy. W gorącej wyobraźni autora mieszają się dwa światy, świat zapadającego się skutkiem nadużyć własnych judaizmu i świat nowy, nieznany jeszcze. Ale niezgodnie z duchem czasu przemawiają jego bohaterowie i bohaterki nieraz językiem tak nowożytnym, iż raczej przypominać nam się zdawają sofistów i dialektików najnowszego chowu, aniżeli rówieśników Dawida i Salamona.

Jako próbkę stylu Zamary przytaczam proroctwo Cadoka, umieszczone na końcu pierwszej części, a które w tłumaczeniu mojem naśladowałem o ile można, nie kusząc się o dosłowny przekład:

„Ja widzę, widzę... to krwawemi stopy
Burza nadciąga, kosząc lud jak snopy.
W jej ustach klątwa... mord w świątyni
Bożej !...
Nad Jeruzalem gniew się Pański sroży!

Biada! W proch zmiażdżon Salem, cud ten cudów!
Lud mój się staje łupem obcych ludów!
Lud męczenników, lud mój, lud kapłański,
Wśród fali zawieruszył się pogańskiej,
I dźwiękiem próżnym, co tę czerń weseli,
Stał się głos wodzów i nauczycieli!
Lewiatan drży, morza się burzą fale,
Czart nas oskarza i wywodzi żale!
Biada, o biada! gniew się niebios szerzy,
Półksiężyc wzniesion na Dawida wieży!"

Umiera i ginie Dawid jako przedstawiciel dawniejszego systemu rządzenia — nowy system, ale nie lepszy od starego przedstawia się w drugiej części dramatu, w rządach jego następcy i syna Salamona, zwanego „mędrcem". Waśń rodzinna, niezgoda zakłóca pokój państwa, w którem wre bratobójcza walka, bo oto starszy brat Adonija występuje przeciwko młodszemu bratu Salamonowi. Barwnem piórem przedstawia nam autor walki stronnictw i poświęcenie pasterki Sulamith, uwielbianej i podziwianej dla swojej piękności przez wszystkich i właśnie z tego powodu nieszczęśliwej i ginącej samotnie.

Przedmiot dramatu autorowi samemu tak wydawał się niejasnym i nie przemawiającym wprost do duszy ludu, że widział się zniewolonym objaśnić go w słowie końcowem, ale bodaj czy to słowo końcowe będzie zrozumiałe i jasne dla tłumów, którym rzecz objaśnić pragnie?

Jako dodatek do dzieła umieścił autor rozmaite bądźto liryczne, bądź epiczne wiersze, po części już wydrukowane w poprzednich wydawnictwach. Zapowiedziany jest drukiem i nakładem tej samej księgarni drugi tomik utworów dramatycznych Zamary.

[Przemówienie dra Wilhelma Holzera, wygłoszone 2. Grudnia 1898, w dzień 50 letniego jubileuszu panowania cesarza Franciszka Józefa I. w świątyni izraelickiej przy ulicy Szajnochy we Lwowie. Lwów, 1898. Nakładem autora, a czcion-

kami drukarni „Dziennika Polskiego.“ 12-stka, 14 stron.]

Znany filantrop Dr. Holzer, w przemówieniu tem streszcza w kilku serdecznych i gorących słowach pracowitość, dobroczynność i tendencję pojednawczą Monarchy, objawiającą się we wszystkich jego dziełach. Praca ta, bardzo przyzwoicie wydana, i pod tym względem dobre czyni wrażenie, iż szanowny autor, o którym wiemy, że nie jest szermierzem na wiatraki, ani szerzycielem frazesów pustych, ale że sam czynnie i bezinteresownie wszędzie występuje na polu dobroczynności publicznej, w przemówieniu swojem wyraźnie do solidarności z Polską się przyznaje, do której otwarcie się przyznawać nie każdy z naszych ludzi czuje się dość odważnym.

[1863—1898. Album współczesnych poetów polskich, wydane przez księgarnię polską Pordesa-Połonieckiego za pomocą Jana Kasprowicza. 16ka, 2 tomiki objętości 1076 stron. Czcionkami drukarni narodowej w Krakowie. Cena 3 zł.]

Jest to dzieło, które mogłoby sobie pretensje rościć do uznania publiczności tak ze względu na zewnętrzne, jak i wewnętrzne zalety. Do pierwszych zaliczamy formę zgrabną i miłą dla oka przy unikaniu o ile można błędów drukarskich, do drugich należy sam układ, który stanowi już zasługę redaktora Kasprowicza. Umieszczono w tym albumie poetycznym prace 47miu współczesnych autorów polskich, a na samem czele widnieje portret Asnyka.

Czytelnik znajdzie w tym zbiorze mnóstwo pięknych i podniosłych rzeczy, że z pomiędzy wielu tylko przytaczamy: „Sulamith“ Włodzimierza Zagórskiego, „Po czasufali“ wiersz mało dotąd znanego autora prowincjonalnego, Bartusówny nigdy nie starzejącą się „Aktorkę“, Bolesława Czerwieńskiego „Kwiaty Heliogabala“ albo na modłę pieśni ludowej napisaną balladę: „Kto silniejszy?“ Rodoć nęci niewinnym, zanadto nawet niewinnym, za mało w jad sarkazmu wprawionym humorem. Wilhelm Feldman, literacki ongiś wychowaniec „Ro-

czników Samborskich", umieścił tu niektóre drobne, bezpretensjonalne wiersze, którebym „pyłkami" nazwał, ale jako pyłki nie pozbawione przecież literackiej i artystycznej wartości. Bardzo dobre i pełne alluzyj złośliwych i udatnych są Konarskiego „Kobiety w poezji". Ze starszej generacji Asnyk, Sowiński, Kraushaar, Aureli Urbański zajmują należne im miejsca; z młodszych widzimy prace redaktora, oraz jego rówieśników, a wstępy biograficzne przyczyniają się bardzo do podnoszenia wartości dzieła.

To są jego dodatnie strony, którym jednak przeciwstawiać musimy także ujemne. Jest spis autorów, a nie ma spisu rzeczy. To gruby błąd; jeśli nawet czytelnik znajdzie rzecz godniejszą uwagi od innych — czy ją zatrzyma w pamięci tam, gdzie spisu rzeczy nie ma, albo czy się na każdym kroku będzie oglądał na recenzenta, który mu powie: „To czytaj, a tamto wolno ci przeoczyć". Pod innym względem razi także brak systematyczności w tym zbiorze. Z starszych figuruje tu Kraushaar, a nie figuruje Merzbach, daleko głośniejszy, zasłużeńszy i zdolniejszy od Kraushaara poeta. Jest Szczęsna, a nie ma Deotymy i Duchińskiej, co nietylko za gruby błąd, ale i za zniewagę, wyrządzoną nowoczesnej literaturze poetycznej uważać musimy. Z młodszych brak w tym zbiorze niejednego i niejednej, że tu tylko przytoczę z mężczyzn: Bolesława Andruszewicza, Gustawa Kaczkowskiego, Klemensa Kołakowskiego, Emila Menkesa, Kordjana Sławitę, Henryka Zbierzchowskiego; z kobiet: Janinę Antonowiczównę, Andę Czemeryńską, Izę, Stefanię Kossowską, Olgę Lissównę.

Może przy drugiej edycji tak redaktor, jak i wydawca wystarają się o usunięcie tych rażących błędów zasadniczych i pójdą śladem niemieckich wydawców, garnących przy podobnych wydawnictwach z całą uprzejmością, na którą się tylko zdobyć można, pod skrzydła swoje nietylko starych, ale także całe szeregi młodych, nieznanych nikomu autorów.

[Kordjan Sławita. „Srebrne Przędze“, poezje. Tarnów, 1898. Drukiem i nakładem Józefa Pisza. 12stka. 35 stronic numerowanych.]

Jak na prowincję, to ta książeczka bardzo elegancko wydana, mieści w sobie prace po większej części liryczne jednego z naszych młodszych, z naszych epigonów. Znany on nam, znany nawet osobiście i dlatego może czytelnicy nie posądzą mnie o stronniczość, jeśli otwarcie moje zdanie wypowiem o rodzaju poezji Sławity, a zdanie to będzie nieco odmienne od zdania, które „Przegląd lwowski“ wypowiedział.

Kordjan Sławita należy do młodszej generacji pisarzy i poetów polskich; jest to jak stare przysłowie mówi: młode wino, które się jeszcze nie ostało. Nie pozbawiony jednak ten autor wszelkich zdolności literackich, czego najlepszym dowodem forma wiersza, bądź co bądź gładka i doskonała, pominąwszy i ten szczegół, że Sławita już w kilku pismach polskich figurował, któreby przecież niepoprawnemu bazgraczowi nie pozwoliły, rozwielmożnić się w ich łamach.

Ale jest on jak wszyscy nasi młodzi na razie zanadto subjektywny, zanadto zajęty własnemi bolami i cierpieniami, i myśli zapewne, że cały świat na równi z cierpiącym tylko jego cierpieniem zajmować się powinien; z drugiej strony wpada znowu miejscami w doktrynerski ton dydaktyki, co przystoi starszemu, a nie tak młodemu autorowi i obniża cokolwiek wartość jego poezyj.

Jeśli n. p. taki Wincenty Pol o sobie pisze, że „ani z soli, ani z roli, ale z tego, co go boli“, swoje pisarskie początki wywiódł, to wolno mu bezprzecznie tak pisać, bo to Wincenty Pol, nieśmiertelny autor „Pieśni o ziemi naszej“, „Mohorta“, „Wita Stwosza“ i tylu innych czarujących poezyj.

I Kordjanowi Sławicie wolno się użalać na upośledzenie losu, ale niech tego nie czyni słowami takiemi, jak we wierszu: „Jam nie ze stali“:

„Jam nie ze stali, jam nie z kamienia,
Jam nie ze słowa, co świat odmienia,
Anim z nieb złotych, anim z gwiazd jasnych,
Alem z łez cichych i bolów własnych“ —
bo to nam zanadto przypomina Pola, ale w gorszej edycji.

Książeczka poświęcona pamięci Mickiewicza, a sam wstępny wiersz, poświęcony cieniom wieszcza, zanadto doktrynerski i za mało zawiera w sobie treści.

Natomiast niezły jest wiersz „Litość i sprawiedliwość“, doskonała „Prośba“, w której autor bardzo szczęśliwie ton ludowej dumki naśladował, dobry także wiersz: „Disce“, ale cóż, kiedy ten znowu w rażącej sprzeczności z poprzedzającym „Ty mnie nie pytaj!“ zostaje. Wiersz taki, jak, „Anima lacrymans“ chyba jedną formą się odznacza, treść ze wszystkiem zmylona.

A jednak — niech się czytelnikowi nie zdaje, że Kordjan Sławita, jeśli miejscami i to nie bardzo szczęśliwie naśladuje większych, albo się gubi w dociekaniach bezowocnych i w żalach jednostajnych, słabych i nie poruszających nas do współczucia — że już pozbawiony ze wszystkiem potęgi twórczej, którą nazywamy poezją.

Na dowód przeciwny wystarcza choćby tylko jedno jego „Święto umarłych“, w którem tak barwnie, tak poetycznie, a przecież z taką siłą oryginalną opisuje wrażenia, jakie w nim wywołało to święto, ten dzień zaduszny!

„Ileż łez spływa na kamień grobowy,
Ileż tu smutku, ile żalu – ile...“

Tu autor własne określa wrażenia, odmalowuje swoje i bliźnich bole, a jaka w nim potęga słowa i myśli! Podsłuchajmy jego wrażenia:

„Usiadł dziad siwy nad grobem swych dzieci,
Serce tęsknotę maluje mu w oku —
I myśl spłoszona w wspomnienia kraj leci,
Kiedy miał serca najbliższe u boku,
Kiedy na ustach kwitł uśmiech młodzieńca...
Przyszedł i usiadł nad grobem kochanych,
Lampkę płonącą ustawił wśród wieńca

I łza mu spadła po licach zoranych.
Pośród tych krzyżów pochował serc tyle,
Kiedyż i jego ułożą w mogile?...
„Tam znów przy grobie wśród świateł [powodzi
Klęczy niewiasta okryta żałobą.
Było ich dwoje: weseli i młodzi,
Szczęśliwie żyli niegdyś razem z sobą —
A dziś?... jak miłość tego świata marną,
Co serce szczęścia uwodzi marzeniem
On spoczął cicho pod mogiłą czarną,
Ona nad grobem pozostała cieniem.
„Gwarno dokoła, lecz w jej sercu głusza,
Za nic jej wieńce, światła — ludzie za nic...
Czemu odeszła ją kochana dusza —
Czemu, ach czemu boleść nie zna granic!
Czemu... nie pytaj, gdy w sercu żałoby
I gdy kochanych nie masz jeszcze w grobie,
Dalekie, obce dla ciebie te groby,
Próżnią bez echa — wydają się tobie".

Ale nie wszyscy umarli mają krewnych i przyjaciół, którzyby w dzień zaduszny o nich pamiętali. Autor widocznie miał na myśli świat nędzarzy, świat biedaków, którzy umarli i pochowani zostali bez asystencji duchownych i tłumu, bez asystencji niczyjej. Smutne to grono, a może wśród nich niejeden był, który sobie na lepszy los, aniżeli zapomnienie ogółu zasłużył! Autor pisze o tych zapomnianych:

„Tylko tam w dali pod cmentarnym murem
Ciche, posępne krzyżami mogiły
Długim się ciągną nieprzerwanym sznurem;
Tych żadne dłonie dziś nie ustroiły.
Ciemno tam, smutno, nie ma lamp, ni [kwiatów
I anioł grobów rozwiał głuchą ciszę,
A w onej ciszy z zagrobowych światów
Jakaś się skarga tajemna kołysze —
I wiatr jesienny żółtym liściem miota,
Kiedy na innych powódź świateł złota".

Uważamy ten poemacik za najlepszy z pomiędzy wszystkich, w zbiorku Kordjana Sławity

umieszczonych; on jeden wystarcza na dowód, że autor jest poetą, poetą z bożej łaski i że oryginalnie tworzyć umie!

Natomiast nie potęgują tego wrażenia żadną miarą wiersze, jak: „Na zgon Asnyka“ i „Cieniom Kornela Ujejskiego“. Są to bowiem całą formą i układem poezje okolicznościowe, wprawdzie nieco lepsze od innych, ale nie potężne pienia. Dobrze choć, że sam autor się poczuwa do tego braku sił, bo mówi:

„My dziś za słabi, szermierze lutni,
By pieśnią wrogów pokonać moc.“

Dobrze, że jest na tyle otwartym i przyznaje swoją niemoc; ale, by poruszyć tłumy, porwać je i pociągnąć za sobą, na to trzeba poetów nie kwilących, ale mocnych, nie urojone kreślących wrażenia i żale, ale piszących na mocy przebytych cierpień i doświadczeń życia, wreszcie nie poetów, którzy piszą:

„Więc, że nie żyję dla nieba i słońca —
Płaczę bez końca —“

bo żyje się także dla ziemi ojczystej, żyje się dla rodaków i spełnienia obowiązków życia — ale takich, co potężnym wołają głosem:

„Pieśni święta! pieśni droga!
Serca ty przegłuszaj jęki,
Prowadź lud do walk na wroga
Jak Tyrteja mężne dźwięki,
Hydrę zniszcz zwątpienia krwawą
Twoim głosem, ojców sławą,
Niech się sen raz ucieleśni:
„Tyle życia, ile w pieśni!“

[Sześć koni w karecie i źrebiec drewniany. Napisał Teofil Czykiel. Mała ósemka. Stron 16. Nakładem autora a drukiem J. A. Pelara w Rzeszowie, 1898.]

Konia z rzędem temu, który treść i cel tych „sześciu koni“ należycie pojmie i zrozumie! Autor, były nauczyciel, któremu się w głowie pomięszało, występuje w swojej broszurce z całym arsenałem idjotyzmów jako nauczyciel moralności wobec przyszłych pokoleń, na którą to zachciankę mamy

tylko jedną odpowiedź: „Od powietrza, ognia, wody i — warjatów chroń nas Panie Boże!“ Rzeczywiście szkoda słów na rozbiór krytyczny tej mizeroty literackiej, i wystarczy może, jeśli przytoczymy na chybił trafił pierwsze lepsze zdanie szanownego bazgrajły, zachowując przy tem jego pisownię, którą on, — nie wiedzieć na jakiej podstawie, mieni być „Zygmuntowską“: „A obok tej troski o życie dziecięcia, wszak ono duszyczkę ma również niemocną, czy tylko ciało w opiekę ci dano? Dusza młodziutka czysta zupełnie jak śnieg co świeżo padł z czarnej chmury, ona czyściutka jak śnieg nieskalany, od ciebie matko zawisłem będzie, co na tej duszy nazawsze usiądzie“.

Rzecz ta pobudziłaby nas jedynie do śmiechu szczerego, gdyby nie okoliczność o wiele boleśniejsza i budząca w nas uzasadnione obawy co do wychowania przyszłego pokolenia, jeśli więcej takich zarozumiałych, narwanych i wykolejonych pedagogów i warjatów jak ten pan Czykiel stanie na czele przyszłego systemu wychowawczego.

[Wychowanie narodowe dobrych dzieci. Przez Teofila Czikla z Rzeszowa. Nakładem autora a drukiem J. Dankiewicza w Stanisławowie. Mała ósemka. Stronic 16. — Cena 12 centów.]

Rozprawa ta niby cokolwiek zrozumialej napisana od poprzedniej, ale cóż nam autor w niej nowego opowiedział, czego byśmy nie wiedzieli i bezeń? A ponadto wszystko rażą nas jeszcze liczne zwroty niepolskie, jak n. p. „w młodem ciale“, „w starem ciale“ zamiast: „ciele“, „przedlaty„ zamiast: „przed laty“, „równoszybko“ zamiast: „równo szybko“, “czemrychlej“ zamiast: „czem rychlej“, „one nasłuchują wszystko“ zamiast: „one nasłuchują się wszystkiego“, „rozżegnanie“ zamiast: „pożegnanie“ albo: „Bywają rodzice, którzy małe jeszcze dzieci nadziewają różnymi wiadomościami“. To chyba chiński a nie polski wyraz, ponieważ — o ile mi wiadomo — tylko kiełbasy się nadziewa.

[Fiat lucx et erit libertas. Napisał Stanisław

Petrycki. Nakładem autora a drukiem K. Pollaka. Sanok, 1898. 12-stka. Stronic 28].

Si tacuisses, filosofus mansisses! — to słowo mędrca wyrywa nam się mimowoli z ust przy uważnem czytaniu broszurki p. Petryckiego. Niepozbawiona rzeczywiście niektórych bardzo ciekawych szczegółów; ale jakie ujemne światło rzucają te szczegóły i forma ich wypowiedzenia na autora samego! Był on kiedyś nauczycielem, nawet nauczycielem kierującym: władze umysłowe powoli zostały w nim przytępione skutkiem wieku (gdyż niekażdemu staremu dano, czerstwość i świeżość umysłu zachować do ostatnich krańców życia), natomiast wzrosły upór i zarozumiałość, i cóż dziwnego, że na podstawie badań lekarskich uznany został za niezdolnego do pełnienia dalszej służby?

Ale to się panu Petryckiemu nie spodobało; napada więc na Dr. Lica z Brzozowa w broszurce swojej i w drugiej: „O ogrodach szkolnych w Galicji“ z całą zaciekłością Donkiszota, walczącego z wiatrakami, i cóż udowodnił? Że trudno zatrzymać jako nauczyciela i kierownika szkół polskich człowieka, nie mającego najmniejszego wyobrażenia o stylistyce polskiej i każącego język podobnemi jak te oto zwrotami: „Baby podkasane i z rozpiętemi piersiami, chłopy z fajkami w gębach i niektóre z nich rozbroczone“ albo; „Wybiegł tłum pijanych chłopów, bab, dzieci tak szkolnych jak i nieszkolnych — podrostków obojga płci — i cały rozszalały ten tłum skierował ku mnie swe kroki“ albo wreszcie: „wniosłem remonstrację“ zamiast: „wniosłem rekurs“. Ale nie chcemy już czytelnika dłużej nużyć dowodami pisarskich zdolności p. Petryckiego; bezrozumne jego szamotanie się na Dra Lica udowadnia tylko, że tenże miał słuszność, jeśli Petryckiego za narwańca uważał, a jeszcze słuszniej postępował sobie, nie zważając na jego zaczepki i nie pociągając go za obrazę honoru do odpowiedzialności sądowej.

Jak logicznie myśli i rozumuje p. Petrycki — najlepszym tego dowodem siódmy ustęp w słowie

wstępnem do jego rzeczy „o ogrodach szkolnych“, gdzie twierdzi, że kolega i recenzent „Szkolnictwa“ tę pracę za dobrą uznał a mimoto przyjąć jej do druku nie chciał, ale natomiast autorowi radził, wydać ją własnym kosztem, co go „przy wysokości nakładu, obejmującego 100 – 200 egzemplarzy najwyżej 10—12 złr. kosztować będzie“.

Czego podobnego żaden redaktor nie praktykuje. Uznał pracę za dobrą, to każe ją wydrukować w swojem piśmie; nie ma jednak mimo najlepszych chęci dla niej miejsca — to odeśle z grzecznem przeproszeniem albo poda adres innego wydawcy, ale nigdy w świecie nie poradzi autorowi, własnym kosztem pracę swoją wydać; bo tą właśnie radą udowodnił nicość całej pracy. Rzeczywiście! si tacuisses, filosofus mansisses!

[Jak długo człowiek żyć powinien? Odczyt, wygłoszony w Sanockim „Sokole“ dnia 8. Kwietnia 1897. przez Dra Józefa Galanta, prezesa Tow. gimn. „Sokół“ w Zagórzu. Sanok. 1897. Drukiem K. Pollaka a nakładem autora. 12-stka. Stronic 51. Cena 20 ct. Na fundusz budowy Sokolni w Zagórzu].

Gdybyśmy nawet nie chcieli uwzględnić szlachetnego celu, dla którego ta broszurka wydaną została — to chętnie odżałujemy te kilka szóstek, aby się zapoznać z Dra Galanta odczytem, pełnym światłych poglądów i ciekawych badań. Polegając niejako na Kochanowskiego zdaniu o zdrowiu, podaje szanowny prelegent sposoby przedłużenia życia, oraz poglądy czasem nawet mylne, wygłoszone ex cathedra przez dawniejsze powagi naukowe. Itak uważał słynny matematyk, filozof i lekarz z Bazylei, Cardamus, ruch za szkodliwy dla człowieka; jest to jednak zdanie, którego z pewnością nikt a nikt z nowszych naszych badaczy nie podzieli. Inni znowu jak Dr. Teofrastus Paracelsus Bombastus w Niemczech a Dr. Graham w Anglii wytworzyli z sztuki lekarskiej haniebne rzemiosło ku wyzyskiwaniu ciemnych i łudzeniu głupich, co się jednak — jakto szanowny prelegent stwierdził

i obecnie, choć w odmiennej nieco formie praktykuje, gdyż nie starzeje się nigdy przysłowie:

„Nie siej głupich — a sami wschodzą“.

Odczyt szanownego prelegenta miejscami nawet nie jest pozbawiony pewnego odcienia lekkiej humorystyki, n. p. w owem miejscu, gdzie mówi o długiem życiu pierwszych rodziców naszych. „I tak pierwszy rodzic Adam żył wedle pisma św. lat 930; Ewa miała przeżyć męża o lat 10 i w ten sposób zainaugurowała prawidło, że żona zwykle przeżywa męża; Matuzalem 969. Noe, ostatni tak długowieczny przed potopem 950. Matuzalem żył z nich liczebnie najdłużej, ztąd mówi się o wieku i latach matuzalowych, de facto jednak pierwszy rodzic Adam, iż nie miał lat dziecinnych ani młodocianych („Bengeljahre“), ale odrazu wyszedł mężem, żył pełnem życiem najdłużej, jak to zresztą pierwszemu człowiekowi słusznie należało“.

Autor w dalszym ciągu swej rozprawy, wypowiedzianej w formie odczytu, zastanawia się nad tem, zkąd to pochodzi, że pokolenie obecne coraz więcej degeneruje i coraz krótszą cyfrą lat życia wykazać się może, podczas gdy u przodków suma lat życia 100 i ponadto do rzadkich rzeczy nie należała a zwierzęta na wolności zostające, daleko dłużej jeszcze żyją, i dochodzi do wniosku, że główną przyczyną krótkowieczności swojej jest człowiek sam, który — gdyby się ściśle zastosowywać chciał do prawideł przyrody — łatwo osiągnąć by mógł wiek tak rzadki przodków, a w każdym razie dłużej i zdrowiej żyć by mógł, aniżeli teraz.

[Jan Bielecki. Opera narodowa w 3 aktach przez Tadeusza Włodarskiego. Sanok. 1897. Drukiem i nakładem księgarni K. Pollaka. 12-stka. Stronic numerowych 39.]

Treść do tej opery, dla której wszelkie prawa do sceny autor sobie zastrzegł — treść ta zaczerpnięta z znanego poematu Juliusza Słowackiego.

Jest to — o ile nam wiadomo — pierwsza sceniczna przeróbka znanego poematu epicznego; zdradza ona zdolności pisarskie; bo nic brak

w niej akcji, nie brak ruchu, a język przytem gładki, rymy nienaganne. Możemy więc nieznanego nam autora li tylko zachęcać do dalszych występów na polu literatury, na którem on powołany jeszcze wiele dobrego i pożytecznego zdziałać.

[Kwestja ormiańska. Napisał August Teodorowicz. Czysty dochód przeznaczony na misje katolickie, opiekujące się uciśnionymi chrześcianami w Turcji. Lwów, 1898. Nakładem autora a drukiem St. Manieckiego i spółki. Stron numerowanych 59. Cena 50 ct.]

Broszurka ta ma zakrój broszurki politycznej; autor niezawodnie Ormianin, stara się widocznie, swojemi wywodami poruszyć publiczność nieormiańską dla sprawy ormiańskiej. W samym wstępie określając trudne geograficzne położenie Ormian, w dalszym ciągu swego dziełka opisuje charakter narodowy i przedstawia znaczenie polityczne swoich ziomków, którym mimo wszelkiego ucisku ze strony Turcji, nigdy nie brakowało siły odpornej a którzy nawet z swego łona wydawali wielkich i wybitnych mężów stanu i polityków, jakimi byli Nubar pasza i Loris-Melikoff. W ciągu dalszym swoich wywodów przystępuje autor do bliższego określenia początków powstania właściwej kwestji ormiańskiej, która powstała, wywołana uciskiem i bezprawiami rządu tureckiego. Znany traktat w San Stefano starał się, to zło usunąć; cóż, kiedy skutki okazały się wręcz przeciwne!

Turcja lekceważyła sobie dane słowo; rozpoczęły się prawie pod okiem mocarstw gwarantujących spokój, straszne rzezie ormiańskie, których ofiarą padło 300.000 narodu, a któremi prawie całą Armenię wyludniono. Autor jako gorący patrjota ormiański, nawołuje swoich współbraci chrześcian do gorliwszego pośrednictwa w sprawie ormiańskiej, aniżeli dotąd, szczególniej zaś do ściślejszego przestrzegania traktatu San-Stefańskiego i zawartych w nim praw ingerencji. Armenia bowiem nie pragnie buntów, ani oderwania się zapomocą wojen

od państwa tureckiego i odzyskania własnej autonomii, ale pragnie, aby jej warunki bytu jako tako znośnemi uczyniono.

Autor przytacza rozmaite źródła, z których czerpał; praca jego w ogóle bardzo sumiennie i treściwie ułożona, zasługuje więc na rozpowszechnienie w szerszych nawet kołach, a styl gładki, miejscami nawet potoczysty, zaleca ją jak najzaszczytniej kołom inteligentnym.

[Ustawa z dnia 25. Października 1876 Dz. u. p. Nr. 220 o bezpośrednich podatkach osobistych wraz z rozporządzeniami wykonawczemi. Przełożył i objaśnił Fr. Szymusik, c. k. radca skarbu. Zeszyt II. Lwów, 1898. Mała ósemka. Stron numerowanych 400. Nakładem K. S. Jakubowskiego, a drukiem Pillera i Spółki.]

Nowe ustawy o podatkach, a mianowicie o podatku powszechnym zarobkowym, jakoteż o osobistym dochodowym, są tak obszerne i rozgałęzione, że wymagają prawie osobnego studjum. Wdzięczność należy się zatem owym urzędnikom skarbowym, którzy się starają, za pomocą wyczerpujących prac publiczność zaznajomić z tym tematem. Do niezmordowanych pracowników na tem polu zaliczamy także p. radcę skarbu Szymusika, który w leżącem przed nami dziele załącza objaśnienia do owych podatków, a w trzecim, wkrótce w druku okazać się mającym zeszycie resztę rozporządzeń wykonawczych, dla publiczności umieścić zamierza.

[Naprzód czy wstecz! Powieść na tle stosunków współczesnych. Napisał Antoni Wiśniewski. Gródek, 1897. Nakładem autora, a drukiem J. Czaińskiego. Mała ósemka. Stronic 322.]

Ciekawe to dzieło i ciekawe są jego początki, tem ciekawsze, że znam je z autentycznego źródła, bo z ust samego autora, który jest obecnie respicjentem c. k. straży skarbowej w Kałuszu.

Jeden z kolegów służbowych autora dotknięty został straszną niemocą, stracił wzrok i stał się niezdolnym do pełnienia służby, a tem nieszczę-

śliwszym, że nie sam jeden pozostał się na świecie, ale utrzymać musiał rodzinę całą.

Wtedyto powstała w p. Wiśniewskim myśl, coś uczynić dla nieszczęśliwego. Zdobył się więc jako zupełnie nieznany w literaturze człowiek na ten rzadki heroizm napisania powyż przytoczonej powieści, której dochód z rozprzedaży przeznaczył dla kaleki, nawołując otwartym listem wszystkie straże skarbowe w kraju do wspomagania go.

I stał się cud — na Galicję powiemy, że to cud prawdziwy: koszta druku przez samą straż skarbową nawet bez udziału szerszej publiczności zostały pokryte, dochód dla nieszczęśliwego kolegi okazał się bardzo znacznym — o czem tegoż pismo dziękczynne świadczy, okazała się nawet potrzeba zrobienia drugiego nakładu, pisma fachowe i niefachowe rozpisywały się szeroko o dziele p. Wiśniewskiego, który ni ztąd, ni zowąd stał się głośnym człowiekiem w Galicji, którego nawet tak wybredny i kapryśny wydawca, jak p. Zukerkandl w gronie współpracowników swojej „Biblioteki powszechnej“ ujrzeć pragnął.

Po tym wstępie wglądniemy cokolwiek w treść dzieła, nad którem się także zastanawiać warto. Traktuje ono o życiu straży skarbowej.

Autor zaczyna ab ovo, bo od najwcześniejszych dni młodości głównego swego bohatera Janka, syna opasłego piwowara kalwina Krummbachera i lekkomyślnej pani Emilii. Janek wychował się—jak to mówią — na łasce boskiej. Żywego usposobienia chłopak, łobuz co się zowie, gotów był do wszystkich figlów, ale tępy w naukach, szczególnie zaś w nauce religii, czemu się ostatecznie bardzo dziwować nie można, jeśli się pod rozwagę bierze, jakich to mentorów duchowych miał młody Janek. Natomiast przylgnął całą duszą do straży skarbowej, do tak zwanych „finanserów“, których też często gęsto widywał w domu ojca swego.

W ogóle nie było tam kogo, któremu by się chciało wychować chłopaka i nakierować na właściwe tory. Ojciec nie miał czasu na to, a matka— no, gdzieby się taka wielka dama jeszcze chciała

zajmować wychowaniem synka jedynaka! Jej nie mąż albo syn, ani też gospodarka domowa w głowie, ale romanse z „przyzwoitymi kawalerami“, bo przecież nie wyszła z miłości za bogatego „brajera“ i stała się prostą piwowarczynią! Ona, która liczyła wtedy 18 lat, kiedy on 42; ona, która swój ród wywiodła z szlachetnej rodziny szlachetnych darmozjadów i próżniaków, podczas gdy on z nieznanych, ale zacnych i pracowitych kół mieszczańskich pochodził, ona wreszcie, czarująca pięknością, wychowana na klasykach, oczytana w „Cierpieniach Werthera“ i w Pawle Kocku, a on prosty chłop, grubas o nabrzękłych wargach i krótkich nogach. Ktoby wśród takich warunków jeszcze o miłości marzył? Taki mąż nadaje się chyba jedynie na to, aby mu rogi przypinać.

Tak sądziła też pani piwowarczyni, a że straż skarbowa absolutnie do jej zachcianek miłośnych nadawać się nie chciała czy nie mogła — więc znienawidziła sobie serdecznie cały świat finansérski, szukając równocześnie kawalerów dla siebie gdzieindziej.

Przypadek był jej przy tem pomocnym. Mąż, nie mogąc się osobiście zajmować wychowaniem syna, wyszukał i wynalazł wreszcie dla niego stosownego preceptora w osobie ks. wikarego i katechety Szymona Guzyka. Z początku obrażają się arystokratyczne uczucia pani Emilii na samą myśl, że taki jakiś Guzyk, a więc syn prostego chłopa, ma być nauczycielem jej Janka. Ojciec jednak — na swoje nieszczęście — nie zważa na to.

Autor przedstawia nam w osobie ks. Guzyka jednego z tych wstrętnych fanatyków i obłudników, którychbyśmy radzi nie widzieć w stanie tak poważanym przez ogół i tak zasługującym na poważanie. Ks. Szymon Guzyk ani na krok nie popchnął na lepsze tory wychowanie łobuza Janka; natomiast owładnął całkowicie duszą pani domu, którą rozkochał w sobie i która mu we wszystkiem ulega. Mąż, nie mający pojęcia o tem, co się poza plecyma jego w domu dzieje, przekonany święcie o wierności swojej połowicy—zdybuje raz

znienacka zakochaną parę przy czułem *tête à tête*. Skutek tego odkrycia przerażający, okropny — mąż, paraliżem tknięty pada z łoskotem na ziemię i nie powstaje już do życia, mimo rozpaczliwych krzyków swego Janka, który jak zraniony tygrys rzuca się na martwe zwłoki ojca.

Ale opuśćmy na chwilę Janka, panią Emilję i ks. Szymona, aby odrazu wglądnąć in medias res, czyli: w życie straży skarbowej. Autor jako fachowiec odmalowuje nam doskonale stosunki służbowe i pozasłużbowe tejże straży, składającej się jak wiadomo z najróżnorodniejszych żywiołów. Należą bowiem do niej ludzie i całkiem i połowicznie wykształceni, i całkiem i półinteligentni, ludzie, co w wolnych swoich chwilach ducha dalej kształcą i tacy, co ponad książkę i rozrywkę duchową przenoszą piwo, bilard, karty i kręgielnię. Należą do straży skarbowej ludzie o wyższych studjach humanitarnych, wpół ukończeni prawnicy, ale należą także niedokończeni gimnazjaliści, należą tacy, którzy rozpoczęte zaledwie nauki tam dopiero uzupełnić muszą. Sam znałem zecera, który z drukarni wprost wstąpił do straży skarbowej, ztamtąd przeniósł się napowrót do zecerni, a teraz włóczy się po kraju—zapewne bez zajęcia. Ale był to skończony leniwiec i sądzę, że straż skarbowa sama rada była, takiego osobnika się pozbyć.

Aby nam dać należyte wyobrażenie o tem życiu straży skarbowej, wprowadza autor w akcję nadstrażnika Plauta, takiego właśnie książkowego mola, zarozumiałego w swojej wiedzy i strażnika Kosa, który choć młodszy co do rangi i co do lat służby, przełożonemu swemu odrazu imponuje wyższością duchową. Zabawny jest tu wykład różnicy słów: „ferment“ a „fermentacja“, a wielce zajmująca też scena, odgrywająca się między szulerami Nr. 1 do 6, a strażą skarbową, respective panami Plautem i Kosem, jakoteż obchodzenie się restauratora-oszusta tak ze szajką karciarską, jak i strażnikami skarbowymi.

A teraz wróćmy do naszego Janka. Zmienił się on do niepoznania. Pieszczony niegdyś przez

ojca, którego był ulubieńcem, stał się dzisiaj kopciuszkiem, którym wszyscy pomiatają: matka wyrodna, rozkochana w księdzu, ks. Szymon i piwowar, ten płatny sługa jego ojca, właściciela browaru. Cóż dziwnego, że posmutniał i nos spuścił na kwintę? że jedynym jego przyjacielem i pociechą w smutku stał się nie kto inny, tylko nadstrażnik skarbowy Plaut? Autor, aby nie rzucić zakały na duchowieństwo, rzeczywiście świątobliwe i prawe, wybrał sobie w swoim księdzu Szymonie osobny typ: typ apostatów. Do niedawna ks. Szymon Guzyk był jeszcze ruskim alumnem; dla widoków osobistych przeszedł na łacińską wiarę, dla tychże samych widoków przejdzie zapewne na schizmę.

Podobne temu rodzajowi spekulacje popchnęły go także do prowadzenia i utrzymywania romansu z żoną swego dobrodzieja; bo jak autor mówi: „ks. Szymon rozpoczął się mizdrzyć do żony kalwina w wytartym surducie podobnym do bekieszy a wykochał sobie futro elkami podbite, złoty zegarek, książeczkę kasy oszczędności, opiewającą na 3000 złr. i współdzierżawę browaru.“ A że do wszystkich takich interesów trzeba żyda-faktora, więc starano się zawczasu, wciągnąć do spółki, na której najgorzej wyszedł nasz Janek — żyda faktora Weinreba.

Plaut, odwiedzający Janka, pocieszający go w jego rozpaczy i udzielający mu rad stosownych, jest świadkiem sceny, którą pan piwowar, traktujący syna swego chlebodawcy na równi ze służbą, brutalnością swoją wywołał, a która się kończy przykładnem ukaraniem zuchwalca i wywróceniem go na trawnik przez rozwścieczonego Janka. Janek za naradą Plauta i aby matkę od dalszych strat, z jej stosunku z księdzem wyniknąć mogących, zachować, uwiadomiony także i o tem, że zuchwały piwowar służbie dworskiej polecił „panycza“ rozciągnąć na ławce i należycie wybatożyć — pomodliwszy się na grobie ojca, wraca do mieszkania, uzbraja się na prędce w szpicrutę i rewolwer i tak uzbrojony wpada do ks. Szymona,

rozmawiającego właśnie w tej chwili z piwowarem mściwym o rodzaju zemsty, mającej spadnąć na Janka.

Janek okazuje się pomiędzy spiskowcami jak deus ex machina. Piwowara całą siłą uderza szpicrutą po twarzy, aż go krew zalała i napędza go ze służby, rozkazując mu, aby w przeciągu dwudziestu minut rzeczy swoje zabrał posłańcem i przez tegoż posłańca wskazał adres, pod którym należąca mu się jeszcze dwumiesięczna płaca ma mu być doręczona. Potem zabiera się do księdza, od którego pod groźbą, że mu kulkę w łeb wpakuje, wymusza przysięgę, iż wszelkie stosunki z jego matką raz na zawsze zerwie. Ale co to u takiego ks. Szymona podobna przysięga znaczyć może? Tyle, co śnieg zeszłoroczny.

Uspokojony jeszcze ponadto co do przyszłości liścikiem miłosnym pani Emilii, postanawia ks. Guzyk w porozumieniu z nią nowy plan zemsty na przyszłość. Pani Emilja udaje wobec syna chorą i za poradą dra Spitzmana, szyderczo przez żydów „Szpitzbubem“ nazwanego — wyjeżdża w towarzystwie syna do Szczawnicy, bo gdyby tej kuracji zaniechała, to według orzeczenia szanownego eskulapa „mogłyby jej płuca pęknąć na kilkanaście kawałków“. Tymczasem bawi się pani Emilja doskonale w Szczawnicy, a płuca jej jeszcze nie pękły. W porozumieniu z ks. Szymonem oddzierżawiła browar Weinrebowi pod niebecność syna, którego napowrót do domu wyprawia—rozumie się z niczem. Aby jednak świat złośliwy i obmowny jej nie zarzucał, że syna wydziedzicza, wyłączyła po obliczeniu gotówki swojej, przedstawiającej wartość około szesnastu tysięcy złotych reńskich, z tego wszystkiego banknot na tysiąc złr. i 3 akcje kolei galicyjskiej Karola Ludwika, przedstawiające łączną wartość sześciuset złr., a banknot wraz z akcjami wysłała dla zaspokojenia sumienia w zapieczętowanym liście pod adresem dra Kociołka, lekarza i przyjaciela jej nieboszczyka męża, a drugi list zostawiła dla syna, sama zaś z kochankiem uciekła w świat.

Syn, którego pozbawiono mienia ojcowskiego, darząc go jak natrętnego żebraka odczepnem, wstępuje za przyzwoleniem swego opiekuna dra Kociołka do straży skarbowej.

Drastycznemi barwami, zapożyczonemi u najdzielniejszych humorystów, jakimi byli Polak Jan Lam i Anglik Karol Dickens, odmalowuje nam szanowny autor opłakane stosunki, jakie panowały w korpusie straży skarbowej na stacji w R., dokąd przeniesiony został nasz Janek. A że się przy takich opisach wszędzie zaczynać powinno i zaczyna od głowy, więc i tu na pierwszym planie występuje pan komisarz, prawdziwa Lamowska „Głowa do pozłoty“, w dodatku stary, żonaty safanduła, ale przy tem wszystkiem „bardzo porządny człowiek“, który na żadnych widowiskach publicznych, jakoto na przedstawieniach teatralnych i im podobnych występach artystycznych z zasady nie bywa, ale natomiast bardzo regularnie do kościoła uczęszcza i plotkami i donosami kierownika oddziału się bawi, któremu nie wzorowe pełnienie służby w głowie, ale lekki o ile można awans na respicjenta straży skarbowej. Duch koteryjny jak wszędzie, tak i tu się rozwielmożnił, a co gorsza, to to, że wszędzie nie prawo i słuszność, ale protekcja i obmowa, posługująca się najpodlejszemi środkami, górę bierze ponad prawdziwą zasługą. Taki np. Schinder, podły intrygant o bardzo względnej wartości i sile roboczej, wysadza z siodła skromnego i pracowitego Ramskiego i opanowuje słabe umysły p. komisarza i p. kierownika; dzielni strażnicy i nadstrażnicy jak Kos, Ramski, Janek (ten ostatni na podstawie, że jako syn nieboszczyka browarnika Jana Krummbachera objawia jakieś tam destrukcyjne tendencje) zostają prześladowani jako demagodzy i rewolucjoniści, nie szanujący przepisów i uwłaczający powadze przełożonych, a to nie na podstawie rzeczywistych faktów, ale na podstawie tego, co się temu lub owemu widzieć lub wymyśleć zachciało. Bo przecież to wiadoma rzecz, że niejeden awansuje na komisarza straży skarbowej, który swoje miejsce w armji może wcale dzielnie i stosownie wypełniał, ale na komisarza

już pod tym względem się nie nadaje, że nie złożył ani jednego z przepisanych trzech egzaminów.

Długi, nawet nieco rozwlekły dialog Ramskiego i Kosa przerywa żartobliwe opowiadanie autora o dalszych wypadkach i zdarzeniach, zaszłych w kancelarji p. komisarza i p. kierownika oddziału, streszczone barwnym językiem i okraszone humorystyką niewybredną. Do tej kategorji należy awans strażnika Jana Krummbachera na nadstrażnika mimo protestów komisarza i Schindera; scena traktamentu Schindera przez kierownika oddziału; grzyb koszarowy, czyli „agaricus necator", rozszerzający się po ścianach domu żyda Schmutzigera, wynajętego na koszary dla straży skarbowej; podanie w tej mierze w klasycznym stylu wystosowane do Dyrekcji skarbowej przez kierownika straży; odwiedziny Dyrektora w koszarach straży skarbowej, a skutkiem tego polecenie komisarza, dane kierownikowi, aby się postarał o inne pomieszkanie, co też w. kilka miesięcy później uskuteczniono, oddział bowiem został przeniesiony do domu p. Stękalskiej, wdowy po sekretarzu rady powiatowej, a matki urodziwej Natalji.

Straż skarbowa zajęła tedy front domu podczas gdy w oficynach, a to w trzech pokojach zamieszkała właścicielka wraz z 23-letnią córką Natalją i niejaką panią Szelmowską, wdową po aptekarzu. Wszystko tu było bardzo dobrze i stoso wnie dobrane według reguły: „omne trinum perfectum". Trzy pokoje, w nich trzy niewiasty, a w nadomiar tego wszystkiego, najmłodsza z nich, panna Natalia miała trzech kochanków: syna miejscowego diaka, który z zawodu był technikiem, syna rzeźnika, który był lekarzem chorób zwierzęcych, alias weterynarzem i syna żydka handełesa, który gardząc zawodem ojcowskim, stan prawnika sobie obrał. Ale niedaremnie twierdzi przysłowie włoskie: „La donna é mobile", ponieważ wkrótce nadobnej Talusi odechciało się trzech kochanków, którzy według przepowiedni p. Szelmowskiej wszyscy trzej odkosza dostali. Tam gdzie cywilni ustąpili z pola bitwy— tam straż skarbowa próbuje

szczęścia, a kierownik oddziału z nieodzownym swoim towarzyszem Schinderem zastanawiają się na serjo nad kwestją zdobycia tej niezdobytej twierdzy.

Przy balu, danym na rzecz towarzystwa gimnastycznego, schodzą się najrozmaitsi wybrańcy losu: kierownik straży skarbowej z narzeczoną swoją Natalją, którą zawdzięcza zabiegom Schindera, Ramski z Kosem, Stękalska z Szelmowską, państwo Filipowie, a szczególnie Filipowa z Brutalskim, Brutalskij z ruskim księdzem Motyką, „biali“ czyli obrońcy „Sokoła“ z politycznymi swymi przeciwnikami „czerwonymi“, na tym balu Janek poznaje przyszłą swoją małżonkę w osobie uroczej Wiery czy raczej Zośki, wnuczki starego Żarskiego, i pierwsze uczucie miłości budzi się w jego sercu. Bal ten autorowi w ogóle nastręcza wątku do niezliczonych kombinacyj bądź to poważnej, bądź wesołej natury.

Janek, otrzymawszy zaproszenie do Żarskich, dowiaduje się tam o dalszych losach swojej matki, która zaślepiona występną miłością ku księdzu, w jego towarzystwie do Petersburga się udała, gdzie ks. Szymon, zrzuciwszy z siebie maskę, na schyzmatycką przeszedł wiarę i zaślubił Emilję, którą jednak wkrótce porzucił, skoro się dowiedział, że zapisała swemu synowi 10.000 rubli. Opuszczona przez męża, ogołocona prawie ze wszystkiego, utrzymywała się Emilja w ostatnich czasach li tylko z pracy rąk swoich i umarła niedawno.

Wiadomość ta oddziaływa piorunująco na nieszczęśliwego, w którym jednak uczucie miłości ku nadobnej swojej danserce i młody wiek przezwyciężają.

Jak to z góry przewidzieć można było, kończy się wszystko w tej powieści drogą pokojową. Janek zaślubia Zosię, odziedzicza wielki majątek Żarskich i obejmuje napowrót browar swego ojca, kierownik straży skarbowej, ożeniwszy się z Natalką, która mu synka spowiła prędzej, aniżeli się spodziewał, podaje się na pensję, a Schinder awan-

suje na respicjenta „z tej prostej przyczyny, że umiał zawsze cofać się wstecz“.

W powieści p. Wiśniewskiego przebija się ogromna dozis ducha obserwacyjnego i spory zapas humoru, nieprzebierającego w wyrazach. To są dobre i dodatnie strony powieści, stawiające autora w rzędzie lepszych powieściopisarzy polskich; do ujemnych stron zaliczylibyśmy dialogi nieco za długie, obce wyrazy za często używane, za gęsto porozsiewane wszędzie, wreszcie filozoficzne kontemplacje Kosa, Plauta i Ramskiego, wyglądające bardziej na wywody jakiegoś profesora gimnazjalnego, aniżeli na poufne wynurzenia członków straskarbowej, która bądź co bądź poniekąd należy do wojska, nie lubiącego przecież zbytnio szafować słowami.

Zamarstynów, 27. Lutego 1899.

G. Kohn.

Sprawozdanie z czynności mojej

Kończącym się obecnie 22-gim „Rocznikiem Samborskim“ kończę i zamykam stanowczo szereg „Roczników Samborskich“. Byłoby to nawet wprost niedorzecznością, gdybym — przesiedliwszy się na lwowski grunt, mieszkając stale w Zamarstynowie a drukując książki swoje w samym centrum, bo w stolicy kraju — prowincjonalne cele przenosił ponad stołeczne.

Stosunki niesprzyjające rozwojowi wydawnictw wszelkich, a szczególnie wydawnictwa tego rodzaju jak moje na prowincji, długoletnia choroba mego brata Jakuba, która mnie pod względem materjalnym należycie niszczyła, stosunki, wśród których się do Lwowa przeniosłem, przedwstępne i następne wydatki, spowodowane zakupnem domku w Zamarstynowie — to wszystko razem wyczerpało prawie ostatki długoletnich moich oszczędności, chociaż żyłem bardzo skromnie i pracą a zapobiegliwością moją wyręczałem się prawie we wszystkiem.

Mimoto oddaję jako dochód na cele dobroczynne samborskie z obecnego wydawnictwa 48 zł., t. zn. 24 zł. dla „Towarzystwa św. Wincentego a Paulo“ i tyleż dla „Bursy samborskiej“.

Żegnam Sambor i samborskie wydawnictwa. Tej nielicznej garstce przyjaciół i zwolenników

samborskich, którzy mi dotąd sprzyjali a i nadal zapewne szacunku i przyjaźni swojej nie odmówią, w pierwszym rzędzie zaś pp. doktorom Biegelmayerowi i Skalskiemu, jakoteż pp. Schnaydrowi i Kasparkowi, notarjuszom w Samborze, posyłam najgorętszy wyraz wdzięczności i uznania.

A tym. którzy mi byli ciągłą zawadą, którzy mi swoją nędzną obmową i kłótliwością ustawicznie życie zatruwali, którzy mnie rozwaśnili nieomal z całą rodziną a po części — choć nie ze wszystkiem — zmusili wśród najnieprzychylniejszych warunków materjalnych do przesiedlenia się do Lwowa, czego tym „najukochańszym, najserdeczniejszym przyjaciołom“ moim życzyć mi wypada?

Nie chcę się bawić w prostaka, bo to przecież nie przystoi dla literata.

Określę więc sumę życzeń moich szczęścia i błogosławieństwa także i dla tych zacnych panów i pań w następnych słowach:

„Ja życzę, by zwiędłego lauru liść
Wam skroń umaił, trudem pooraną,
I byście nie wiedzieli, dokąd iść
I co poczynać wieczór, albo rano;
Kłopotów i honorów życzę moc
I zajęć więcej, aniżeli trzeba,
I by bezsenna była wasza noc
A niewyraźny dla was wyrok nieba.
Ja życzę wam, byście ku niebu wciąż
Frunęli myślą swoją jako ptacy;
Lecz tego, czem się zacny cieszy mąż —
Nie życzę wam zadowolenia z pracy“.

Zamarstynów, 27. Lutego 1899.

G. Kohn, redaktor i wydawca ongiś samborski, teraz lwowski.

TREŚĆ.

SPIS POMYŁEK.

Str.	wiersz:	zamiast:	czytaj:
1	ostatni	99.	1899.
7	18	ponie	ponie-
16	29	Żelenśkiogo	Żeleńskiego
37	24	wieki	wieki,
43	36	myśł	myśl
47	12	serca.	serca,
47	14	narodn.	narodu.
145	2	Swiat	Świat
147	2	nowolistyczny	nowelistyczny
169	15	pacierz	pacierza
176	23	Co	To
178	14	Kraina	kraina
178	31	Krainy	krainy
181	17	stój!	słój!
181	20	stój!	słój!
181	23	stój!	słój!
184	32	puszka	puszku
186	9	klniec	kliniec
188	30	pożądanie	pożądliwie
189	15, 16	I każda nęci go dziewczyna, Bo mu	Do nich obficie płynie ślina I już
189	19	wobec tych	wolen tych
191	21	mitologiczny	ontologiczny
191	38	czasem	całkiem
192	16, 17	G'y jednak go ochota bierze, Pokaże	Gdy jednak go ochota zbierze, Pokazać
193	19	otuczone	utuczonę
196	28	kraśna	kwaśna

str.	wiersz:	zamiast:	ma być:
197	2	nogi się nie	im się nogi
197	9	pogoru	pagoru
197	11	Karanowa	Kazanowa
199	29	wysuwa	wysysa
201	5	grobem	garbem
202	17	wierzyczki	wieżyczka
202	24	przed okapem	pod okapem
206	3	na górze	na górce
208	26	w uchu	w ucho
210	19	ze dworami	ze dzwonami
210	30	grzmiesz	grzmisz
211	9	po ludem	pod ludem
211	41	potoplastem	protoplastem
212	3	pójdziesz do mnie!	pójdziesz do mnie?
218	16	zgrozą	grozą
220	20	ogłosił	opłacił
220	37	jasne czoło nam	jasno czoło wam
224	16	Pogoda	Przyroda
224	19	wyglądu	wygląda
224	20	Przygoda	Przyroda
224	29	stój	słój,
224	32	stój !	słój,
273	1	Smierć	Śmierć
321	6	gałąź	gałęż
326	35	„Po czasufali“	„Po czasu fali“,
330	23	Antor	Autor
332	ostatni	lucx	lux
336	ostatni	zapomocą	za pomocą